World of Warcraft

Zbrodnie wojenne

AUTORKA Z LISTY BESTSELLERÓW NEW YORK TIMESA

Christie Golden

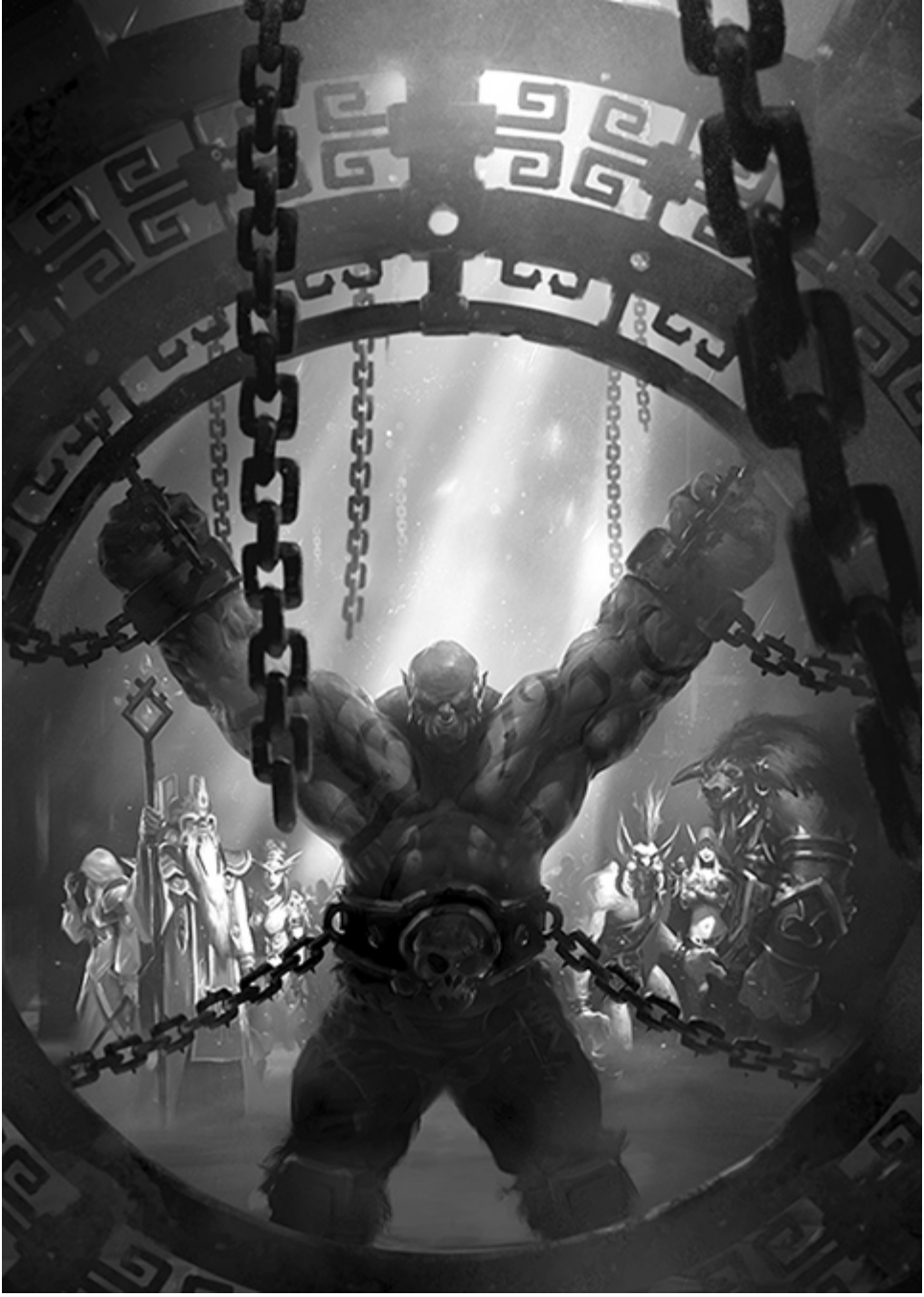

WORLD OF WARCRAFT®

ZBRODNIE WOJENNE

CHRISTIE GOLDEN

przekład
PRZEMYSŁAW BIELIŃSKI

insignis

Tytuł oryginału
World of Warcraft®: War Crimes

Copyright © 2014 by Blizzard Entertainment. All rights reserved.
Warcraft, World of Warcraft są znakami handlowymi i/lub zarejestrowanymi znakami handlowymi Blizzard Entertainment, Inc. w Stanach Zjednoczonych i/lub w innych krajach. Wszelkie pozostałe znaki handlowe w niniejszym dziele należą do ich poszczególnych właścicieli.

Niniejsza powieść jest literacką fikcją. Jakiekolwiek występujące w niej nawiązania do wydarzeń historycznych, rzeczywistych osób i rzeczywistych miejsc również są fikcją. Pozostałe imiona, nazwiska, postaci i wydarzenia są wytworem wyobraźni autora i jakakolwiek zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, miejscami lub osobami, żyjącymi bądź zmarłymi, jest całkowicie przypadkowa.

Wszelkie prawa zastrzeżone, wraz z prawem do przedruku i publikacji niniejszej książki w całości lub fragmentach w jakiejkolwiek dostępnej formie.

Przekład
Przemysław Bieliński

Redakcja
Dominika Repeczko | ragana.com.pl

Korekta
Dominika Pycińska, Lidia Kowalczyk

Konwersja
Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2014
Wszelkie prawa zastrzeżone.
ISBN-13: 978-83-63944-51-3

Insignis Media
ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis
twitter.com/insignis_media

Dla Seana Copelanda,
Niezwykłego Historyka,
za jego niesłabnący optymizm, błyskotliwość, pomocne odpowiedzi
oraz bezgraniczny entuzjazm i wsparcie w mojej pracy.
Dzięki, Kumplu!

PANDARIA
KLASZTOR SHADO-PAN
WEJŚCIE DO SKARBCÓW MOGU'SHAN
ŚWIĄTYNIA BIAŁEGO TYGRYSA
BARYŁKA
SZCZYT KUN-LAI

Wyspa
Gromu
PURPUROWE WZGÓRZE

PROLOG

Draenor. Rodzinna kraina orków i przez bardzo długi czas jedyny dom Garrosha Hellscreama. Tu się urodził, w najpiękniejszej, najbardziej zielonej części tego świata – Nagrandzie. Tu chorował na czerwoną ospę i pochylał głowę przygnieciony hańbą czynów ojca, legendarnego Grommasha Hellscreama. Kiedy Draenor został skażony magią demonów, Garrosh winił właśnie tego, który stał się legendą, i wstydził się pochodzenia oraz rodowego nazwiska, dopóki Thrall, wódz Hordy, nie pokazał mu, że choć starszy Hellscream pierwszy przyjął klątwę, to później poświęcił życie, by położyć jej kres.

Draenor. Garrosh nie był tu, odkąd odszedł przepełniony ogniem dumy i niezłomną miłością do Hordy Azeroth, by bronić swojego nowego domu przed potwornościami Króla Lisza.

A teraz wrócił.

Draenor wyglądał jednak zupełnie inaczej niż ostatnio, gdy widział go Garrosh – nie był już miejscem pełnym złowrogiej energii, zamieszkałym przez nieliczne, chorowite stworzenia. Nie, to był świat jego dzieciństwa – był piękny.

Garrosh stał przez chwilę nieruchomo. Przeciągnął się, prostując umięśnione ciało ozdobione tatuażami dokładnie takimi jak te, które nosił jego ojciec. Zwrócił twarz ku słońcu, wciągnął do płuc czyste, wonne powietrze. Istnienie tego miejsca było niemożliwe, a jednak ono było.

I w tym niemożliwym miejscu zdarzyła się rzecz nierzeczywista. Oto z nicości przed Garroshem wyłonił się wizerunek jego ojca. Grom Hellscream uśmiechał się, a jego skóra była brązowa.

Garroshowi krzyk uwiązł w gardle. Nagle stał się nie wodzem, nie bohaterem Hordy, dzielnym wojownikiem, a młodzikiem, który stanął przed dawno nieżyjącym rodzicem.

– Ojcze! – Padł na kolana, przytłoczony wizją. – Powróciłem do domu. Tu, do krainy naszych narodzin. Wybacz, że kiedykolwiek w ciebie wątpiłem!

Poczuł na ramieniu dotknięcie dłoni. Podniósł wzrok, spojrzał w twarz Groma.

– Tyle zrobiłem w twoim imieniu, a i moje imię budzi miłość Hordy i strach Przymierza. Czy… czy wiesz o tym? Powiedz mi, ojcze… czy jesteś ze mnie dumny?

Starszy Hellscream już miał odpowiedzieć, kiedy skądś dobiegł metaliczny, głośny szczęk i Grom zniknął.

Garrosh Hellscream obudził się, jak zwykle czujny, w okamgnieniu.

– Dzień dobry, Garroshu – rozległ się miły głos. – Przygotowano ci śniadanie. Odsuń się, proszę.

Gdyby jego strażnicy poczekali choć jedną chwilę dłużej, Garrosh poznałby odpowiedź na pytanie, które nie dawało mu spokoju przez całe życie. Miał ochotę zadusić tę irytująco spokojną pandarenkę…

Garrosh, odziany w szatę z kapturem, ograniczył się do zachowania nieprzeniknionego wyrazu twarzy. Wstał z wyścielanego futrami posłania, odsunął jak najdalej od metalowej kraty i rozjarzonych, fioletowych, ośmiokątnych okien celi, i czekał. Czarodziejka w długiej szacie zdobionej kwiatowymi wzorami wystąpiła naprzód i zaczęła inkantację. Blask w oknach zgasł. Pandarenka cofnęła się, przepuszczając dwóch pobratymców – bliźniaków. Jeden z nich nie spuszczał wzroku z Garrosha, a drugi wsunął tacę z herbatą i bułeczkami przez otwór przy podłodze. Kiedy wstał, gestem pozwolił orkowi zabrać posiłek.

Garrosh ani drgnął.

– Kiedy nastąpi moja egzekucja? – spytał zdecydowanie.

– Twój los nie został jeszcze przesądzony – odparł jeden z pandarenów.

Garrosh miał chęć cisnąć jedzeniem w kraty albo – jeszcze lepiej – szybko skoczyć i zmiażdżyć tchawicę swojemu oprawcy jednym uściskiem potężnej dłoni, zanim mała pandarenka zrozumiałaby, co się dzieje. Nie zrobił ani jednego, ani drugiego; spokojnie wrócił do sterty futer i usiadł.

Czarodziejka aktywowała z powrotem fioletowe pole zabezpieczające i wraz z pozostałymi odeszła w górę po rampie. Drzwi zamknęły się za nimi ze szczękiem.

„Twój los nie został jeszcze przesądzony”.

Na przodków, cóż to miało znaczyć?

1

To miejsce jest zbyt spokojne i piękne, by więzić w nim kogoś tak okrutnego – zadumała się lady Jaina Proudmoore, zbliżając się do Świątyni Białego Tygrysa. Ona, błękitny smok Kalecgos, wielka łowczyni Vereesa Windrunner z rodu Bieżywiatrów i król Varian Wrynn jechali karetą ciągniętą przez kroczącego miarowo jaka. Puszysta sierść zwierzęcia zdradzała, że niedawno je wykąpano. Dla uczczenia rangi pasażerów karetę wyłożono jedwabnymi poduszkami w jaskrawych kolorach. Mimo to dostojnymi gośćmi nieco rzucało za każdym razem, kiedy koła napotykały wyboje.

– Nie zasłużył na to – powiedziała Vereesa. Utkwiła spojrzenie w Varianie. – Niepotrzebnie Wasza Wysokość powstrzymał Go'ela, kiedy ten chciał go zabić. Jedyna sprawiedliwa kara dla tego potwora to śmierć, a i to byłoby wielką łaską po tym, co zrobił.

Jaina nie dziwiła się gniewnym słowom wielkiej łowczyni, tym bardziej, że w pełni podzielała stanowisko Vereesy. Garrosh Hellscream był odpowiedzialny za zniszczenie – nie, to zbyt łagodne, zbyt ogólne określenie – za unicestwienie miasta-państwa Theramore. Za śmierć setek istnień w jednym ułamku chwili. Ówczesny wódz Hordy zwabił podstępem do Theramore kilku najwybitniejszych generałów i admirałów Przymierza, którzy gotowi byli bronić miasta przed oblężeniem – jednak ich plany zakładały starcie oparte na zasadach uczciwej walki. Zaś Garrosh zdetonował w sercu miasta bombę many o mocy zwielokrotnionej przez artefakt skradziony błękitnym smokom. Eksplozja zabiła wszystkich; zniszczyła każdy przejaw życia, które znalazło się w jej zasięgu. Jaina potrząsnęła głową, odpędzając wspomnienia o szczegółach śmierci tych, których kochała. Jaina Proudmoore nigdy już nie będzie panią Theramore.

Delikatne muśnięcie w ramię przywróciło ją do rzeczywistości. Podniosła wzrok na

błękitnego smoka Kalecgosa. Jego obecność była jedynym pozytywnym następstwem katastrofy. On i Jaina nigdy by się nie odnaleźli, gdyby Kalecgos nie przybył do Theramore prosić o pomoc w odzyskaniu Źrenicy Światła. Wichry wojny przyniosły Jainie wiernego towarzysza, ale Vereesę Windrunner uczyniły wdową. Rhonin, arcymag, po którym Jaina odziedziczyła tytuł przywódcy Kirin Toru, znajdował się w sercu miasta i przyciągnął bombę many do siebie, żeby zaklęciem ograniczyć zasięg eksplozji. Zaś wcześniej siłą wepchnął Jainę w portal prowadzący w bezpieczne miejsce. Jaina, Vereesa, nocna elfka Shandris Feathermoon oraz kilka jej Strażniczek były jedynymi ocalałymi.

Przywódczyni Srebrnego Sojuszu wciąż nie doszła do siebie po tej stracie i najpewniej tak już miało zostać. Vereesa zawsze była silna i bezpośrednia w obejściu, teraz jednak w jej słowach krył się jad, a w sercu nienawiść zimna i kłująca niczym lody Północnej Grani.

Dzięki niech będą Światłości, lód ten tajał przynajmniej wtedy, gdy rozmawiała ze swoimi synami, bliźniakami Giramarem i Galadinem.

Jeszcze niedawno Varian być może chwyciłby przynętę i rozgniewał się na Vereesę za otwarte potępienie jego decyzji. Teraz jednak rzekł tylko:

– Twoje życzenie może się spełnić, Vereeso. Pamiętaj, co obiecał Taran Zhu.

Kiedy Varian nie pozwolił Go'elowi – znanemu niegdyś pod imieniem Thrall, dawnemu wodzowi Hordy, a teraz przywódcy Ziemnego Kręgu – zadać śmiertelnego ciosu Garroshowi potężnym Zgładzicielem, ork został przekazany w ręce pandarenów – ludu, któremu ufała zarówno Horda, jak i Przymierze. Nadto i pandareni cierpieli z powodu czynów Garrosha. Taran Zhu, władca Shado-pan, zapewnił, że ork zostanie osądzony, a sprawiedliwość wymierzona. Pilnie strzeżony Garrosh Hellscream przebywał w lochach pod Świątynią Białego Tygrysa. Dwa dni temu wysłannik niebianina Xuena przyniósł wiadomość: „Konieczna jest wasza obecność w świątyni. Rozstrzygnie się los Garrosha". Nic poza tym.

Każdy przywódca Przymierza dostał ten sam list. Jaina widziała teraz kilku z nich u podnóża góry, wsiadających do karet, podobnie wyszorowanych i odnowionych, które miały zawieźć gości do świątyni. Królowa regentka Moira Thaurissan, jedna z trójki władców wspólnie rządzących klanami krasnoludów, kłóciła się z jakimś nieporuszonym pandarenem, z irytacją wskazując karocę. Bez wątpienia uznała ją za „niegodną" swojej królewskiej osoby.

– Nie – powiedziała Vereesa. – Nie wiemy dlaczego. Ale dla niebian to chyba ważne. A skoro to takie ważne, dlaczego nie pozwolono nam po prostu przylecieć do świątyni? Po co tracić czas na jazdę karetą?

– Jesteśmy tu na ich zaproszenie – odezwał się Kalec. – Jeśli są gotowi zaczekać, aż

przybędziemy w ten sposób, powinniśmy się dostosować. Podróż nie jest przecież tak długa.

– Prawdziwie smocza cierpliwość – rzekła Vereesa.

– Jestem, czym jestem – odparł smok, nieporuszony jej słowami.

Jaina przyznała mu w duchu rację – istotnie był tym, kim był, a ona bardzo się z tego cieszyła, choć w ich relacji pozostawało jeszcze wiele znaków zapytania.

Spróbowała rozsiąść się wygodnie na haftowanych poduszkach i cieszyć się powolną jazdą w górę krętej drogi. Cała Pandaria emanowała wyjątkowym spokojem, a przy tym jak okiem sięgnąć zachwycała niepowtarzalnym pięknem. Wiśniowe drzewa spowite były różowymi chmurami kwiatów, których pojedyncze płatki unosiły się w powietrzu dzięki delikatnym podmuchom wiatru. Kareta minęła pierwszą bramę strzeżoną przez posągi białych tygrysów i droga zaczęła się piąć bardziej pod górę. Robiło się coraz chłodniej; Jaina była wdzięczna za ciepło bijące od mosiężnych pieców mijanych po drodze i ciaśniej otuliła płaszczem szczupłe ramiona. Ziemia przyprószona była śniegiem, wyżej tworzącym zaspy. Jaina poczuła wszechogarniającą lekkość i nagle coś zrozumiała. Dobrze wiedziała, jak ważne jest skupienie podczas rzucania czaru i stało się dla niej jasne, że niebianie na swój własny sposób pozwolili gościom ów stan osiągnąć. Jadąc niespiesznie karetą pod górę, omijając zabudowania i podziwiając sielankowe piękno, ona i jej towarzysze mogli zapomnieć o codzienności i dotrzeć do celu ze świeżym umysłem. Jaina pozwoliła, by powietrze niosące aromat kwitnących wiśni oczyściło jej myśli.

Ona i Kalec siedzieli tyłem do kierunku jazdy, nie zobaczyła więc, co sprawiło, że piękna twarz Vereesy wykrzywiła się w grymasie, a Varian zacisnął usta w wąską kreskę. Kareta zatrzymała się przed pierwszym z rozkołysanych, linowych mostów. Dłoń elfki odruchowo powędrowała do boku, a potem zwinęła się w pięść, kiedy wojowniczka przypomniała sobie, że proszono ich, by nie zabierali broni do świątyni.

– Co oni tu robią? – warknęła Vereesa, a potem odpowiedziała na własne pytanie. – Cóż, Garrosh jest w końcu ich dawnym wodzem. Nie dziwne, że są obecni, kiedy rozstrzyga się jego los.

Jaina obróciła się na siedzisku i spojrzała na dziedziniec świątyni, a oczy jej rozszerzyły się z lekka. Poczuła skurcz żołądka, przypominając sobie taktykę zastosowaną przez Garrosha w Theramore – zebranie największych wojskowych umysłów Przymierza w jednym miejscu. Najwyraźniej zaproszenie wysłane przywódcom Przymierza skierowano też do wodzów Hordy. Obecny był oczywiście sinoskóry troll Vol’jin, odpowiednik Variana w roli nowego przywódcy. Czy będzie lepszy niż ork? Gorszy? Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie? Nawet dawny wódz Thrall, teraz posługujący się otrzymanym przy narodzinach imieniem Go’el, nie potrafił powściągnąć brutalności

Hordy, a przecież próbował.

Kiedy tylko o nim pomyślała, jej wzrok spoczął na orku szamanie. Obok Go'ela stała jego partnerka, Aggra, trzymająca na rękach małe zawiniątko.

Syn Go'ela.

Jaina słyszała, że szaman został ojcem, chodziły też plotki, że Aggra znów jest w ciąży. Dawniej Jainie zaproponowano by wziąć małego na ręce, ale te czasy już minęły. Go'el przyglądał się zebranym i jego oczy, niebieskie tak jak Jainy, napotkały jej spojrzenie.

W Jainie wezbrały gniew i smutek. Odwróciła wzrok.

Chcąc uciec od nieprzyjemnych wspomnień, skupiła uwagę na najwyższym z przywódców, Bainie Bloodhoofie z klanu Krwawego Kopyta. Poza Go'elem, Baine był jedynym z wodzów Hordy, którego Jaina mogła kiedykolwiek nazwać przyjacielem. Garrosh najpierw zabił jego ojca, Cairne'a, a potem nie pospieszył z pomocą, kiedy taureni Ponurego Totemu zaatakowali Gromowe Urwiska. Nie mogąc liczyć na posiłki Hordy, Baine zwrócił się do Jainy o pomoc przeciwko Magacie, której Jaina chętnie udzieliła. Baine odwdzięczył się, ostrzegając lady Proudmoore przed planowanym atakiem na Theramore. Oczywiście zakładał, że będzie to zwykła bitwa. Nie wiedział o kradzieży Źrenicy Światła ani o planie Garrosha, by przy jej użyciu zebrać ogromne żniwo. Jaina uważała, że Tauren spłacił swój dług i nie byli sobie niczego już winni.

Dostrzegła też kilkoro innych: Lor'themara Therona, krwawego elfa, z którym niedawno negocjowała, zmuszona przez okoliczności, a także odrażającego goblińskiego kupieckiego księcia Gallywiksa w nieodłącznym, niedorzecznym cylindrze.

Kiedy wysiedli z karety, powitał ich ukłonem pandaren w szatach mnicha.

– Witajcie, czcigodni goście – powiedział. – Przybyliście na pierwsze w dziejach spotkanie wszystkich przywódców Azeroth. Pragniemy, by panował tu pokój. Czy przyrzekacie zastosować się do tej zasady?

– Myślałam, że przybyliśmy tu, żeby dopilnować wymierzenia sprawiedliwości… – zaczęła Vereesa, ale Jaina położyła dłoń na ramieniu elfki. Vereesa przygryzła wargi i umilkła. Od tragicznej śmierci męża zbliżyła się do Jainy, a przywódczyni Kirin Tor zdawała się być jedyną istotą zdolną uśmierzyć nieco falę nienawiści, jaką Vereesa żywiła do Hordy.

– Wiesz, że w naszych sercach nie gości pokój – odrzekła Jaina mnichowi. – Jest w nich ból, gniew i pragnienie sprawiedliwości, tak jak powiedziała Vereesa. Ja jednak nie zagrożę nikomu przemocą.

Pozostała trójka odpowiedziała podobnie, choć Vereesie słowa te z trudem przeszły przez gardło. Pandaren poprosił, by poszli za nim po linowym moście do masywnych głównych schodów, a po nich do amfiteatru.

W wejściu do świątyni stała Aysa Cloudsinger, nazywana Chmurną Pieśnią, jedna z pierwszych pandarenów, którzy wstąpili do Przymierza. Wszyscy się jej pokłonili. Oczy pandarenki rozbłysły zadowoleniem na widok gości. Aysa osiadła w Wichrogrodzie, ale Jaina nie miała okazji zobaczyć mniszki, odkąd pandarenka przybyła do miasta jakiś czas temu.

– Wiedziałam, że przybędziecie – Aysa ukłoniła się każdemu z nich po kolei. – Dziękuję.

– Ayso – odezwał się Varian – czy możesz nam powiedzieć, o co tu chodzi?

– Wiem tylko tyle, że przywódcy wszystkich odłamów Przymierza i Hordy zostali poproszeni o pokojowe przybycie, i że Czcigodni Niebianie podjęli jakąś decyzję – odparła Aysa. – Proszę, wejdźcie do świątyni w ciszy i stańcie obok swoich towarzyszy na środku, po lewej. Niebianie wkrótce przybędą.

Zazwyczaj odpowiednio modulowała głos, ale dziś był on wysoki, zdradzając napięcie i zmartwienie. Nie był to dobry znak, ale wszyscy skinęli głowami.

– Jest tu Ji? – spytała Jaina cicho.

Aysa drgnęła. Ji Firepaw, przezywany Ognistołapym, był pierwszym pandarenem, który sprzymierzył się z Hordą, tak jak Aysa wybrała Przymierze. Podzieliło ich to, dopóki Garrosh nie zwrócił się przeciwko Ji, który cudem uniknął egzekucji. To, że obojgu bardzo zależało na sobie nawzajem, nie budziło wątpliwości, w przeciwieństwie do przyszłości ich wzajemnej relacji.

– Tak, tutaj – oparła Aysa. – Na razie jesteśmy razem i czas ten uważamy za bardzo cenny dla nas obojga.

Nic więcej nie powiedziała, a Jaina nie naciskała.

Czarodziejka miała nadzieję, że być może sąd nad Garroshem pokaże Ji, że wybierając Hordę, stanął po niewłaściwej stronie.

Świątynia Białego Tygrysa była olbrzymia. Tu właśnie, na wielkiej arenie na jej środku, trenowali pandareńscy mnisi; dyscyplina i ćwiczenia pod czujnym okiem Xuena przeobrażały ich w mistrzów sztuki walki. Jednak mimo rozmiarów świątynia nie sprawiała przytłaczającego wrażenia. Być może dlatego, że nikt nie przychodził tu, by być świadkiem zabijania, ale by podziwiać umiejętności mnichów.

Wejście znajdowało się po południowej stronie, na wprost wielkiego tronu pomiędzy dwoma paleniskami. Na zachodniej, północnej i wschodniej ścianie wisiały chorągwie. Na podłodze sześć dużych, koncentrycznych kręgów z brązu okalało siódmy, nieco zagłębiony. Światła dostarczały lampy wiszące u sklepienia oraz słońce wpadające przez otwarte drzwi wejściowe.

W środku czekali już inni. Syn Variana, książę Anduin, podszedł i uściskał ojca. Jaina

cieszyła się na widok ich swobody i uczucia, jakie okazywali sobie ci dwaj, tak kontrastujących z napięciem panującym między nimi jeszcze niedawno. Anduin, który przebywał w tej krainie najdłużej z nich wszystkich, przyłożył palec do ust, a oni pokiwali głowami na znak, że rozumieją.

W ciszy dołączyli do przedstawicielki nocnych elfów, najwyższej kapłanki Tyrande Whisperwind, i generał Strażniczek, Shandris Feathermoon. Velen, prastary przywódca obcych draenei, skłonił głowę na powitanie, a Anduin stanął obok swojego przyjaciela i nauczyciela. Do środka weszli następni: Genn Greymane, Szarogrzywy, król Gilneasu z naczelnym majstrem Gelbinem Mekkatorque, za nim Moira, Muradin Bronzebeard z rodu Miedziobrodych i Falstad Wildhammer z klanu Dzikiego Młota, triumwirat przemawiający w imieniu królestw krasnoludów.

Greymane pojawił się pod postacią worgena. W ten sposób dawał do zrozumienia obecnym przedstawicielom Hordy, że przynajmniej niektórzy z członków Przymierza rozumieją, jak to jest mieć kontakt z bardziej pierwotną częścią natury, a z kolei tym, którzy stali po jego stronie, demonstrował, że się tego kontaktu nie wstydzi.

Po prawej stronie sali zgromadzili się przedstawiciele Hordy. Patrząc na nich, Jaina zacisnęła usta. Go'elowi towarzyszył teraz jego stary przyjaciel i doradca Eitrigg oraz jeszcze jeden starszy ork – którego Jaina pamiętała. Varok Saurfang. Jego syn Dranosh padł pod Bramą Gniewu. Został wskrzeszony przez Króla Lisza tylko po to, by znów polec – tym razem prawdziwą śmiercią. Varok wyglądał na twardego woja, ale był też ojcem opłakującym ukochanego syna.

Jaina usłyszała, że stojąca obok Vereesa głośno wciąga powietrze i podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem.

Do Świątyni Białego Tygrysa weszła smukła, poruszająca się z wdziękiem postać. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak jedna z elfich łuczniczek, jej skóra miała jednak niezdrowy, sinoszary odcień, a oczy płonęły czerwienią, jakby tylko tam znalazł ujście płonący w niej nienasycony ogień.

Sylwana Windrunner z Bieżywiatrów, Mroczna Pani Opuszczonych i siostra Vereesy, przybyła na spotkanie.

2

Baine Bloodhoof uważał, że Pandaria koi jego serce i umysł niewiele gorzej niż Mulgore. Jako wojownik doceniał kunszt i męstwo tych, którzy walczyli w świątyni Xuena. A mimo to wypełniał go niepokój.

Można było dyskutować, czy pierwszą z potworności, jakich dopuścił się Garrosh, była krzywda wyrządzona taurenom – zabójstwo wielkiego i nieodżałowanego Cairne'a Bloodhoofa, ukochanego ojca Baine'a. Sam Baine nie wątpił, że Cairne wyszedłby zwycięsko z uczciwego pojedynku jeden na jeden, jakim przecież winna być mak'gora. Ojciec nie padł od ciosu przeciwnika, ale od trucizny, którą nasmarowano ostrze bez wiedzy Garrosha.

A jednak Garrosh wiedział, że Magatha, szamanka, która „pobłogosławiła" jego broń, była wrogiem własnego ludu, i nie powinien był nigdy zaufać taurence, która nie znała i nie szanowała własnych korzeni. I tak, wskutek zdrady, najlepszy z taurenów został zamordowany. Być może nieuniknione było, że Garrosh, choć niewinny tej zdrady, skarlał duchowo, spodlał; stał się zdolny do okrucieństw, które popełnił już bezsprzecznie. Najpierw zostało unicestwione Theramore – wspomnienie o tym wciąż nawiedzało Baine'a w snach – a potem Dolina Wiecznych Kwiatów, co ugodziło go osobiście, bowiem bardzo kochał i czcił Matkę Ziemię.

Stworzona przez tytanów dolina była niewiarygodnie bujnym, pięknym miejscem, pełnym zieleni i harmonii. Zamknięto ją po pokonaniu starożytnej rasy mogu. Opiekowali się nią oddani strażnicy i dopiero niedawno Przymierze oraz Horda zdobyły sobie prawo wejścia do niej. Jeszcze mniej czasu, pomyślał Baine gorzko, zajęło pochłoniętemu żądzą władzy Garroshowi Hellscreamowi zniszczenie czegoś, co przetrwało nieprzeliczone

tysiąclecia. Kwiaty doliny mimo wszystko nie były „wieczne”. Zniknęły, zostało po nich tylko wspomnienie, choć na ich miejscu zagościło nowe życie – i nowa nadzieja – kiedy ostatecznie pokonano sha.

Baine ufał niebianom. Wierzył w ich mądrość i sprawiedliwość. Dlaczego więc wciąż czuł niepokój?

– Żem powiedział kiedyś Garroshowi, będzie on dobrze wiedział, kto wystrzeli strzałę prosto w jego czarne serce. Wiem, dlaczego żeś gotów zębami zgrzytać, choć tego nie czynisz.

Baine się wzdrygnął. Vol’jin podszedł tak cicho, że tauren w ogóle go nie usłyszał.

– To prawda – odparł. – Trudno pogodzić nauki ojca o honorze i sprawiedliwości z tym, co osobiście chciałbym tu dziś zobaczyć.

Vol’jin skinął głową.

– Mówią u nas na Święcie Piwa, ustaw się w kolejce – zaśmiał się. – Ale żeby od nowa zacząć, trza nam robić, co mówi Varian. Garrosh dość naszkodził żyw. Nie trza nam męczennika, wzoru dla orków, jeszcze by który poszedł w jego ślady. Cokolwiek niebianie uradzą, nikt odezwać się nie waży.

Baine obejrzał się na Go’ela, Eitrigga i Varoka Saurfanga. Go’el wziął od Aggry swojego syna, Duraka, trzymał go pewnie i swobodnie. Baine wiedział, że Go’el straciwszy przedwcześnie ojca, zamierzał brać aktywny udział w wychowaniu dziecka. Cairne był zawsze przy synu, gdy ten dorastał, i teraz Baine poczuł się nieoczekiwanie wzruszony widokiem przed jego oczami. Ojcowie i synowie… Grom i Garrosh, Cairne i Bain, Go’el i Durak, Arthas i Terenas Menethilowie, Varok i Dranosh Saurfangowie. Na pewno Matka Ziemia przypominała mu w ten sposób o najgłębszych więziach i o tym, że potrafią one prowadzić do wielkiego dobra albo wielkiego zła.

– Mam nadzieję, że masz rację – powiedział Baine do Vol’jina. – To Go’el powierzył władzę Garroshowi, a Saurfang skrywa gniew głęboko w sobie.

Troll wzruszył ramionami.

– To orki, honorowe orki, co do jednego. Ta tam dopiero mnie zastanawia. Nikt nie zna nienawiści lepiej niż Mroczna Pani. Ona lubi, żeby jej nienawiść podawać na zimno.

Baine obejrzał się na stojącą samotnie dumną Sylwanę. Większość przywódców przyprowadziła ze sobą innych znaczących przedstawicieli swoich ras; on sam przybył z szamanem Kadorem Cloudsongiem, Chmurną Pieśnią, który był mu wielką pociechą w najmroczniejszych godzinach, oraz Perithem Stormhoofem, najbardziej zaufanym z Szybkonogich. Sylwanę rzadko widywano bez jej val’kyrii, nieumarłych istot, które najpierw służyły Arthasowi, a później uratowały Sylwanę i jej były posłuszne. Wyglądało jednak na to, że przynajmniej na tę jedną okazję Sylwana porzuciła towarzystwo, jakby

ona sama, potężna i przepełniona wściekłością, wystarczyła, aby doprowadzić do śmierci Garrosha – bez niczyjej pomocy ani pozwolenia.

Spojrzenie Baine'a powędrowało ku przeciwnej stronie areny, gdzie zebrali się przedstawiciele Przymierza. Młody Anduin i lady Jaina, z którą kiedyś siadywał i – uśmiechnął się smutno na to wspomnienie – pił herbatę. Obok niej stała kobieta wyglądająca niepokojąco znajomo, choć była żywą wysoką elfką z krwi i kości. To musiała być Vereesa Windrunner – siostra Sylwany i zaginionej Allerii.

Wszędzie, gdzie nie spojrzał, widział otwierające się rany. Baine zapragnął, by niebianie zjawili się w końcu i ogłosili swoją decyzję; w tej samej chwili zjeżyła mu się sierść, a w sercu niespodziewanie zagościła dziwna lekkość.

W wejściu pojawiły się cztery sylwetki, dostrzeżono zaledwie ciemne kontury na tle światła. Kiedy weszły na arenę, Baine zrozumiał, że choć jego serce i dusza rozpoznały w nich Czcigodnych Niebian, dla jego oczu wyglądali zupełnie inaczej. Dotąd zawsze widywał ich pod postaciami zwierząt, dziś jednak najwyraźniej postanowili przybrać inne wcielenia.

Chi-Ji, Czerwony Żuraw, zwiastun nadziei, przybył jako smukły, delikatnej budowy krwawy elf. Jego długie włosy miały odcień ognistej czerwieni, a to, co Baine w pierwszej chwili wziął za złocisty płaszcz, było złożonymi skrzydłami. Xuen, Biały Tygrys, do którego należała ta świątynia, ucieleśniał kontrolowaną siłę w płynnych ruchach swojego jasnego, ludzkiego ciała pokrytego czarnymi i białymi prążkami. Baine był zaszczycony, widząc, że niezłomny Czarny Wół, Niuzao, postanowił ukazać się oczom śmiertelników jako tauren. Niebianin obracał białą głowę, przypatrując się gościom jaśniejącymi, niebieskimi oczami. Każde stuknięcie jego lśniących kopyt zdawało się nieść echem. Mądra Yu'lon, Nefrytowy Wąż, wybrała wcielenie, które z początku wydało się Baine'owi najdziwniejsze – małego pandarena. I gdy tauren to pomyślał, purpurowo-różowe oczy Yu'lon odnalazły go i niebianka się uśmiechnęła. Oto prawdziwa mądrość, zrozumiał Baine, wybrać postać tak łagodną i przyjazną, że każdy pragnąłby do niej przyjść.

Czwórka niebian podeszła pod północną ścianę, gdzie Xuen zazwyczaj udzielał audiencji. Baine poczuł, że wypełniają go spokój i jasność myśli, których ostatnio tak mu brakowało. Odetchnął i przymknął na chwilę oczy, wdzięczny za samą obecność niebian.

Wszyscy w świątyni stali nieruchomo, czekając na słowo.

Ale niebianie milczeli. Spojrzeli tylko wyczekująco na małą postać, która właśnie weszła do świątyni.

Przybysz nosił ciemną, skórzaną zbroję z wyszczerzonym, białym tygrysem na prawym ramieniu. Szeroki kapelusz i czerwona chusta zasłaniająca dolną część twarzy

ukryłyby jego tożsamość, gdyby nie to, że wszyscy obecni wiedzieli, kogo się spodziewać. Taran Zhu, przywódca mnichów z Shado-pan, ukłonił się niezgrabnie, skrzywił lekko i ruszył ku środkowi kręgu sprężystym krokiem, który zadawał kłam jego wiekowi i zwodniczej tuszy. Skłonił się każdej z potężnych, milczących istot po kolei, a potem odwrócił do zgromadzonych.

– Witajcie. Dziś przemawiam w imieniu niebian i w ich imieniu mówię, że witamy was z pokorą i wdzięcznością w sercach. Proszę was, byście poświęcili chwilę i rozejrzeli się wokół, bowiem nikt przed wami dotąd czegoś takiego nie widział. Wszyscy pełniący rolę przywódców Hordy oraz ci, którzy przemawiają w imieniu ludów Przymierza, zebrali się tu dzisiaj. Nikt spośród was nie przybył zbrojny, ja zaś poleciłem rozciągnąć nad świątynią pole tłumiące, by zapobiec jakiemukolwiek niegodnemu użyciu magii – nawet przyzwaniu tego, co nazywacie Światłością. Wszyscy przybyliście tu w jednym celu, tak samo jak i w przeszłości jednoczyliście się dla większych celów. Proszę, na kilka chwil popatrzcie na swoich drogich przyjaciół i swoich honorowych wrogów.

Baine spojrzał wpierw na Anduina; wiedział bowiem, że ta twarz nie będzie wykrzywiona nienawiścią. Jego wzrok powędrował ku surowym obliczom krasnoludów, na chwilę spoczął też na Gennie Szarogrzywym. Vereesa wyglądała, jakby zaciskała zęby tak samo mocno jak drobne, silne pięści; Baine zastanawiał się, czy Jaina wie, jak dobrze widać jej oburzenie i niezadowolenie. Chwila refleksji ciągnęła się; ujrzał, że niektóre spięte twarze się rozluźniają, na innych maluje się rosnące zniecierpliwienie. Po obu stronach.

– Pod nami – podjął Taran Zhu – w dobrze strzeżonym lochu przebywa ten, którego los przybyliście tu poznać: Garrosh Hellscream.

Baine przełknął ślinę, nie chcąc uronić ani słowa. Czuł napięcie w powietrzu, zapach gniewu, strachu i zdenerwowania. Ale opat nie zamierzał się spieszyć.

– Powiedziano wam, że dziś zapadnie decyzja o losie Garrosha Hellscreama. I tak się stanie. Niebianie nie kłamią. Ale nie ujawnili przed wami wszystkiego. Po długich dyskusjach i medytacjach doszli do wniosku, że Hellscream nie powinien być sądzony wyłącznie przez nich. Wszyscy doznali krzywd z jego ręki, nie tylko Pandaria, choć tutejszy lud bardzo ucierpiał. – Mnich przyłożył łapę do piersi, gdzie niedawno głęboko wgryzł się Krwiożerca. – Dlatego zasłużyliście, żeby wziąć w tym udział. Wina Garrosha Hellscreama nie ulega wątpliwości, ale przeprowadzimy sprawiedliwy i jawny proces, by zadecydować o jego losie. Proces, który poprowadzi zarówno Horda, jak i Przymierze, uwzględniający złagodzenie wyroku, a może nawet uwolnienie.

Wrzawa.

Baine nie potrafił rozstrzygnąć, kto krzyczy głośniej, Horda czy Przymierze.

– Proces? On się chełpił tym, co zrobił!

– Zasłużył na śmierć! Na tylu ją sprowadził!

– Postawmy całą Hordę przed sądem!

– Wiemy, co zrobił! Cały świat o tym wie!

Xuen zmrużył oczy. Rozległ się jego głos, czysty jak dzwon i ostry jak miecz.

– Cisza w mojej świątyni!

Posłuchano go. Usatysfakcjonowany, skinieniem głowy dał znak Zhu, by ten kontynuował.

– Czcigodni Niebianie nie przeczą, że Garrosh Hellscream jest winny okrutnych, przerażających czynów. Powtarzam – to, że dopuścił się zbrodni, nie podlega dyskusji. Trzeba jednak postanowić, w jaki sposób te zbrodnie zostaną potraktowane. Nie idzie o to, czy pociągnąć go do odpowiedzialności, ale jak to zrobić. A można to rozstrzygnąć jedynie w drodze procesu. W ten sposób wy, Horda i Przymierze, a także wszyscy inni, którzy mają coś do powiedzenia, dostaniecie szansę, by was wysłuchano.

– A mimo to niebianie wciąż będą sędziami oraz katami czy nie?

Pytanie zadał Lor'themar Theron. Baine nie wątpił, że zdolność krwawego elfa do współpracy została wystawiona na ciężką próbę.

– Nie, przyjacielu Lor'themarze – odparł Taran Zhu. – Niebianie istotnie zaoferowali, że odegrają rolę przysięgłych, ale skłonni są wysłuchać opinii tu zgromadzonych. Ja będę zaszczycony, mogąc służyć jako fa'shua, sędzia. Niebianie to mądre istoty i pragną sprawiedliwości, ja zaś poznałem osobiście wielu z was, którzy teraz przede mną stoicie. Wybrani przedstawiciele Hordy i Przymierza wystąpią w roli oskarżyciela i obrońcy w myśl pradawnego prawa Pandarenu.

– On już jest winny, sam to powiedziałeś – przerwała Vereesa. – Po co więc oskarżyciel i obrońca?

– Obrońca będzie się starał o łagodniejszy wyrok. Oskarżyciel, oczywiście, o surowszy. Możecie wybrać, kogo chcecie, druga strona ma jeden głos wetujący.

– Ja osobiście wetuję całą tę szopkę! – warknął Genn Greymane. – Garrosh Hellscream poprowadził Hordę przeciwko naszym i wyrżnął ich jak rzeźnik. Jeśli mamy urządzić proces, niech to będzie prawdziwy sąd nad wszystkimi przywódcami Hordy. W najlepszym razie stali z boku, pozwalając na te zbrodnie; w najgorszym wzięli w tym udział albo – tu rzucił jadowite spojrzenie Sylwanie – atakowali na własną rękę!

Rozległ się gniewny chór potakiwań. Baine z przykrością zauważył, że dołączyła doń Jaina.

– Zajęłoby to dużo czasu – rzekł spokojnie Taran Zhu – a nie wszyscy z nas są obdarzeni długim życiem.

– Przymierze – wycedził Gallywix – w ogóle nie powinno brać w tym udziału. Niech Garrosh zostanie osądzony przez swoich, żeby należycie wynagrodził krzywdy tym z nas, którzy przez niego ucierpieli.

Mekkatorque zaśmiał się ponuro.

– Chodzi ci o wynagrodzenie pieniężne!

– Owszem – przytaknął Gallywix – byłoby to akceptowalne.

Taran Zhu westchnął i podniósł łapy, nakazując ciszę.

– Niech zadecydują przywódcy Hordy i Przymierza. Czy przedstawione przeze mnie warunki są do przyjęcia dla ciebie, wodzu Vol'jinie, i dla ciebie, królu Varianie Wrynnie?

Troll i człowiek popatrzyli po sobie przeciągle, potem Vol'jin skinął głową.

– Niebianie widzą chyba lepiej takie rzeczy niż my tu na dole, w środku tych spraw, a tyś uczciwy, Taranie Zhu. Wolę głos dostać niż podjętą już decyzję. Horda się zgadza.

– Przymierze także – odezwał się natychmiast Varian.

– Zostaniecie odprowadzeni do miejsca, w którym będziecie mogli wybrać swojego obrońcę i oskarżyciela – podjął Taran Zhu. – Pamiętajcie, jedno weto na stronę. Wybierzcie mądrze i dobrze.

Ji Firepaw, stojący dotąd z boku, podszedł teraz do Vol'jina i nisko się skłonił.

– Zaprowadzę was do jednej z bocznych świątyń, gdzie rozgrzano piece. – Jego szeroka, porośnięta sierścią twarz wykrzywiła się w uśmiechu, a oczy zabłysły. – I czeka posiłek.

Pandaren nie kłamał. Piętnaście minut później Vol'jin, Go'el, Baine, Eitrigg, Varok Saurfang, Sylwana, Lor'themar Theron i Jastor Gallywix siedzieli na kobiercu, który – choć pozbawiony ozdób – chronił ich od chłodu kamiennej posadzki. Podano mięsiwo i trunki, a piece, jak obiecał wojownik, promieniowały ciepłem.

Vol'jin ruchem głowy wskazał jedzenie.

– Gadka będzie mądrzejsza, gdy brzuchy będą pełne – powiedział.

Potrawy zostały zjedzone, a ponieważ była to Pandaria, popito je dużą ilością piwa. Kiedy wszyscy się najedli, Vol'jin bez zwłoki przeszedł do rzeczy.

– Moi bracia orkowie, wiecie, żem dla was żywił nic ino szacunek. Ale uważam, że jeśli obrońcą Garrosha zrobim jednego z was, Przymierze to zawetuje.

Go'el przytaknął.

– Wielka szkoda, że Garrosh upadł tak nisko, że całą swoją rasę pociągnął za sobą w oczach świata. Nic, co powie obrońca będący orkiem, nie będzie wzięte poważnie.

– Przeciwnie – nie zgodził się Baine. – Uważam, że dobrze by się stało, gdyby

wszyscy zobaczyli orka, który zachowuje się z godnością i honorem podczas publicznego wystąpienia. Eitrigg słynie z opanowania i mądrej głowy.

Ale stary ork pokręcił tą mądrą głową, jeszcze zanim Baine skończył.

– Twoje słowa wiele dla mnie znaczą, wysoki wodzu, ale Go'el ma rację. Zarówno ja, jak i on, i Saurfang będziemy mieli okazję przemówić, jeśli zapragniemy. Taran Zhu obiecał nam to, a ja mu wierzę.

– Ja będę bronić Garrosha – zaproponowała Sylwana. – Powszechnie wiadomo, że się ze sobą nie zgadzaliśmy. Przymierze nie zarzuci mi pobłażliwości.

– Byłabyś świetnym oskarżycielem Garrosha, to fakt – rzekł Vol'jin. – Ale my szukamy obrońcy.

– Daj spokój, wodzu – zaprotestowała Sylwana. – Nikt tu nie pragnie, żeby Garrosh stąd wyszedł, chyba że na katowski pieniek! Wiesz o tym! Sam kiedyś powiedziałeś…

– Wiem, co żem kiedyś powiedział, lepiej niż ty, Sylwano – przerwał Vol'jin tonem cichej groźby. – I to nie ty żeś została zostawiona na śmierć z poderżniętym gardłem. Wiem, co wszyscy wycierpieliśmy pod jego rządami. Ale wiem też, że niebianie chcą zobaczyć proces tak uczciwy, jak to możliwe dla śmiertelnych. I żem pomyślał, jedno jest tylko wyjście. To musi być ktoś, kogo szanuje i Horda, i Przymierze, kto nienawidzi Garrosha, ale nigdy nie skłamie, a zadania nie będzie lekce sobie ważył.

Odwrócił się do Baine'a.

Przez krótką chwilę Baine myślał, że troll chce poznać jego zdanie. A potem zrozumiał.

– Ja?! – zaryczał. – Na Matkę Ziemię, Garrosh zabił mi ojca!

– Potwierdzasz tylko słuszność wodza – rzekł Lor'thermar. – Mimo krzywd, jakie Garrosh wyrządził ci osobiście, pozostałeś lojalny Hordzie, póki nie uznałeś, że czyny Garrosha i jej szkodzą. Przymierze ma mnóstwo szpiegów, a ciebie łączą przyjazne stosunki z lady Proudmoore.

Baine obejrzał się na Go'ela, prosząc go spojrzeniem o wstawiennictwo. Go'el tylko się uśmiechnął.

– Taureni zawsze byli sercem Hordy. Jeśli ktoś może bronić Garrosha i zostać wysłuchanym, to ty, przyjacielu.

– Nie chcę go bronić. Chcę tego, co wy – warknął Baine. – Garrosh po stokroć zasłużył na śmierć.

– Niech cię wysłuchają – rozległ się głos, którego nie było dotąd słychać. Niski i mocny, choć niemłody, z pobrzmiewającą weń ostrą nutą bólu. – To żadna sztuka, zarzucić Garrosha listą jego okrucieństw – powiedział Saurfang. – Prawdziwe wyzwanie to sprawić, żeby sędzia i przysięgli naprawdę wysłuchali. Przemówić z rozsądkiem

i opanowaniem, kiedy wszyscy wiedzą, ile wycierpiałeś, tylko ty to potrafisz, Bainie Bloodhoofie.

– Jestem wojownikiem, nie kapłanem! Nie znam okrągłych frazesów, ani nie gram na uczuciach.

– Garrosh też jest wojownikiem – powiedział Go'el. – Na dobre czy na złe, jesteś najbardziej bezstronnym przedstawicielem, jakiego wśród nas mamy.

Baine zgrzytnął zębami i odwrócił się do Vol'jina.

– Skoro byłem lojalny wobec Hordy i mojego wodza, kiedy tytuł ten należał do Garrosha, będę lojalny i wobec ciebie, który zawsze na to zasługiwałeś, Vol'jinie.

– Ja nie rozkazuje – odparł troll, kładąc dłoń na ramieniu taurena. – Musisz słuchać głosu swojego serca.

Sprawy nie potoczyły się w takim kierunku, na jaki liczyła Sylwana Windrunner. Ani trochę.

Początkowo miała nadzieję – jak każdy członek Hordy, nawet pobłażliwy Go'el – że zostali tu wezwani, by ustalić, który z nich dostąpi upragnionej możliwości uśmiercenia Garrosha. Najlepiej powoli, zadając mu jak najwięcej bólu. Varian Wrynn zbyt długo już odwlekał tę wyczekiwaną chwilę, ale sąd zarządzony przez niebian był już zupełnie niedorzeczny. Całe to mówienie o „sprawiedliwości" czy „działaniu niepowodowanym zemstą" – nie, to przyprawiało ją o mdłości, nie warto było tracić na to czasu. Ale przy takim rozwoju wydarzeń Sylwanie pozostała jedynie nadzieja, że będzie mogła zabrać głos i dorzucić swoje trzy grosze do niebosiężnej góry dowodów na przewiny Garrosha. Była także zadowolona, że na fa'shua został wybrany Taran Zhu. Ze wszystkich pandarenów, pomyślała, tylko on przystałby na karę śmierci; pozostali najchętniej zamknęliby Garrosha i poili go piwem tak długo, aż zacząłby w zamroczeniu łkać, że przeprasza.

Nie oczekiwała, że zostanie wybrana na obrońcę, i wiedziała, że Vol'jin ma słuszność, mówiąc, iż gdyby Horda tak postanowiła, Przymierze zawetowałby tę decyzję, choćby z czystej nienawiści. Ale Baine? Najłagodniejszy „wojownik", jakiego widziała, pochodzący z łagodnego ludu?

Szaleństwo, ot co. Baine miał więcej nawet powodów, żeby pragnąć śmierci Garrosha, niż sama Królowa Opuszczonych. Ork powinien być jego osobistym Arthasem, ale Sylwana wiedziała, że jeśli tauren podejmie się roli obrońcy, to wywiąże się z niej tak dobrze, że na koniec wszyscy będą chcieli obdarować Garrosha kwiatami.

Baine zwiesił głowę i ciężko westchnął.

– Podejmę się tego zadania – rzekł – choć nie wiem, jak je wypełnić.

Sylwana tylko siłą woli powstrzymała się przed obnażeniem zębów.

Do pomieszczenia zajrzał Ji.

– Przymierze wybrało oskarżyciela. Jeśli jesteście już gotowi, możemy wrócić na arenę.

Poszli za nim oprószoną śniegiem ścieżką. Przedstawiciele Przymierza byli już na miejscu, obejrzeli się na swoich odpowiedników z Hordy. Taran Zhu zaczekał, aż wszyscy wejdą, a potem zwrócił się do zebranych.

– Podjęliście decyzję. Wodzu Vol'jinie, kto z was będzie bronić Garrosha Hellscreama?

„Bronić Garrosha Hellscreama".

Te słowa brzmiały jak zniewaga.

– Wybieramy wysokiego wodza Baine'a Bloodhoofa z klanu Krwawego Kopyta, z ludu taurenów – rzekł Vol'jin.

– Przymierze? Czy chcecie się sprzeciwić?

Varian obejrzał się na towarzyszy. Nikt się nie odezwał; istotnie, jak przepowiedział troll, wielu przedstawicieli Przymierza wyglądało na zadowolonych. Ku niedowierzaniu Sylwany szczeniak Variana nawet się uśmiechnął pod nosem.

– Przymierze przyjmuje wybór Baine'a Bloodhoofa, słynącego z honoru i uczciwości – odparł król.

Taran Zhu kiwnął głową.

– Królu Varianie, kogo Przymierze wybiera na oskarżyciela Garrosha Hellscreama?

– Ja będę pełnić tę rolę – rzekł król.

– W żadnym wypadku! – wypaliła Sylwana. – Nie będziesz nam już więcej rozkazywał!

Nie była sama; rozległy się też inne protesty i Taran Zhu musiał ich przekrzykiwać.

– Spokój, spokój! – Lecz niezgodnie z tym, co wykrzykiwał opat, jego głos brzmiał rozkazująco. Krzyki przeszły w pomruki, a potem ucichły zupełnie. – Wodzu Vol'jinie, czy chcecie skorzystać z prawa odrzucenia króla Variana jako oskarżyciela?

Varian nie miał wśród Hordy zbyt wielu przyjaciół. Nie ufano jego pozornej przemianie i nawet to, że nie zdecydował się na okupację Orgrimmaru, nie zaskarbiło mu nic więcej prócz niechętnej wdzięczności. Ludzie byli wrogami, zawsze tak było, a Sylwana widziała, że niechęć Hordy do postawienia Garrosha przed sądem tylko przybrałaby na sile, gdyby oskarżycielem miał być Varian.

Vol'jin chyba też to dostrzegał.

– Tak, Taranie Zhu. Skorzystamy z prawa weta – rzekł.

Co dziwne, członkowie przymierza nawet nie próbowali się wykłócać. Sylwanę

zaalarmowała ta reakcja; pojęła, że ogłoszenie imienia oskarżyciela to wykalkulowana sztuczka.

– W takim razie wybieramy arcykapłankę Tyrande Whisperwind – oznajmił bez zająknięcia Varian.

Tyrande Whisperwind. Ze wszystkich ras, nawet ludzi, nocne elfy najbardziej nienawidziły orków. Niebezpodstawnie, zważywszy na ich umiłowanie przyrody i upodobanie orków do budowania i zapotrzebowania na materiały do prowadzenia wojen. Sylwana w pierwszym odruchu się oburzyła, potem zaczęła zastanawiać, czy rzeczywiście to taki zły wybór. Większość Hordy wolałaby oskarżać Garrosha, niż go bronić, czego dowodem było wahanie Baine'a.

Kiedy jednak Tyrande zmierzyła przedstawicieli Hordy swoim rozjarzonym spojrzeniem, Sylwana nie dostrzegła w jej oczach zrozumienia dla trudnej sytuacji, w jakiej znaleźli się oponenci. Tyrande była kapłanką, ale stoczyła też wiele bitew.

Taran Zhu mówił dalej, opisywał kolejne etapy procesu w myśl pandareńskiego prawa, ale Sylwana go nie słuchała.

– Nieźle rozegrane – mruknęła w swoim ojczystym niegdyś języku.

– Zaproponowali Variana wyłącznie dlatego, że spodziewali się naszego weta. W ten sposób mogli wybrać kogoś jeszcze bardziej zdeterminowanego na wypadek, gdyby w naszych sercach pozostał choć cień uznania dla Garrosha – odparł ktoś w tej samej mowie. – Nie sądzę, by rozumieli, że nienawidzimy go równie mocno.

Sylwana obejrzała się na Lor'themara, unosząc brew. Przywódca sin'dorei zawsze reagował uprzejmie, lecz z chłodną niechęcią, kiedy proponowała mu sojusz. Zachowywał swą cenną godność nawet wtedy, gdy był do czegoś zmuszany. Czyżby rozmowa w thalassyjskim była zwiastunem nowego? Może Lor'themar żywił urazę, że pominięto go przy wyborze wodza Hordy?

– Ona nienawidzi Garrosha – rzekła Sylwana.

– Nie mniej niż Hordy – skontrował Lor'themar. – Zastanawiam się, czy Vol'jin nie pożałuje, że nie wybrał Variana, kiedy mieliśmy szansę. Pozostaje nam czekać i się przekonać.

– Jak zawsze – rzekła Sylwana, ciekawa, jak jej rozmówca zareaguje na tę sugestię partnerstwa. Zdawało się, że jej nie usłyszał, skłonił się któremuś z wychodzących przedstawicieli Przymierza. Sylwana odwróciła się, chcąc zobaczyć komu.

Oczywiście – Vereesa i Lor'themar niedawno się spotkali. Sylwanę zaskakiwała łaskawość siostry wobec przywódcy krwawych elfów. Zdumiała się jeszcze bardziej, kiedy – pozdrowiwszy Lor'themara – Vereesa przeciągle popatrzyła jej w oczy.

Siostry Windrunner – a przynajmniej te dwie – spotkały się tu pierwszy raz od wielu

lat. Niewątpliwie spotkanie Sylwany było dla Vereesy sporym przeżyciem. Ale w spojrzeniu młodszej z sióstr nie było goryczy ani żalu.

Była tylko zaciętość i dziwnego rodzaju… satysfakcja.

A Sylwana nie miała pojęcia dlaczego.

3

Gdy tauren postawił kopyto na ziemi Mulgore, ucisk w piersi Baine'a ustąpił. Podczas pobytu w Pandarii miał wrażenie, że nie może swobodnie nabrać tchu. Teraz wciągnął do płuc czyste, wonne nocne powietrze.

Szaman Kador Cloudsong czekał na niego.

– Dobrze, że wróciłeś – zahuczał, kłaniając się nisko.

– Dobrze jest wrócić, choćby na tak krótko i w tak ponurym celu – odparł Baine.

– Zmarli na zawsze pozostają z nami – rzekł Chmurna Pieśń. – Możemy żałować, że nie jest nam dane radować się ich obecnością, ale ich pieśni niesie wiatr, a śmiech woda.

Niechby przemawiali do nas i radzili nam, jak to drzewiej bywało. Na tę myśl Baine znów poczuł ból w piersi; zastanowił się, czy mądrze jest otwierać starą ranę. Ufał jednak, że Cloudsong zaprotestowałby przeciwko wyrażaniu takich życzeń, gdyby uznał je za nierozsądne.

– Przemawiają do nas, Bainie z klanu Krwawego Kopyta, choć nie w sposób, do jakiego przywykliśmy.

Bloodhoof kiwnął głową. Istotnie, jego ojciec, Cairne, zawsze był przy swym synu. Baine i Cloudsong przybyli do Czerwonych Skał, gdzie od wieków powierzano Matce Ziemi i Ojcu Niebo poległych taureńskich bohaterów przez oczyszczający ogień. Położone w pewnym oddaleniu od Gromowych Urwisk Czerwone Skały były nader stosownie nazwaną naturalną formacją czerwonego piaskowca. Panował tu spokój i nastrój skłaniający do refleksji; tu opuszczało się Świat Gromowych Urwisk, by znaleźć się w miejscu będącym przedsionkiem następnego świata. Baine wrócił tutaj po raz pierwszy, odkąd pożegnał ojca. Tak jak wówczas, u jego boku stał teraz Cloudsong, tym

razem jednak przybyli tylko we dwóch. Na zachodzie Baine widział w oddali Gromowe Urwiska, odcinające się na tle rozgwieżdżonego nieba; ogniska i pochodnie były niczym rozsypane na ziemi gwiazdy. Tu, w Czerwonych Skałach, również płonął mały ogień, ciepły i krzepiący.

Ogień. Baine odwrócił się i popatrzył na puste platformy pogrzebowe – tego dnia żadne zwłoki nie czekały, aż rytualny ogień zmieni je w popiół, które śpiewający wiatr unosił i rozrzucał na wszystkie strony świata. Choć taureni na stałe osiedlili się w Gromowych Urwiskach, nie mieli zwyczaju grzebać umarłych. Ich rytuały pogrzebowe świadczyły o nomadzkim pochodzeniu klanów. Zwracali swym bliskim wolność, oddając ich ogniu i wiatrowi, pozwalali im wędrować po śmierci tak samo jak za życia, gdyby tego pragnęli.

– Czy miałeś dość czasu na przygotowania? – spytał szamana.

– Tak. To niezbyt skomplikowany rytuał.

Baine nie był zaskoczony. Taureni byli prostym ludem i nie potrzebowali w swoich ceremoniach zawiłych słów ani dziwnych, trudnych do zdobycia artefaktów. Prawie zawsze wystarczało im to, co zapewniała dobra ziemia.

– Jesteś gotów, wodzu?

Na twarzy Baine'a pojawił się zbolały uśmiech.

– Nie. Ale zaczynajmy mimo to.

Odziany w skóry zwierząt, które sam upolował, szaman zaczął wybijać kopytami powolny, miarowy rytm. Uniósł pysk ku wschodniemu niebu.

– Niechaj pozdrowione będą duchy powietrza! Wyście wiatrem, wichurą i burzą, tym wszystkim jesteście, ale nie tym jedynie. Prosimy, dołączcie dziś do nas, wyszeptajcie słowa mądrości wielkiego Cairne'a Bloodhoofa w uszy jego syna, Baine'a.

Powietrze było dotąd nieruchome, teraz jednak Baine poczuł, że jego sierść mierzwi delikatny powiew. Nadstawił uszu, ale słyszał tylko cichy szum, przynajmniej na razie. Cloudsong sięgnął do swojej szamańskiej sakwy i nabrał w dłoń szarego pyłu. Ruszył przed siebie, rozsypując go na ziemi wygiętą linią ze wschodu na południe. Zazwyczaj do tego rytuału używano pyłku kukurydzy, jednak wówczas były to ceremonie związane z żywymi. Dzisiejsza dotyczyła zmarłych, toteż szarym pyłem były popioły tych, których odesłano stąd do krainy duchów.

– Cześć duchom ognia! – Cloudsong stanął przed małym ogniskiem i podniósł swój kostur w pozdrowieniu. – Wyście żarem, płomieniem i pożogą, tym wszystkim jesteście, ale nie tym jedynie. Prosimy, zjawcie się i ogrzejcie Baine'a Bloodhoofa siłą i odwagą Cairne'a Bloodhoofa, jego ukochanego ojca.

Płomienie wystrzeliły w górę i Baine poczuł bijący od nich żar. Ogień zamanifestował

swą obecność i przygasł, trzaskając łagodnie w obrębie ogniska.

Szaman zwrócił się teraz ku zachodowi, wezwał duchy kropli deszczu, rzeki i potopu i poprosił, by skąpały wodza taurenów we wspomnieniach ojcowskiej miłości. Serce Baine'a zabiło boleśnie. Łzy też są wodą, pomyślał.

Cloudsong pokłonił się duchom ziemi – glebie, kamieniom i górom, kościom czcigodnych zmarłych. Prosił, by Baine mógł czerpać otuchę z twardej ziemi swojego ludu, do której przyprowadził ich wszystkich Cairne. Szaman zamknął święty krąg, wyznaczony szarym popiołem. Baine poczuł, że wewnątrz wzbiera energia i mrowiąca moc, która przypominała mu uczucie towarzyszące nadciągającej burzy – ale ta energia była niezwykle spokojna.

– Witaj, Duchu Życia! – zawołał Cloudsong. – Jesteś w naszym oddechu wraz z powietrzem, w naszej krwi wraz z ogniem, w naszych kościach z ziemią, w naszych łzach z wodą! Wiemy, że śmierć to zaledwie cień życia i że koniec wszystkich rzeczy jest tak samo naturalny jak ich narodziny. Prosimy, dołącz do nas w tym obrzędzie i przywiedź ku nam tego, który kroczy w twym cieniu.

Stali przez chwilę w milczeniu na środku kręgu, oddychając miarowo i spokojnie. Potem Cloudsong skinął głową i gestem nakazał Baine'owi usiąść między pustymi platformami pogrzebowymi, twarzą do Gromowych Urwisk. Baine usłuchał, wciąż oddychając głęboko i uspokajając galopujące myśli. Szaman podał mu gliniany puchar wypełniony ciemną cieczą, w której odbijały się gwiazdy.

– Sprowadzi na ciebie wizję, jeśli Matka Ziemia pozwoli. Pij.

Baine podniósł puchar do ust i poczuł całkiem przyjemny smak srebrnoliścia, cierniwrzosu, korzeńca i czegoś jeszcze, czego nie rozpoznawał. Oddał naczynie szamanowi.

– Nie śpij, Bainie Krwawe Kopyto, lecz spójrz na tę krainę przychylnym wzrokiem – zachęcił Chmurna Pieśń.

Baine rozluźnił się i pozwolił, by jego spojrzenie straciło ostrość.

Usłyszał cichy, miarowy dźwięk bębenka ze zwierzęcej skóry, naśladujący rytm taureńskiego serca. Nie wiedział, jak długo siedział i słuchał szamana, czuł tylko, że się odpręża, a bijące w takt bębenka serce przepełnia spokój.

A potem, powoli, zdał sobie sprawę z czyjejś obecności. Cairne Bloodhoof uśmiechnął się do syna.

Baine nigdy nie widział ojca w takiej postaci – potężnego byka w rozkwicie sił, o bystrym i uważnym spojrzeniu. Cairne dzierżył w dłoni swoją runiczną włócznię; była znów cała, tak jak i Cairne był zdrów. Mięśnie na jego potężnej piersi zafalowały, kiedy uniósł broń, pozdrawiając syna.

– Ojcze – szepnął Baine.

– Mój synu – Cairne patrzył nań z miłością. – Trudno jest pokonać granicę między naszymi światami i nie mam wiele czasu, ale wiedziałem, że muszę przyjść, kiedy w twoim sercu zagościł taki niepokój.

Niczym fala powodzi rozlał się cały ten ból, który Baine ukrywał głęboko w duszy; którego nie mógł wyrazić; do którego nie potrafił się nawet przyznać przed samym sobą, by nie przeszkodziło mu to w obowiązkach wobec ludu.

– Ojcze… Garrosh cię zabił! Odmówił ci prawa do honorowej śmierci! Stał z boku, kiedy Ponury Totem i ja walczyliśmy jak… jak bestie na arenie, i czekał, który z nas zwycięży! Spustoszył ziemię, okłamał własny lud, a Theramore…

Po pysku Baine'a popłynęły łzy żalu i gniewu, które na chwilę odebrały mu głos, boleśnie ściskając gardło.

– A teraz poproszono cię, byś go bronił… – dokończył Cairne. – Kiedy ty pragniesz tylko zmiażdżyć mu krtań kopytem.

Baine skinął głową.

– Tak. Sprzeciwiałeś się mu, zanim ktokolwiek inny miał odwagę to zrobić. Ojcze… czy powinienem był tak postąpić? Czy mogłem go powstrzymać? Czy… czy cała krew, którą rozlał, plami też moje ręce?

Zaskoczyło go to pytanie, ale słowa same popłynęły z jego ust. Cairne uśmiechnął się łagodnie.

– Przeszłości nie zmienisz, synu. Co było, odeszło jak płatki kwiatu uniesione przez wiatr. Tylko Garrosh jest odpowiedzialny za swoje decyzje i czyny. Słuchaj głosu serca. Jak zawsze jestem z ciebie dumny.

W tym momencie Baine zrozumiał, jaką odpowiedź da mu ojciec.

– Sądzisz… że powinienem to zrobić – szepnął. – Bronić Garrosha Hellscreama.

– Nie ma znaczenia, co ja sądzę. Musisz zrobić to, co sam uważasz za słuszne. Jak zawsze. Dla mnie, wtedy, właściwym krokiem było rzucić Garroshowi wyzwanie. Dla ciebie, kiedy indziej, właściwym krokiem było poprzeć go jako wodza Hordy.

– Varian powinien był pozwolić Go'elowi go zabić – warknął Baine.

– Ale nie zrobił tego i teraz borykasz się z wątpliwościami – powiedział spokojnie młody-stary byk. – Odpowiedz na to jedno pytanie, a będziesz wiedział, co robić. Jeśli boli cię, że zginąłem wskutek zdrady, czy sam możesz postąpić inaczej, jak tylko dążyć do prawdy i sprawiedliwości, nawet, a może zwłaszcza wtedy, gdy nie przychodzi to łatwo? Czy możesz nie starać się ze wszystkich sił, by sprostać powierzonej ci roli? Kochany synu z mojej krwi i mojego serca, czuję, że wiedziałeś, jak brzmi odpowiedź, zanim do mnie po nią przyszedłeś.

Baine istotnie wiedział.

Ale ta wiedza sprawiała mu ból.

– Poniosę to brzemię – rzekł cicho. – I będę bronić Garrosha najlepiej, jak potrafię.

– Nie mógłbyś zrobić mniej i jednocześnie pozostać sobą. Będziesz zadowolony. Nie, nie – dorzucił Cairne, unosząc ręce, kiedy Baine chciał mu przerwać. – Nie mogę ci powiedzieć, co z tego wyniknie. Ale obiecuję jedno… Zaznasz spokoju.

Jego sylwetka zaczęła blaknąć. Baine nagle uświadomił sobie, że zmarnował tę cenną okazję, skarżąc się jak pacholę, kiedy jego ojciec… jego ojciec…!

– Nie! – krzyknął głosem łamiącym się z emocji. – Ojcze… proszę, nie odchodź, jeszcze nie, proszę, jeszcze nie teraz…!

Chciał powiedzieć tyle rzeczy. Jak tęskni za Cairne'em; jak bardzo stara się uczcić pamięć ojca; jak wiele znaczyło dla niego te kilka chwil. Za późno. Wyciągnął błagalnie ręce, ale jego ojciec kroczył w cieniu życia, nie w jego słońcu, i dłonie Baine'a chwyciły tylko powietrze. W oczach Cairne'a pojawił się smutek. On też uniósł ręce, lecz zaraz potem zniknął.

Cloudsong pochwycił Baine'a, ratując go przed upadkiem.

– Czy usłyszałeś odpowiedzi, których pragnąłeś, wodzu? – spytał, podając Baine'owi puchar z czystą, chłodną wodą.

Bloodhoof napił się i w głowie zaczęło mu się przejaśniać.

– Odpowiedzi, których pragnąłem? Nie. Ale usłyszałem odpowiedzi, których potrzebowałem – odparł, uśmiechając się boleśnie do przyjaciela.

Szaman pokiwał głową ze zrozumieniem. Nocna nie-cisza, pieśń świerszczy i szept wiatru, została przerwana znajomym szumem, który zwykle towarzyszył nabierającym kształtu kolorowym smugom.

– Kto śmie przerywać rytuał? – warknął Cloudsong. – Krąg nie został jeszcze otwarty!

Baine podniósł się, podczas gdy szaman pospieszył w stronę otwierającego się portalu. Ze środka wyszedł smukły elf. Typowy przedstawiciel wysokich elfów, o ostrych, symetrycznych rysach twarzy, długich, miękkich złotych włosach i wytwornie przyciętej, krótkiej bródce. Nagląco skinął na Baine'a.

– Najwyższy wodzu, nazywam się Kairozdormu. Taran Zhu przysłał mnie, bym odprowadził cię do Świątyni Białego Tygrysa. Proszę, musisz iść ze mną.

– Przerywasz uświęconą ceremonię… – zaczął Cloudsong.

Elf rzucił mu poirytowane spojrzenie.

– Bardzo przepraszam za mój brak taktu, ale naprawdę czas nagli!

Baine popatrzył na tabard elfa. Brązowy ze złotą lamówką i wyhaftowanym złotym kręgiem opisanym wokół symbolu nieskończoności. Taki strój nosili Wędrowcy Czasu;

Baine uznał, że zaryzykuje i spróbuje zgadnąć.

– Nie wiedziałem, że wasz ród wciąż to nosi – rzekł. – Myślałem, że wasza władza nad czasem…

Kairozdormu machnął niecierpliwie dłonią o smukłych palcach.

– To długa historia, a czasu mamy niewiele.

– Zabawne, kiedy coś takiego mówisz akurat ty. Czyżby szykowała się jakaś straszliwa katastrofa?

– Powód jest o wiele bardziej prozaiczny, portal nie będzie otwarty bez końca. – Kairozdormu nagle się zaśmiał. – Cóż – znów błysnął białymi zębami w kpiącym uśmiechu – teoretycznie mógłby, ale nie tu i nie w tym konkretnym momencie. Wysoki wodzu Bainie, można prosić?

Baine odwrócił się do szamana.

– Dziękuję ci za wszystko, Kadorze. Ale obowiązek wzywa.

– Z elfim akcentem, jak się zdaje – odparł Cloudsong, ale ukłonił się mimo to. – Idź, wodzu. Jestem pewien, że z ojcowskim błogosławieństwem.

Posiłek był prosty i lekki: chleb z szyszek, darnasyjski ser pleśniowy i świeże księżycowe gruszki, do tego sok z lunojagód. W świątyni swojej ukochanej Elune Tyrande opowiedziała arcydruidowi Malfurionowi Stormrage'owi o tym, co wydarzyło się wcześniej w Świątyni Białego Tygrysa.

Z zadowoleniem przyjęła wiadomość, że Taran Zhu wyznaczył magowi zadanie przeniesienia osób biorących udział w procesie. Yu Fei była pandarenką o uroczej twarzy, odzianą w jedwabną szatę w barwach wody pasującą do niesfornego kosmyka włosów, zasłaniającego skromnie jedno błękitne oko.

– Chu'shao, Tyrande Whisperwind – rzekła, używając pandareńskiego określenia na adwokata, zarówno obrony jak i oskarżenia. Ukłoniła się nisko. – Spotkał mnie zaszczyt odesłania cię do domu, dopóki obowiązki nie zmuszą mnie do powrotu. Nie wahaj się mnie wezwać, jeśli będziesz potrzebować mojej pomocy.

– Kochana, jesteś pewna, że chcesz się podjąć tego zadania? – spytał arcydruid. Pióra, które porastały jego ręce – pamiątka tysiącleci spędzonych w Szmaragdowym Śnie – omiotły stół, kiedy sięgnął, by dolać jej soku.

Tyrande uświadomiła sobie, że przywykła do zmian, które zaszły w Malfurionie podczas jego długiego snu – piór, stóp pasujących raczej do szablobestii nocy niż elfa, długości i gęstości jego zielonej brody. A jednak dla niej żadna zmiana w jego wyglądzie nie mogła przysłonić tego, jak piękne było jego serce.

Malfurion był i zawsze będzie jej ukochanym.

– Nie wiesz, jak długo potrwa proces – ciągnął Malfurion – ani, w rzeczy samej, dokąd ciebie zawiedzie.

Tyrande napiła się soku, chłodnego i słodkiego, przywodzącego na myśl nocny las.

– Cały świat będzie śledził ten proces, serce moje. Poza tym – uśmiechnęła się – nawet jeśli coś wydarzy się pod moją nieobecność, bez trudu sobie poradzisz. Co noc będę mogła do ciebie wracać, co jest błogosławieństwem samej Elune. Jeżeli zaś mówimy o tym, gdzie mnie to zawiedzie… – w jej głosie pojawiły się nieco twardsze tony – … najpewniej nie będę miała zbyt wiele do roboty, nie licząc przedstawienia dowodów. Garrosha mało kto kochał wtedy, przed wieloma księżycami; ma jeszcze mniej zwolenników teraz, kiedy jego okrucieństwom położono kres.

Malfurion z powagą spojrzał jej w oczy.

– Nie pytałem, jak sobie poradzisz na procesie, ale jak to na ciebie wpłynie.

Tyrande była zaskoczona i nieco zakłopotana.

– Co masz na myśli?

– Jesteś najwyższą kapłanką, oddaną Elune, a jej siła to przecież oświecanie i uzdrawianie. Kiedy musisz, jesteś groźnym przeciwnikiem w bitwie. Ale tam będziesz się posługiwać słowami, które są rzeczą śliską i kapryśną – a nie swoim pięknym sercem. Będziesz też wzbudzać nienawiść i pogardę zamiast oświecenia.

– Ale ostatecznie fakty, które przedstawię, przyniosą oświecenie i zrozumienie, a właściwe ukaranie Garrosha będzie miało skutek uzdrawiający – odparła Tyrande.

Druid wciąż miał zatroskaną minę; chciał coś odpowiedzieć, ale zanim zdążył się odezwać, na zewnątrz pawilonu, w którym się posilali, rozległ się kobiecy głos.

– Moja pani?

– Możesz wejść, Cordresso.

Smukła dłoń uniosła przeświturającą zasłonę, ukazując granatowe jak noc włosy Strażniczki.

– Masz gościa. Przybywa w sprawie procesu i to sprawa bardzo pilna.

Malfurion pytająco uniósł brew, a Tyrande pokręciła głową, równie zaskoczona jak on.

– Oczywiście, Cordresso. Wprowadź go.

Strażniczka odsunęła się w bok, unosząc zasłonę i gestem zaprosiła tajemniczego gościa do środka.

Była to gnomka o srebrzystych włosach zwiniętych w dwa koki po obu stronach lekko piegowatej twarzy. Jej duże, zielone oczy błyszczały radośnie, kiedy witała Tyrande i Malfuriona.

– Arcydruidzie, arcykapłanko, jak dobrze was oboje znów widzieć! Okropnie mi

przykro, że cię kłopoczę, chu’shao, ale obawiam się, że to dość ważne.

Chu’shao. Oczywiście, to był kolejny tytuł, jaki nadano Tyrande, przynajmniej na jakiś czas.

– Naturalnie, Chromio. – Tyrande z uśmiechem uklękła wdzięcznie przed spiżową smoczycą, której prawdziwe imię brzmiało Chronormu, żeby ich oczy znalazły się na tym samym poziomie. Usłyszawszy imię smoka, Strażniczka po cichu puściła zasłonę pawilonu, żeby im nie przeszkadzać. – Jak mogę pomóc?

– Niebianie chcieliby, żebyś ty oraz chu’shao Bloodhoof posłużyli się pewną pomocą podczas przemów przed sądem. Łatwiej po prostu to pokazać. Proszę, czy zechcesz pójść ze mną?

4

Przybywszy do Świątyni Białego Tygrysa, Baine skłonił się Yu Fei, podziękował jej, że go tu przeniosła, a potem odwrócił się do przywódcy Shado-pan.

– Witaj, lordzie Taranie Zhu. Kairozdormu przywiódł mnie tu zgodnie z twoją wolą.

Rozejrzał się przy tym dookoła. Świątynia Białego Tygrysa nocą wydawała się jeszcze większa. Światło księżyca i lamp rozpraszało nieco ciemność, ale mimo to najwyższe ławy niknęły w mroku. Tauren zauważył, że zadbano o wyposażenie odpowiednie dla sądowej rozprawy. Wydzielono trzy przestrzenie – dla Baine'a i Garrosha, dla Tyrande i dla fa'shua oraz dla świadków. Te przeznaczone dla oskarżyciela i obrońcy otrzymały prostokątne stoły przykryte czerwono-złotą tkaniną oraz proste krzesła. Stół z jednym krzesłem stał w kręgu po stronie zachodniej, ten z dwoma krzesłami – po wschodniej. Baine uznał, że tu właśnie przyjdzie zasiąść jemu i Garroshowi. Na stołach stały puste dzbany i kubki, a także atrament, pióra i schludnie ułożony pergamin, najpewniej do robienia notatek.

Jednak Taran Zhu miał zasiadać na podwyższeniu, na krześle bardziej ozdobnym niż pozostałe, choć nie tak bogatym jak tron stojący wysoko w północnej części widowni. Obok siedziska ustawiono mały gong i młotek. Na podłodze przed nim, nieco po lewej, stało krzesło dla świadka oraz mały stolik z pustymi teraz dzbankiem i kubkiem.

Baine'owi wspomniano wcześniej o tych przygotowaniach, ale teraz ujrzał jeszcze stoły i krzesła, z boku i za miejscem Tarana Zhu, oraz jakiś przedmiot przykryty czarną tkaniną.

– Czy mogę spytać, co to takiego?

– To powód, dla którego zaprosiłem was tu o tak późnej godzinie – odparł mnich,

odpowiadając w sposób, który niczego nie wyjaśnił. Powstrzymał następne pytanie Baine'a, unosząc łapę. – Kiedy przybędzie chu'shao Whisperwind, wszystko stanie się jasne. Cierpliwości.

– Przerwano rytualny obrzęd, twierdząc, że czas nagli. Na pewno rozumiesz, że w tej chwili cierpliwość to ostatnie, co przychodzi mi na myśl – odparł Baine.

Taran Zhu rzucił karcące spojrzenie smokowi stojącemu obok taurena.

– Yu Fei mogła otworzyć portal trochę później, Kairozdormu. Nie miałaby nic przeciwko temu. Wiem, że nie jesteś obeznany ze zwyczajami młodszych ras tak jak twój odpowiednik po stronie Przymierza, ale musisz się nauczyć je szanować.

Kairozdormu zrobił zakłopotaną minę.

– Przepraszam. Masz słuszność. Ona ma nade mną tę przewagę. Ufam, że chu'shao Bloodhoof przyjmie moje przeprosiny i pozwoli mi lepiej poznać obyczaje taurenów.

Jego słowa nie uśmierzyły do końca gniewu Baine'a. Co prawda smok nie przerwał ceremonii w kluczowym momencie, ale żywioły nie były zadowolone, że nie podziękowano im należycie za ich obecność. Postanowił zapomnieć o tym i skupić się na czymś innym, co powiedział mnich.

– Powiedziałeś: odpowiednik po stronie Przymierza…?

– Tak jak Kairozdormu będzie współpracował z tobą, tak inny spiżowy smok będzie doradzał oskarżycielowi. Wkrótce przybędą.

Baine znów spojrzał na tajemniczy, zakryty przedmiot, zerknął na puste miejsca, które niedługo miały zapełnić się widzami. Kiedy jego wzrok padł na stół i dwa krzesła po stronie obrońcy, mimo tego, co powiedział ojcu, żachnął się na myśl, że nie tylko musi bronić Garrosha, ale też siedzieć obok niego każdego dnia procesu.

– Coś cię gnębi? – Kairozdormu rozsiadł się na krześle Baine'a, splótł dłonie za głową i popatrzył pytająco na taurena.

– Wiele rzeczy mnie gnębi, Kairozdormu, ale nic nie możesz na to poradzić – odparł Baine.

– Nie bądź taki pewny. I proszę, mów mi Kairoz.

Na arenę weszły dwie postacie – jedna wysoka, druga niska.

Tyrande Whisperwind z wdziękiem skłoniła głowę.

– Dobry wieczór, chu'shao Bloodhoofie. Lordzie Taranie Zhu, mam nadzieję, że nie czekałeś na nas zbyt długo.

Towarzysząca jej gnomka popatrzyła na Baine'a.

– Witaj, wodzu. Dobrze znów cię widzieć!

Rzuciła mu szybki uśmiech i poszła pomówić z Kairozem.

– Arcykapłanko Tyrande, najwyższy wodzu Bainie – zaczął Taran Zhu – dziękuję wam

obojgu za przybycie. Przejdę od razu do rzeczy. To, co stanie się z Garroshem, jest mniej istotne niż konieczność, by proces przebiegał uczciwie i sprawiedliwie. W przeciwnym razie ryzykujemy, że Garrosh zostanie męczennikiem, a wielu członków Hordy pójdzie w jego ślady. Nie możemy też okazać zbytniej pobłażliwości, bo rozdźwięk między Hordą a Przymierzem tylko się pogłębi.

– Moje zadanie jest proste, lordzie Zhu – odparła melodyjnym głosem arcykapłanka nocnych elfów. – Jestem przekonana, że dowody przemówią same za siebie.

– Choć wszyscy wiedzą, że nie jestem przyjacielem Garrosha, prędzej umrę, niż zlekceważę zadanie, które mi powierzono – rzekł Baine. W jego tonie słychać było urazę. Do czego Taran Zhu zmierzał?

– Nie było moim zamiarem niczego insynuować – odparł mnich. – Wiem doskonale, że żadne z was nie posunie się do podstępów i oszustw. Ale mimo to powstaną plotki, że tak właśnie było.

– To godne pożałowania, ale nieuniknione – zgodziła się z nim Tyrande.

Spiżowe smoki uśmiechnęły się do siebie.

– Podczas zwykłego procesu owszem – powiedział Kairozdormu. – Ale ten proces nie jest zwykły. Wiecie, czym jest Klepsydra Czasu?

Pytanie było retoryczne. Klepsydra – olbrzymia, przepiękna, zdolna odwracać bieg czasu – została stworzona przez Nozdormu, poprzedni Aspekt Czasu. Nozdormu przewidział własny upadek i przemianę w istotę zwaną Murozondem, więc tym, którzy mieli pokonać Murozonda, zostawił Klepsydrę Czasu, broń potrzebną do tej walki.

Baine i Tyrande, skonsternowani, popatrzyli na siebie. Oboje słyszeli, że każdy, kto próbował pomóc Nozdormu, musiał się zmierzyć z mrocznym, wypaczonym odbiciem samego siebie. Nie była to przyjemna świadomość.

– Słyszeliśmy o Klepsydrze – powiedział Baine krótko.

– Cóż, od chwili pokonania Murozonda, zajmowałem się… – Kairoz przerwał, szukając właściwego słowa.

– Majstrowaniem – podpowiedziała Chromia.

– Właśnie, majstrowaniem – przytaknął Kairoz. – Magicznym. Zwiedzałem Wiekuistą Wyspę. Połączywszy ziarna Piasku Czasu z Klepsydry ze zmielonymi drobinami kamieni Epocha znalezionymi na wyspie, stworzyłem artefakt, który nazwałem Wizją Czasu. Nie chwaląc się, to bardzo niezwykły drobiazg. Różni się od Klepsydry – nie potrafi zawracać biegu czasu, ale Chromia i ja umiemy kierować nią tak, by ukazywała pojedynczy moment, dowolną ważną chwilę, taką, jaką była naprawdę. Udało mi się nawet kilka razy zajrzeć w przyszłość.

– Jak? – spytał Baine, zerkając niepewnie na wciąż przykryty przedmiot.

– Wizja potrafi stworzyć kontrolowane pęknięcie czasu.

– Nie ryzykujesz w ten sposób, że zmienisz historię? – spytała Tyrande.

– Nie – zapewnił Kairoz. Wyglądał na dumnego z siebie; Baine pomyślał, że ma ku temu wszelkie powody. – Jak mówiłem, zmieniłem naturalne właściwości Piasków Czasu, których będziemy używać. Wizja Czasu nie udostępnia wydarzeń. Przez pęknięcie przedostaną się tylko dźwięki i obrazy.

– Poza tym to działa tylko w jedną stronę – dodała Chromia. – Nie ma żadnego ryzyka, że nastąpi jakaś zmiana.

– Pokażę wam – zaproponował Kairoz. Chwycił brzeg czarnej tkaniny i ściągnął ją teatralnym gestem.

Wizja Czasu była klepsydrą ozdobioną dwoma metalowymi smokami, dokładnie – spiżowymi smokami. Każdy z nich oplatał szklaną kulę. Ich nosy dotykały ogonów, a wyrzeźbiono je tak kunsztownie, że patrząc na nie, zdawało się, że jedynie drzemią.

– Piasek z górnej kuli się nie sypie – zauważyła Tyrande.

– Zacznie się sypać, kiedy wraz z Chromią uruchomimy Wizję – rzekł Kairoz. – Ilość piasku jest ograniczona. Każdemu z was przyznana zostanie określona liczba godzin używania Wizji podczas procesu. Będziecie mogli wybrać, które historyczne momenty chcecie przedstawić jako dowody, a czas trwania każdego takiego pokazu będzie odliczany z puli.

– Innymi słowy – powiedziała Tyrande – nie ma potrzeby wzywania świadków.

– Nie posuwałbym się tak daleko – odparł Kairoz. – Będziecie musieli mądrze wybrać te chwile, a świadkowie mogą wam pomóc albo zaszkodzić w inny sposób, niż przedstawiając proste fakty. Chromia została wyznaczona, by doradzać tobie, arcykapłanko, a ja będę współpracował z tobą, wodzu.

– Hmm – zadumał się Baine. – Nie będzie kłamstw, nie będzie koloryzowania ani trudności, jeśli świadek nie przypomni sobie dokładnie jakiegoś zdarzenia.

– Sama prawda i tylko prawda – przytaknęła Chromia. – Niepodlegająca dyskusjom.

– Och, dyskusji się nie uniknie – zaprzeczyła Tyrande. – Motywy, przemyślenia, inne plany…

Chromia podniosła ręce.

– Nie zdradzaj swojej taktyki, arcykapłanko! – zaprotestowała gwałtownie.

– Skąd będziemy wiedzieli, które momenty wybrać? – spytał Baine. – Czy będziemy mogli je obejrzeć, zanim pokażemy sądowi?

– Oczywiście – odparł Kairoz. – Zaś co do wyboru – od tego macie nas. Powiecie mnie albo Chromii, co chcecie udowodnić, a my pomożemy wam odszukać najlepszą chwilę.

– Proponuję, byśmy wróciły do Darnassus i omówiły, jak najlepiej użyć Wizji.

– Mądre słowa, Chromio. Lordzie Zhu, czy jestem jeszcze do czegoś potrzebna? – spytała Tyrande.

– Możesz odejść ze swoją doradczynią, oskarżycielko. Tak samo ty, obrońco – rzekł Taran Zhu. – Od teraz nie będziemy się widywać ani rozmawiać aż do rozpoczęcia procesu. Pokój z wami, niechaj mądrość niebian pozwoli wam wypełnić swoje obowiązki z oddaniem i honorem.

Mnich ukłonił się nisko i zastygł na chwilę w tej pozycji, choć widać było, że sprawia mu ona fizyczny ból. Baine wyczuł bijącą od niego wdzięczność i szacunek.

Tyrande również pokłoniła się wszystkim i odeszła z Chromią. Wciąż poruszała się ze swoim zwykłym leniwym wdziękiem i siłą, ale żwawość kroków zdradzała jej podekscytowanie.

– Cóż, przynajmniej ona wydaje się zadowolona z mojego wkładu – rzekł Kairoz, stając obok Baine'a i patrząc za odchodzącymi.

– I słusznie – odparł Baine.

– A ty nie?

Tauren spojrzał na niego z namysłem.

– Wszyscy dziś tu obecni wiedzą, że prawda i tylko prawda nie będzie korzystna dla Garrosha. A ponieważ moim obowiązkiem jest go bronić, niezależnie od moich osobistych odczuć, to moim zdaniem twój wynalazek przyczyni się przede wszystkim oskarżeniu, jeśli nie jedynie.

– Odwagi – odparł Kairoz z uśmiechem. – Nie poddawaj się jeszcze. Nawet prawda i tylko prawda może być różnie interpretowana. Twoje prawo do prezentowania przy mojej pomocy najrozmaitszych zdarzeń nie jest przecież ograniczone tylko do tego, co powiedział i zrobił Garrosh.

– Interesująca perspektywa… Muszę powiedzieć, że jestem zaintrygowany. Wracajmy do Gromowych Urwisk. Opowiesz mi tam więcej o tym, jak najlepiej wykorzystać Wizję.

Jaina Proudmoore wiedziała, że wokół nie powinien panować niemal świąteczny nastrój. W przeddzień procesu, który musiał zakończyć się wyrokiem śmierci, egzekucją? Nie, to nie był powód do świętowania.

Niemniej był.

Widziała, że pozostali myślą tak samo, choć tego wieczora nikt z siedzących przy stole nie wzniósłby toastu za zasłużoną śmierć, przynajmniej nie otwarcie. A jednak wokół głowy były trzymane wyżej, ramiona prościej; w głosach dźwięczała beztroska, a nawet śmiech – dźwięk, którego Jaina już niemal zapomniała. W sercu czuła ukontentowanie,

którego nie zaznała od dawna; ośmielała się mieć nadzieję, że wreszcie nastał kres grozy wojny, przynajmniej na tyle, by odetchnąć, opłakać zmarłych, śmiać się z żywymi i zacząć na dobre uczyć się, jak być z kimś, kto tak bardzo się od niej różni i zarazem jest jej tak bliski.

Kiedy patrzyła na otaczające ją twarze w Purpurowym Wzgórzu, czuła wzbierające poczucie spokoju od dawna nieobecne w jej duszy. Kalec, oczywiście; Varian i Anduin Wrynnowie; Vereesa Windrunner.

Choć była wdzięczna za ich obecność, dotkliwie brakowało jej tych, którzy zginęli. Kalec, dostrojony emocjonalnie do ukochanej, delikatnie ścisnął jej dłoń.

– Tęsknisz za nimi – powiedział cicho, a ona nie próbowała zaprzeczać.

– Tak – rzekła. – Powinni tu być. Pained, Kinndy, Tervosh…

Rozmawiali cicho, ale mało co umykało elfim uszom.

– Tak, powinni tu być – wtrąciła Vereesa. – Oni, Rhonin i tylu innych.

Anduin wydawał się zaniepokojony szorstkim tonem jej głosu.

– Jestem przekonany, że niebianie jako przysięgli i Taran Zhu jako sędzia wymierzą sprawiedliwość.

– Tak – odparła Vereesa. – Dziwi mnie wybór Baine'a na obrońcę Garrosha, ale nie zamierzam protestować.

– Baine jest honorowy – rzekł Anduin – i nie wątpię, że wypełni swoją rolę najlepiej, jak potrafi, wbrew temu, co sam czuje.

– Nie sądzę jednak, żeby był z tej roli zadowolony – powiedział Kalec.

– To prawda – poparł go Varian. – W przeciwieństwie do zadania Tyrande, którego pragnęło chyba całe Przymierze.

– Oprócz ciebie – zauważyła Jaina.

– Ja wolę patrzeć z boku, jak rozwinie się sytuacja. Gdybym chciał po prostu śmierci Garrosha, wystarczyłoby mi milczeć, kiedy Go'el brał zamach Zgładzicielem.

Vereesa zacisnęła usta, ale nic nie powiedziała. Jaina sama miała mieszane uczucia co do interwencji Variana, nie była więc zdziwiona reakcją elfki.

– Słusznie postąpiłeś, ojcze – powiedział Anduin. – To będzie trudny proces, ale na dłuższą metę może z niego wyniknąć wiele dobrego. Położy kres całej sprawie dobitniej niż zwykła egzekucja… cokolwiek zostanie postanowione.

Czy aby na pewno? – zastanawiała się Jaina. Czy położy kres jej koszmarom, nagłym rozbłyskom bólu w sercu, kiedy na nowo przypominała sobie nie tylko to, że jej przyjaciele zginęli, ale też jak to się stało? Wspomniała Kinndy, rozsypującą się w kupkę fioletowego pyłu pod dotykiem palców Jainy. Uświadomiła sobie, że ściska widelec tak mocno, że pobielały jej kłykcie, palce przeszyło ukłucie bólu, odłożyła więc sztuciec na

bok. Poparzyła na pieczoną kurę na talerzu, jakiś przebłysk wisielczego humory kazał jej wziąć w dłoń udko i zaprezentować towarzyszom.

– Czy nie byłoby najlepiej, gdyby Garrosh zadławił się kością z dzisiejszej kolacji i oszczędził wszystkim trudu? – spytała, zachowując lekki ton. – Podobno na deser jest pyszne ciasto, jeśli zostawiliście sobie trochę miejsca.

5

Dzień pierwszy

Takich tłumów – i takich środków bezpieczeństwa – Jaina Proudmoore jeszcze nie widziała. Była wdzięczna za obecność strażników Variana, którzy utorowali jej drogę przez ciżbę pod wejściem, tylko dzięki nim Jaina, Kalec, Varian, Anduin i Vereesa dotarli do swoich miejsc.

Wszyscy przywódcy Hordy też byli obecni na sali; ich jaskrawe stroje, skóry i hałaśliwe obejście mocno kontrastowały z wyważonym, niemal obojętnym zachowaniem siedzących naprzeciwko przedstawicieli Przymierza. Czcigodni Niebianie mądrze zadbali, by między przywódcami Hordy i Przymierza zasiedli przedstawiciele tych grup, które nie były związane ani z jednym, ani z drugim. Mieli zapewne stanowić bufor w sporze, gdyby atmosfera na sali stała się zbyt gorąca. Jaina z zaskoczeniem dostrzegła wśród nich pewną elfkę o długich, rudych lokach i pięknej twarzy, na której malował się eteryczny smutek.

Poczuła ukłucie współczucia.

– Alexstrasza – szepnęła.

– Wolałbym, żeby jej tu nie było – westchnął Kalec, siadając obok. – Nie znajdzie tu nic prócz cierpienia.

Jaina sądziła, że Alexstrasza, wielka Dawczyni Życia i dawny Smoczy Aspekt, jest ponad wszelkie procesy i sposoby młodszych ras na wymierzanie sprawiedliwości. Zawsze zachowywała się z godnością, odwagą, przepełniały ją łaskawość i współczucie, nawet gdy zmuszona była stawić czoła niewyobrażalnym potwornościom i dotkliwej osobistej stracie. Obok niej siedziała siostra, zielona smoczyca Ysera, trzymając ją za rękę

i rozglądając się z dziecięcą ciekawością i podziwem.

– Alexstrasza musi tu być – rzekła Jaina. – Nie ze względu na proces. Dla siebie samej. Tak samo jak ja.

– Wrathion też tu jest – zauważył Anduin.

To również zaskoczyło Jainę. Podążyła wzrokiem za spojrzeniem Anduina, z ciekawością przyglądając się po raz pierwszy komuś, kto często posługiwał się przydomkiem Czarny Książę. Niewielu go znało, nie mówiąc już o jego prawdziwej tożsamości.

– Cóż – rzekła Jaina na tyle cicho, by usłyszał ją jedynie Anduin. – Wygląda na to, że są tu przedstawiciele wszystkich rodów.

Według powszechnej wiedzy Wrathion był jedynym istniejącym niespaczonym czarnym smokiem.

Spłodzony przez Deathwinga, dzięki interwencji uniknął nikczemnego dotyku Dawnych Bogów, kiedy był jeszcze w jaju. Choć w tym względzie mu się poszczęściło, Jaina musiała przyznać, że jego życie trudno było nazwać idyllą. Ród czerwonych smoków, pod wodzą Alexstraszy, szukał sposobu oczyszczenia czarnych smoków. Jedna z czerwonych, Rheastrasza, posunęła się do drastycznych metod, by wypełnić to zadanie. Porwała czarną smoczycę i zmusiła ją, by ta złożyła jaja. Z pomocą gnoma wynalazcy zdołała uwolnić jedno z nich od szaleństwa, które nękało cały ród. Deathwing nie był z tego zadowolony i zniszczył jajo, a przynajmniej tak mu się wydawało. Przewidując jego reakcję, Rheastrasza podmieniła oczyszczone jajo na inne, poświęcając życie nie tylko własne, ale też swojego niewyklutego dziecka.

Wrathion, choć wciąż w jaju, miał wtedy pełną świadomość tego, co się dzieje; wiedział, że będzie wychowywany i uważnie obserwowany przez czerwone smoki – być może do końca życia. Otrzymał „wolność”, kiedy jego jajo zostało ukradzione, i wykluł się z dala od wpływu czerwonych smoków. To, w jaki sposób umknął swoim porywaczom, pozostawało tajemnicą, ale oto był, żyw i zdrowy na umyśle.

Anduin i Wrathion poznali się i nawet zaprzyjaźnili podczas pobytu w Pandarii, choć, jak przyznawał Anduin, przyjaźń ta koncentrowała się głównie wokół różnic w ich poglądach. „Wiek” Wrathiona trudno było określić. Gdyby liczyć jedynie lata od jego wyklucia, należałoby go uznać za dwuletniego szkraba. Zarazem był jednak smokiem, posiadał wrodzoną inteligencję i mądrość, a wyglądał jak młodzieniec w wieku zbliżonym do Anduina.

Jaina często matkowała Anduinowi i miała mieszane uczucia co do jego nowego przyjaciela. Z jednej strony młody książę miał niewielu rówieśników. Z drugiej Jaina obawiała się, że Wrathion może mieć, jak to się mówi, zły wpływ. Co ciekawe, nie

chodziło o to, że był czarnym smokiem. Zanim koszmar szaleństwa wypaczyły istotę Nelthariona, znanego szerzej jako Deathwing, był on Aspektem Ziemi, mądrym i opiekuńczym. To raczej słowa Wrathiona, które Anduin powtarzał Jainie, budziły jej niepokój. Zauważyła, że Czarny Książę siadł od Alexstraszy najdalej jak to możliwe. Zważywszy na jego przeszłość, trudno było mu się dziwić.

Wyglądał jak człowiek, choć wyróżniał się z tłumu ciemniejszą karnacją i niecodziennym strojem – workowatymi spodniami, tuniką i turbanem. Po jego lewej stronie siedziała orczyca, której twarz zastygła już chyba na stałe w gniewnym grymasie, po prawej – równie ponura kobieta. Wrathion uśmiechnął się do Anduina, a potem zwrócił na Jainę spojrzenie swoich rozjarzonych oczu, które jako jedyne zdradzały jego prawdziwą istotę. Skłonił się i ją także pozdrowił uśmiechem, aczkolwiek tym uśmiechem sugerował, że Czarny Książę dostrzegł coś, co go rozbawiło. Jaina zastanawiała się, cóż to mogło być.

W pobliżu stali pandareńscy strażnicy, nieruchomi i spokojni jak górskie jezioro, ale tym doskonałym wojownikom wystarczyło mniej czasu niż trwa uderzenie serca, by przejść do czynu. A gdyby doszło do jakiegokolwiek starcia, to tylko wręcz; Jaina czuła obecność pola tłumiącego magię niczym duszną mgłę. A broni w świątyni zakazano.

– Wygląda to znajomo – mruknął Varian.

– Co takiego? – zaciekawiła się Jaina.

– To. – Varian ruchem głowy wskazał ławy, które zapełniały się widzami. – Identyczne twarze i spojrzenia widywałem, kiedy walczyłem na arenie jako gladiator. Oni łakną krwi.

– Dziś jej nie dostaną – rzekła Vereesa. Nie musiała dodawać: „ale jeśli istnieje sprawiedliwość, krew się poleje na końcu tego procesu”.

– Oby – powiedział Varian. – Wszystko pójdzie na marne, jeśli zapanuje tu chaos. Także stanowczo zbyt wiele istnień.

Jaina spojrzała w dół. Baine i Tyrande już się pojawili. Każde z nich siedziało na krześle za swoim stołem, trwając w oczekiwaniu. Na ten widok Jaina była przygotowana, zaskoczyło ją natomiast, że na przybycie Tarana Zhu, niebian i Garrosha czekają jeszcze dwie osoby. Rozpoznała Chromię, niezwykle potężną spiżową smoczycę, która wybrała sobie najmniej groźną z możliwych postaci; nie znała jednak przystojnego wysokiego elfa, z którym tamta rozmawiała. Oboje nosili brązowe tabardy swojego zakonu i siedzieli przy małym stoliku na uboczu, na którym stał jakiś przedmiot przykryty tkaniną.

I kiedy próbowała odgadnąć, co oznacza obecność dwóch spiżowych smoków w niewątpliwie oficjalnym charakterze, pojawił się pandaren, odziany od stóp do głów w długie, formalne szaty. Niósł włócznię ze sztandarem Shado-pan. Zastukał trzykrotnie jej drzewcem w podłogę i tłum się uciszył.

– Szacunek dla prawa jest ważny dla ludu Pandarii. Prawo pozwala naprawiać krzywdy i przywracać równowagę. To historyczna okazja, gdyż po raz pierwszy w naszych długich dziejach udział w sądzie wezmą przybysze z zewnątrz. W dążeniu do naprawiania krzywd tradycyjnie ogłaszamy, kto staje przed sądem i kto szuka sprawiedliwości. Toteż z najwyższą powagą rozpoczynamy sąd nad Garroshem Hellscreamem, oskarżonym o krzywdy wyrządzone ludom Azeroth. Powstańcie, oddając należny szacunek Czcigodnym Niebianom, którzy wysłuchają z otwartymi sercami złożonych tu zeznań, jako i temu, który będzie dbał, by proces toczył się zgodnie z prawem, władcy Shado-pan, Taranowi Zhu.

Wszyscy usłuchali i wstali ze swych miejsc. Chi-Ji, Xuen, Niuzao i Yu'lon weszli na balkon, każde z nich zdawało się poruszać bez najmniejszego wysiłku. Ich wdzięk i piękno, nawet w ich nowych postaciach, jak zawsze sprawiły, że Jaina mimowolnie wstrzymała oddech.

Spytała Aysę, co skłoniło niebian do zmiany zewnętrznej formy. Pandarenka odparła, że był to gest szacunku wobec Hordy i Przymierza. Niebianie byli wyjątkowi nie tylko przez swój wygląd, ale też przez bijącą od nich energię.

Taran Zhu wydawał się bardziej przystępny jako śmiertelnik, ale i on wyglądał imponująco – emanował władzą i spokojem. Wspiął się na podwyższenie dla fa'shua, wziął mały bijak i uderzył trzykrotnie w gong. Zaczekał, aż ucichnie echo, a potem przemówił.

– Spocznijcie, proszę – rzekł. Jego wyraźny, cichy głos niósł się nawet w tak ogromnej sali. – Zanim zjawi się oskarżony, pragnę zapowiedzieć wszystkim obecnym, że nie będę tolerował żadnego zakłócania przebiegu procesu. Każdy, kto złamie tę zasadę, pozostanie zamknięty pod strażą aż do zakończenia procesu. Nadto, zważywszy na niezwykłość sytuacji, zastosowana zostanie wyjątkowa metoda prezentacji materiału dowodowego.

Skinął głową dwóm spiżowym smokom. Oba wstały i odsłoniły Klepsydrę.

Jaina zrozumiała, co będą robić, zanim jeszcze się odezwały. Ich głosy, tłumaczące działanie Wizji Czasu, rozpłynęły się, zagłuszone hukiem w jej uszach. Przez chwilę nie mogła złapać tchu; przez chwilę znów tonęła, jak wtedy, gdy…

Ból w mocno ściśniętej dłoni przywrócił ją do rzeczywistości. Udało jej się złapać oddech; z cichym świstem zaczerpnęła powietrza. Huk umilkł, choć Jaina wciąż słyszała łomot swojego serca, bijącego szybko jak u królika. Odwróciła się do Kaleca, który przyglądał się jej uważnie z troską malującą się na pięknym obliczu. Zwilżyła językiem suche usta i bezgłośnie powiedziała:

– Nic mi nie jest.

Nie wyglądał na przekonanego, ale puścił jej rękę. Jaina wzięła kilka powolnych,

głębokich wdechów i wydechów. Spiżowe smoki skończyły wyjaśnienia i cofnęły się na swoje miejsca.

Taran Zhu skinął głową strażom.

– Możecie wprowadzić więźnia.

Te trzy zwykłe słowa wywarły piorunujący efekt. Wszyscy obecni nagle znieruchomieli, wpatrując się w drzwi prowadzące na zewnątrz, do niższych komnat.

Garrosh Hellscream wszedł eskortowany przez szóstkę strażników: dwóch z Hordy, trolla i taurena, dwóch z Przymierza, Strażniczkę nocnych elfów i mściciela draenei oraz dwóch największych, najpotężniej umięśnionych pandarenów, jakich Jaina kiedykolwiek widziała. Nie miał na sobie charakterystycznej dlań zbroi ozdobionej kłami demona, którego zgładził sławny ojciec Garrosha, Grommash. Więzień ubrany był jedynie w tunikę i proste buty. Niewątpliwie tego stroju nie szyto na miarę, opinał bowiem ciasno potężną pierś i ramiona. Na brązowej skórze Garrosha tatuaże przeplatały się z ciemnymi smugami przypominającymi pajęczyny – pozostałość sha. Łańcuchy o ogniwach większych niż dłoń Jainy oplatały jego szyję, nadgarstki i kostki, co w połączeniu z uszkodzoną nogą sprawiało, że niezgrabnie powłóczył stopami. Twarz miał niewzruszoną, nie garbił się tchórzliwie ani dumnie nie prężył.

Przez moment panowała całkowita cisza, przerywana jedynie brzękiem łańcuchów i odgłosem kroków.

A potem wybuchł chaos.

Fale widzów – z Przymierza i Hordy pospołu, a nawet nominalnie neutralnych – poderwały się z miejsc. Niektórzy zbiegli na dół, na galerie, by wykrzykiwać obelgi i wygrażać pięściami. Choć pole tłumiące przeszkadzało Jainie, teraz była wdzięczna za jego obecność. Uświadomiła sobie, że nie chce, by Garrosha zabił rozwścieczony tłum. Chciała, żeby ork usłyszał – oraz dzięki spiżowym smokom zobaczył – wszystko, co zrobił. Zniszczenie, którego był przyczyną. Nienawiść, jaką przeciwko sobie wzbudził. Chciała, żeby miał świadomość, że cały Azeroth obrócił się przeciwko niemu.

Poza tym – co zrozumiała z nagłym wstydem – skoro ona nie może go zabić, zaszczyt ten nie ma prawa przypaść jakiemuś anonimowemu członkowi rozwścieczonej tłuszczy.

Pandareni zareagowali szybko. Większość strażników rozstawionych na widowni stanowili mnisi, a same ich ciała były groźną bronią; protestujący zostali szybko obezwładnieni i wyprowadzeni z areny. Pilnujący Garrosha dobyli broni i otoczyli go kręgiem, zwracając beznamiętne twarze ku widzom.

Poza nimi jedynymi osobami, które zdawały się nieporuszone tym zamieszaniem, był Taran Zhu, czwórka niebian i sam Garrosh Hellscream. Brązowe, wytatuowane oblicze orka zdradzało tyle emocji co kamienna maska.

W głosie Tarana Zhu zabrzmiało surowe ostrzeżenie.

– Zobaczyliście na własne oczy, co się stanie, jeśli przerwiecie tok procesu. Ci, którzy się tego dopuścili, pozostaną uwięzieni, póki nie zapadnie wyrok, a potem wypuszczeni. Każdy, kto zakłóci przebieg tego jakże poważnego wydarzenia, dołączy do nich.

Skinął głową, a strażnicy wokół Garrosha znów ustawili się w szyku eskortującym. Doprowadzili Garrosha przed podwyższenie mnicha, gdzie się zatrzymali. Dwaj zwaliści pandareni stanęli za nim. Jaina wiedziała, że odtąd jedynym ruchem, jakiego się dopuszczą – o ile nie zostaną zmuszeni bronić więźnia – będzie powolne mruganie. Pozostała czwórka skłoniła się Taranowi Zhu i wyszła. Mnich przez chwilę patrzył na orka.

– Garroshu Hellscreamie. Zostałeś oskarżony o zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko samej esencji istot rozumnych Azeroth, a także o zbrodnie przeciwko Azeroth. Jesteś także oskarżony o wszystkie czyny popełnione w twoim imieniu albo przez tych, z którymi się sprzymierzyłeś.

Garrosh stał tylko, milczący i nieruchomy.

– Zarzuty są następujące – ciągnął Taran Zhu. – Ludobójstwo. Morderstwo. Przymusowe wysiedlenia. Uprowadzenia.

Sama lista przepotwornych zbrodni oddziaływała z taką mocą, że Jaina się spięła. Zerknęła na Vol'jina i pozostałych przywódców Hordy. Słyszała, jak pod rządami Garrosha traktowane były trolle i co ork próbował zrobić samemu Vol'jinowi.

– Niewolnictwo. Porywanie dzieci. Tortury. Zabijanie więźniów. Wymuszanie poczęcia.

Anduin się skrzywił. Jaina mu się nie dziwiła. Pomyślała o Alexstraszie, o okrucieństwach popełnionych na samej Dawczyni Życia i całym rodzie czerwonych. Kalec siedział obok Jainy wyjątkowo nieruchomy. Odwróciła się, chcąc dodać mu otuchy, i zobaczyła, że patrzy na nią. Wiedział, co nastąpi, i objął ją ramieniem.

Jaina zebrała się w sobie.

– Nieuzasadnione niszczenie miast, miasteczek i wsi, niepodyktowane żadną cywilną bądź wojenną koniecznością.

Dolina Wiecznych Kwiatów.

Theramore.

– Co odpowiesz na te zarzuty, Garroshu Hellscreamie?

Garrosh nie odpowiedział; przez jedną szaloną sekundę Jaina myślała, że może ta lista zbrodni poruszyła dawnego wodza Hordy. Słyszała opowieść o tym, jak rozgniewał się na podwładnego, który w jego imieniu zabijał niewinnych; wiedziała, że nawet jego wrogowie nie mogli zaprzeczyć, że Garrosh bez reszty był oddany swej rasie. No i kiedyś

uważano go za honorowego.

Patrzyła na Garrosha, nie śmiejąc zamrugać oczami czy choćby odetchnąć. Sama nie wiedziała, czy chce, żeby ork się załamał i błagał o przebaczenie, czy stał nieugięcie, żeby mogli go bezkarnie zabić.

A wtedy Garrosh uśmiechnął się i zaczął wolno bić brawo, choć łańcuchy na nadgarstkach mu to utrudniały.

– Przedstawienie dopiero się zaczęło – odparł szyderczo – a ja już biję brawo na stojąco. Zapowiada się lepsza zabawa niż Festyn Lunomroku! – Jego pogardliwy śmiech poniósł się po sali. – Nie powiem, że jestem winny, bo z winą wiąże się wstyd. Nie będę też protestował, bo nie twierdzę, żem niewinny. Niech się zacznie komedia!

Widzowie po raz drugi zerwali się na nogi, gotowi przełazić sobie po plecach, żeby tylko zacisnąć dłonie na gardle Garrosha Hellscreama. Jaina nie pamiętała, kiedy położyła ręce na poręczach krzesła i uniosła się z niego, zorientowała się tylko, że Kalec i Varian prawie siłą sadzają ją z powrotem.

– Nie wstawaj, ukochana – szepnął z naciskiem smok.

Jaina zdała sobie sprawę, że zamierzała dodać własny krzyk oburzenia do ogólnej kakofonii. Na czoło wstąpił jej pot, wysiłkiem woli zmusiła się, żeby usiąść i zacisnęła pięści.

Tymczasem Taran Zhu stracił cierpliwość. Kilkakrotnie uderzył w gong i wykrzyknął po pandareńsku kilka rozkazów. Kolejni członkowie Hordy i Przymierza zostali wywleczeni, by resztę procesu spędzić w zamknięciu, dumając nad własnym nieposłuszeństwem.

Kiedy przywrócono względny spokój, mnich popatrzył na Garrosha.

– Ponieważ twoje słowa nie zmieniają pierwotnego zamiaru powziętego w tym procesie, będziemy się trzymać planu.

Skinął głową wartownikom, którzy zaprowadzili Garrosha do pustego krzesła obok Baine'a, gdzie miał siedzieć podczas rozprawy. Mimo łańcuchów ork rozparł się wygodnie, wyzywający i pewny siebie. Jaina nienawidziła go nienawiścią tak jasną i palącą, że bomba many, którą zrzucił na Theramore, przypominała przy tym płomyk świecy.

6

Choć jadowite słowa i arogancja Garrosha były czymś, czego należało się spodziewać, Anduin uświadomił sobie, że czuje się zawiedziony. Jego uczucia z pewnością wielu by zaskoczyły; został przez Garrosha osobiście zaatakowany i ledwie uszedł z życiem.

Niedługo przed tym, jak nastąpił kres rządów Garrosha, ogarnęła go narastająca obsesja na punkcie duchowych i magicznych środków do walki z Przymierzem, które gromadził, nie bacząc na koszty. Anduin mógł nie być przekonany co do słuszności wszystkich zarzutów stawianych Garroshowi, jednak niektóre z czynów orka widział na własne oczy. Wódz Hordy w przeciwieństwie do Variana nie odrzucił możliwości płynących z wykorzystania mrocznych właściwości sha – zabójczych i przerażających manifestacji negatywnych emocji – żeby dodać sił swoim wojskom.

Żeby tego dokonać, ukradł relikt mogu znany jako Boski Dzwon, który uwalniał czysty, bezlitosny chaos. Jak to się miało ze wszystkim w Pandarii, istniał oczywiście sposób, by zrównoważyć to działanie. Był to inny artefakt – Młot Harmonii. Anduin naprawił ów magiczny przedmiot i stawiwszy czoła Garroshowi, uderzył Młotem w Dzwon, zmieniając upiorny dysonans w czystą harmonię.

Pokrzyżował orkowi plany, ten zaś, rozwścieczony, uderzył Dzwon swoim toporem, Krwiożercą, i roztrzaskał relikt mogu.

Oraz kości Anduina.

Książę znów poczuł ból we wszystkich częściach ciała, które zostały zmiażdżone, gdy spadły nań odłamki Dzwonu. Obrażenia dawały o sobie znać przy każdej zmianie pozycji, a zawsze – i to wiele dotkliwiej – kiedy książę wspominał tamto wydarzenie. Velen powiedział mu, że ból prawdopodobnie nigdy nie zniknie, a była też możliwość, że

z wiekiem przybierze na sile.

– Ciało nigdy całkiem nie zapomina doznanych obrażeń, a każda twoja kość ma własne wspomnienia – powiedział. Potem uśmiechnął się i dodał: – Dzięki Światłości, drogi książę, przeżyłeś, żeby tych wspomnień słuchać.

Anduinowi to wystarczyło. Doszedł też do wniosku, że skoro Młot zmienił dysonans w harmonię, to tego samego potrafią dokonać istoty rozumne. Anduin wierzył w to całą swoją duszą. Wierzyli w to draenei, a nawet naaru, a byli od niego o wiele mądrzejsi. Krąg Ziemi, który leczył świat z ran zadanych przez Deathwinga, składał się z szamanów wszystkich ras. Zjednoczyli się w Cenarionowym Kręgu, by uleczyć Drzewo Świata, Nordrassila. Współpraca była możliwa, Anduin był jej świadkiem. Każda istota była wyjątkowa i potrafiła się rozwijać.

Proces dopiero się rozpoczął. Skoro lista zbrodni nie poruszyła Garrosha – nie licząc faktu, że sprowokowało go to do przechwałek – to może dokona tego owoc pracy spiżowych smoków.

Młodemu księciu żal było Baine'a Bloodhoofa, którego wciąż uważał za swojego przyjaciela. Pamiętał wieczór, który obaj spędzili u Jainy po tym, jak Baine został zmuszony do ucieczki, by ratować życie podczas rewolty Ponurego Totemu. Anduin podziwiał taurena za to, że ten wziął na siebie brzemię obrony orka, który zabił jego ojca. Poparzył na Variana, zastanawiając się, jak on zachowałby się na miejscu Baine'a. Miał nadzieję, że król okazałby tyle samo godności.

Tyrande Whisperwind wstała zza stołu i wyszła na środek areny. Miała na sobie powłóczystą suknię, którą można by określić pospolitym słowem „biała", ale to nie oddałoby właściwie jej koloru – suknia mieniła się subtelnymi odcieniami lawendy, błękitu, perłowego blasku i srebra, skromna i wytworna zarazem, tak jak jej właścicielka. Anduin spotkał Tyrande już wcześniej i ze wszystkich przywódców Przymierza – a nawet niektórych Hordy – ona właśnie onieśmielała go najbardziej. I nie chodziło o to, że była władcza i wyniosła. Przeciwnie, zachowywała się miło i uprzejmie.

Anduin dostrzegał w kapłance esencję tego, co piękne w księżycowej bogini, którą czciła, i w chłodnych, nocnych puszczach, które tak ukochał jej lud. A kiedy na pogrzebie Magniego Miedziobrodego Tyrande odezwała się do niego po raz pierwszy, zadrżał pod łagodnym dotykiem jej dłoni na swoim policzku, gestem pocieszenia tyleż szczerym, co przejmującym.

Teraz nocna elfka długą chwilę wodziła wzrokiem po galerii, w milczeniu, jakby zbierając myśli, a potem uniosła jasne spojrzenie na czwórkę Czcigodnych Niebian.

– Jako oskarżycielka mam prawo pierwsza przemówić do przysięgłych i wszystkich zebranych – jej głos niósł się wyraźnie, ale brzmiał raczej melodyjnie niż surowo. – Przysługuje mi to prawo, ponieważ to oskarżyciel musi dowieść winy. Ale odczuwam pokusę, by oddać pierwszeństwo obronie, ponieważ chu'shao Baine z rodu Krwawego Kopyta wziął na siebie zadanie o wiele trudniejsze niż moje. – Ruszyła przed siebie z wdziękiem. Długie, błękitne włosy spływały jej na plecy, twarz o barwie delikatnej lawendy zwracała ku widowni. – Garrosh Hellscream wyświadczył mi dziś bowiem wielką przysługę. Nie tylko przyznaje się do długiej listy okrutnych zbrodni, o które go oskarżono, ale wręcz chełpi się nimi i obraża sąd. Nie ma nikogo w tej świątyni – ośmielę się nawet powiedzieć, że w całym Azeroth – na kogo nie wpłynęłyby czyny tego jednego orka. – Popatrzyła na Garrosha i choć wyraz jej twarz zmienił się tylko nieznacznie, Anduin zdołał dostrzec na niej wstręt. – Moim zadaniem, zaszczytem i radością zarazem jest przedstawić dowody, że Garrosh dopuścił się tego wszystkiego, co mu zarzucamy, i nie tylko. Zamierzam pokazać wam, że popełnił te czyny, mając świadomość, jakie męki, cierpienia i zniszczenia będą ich skutkiem. – Przerwała i odwróciła się do stołu, za którym siedzieli Chromia i Kairoz. Z dłońmi na sercu ukłoniła się im nisko. – Dziękuję rodowi spiżowych smoków, ponieważ mogę teraz nie tylko posługiwać się wciąż tymi samymi słowami, które przez powtarzanie wkrótce by osłabły i się osłuchały, lecz również ukazać przebieg tych wydarzeń. Zobaczycie, jak Garrosh Hellscream knuje. Posłuchacie, jak kłamie. A na koniec ujrzycie, jak zdradza.

Garrosh jej nie przerywał. Tyrande wyznaczała ton strategii oskarżenia, a ta zapowiadała się brutalnie. Elfka nie cofnie się przed niczym. Anduin sądził, że Garrosh nie zdoła utrzymać języka za zębami. Ork jednak milczał.

Jeśli Tyrande była tym zawiedziona, nie dała po sobie niczego poznać. Jej delikatne nozdrza zadrżały, gdy spoglądała na widownię. Jej głos zabrzmiał teraz łagodniej, wypełniało go to samo współczucie, które Anduin pamiętał z ich pierwszego spotkania.

– Wiem, że niektóre z tych widoków będą straszne i że wielu z was osobiście ucierpiało przez czyny Garrosha. Przepraszam was z głębi serca za ból, jaki muszę wam sprawić. Uważam jednak, że ucierpielibyście jeszcze bardziej, gdybym nie zrobiła wszystkiego, co w mojej mocy, by wymierzyć temu… orkowi… prawdziwą sprawiedliwość. – Ukłoniła się czwórce wyjątkowych istot, których obecność dawała się odczuć w całym pomieszczeniu, choć one same siedziały bez najmniejszego drgnięcia niczym cztery posągi. – Czcigodni Niebianie, jesteście mądrzy i łaskawi. Obie te cechy głęboko szanuję. Namawiam was, byście dali nam ową prawdziwą sprawiedliwość, o której mówię. Byście uznali Garrosha Hellscreama, byłego wodza Hordy, winnym wszystkich odrażających zbrodni przeciwko Azeroth, jego mieszkańcom, jego rasom

i samemu światu. Byście domagali się najwyższej możliwej kary – śmierci. *Shaha lor'ma*… Dziękuję.

Anduin wypuścił oddech; nie miał nawet świadomości, że go wstrzymał. Aplauz był zakazany; w przeciwnym razie na pewno większość widzów klaskałaby i wiwatowała. Garrosh jednak pozostał niewzruszony mocą słów Tyrande.

Kiedy wróciła na swoje miejsce, prosta jak elfia strzała, Taran Zhu skinął głową.

– Dziękuję, chu'shao. Teraz może przemówić obrońca.

Baine nie emanował tą spokojną, zarazem jednak ledwie wstrzymywaną energią co Tyrande. Wstał powoli, z godnością, ukłonił się nisko Czcigodnym Niebianom, a potem odwrócił do widowni.

– Oskarżony, Garrosh Hellscream, nazwał ten proces przedstawieniem. Ponieważ jednak nie chcę, by ktokolwiek inny uznał ten proces za przedstawienie czy też komedię, nie będę obrażał niczyjej inteligencji, twierdząc, że Garrosh Hellscream jest niewinny. Nie będę też ryzykował wzbudzenia pogardy, usiłując was przekonać, że zaledwie pobłądził lub był niezrozumiany. Nie będę prosić o litość dla niego ani o puszczenie w niepamięć zbrodni, o które jest oskarżony. Od razu także rozwieję jedną istotną wątpliwość. – Stał dumnie wyprostowany, jego potężna pierś uniosła się, gdy nabrał powietrza; przypomniał wszystkim, że jest wojownikiem, wodzem i synem wodza. – Garrosh Hellscream zabił mi ojca. Większość z was wie o tym. A mimo to stoję tu i bronię go, bynajmniej nie z upodobania do jego osoby. Dlaczego? Ponieważ, fa'shua Taran Zhu, Czcigodni i wy, mieszkańcy Azeroth, bracia i siostry, tak samo jak wy, ja też pragnę prawdziwej sprawiedliwości, o której tak elokwentnie opowiadała moja czcigodna koleżanka. A także dlatego, że tak trzeba. – Ruszył, patrząc w górę, na widzów, jakby wyzywał ich, by mu zaprzeczyli. – Nie będziemy tacy jak Garrosh wobec nas. Nie postawimy na pierwszym miejscu naszych pragnień czy potrzeb. Nie będziemy myśleli w gorączce gniewu o zabijaniu, o zemście, o odbudowie chwały naszych ras, którą uważamy za utraconą. Jesteśmy ponad to. Jesteśmy lepsi niż on. – Wycelował palec w Garrosha, który siedział z uśmiechem na pełnych kłów ustach. – A ponieważ jesteśmy lepsi, będziemy słuchać, a potem używając rozumu i serca, wydamy wyrok, co do którego przyszłe pokolenia nie będą miały wątpliwości, że był zaprawdę sprawiedliwy.

Baine popatrzył w kierunku miejsc Przymierza. Podchwycił spojrzenie Anduina, potem odszukał wzrokiem Variana i Jainę Proudmoore.

Jaina zmarszczyła brwi, a na jej czole pojawiła się niewielka bruzda. Anduin widywał ten grymas zazwyczaj wtedy, gdy się koncentrowała, teraz jednak zrozumiał, że Jaina nie jest zadowolona ze słów Baine'a.

– Naszym niełatwym zadaniem, moim, Czcigodnych Niebian i wszystkich tu

obecnych, jest zachować zarówno umysły, jak i serca otwarte. Potrzeba nam serc mądrych, a nie złamanych. Jeśli naprawdę nie chcecie, by Garroshowi „uszło na sucho” – takie słowa mnie doszły – jeśli uczciwie pragniecie sprawiedliwości, to musicie go oszczędzić. Jak długo ktoś żyje, tak długo może się zmienić i zacząć naprawiać to wszystko, co przedtem zniszczył. Dziękuję.

Ukłonił się i wrócił na swoje miejsce.

Jego mowa spotkała się z kamiennym milczeniem. Anduin nie był zaskoczony. Powiedzieć, że droga taurena wiodła pod górę, było niedopowiedzeniem; on miał przed sobą prawie pionowe urwisko.

– Zrobimy teraz godzinną przerwę, a po południu zaczniemy od przesłuchania pierwszego świadka – oznajmił Taran Zhu. Uderzył w gong i wstał.

Wszyscy obecni także się podnieśli, a potem zaczęły się rozmowy – gwar podnieconych głosów, niektórych gniewnych, innych radosnych, a wszystkich – co do jednego – wrogich Garroshowi.

Anduin próbował podchwycić spojrzenie Baine’a, ale tauren poszedł porozmawiać z Kairozem; ruchy miał wyważone, a spojrzenie ponure. Książę przyglądał mu się przez chwilę, żałując, że nie może podejść do przyjaciela i przekazać mu słów otuchy. Może innym razem. Spojrzał na Garrosha i zesztywniał.

Ork patrzył prosto na niego.

Wyraz twarzy miał nieprzenikniony. Anduin poczuł, że wilgotnieją mu dłonie i coś ściska pierś. Przed oczami stanęła mu nagle scena konfrontacji z Garroshem.

Uderzenie w Dzwon, przemiana chaosu w harmonię.

To, jak odwrócił się do orka i powiedział mu, co zrobił Młot.

Furia Garrosha.

„Giń, szczenię!”

A potem…

Na ramieniu Anduina spoczęła czyjaś dłoń. Wzdrygnął się i zaczerwienił, kiedy zobaczył, że to tylko jego ojciec.

– Wszystko dobrze? – spytał Varian, a potem podążył wzrokiem za spojrzeniem syna. Mruknął cicho, z niezadowoleniem. – Chodź. Zjemy coś. Nie musisz na niego patrzeć, jeśli nie chcesz.

Mimo że owa wymiana spojrzeń przeszyła ciało Anduina ukłuciem strachu, to książę uświadomił sobie, że właściwie nie przeszkadza mu patrzenie na Garrosha. Słowa Baine’a wciąż rozbrzmiewały echem w jego uszach i sercu, poza tym Garrosh nie spoglądał wyzywająco. Skłonił głowę w geście szacunku, a potem wstał i eskortowany przez strażników wyszedł na swój posiłek.

– Nic mi nie jest, ojcze – rzekł Anduin. – Nie przejmuj się. Słusznie postąpiłeś.

Varian wiedział, o co mu chodzi. Popatrzył za Garroshem i zacisnął usta.

– Teraz nie mam już tej pewności. Wcale a wcale.

Uważali ją za zmarłą i Zela, przywódczyni klanu Smoczej Paszczy, wolała, by tak zostało.

Z początku była zbyt bliska śmierci, by mieć w tej sprawie coś do powiedzenia. Została zestrzelona ze swojego proto-smoka, Galakrasa, podczas Oblężenia Orgrimmaru, i runęła na, zdałoby się, pewną śmierć. Nieoczekiwanie przeżyła upadek. Odniosła ciężkie obrażenia, ale miała silną wolę. Za wszelką cenę zamierzała umknąć śmierci, cisnęła granat dymny, żeby zmylić wrogów i na wpół pobiegła, na wpół pokuśtykała w bezpieczne miejsce, zanim straciła przytomność. Nie czekała, aż wyzdrowieje całkowicie, gnana pewnością, że ocalono ją w konkretnym celu.

A celem tym było uratować Garrosha Hellscreama, który właśnie walczył o życie przed sądem.

Wraz z wieloma Smoczymi Paszczami uszła do opuszczonego teraz Grim Batol, gdzie swego czasu dokonali największych czynów w historii rasy. Tam Zela i inni w tajemnicy odzyskiwali siły. Zela za swoje centrum dowodzenia przyjęła tę samą komnatę, w której wielka Dawczyni Życia, Alexstrasza, była torturowana, by wydawać na świat kolejne czerwone smoki na wierzchowce dla Smoczych Paszcz. Głębokie bruzdy, które cierpiąca smoczyca wyryła pazurami w skale, nadal dodawały Zeli otuchy, podobnie jak widok olbrzymiego łańcucha, który kiedyś przyginał do ziemi czerwony łeb smoczej matrony.

Zelę doszły słuchy, że Horda Vol'jina szukała jej na Wyżynach Zmierzchu i że wyznaczono nagrodę za jej głowę. Nigdy nie pomyśleliby, żeby szukać jej tutaj. Zela była pewna, że przeoczenie to wynikało wyłącznie z faktu, iż Vol'jin był trollem. Ork wiedziałby, że trzeba przeszukać Grim Batol. Tak czy inaczej, nie mogli pozostać tu na stałe. Musieli ruszać w drogę i to niedługo.

Popatrzyła teraz na resztki swojego klanu i poczuła, że serce w niej rośnie.

– Moje Smocze Paszcze – zaczęła. Jej szorstki głos brzmiał ochryple z emocji. – Poszliście za mną przeciwko spaczonemu orkowi Mor'gorowi, który kiedyś nam przewodził, wiedząc, że dumna orkowa rasa nie może być bezczeszczona takim zepsuciem. Poszliście za Garroshem Hellscreamem, którego jedynym celem była Horda silna, czysta i potężna. Za ten sen o prawdziwej Hordzie Garrosh teraz gnije w więzieniu, broniony przez taurena, a o jego losie mają zadecydować pandaryjscy niebianie. Moi tamtejsi szpiedzy donoszą, że wciąż zostało nam kilka dni, by ocalić naszego wspaniałego wodza. – Powiodła wzrokiem od jednego orka do drugiego; wiedziała, że czują to samo,

co ona, a i tak przepełniał ją żal z powodu tego, co nieuniknione. – Jesteście wyszkoleni. Jesteście gotowi. Ale mimo to jest nas niewielu. Tak jak ja wiecie, że możemy ponieść klęskę i że wszyscy możemy zginąć. Ale ja wolę zginąć w walce o szlachetną sprawę, niż dalej się ukrywać, nawet tutaj. Kto ze mną, niech krzyknie!

Podniósł się ryk. Wszyscy orkowie potrząsali bronią, szczerzyli kły i tupali. Zela zaśmiała się okrutnie i zawtórowała ich wojennemu okrzykowi.

– Na przodków! Może jednak zwyciężymy samą wolą i sercem!

W tej samej chwili dostrzegła poruszenie u wejścia. Pospiesznie podbiegł do niej jeden ze zwiadowców, w dłoni miał zwój. Padł jej do nóg, zdyszany.

– Pani… całą drogę biegłem… intruz… kazał przynieść ci to! – Podał jej zwój, trochę zmięty, bo za mocno ściskany.

Warcząc z irytacji – a także chcąc ukryć niepokój – Zela złamała pieczęć i przeczytała:

Bądź pozdrowiona, wodzu!

Głowy przygięły się nisko, ale nie spadły jeszcze z karków. Póki wódz żyje, póty żyje nadzieja w walecznych sercach tych wszystkich, co wierzą w prawdziwą Hordę, taką, jaką była i jaką jeszcze będzie.

Jeśli podzielasz tę nadzieję, jeśli Twoje serce bije na chwałę orkowego ludu, dopuść mnie do siebie i porozmawiajmy. Mogę Ci bardzo pomóc.

Przyjaciel

– Przyjaciel – powtórzyła na głos, patrząc na posłańca. – Ork, jak przypuszczam?

Posłaniec podniósł na nią rozszerzone oczy i żywo pokręcił głową.

– Nie, pani. To… to smok!

7

Go’el wykorzystał przerwę, by oczyścić umysł. Wraz z nim do Pandarii przybyła wilczyca Snowsong i był zadowolony, że ma trochę czasu i może udać się na przejażdżkę i pomyśleć. Wadera, która była jego przyjaciółką przez wiele lat, zestarzała się, więc nie dosiadał jej do bitwy. Wciąż jednak zachowała zdrowie i siłę i w takich rzadkich chwilach oboje cieszyli się porządnym, długim biegiem. Opuścili tereny świątynne i ruszyli krętą drogą, która wiła się wśród surowego krajobrazu, tak bardzo przypominającego Durotar.

Do piersi Go’ela bezpiecznie przypięty był jego synek, Durak. Ciepło ojcowskiego ciała i bicie serca uspokoiło chłopca. Spał głęboko, kiedy Go’el popędził wilczycę do galopu w stronę Beczułki, małej wioski leżącej u podnóża Wichrowego Szlaku. Okruch życia na piersi koił duszę orka, a słodko pachnący wiatr pieścił twarz.

Tyrande powiedziała prawdę. Mogła wygrać proces, nie robiąc nic więcej poza pojawianiem się każdego dnia na sali – pozwalając wyłącznie, by fakty przemówiły za siebie. Ale ta nowa możliwość – pokazywanie zdarzeń z przeszłości – tak, to martwiło Go’ela. Skoro można przekręcać słowa, to obrazy również.

Przypomniał sobie gniewne okrzyki niektórych przedstawicieli Przymierza domagających się postawienia przed sądem całej Hordy. Go’el był pewien, że w takim wypadku jako jeden z pierwszych stanąłby przed sądem za to, że dał Hellscreamowi taką władzę. A wszystko mogło się potoczyć zupełnie inaczej. Go’el chciał, by Garrosh podziwiał swojego ojca, zatem Garrosh go podziwiał – tyle że imponowało mu nie to, co trzeba. A teraz cały Azeroth płacił za to, że Go’el źle ocenił charakter swojego następcy. On sam zastanawiał się, jak wielką winę faktycznie ponosił. Garrosh wyrządził tyle zła – nie tylko tym, którym złamał lub odebrał życie, ale samej Hordzie, której czempionem się

ogłosił. Go'el zmówił krótką modlitwę do żywiołów o szybką sprawiedliwość. Garrosh narobił już dość złego. I zdaniem Go'ela robiłby je dalej, dopóki żył.

Go'el przycisnął Duraka mocniej do piersi. Przeszłości nie można było… nie należało zmieniać. Przyszłość – przeciwnie. A Go'el wiedział, jak wiele – być może wszystko – zależało od tego, co się wydarzy na sądowej sali.

Pochylił się, musnął ustami czubek głowy synka i złożył sobie w duchu przyrzeczenie – zrobi wszystko, co będzie trzeba, żeby ocalić tę przyszłość. Bez względu na cenę.

– Chu'shao, możesz wezwać pierwszego świadka.

Tyrande skinęła głową.

– Wzywam na świadka Velena, Proroka i przywódcę ludu draenei.

Go'el zwarł szczęki. Siedząca obok Aggra, kołysząca na rękach Duraka, gwałtownie nabrała powietrza.

– Miałam lepsze mniemanie o tej elfiej kapłance… – w jej cichym głosie słychać było wyraźne nuty gniewu. – Wygląda na to, że jeśli orki nienawidzą nocnych elfów, to ze wzajemnością.

– Nie wiemy, co zamierza. – Już wymawiając te słowa, Go'el wiedział, że próbuje przekonać zarówno Aggrę, jak i samego siebie.

– Myślę, że możemy dość trafnie zgadnąć.

Go'el milczał.

Patrzył, jak Velen, obcy i niewypowiedzianie stary, ten, który kiedyś okazał serce młodzikowi imieniem Durotan, z wdziękiem i godnością zajmuje miejsce świadka. Był wyższy niż wszyscy draenei, których Go'el miał okazję widzieć, ale wydawał się nieco smuklejszy niż te potężnie umięśnione istoty. Nie miał na sobie zbroi, jedynie stosunkowo prostą, miękką, biało-fioletową szatę, która zdawała się płynąć za nim w powietrzu, kiedy się poruszał. Jego oczy, otoczone siecią głębokich zmarszczek, jaśniały łagodnym odcieniem błękitu. Krótkie wyrostki ze złotymi obrączkami wystawały z brody, białej i sięgającej Velenowi prawie do pasa – przypominała ona Go'elowi grzbiet wielkiej morskiej fali.

Baine także przyglądał się uważnie Prorokowi. Go'el znał go na tyle, by wiedzieć, że tauren właśnie napina mięśnie gotów do ruchu.

Go'el spisał kiedyś historię swoich przodków. Była to niepełna dokumentacja wydarzeń, ponieważ niewielu z żyjących orków dobrze je pamiętało. W ich żyłach płynęła demoniczna krew, podsycała ich nienawiść, utrudniając zarazem jasne myślenie. Kiedy Velen powrócił do Azeroth, jego lud postanowił związać się z Przymierzem, co nie

dziwiło Go'ela, choć przyjął ów fakt z ukłuciem żalu i goryczy. Dopóki w Azeroth nie zagości prawdziwy pokój i wzajemne zaufanie, Go'el nigdy nie będzie miał okazji usiąść z Velenem i wypytać go, tak jak zrobił to jego ojciec. Wiedział też, że choć Przymierze i Horda zjednoczyły się przeciwko Garroshowi, ten właśnie ork sprawił, że taka przyszłość była niemożliwa.

– Proroku Velenie – zaczęła formalnie Tyrande. – W tym miejscu tylko prawda, w tym miejscu zawsze prawda. Oto przykazanie pandareńskich przodków, do których praw się stosujemy, dążąc do równowagi.

– Których praw przestrzegamy – poprawił spokojnie Taran Zhu.

Twarz Tyrande pociemniała lekko.

– Przepraszam, fa'shua Taranie Zhu. Których praw przestrzegamy, dążąc do równowagi. Czy dajesz słowo?

– Daję słowo – odparł Velen bez zwłoki. Jego głos brzmiał nisko, dźwięcznie, a zarazem serdecznie i łagodnie, co słychać było nawet w tych paru słowach. Prorok skrzyżował ręce na kolanach i wyczekująco popatrzył na Tyrande.

– Proroku, jestem pewna, że istoty tu obecne widzą w tobie kogoś, kto był świadkiem zbrodni przeszłości – zaczęła.

Zaczyna się, pomyślał Go'el. Odmaluje nas wszystkich na czarno. Albo na czerwono, plamami krwi rozlanej w minionych latach.

Baine zerwał się na nogi.

– Z całym szacunkiem, protestuję! – zawołał. – Fa'shua, jesteśmy tu po to, by osądzić czyny jednego orka, a nie wszystkich.

– Z całym szacunkiem, lordzie Zhu – odparła Tyrande. – Obrońca wspominał wcześniej o wielkiej miłości Garrosha do jego ludu. Pragnę zaznajomić przysięgłych z historią tegoż ludu. Niebianie wiedzą dużo, ale nie wiedzą o Draenorze, a zrozumienie orkowego myślenia i przeszłości będzie bardzo istotne dla każdej decyzji, jaką mogą podjąć.

– Zgadzam się z oskarżycielką – rzekł Taran Zhu.

Baine, przypłaszczywszy nieco uszy, skłonił głowę, przyjmując decyzję sądu i wrócił na miejsce.

– Dziękuję – powiedziała Tyrande. – Proroku, czy mógłbyś się pokrótce przedstawić?

– Jestem Velen, prowadziłem swój lud najlepiej, jak umiałem, od wielu tysiącleci. Uciekliśmy z Argus, naszej planety, przed Płonącym Legionem. Wieki temu przybyliśmy do Draenoru i uczyniliśmy go naszym nowym domem. Stamtąd, jak na pewno wszyscy wiecie, przyszliśmy tu, do Azeroth.

– Przyjęto was gościnnie w Draenorze? – spytała Tyrande.

– Nie zostaliśmy odrzuceni – odparł Velen. – Orkowie i draenei współistnieli w pokoju przez długi czas.

– Czy można powiedzieć, że draenei i orkowie żyli obok siebie przez wieki, bywało, że handlowali ze sobą i darzyli się wzajemnym szacunkiem?

– Tak, można tak powiedzieć.

Kapłanka spojrzała na Chromię, która skinęła głową i zsunęła się z krzesła. Kairoz obserwował jej poczynania ze swojego miejsca.

– Jeśli sąd pozwoli, chcę zaprezentować pierwszą Wizję Velena.

Chromia wskoczyła na stół. Wielkość wybranej przez nią postaci uniemożliwiała jej dosięgnięcie Wizji Czasu w inny sposób. Nikt jednak nie śmiał drwić ze smoka, nawet jeśli smok ten wyglądał sympatycznie i zabawnie. Chromia poruszyła swoimi małymi dłońmi ze zręcznością gnoma, w którego lubiła się wcielać.

Smok oplatający górną kulę Klepsydry nagle otworzył ślepia.

Przez salę przeszedł cichy pomruk zaskoczenia. Smok podniósł głowę, otrząsnął się jakby po drzemce i wyciągnął przednie łapy, chwytając nimi dolną kulę. Piasek w górnej zalśnił złoto, tak samo jak ślepia magicznej istoty. Posypał się do dolnej, której strażnik wciąż tkwił nieruchomo, wciąż pozostawał martwą figurą z brązu.

Oczy Chromii również zalśniły. Używając magii wyjątkowej dla jej rodu, rozłożyła małą dłoń. Uniosło się z niej pasmo mgły o barwie piasku, popłynęło na środek amfiteatru, tam zaś zaczęło splatać się w pętle niczym wąż, raz za razem. I nagle we mgle pojawiły się wyraźne kształty. Formy wypełniły się kolorem, jaśniejący odcień brązu ustąpił miejsca prawdziwym barwom powiększonych postaci.

Dwaj młodzi orkowie o brązowych skórach pokrytych potem i kurzem stali z rozchylonymi ustami i szeroko otwartymi oczami. Wpatrywali się w wojownika draenei, odzianego w błyszczącą, płytową zbroję. Wojownik wyglądał na zatroskanego, chłopcy mieli wstrząśnięte miny, ale nie było po nich widać strachu.

Go’el wiedział, kim muszą być ci dwaj.

Zalała go fala wspomnień – zdumienie i duma, które poczuł, kiedy od Drek’Tara dowiedział się o swoim prawdziwym dziedzictwie. Radość ze „spotkania” swoich rodziców w jednej z alternatywnych historii wadliwego strumienia czasu i ból, kiedy był zmuszony patrzeć, jak umierają. Teraz, sam już będąc rodzicem, błądził chciwie wzrokiem po chłopięcych rysach ojca. Odwrócił się, by przytulić własnego syna, i zorientował się, że Aggra już kładzie mu malca w ramiona. Ich spojrzenia się spotkały; popatrzyli sobie w oczy przez chwilę pełną niewypowiedzianej miłości i zrozumienia, a potem Go’el, tuląc Duraka, znów popatrzył na Wizję.

– Proroku – odezwała się Tyrande – czy możesz powiedzieć sądowi, co tu widzimy?

Velen westchnął i nieco się przygarbił.

– Mogę – odparł melancholijnym tonem. – Choć nie byłem osobiście świadkiem tej chwili, rozpoznaję tę trójkę.

– Kim oni są?

– Draenei był moim drogim przyjacielem. To Restalaan, kapitan straży Telmoru. Młodzi orkowie to Orgrim, później znany jako Doomhammer, Zgładziciel, oraz Durotan, syn Garada.

– Czy takie spotkania były czymś częstym?

Velen pokręcił głową.

– Nie. To było pierwsze. Handlowaliśmy z orkami, ale nigdy nie widywaliśmy ich dzieci.

– A co doprowadziło do tego spotkania?

– Chłopcy uciekali przed ogrem, a grupa draenei przyszła im z pomocą. Mój kapitan straży, Restalaan, był pod wielkim wrażeniem, gdy zorientował się, że chłopcy pochodzą z różnych klanów, a mimo to się przyjaźnią. Znaliśmy orkowe zwyczaje na tyle, by wiedzieć, że to niespotykane. Było już za późno, żeby bezpiecznie odesłać ich do domu, więc Restalaan posłał gońców z wiadomością do ich klanów i zaprosił chłopców w gościnę do rana. Uważał, że mogę być zainteresowany spotkaniem z nimi. Byłem. Zjadłem z nimi kolację i przekonałem się, że są inteligentni i mają dobre charaktery.

Go'el przypomniał sobie, jak Drek'Tar opowiadał mu o tym spotkaniu. Stary ork nie był jego świadkiem, ale znał szczegóły z opowiadań. Go'el cieszył się, że Drek'Tara nie ma z nimi, że nie może przeżyć jeszcze raz tej chwili z przeszłości, zanim nadeszła tak wielka ciemność.

– Czy miasto, o którym mówisz, Telmor, łatwo było znaleźć?

– Nie – odparł Velen. – Było ukryte za pomocą magii i technologii. Chłopcy nigdy by go nie znaleźli, gdybyśmy ich nie zaprosili.

– Za pozwoleniem sądu, chciałabym przedstawić drugą wizję Velena.

Tyrande skinęła głową Chromii. Ręce smoczycy wyglądały, jakby miała na nich rękawiczki utkane ze światła barwy miodu. Wykonała nimi gest. Oglądana scena zniknęła, zastąpiona przez inną. Piaski Czasu w Klepsydrze znów zaczęły się przesypywać, ziarenko po świecącym ziarenku, a przed oczami Go'ela ożyło następne wydarzenie.

– Oto jesteśmy – powiedział widmowy Restalaan. Zsiadł z granatowego talbuka i uklęknąwszy, począł rozgarniać liście i igliwie, jakby czegoś szukał. W końcu odsłonił piękny, zielony kryształ i położył na nim ostrożnie dłoń.

– *Kehla men samir, solay lamaa kahl.*

Otaczający ich las zaczął migotać. Przez chwilę Go'el sądził, że to Wizja Czasu się

popsuła, ale niemal natychmiast uświadomił sobie, że trzy postacie wciąż widać wyraźnie. Młody Durotan głośno westchnął. Migotanie się nasiliło, a potem w miejscu gęstej puszczy pojawiła się nagle szeroka, brukowana droga, wiodąca na zbocze góry.

– Jesteśmy w sercu kraju ogrów, chociaż nie było ich tu, kiedy przed wielu laty wznoszono miasto – rzekł Restalaan, wstając. – Jeśli ogry nas nie widzą, nie mogą nas zaatakować.

– Ale… jak? – spytał Durotan.

– To prosta iluzja, nic więcej. Sztuczka… ze światłem. Nie zawsze możemy wierzyć własnym oczom. Za każdym razem wydaje nam się, że to, co widzimy, jest prawdziwe; że światło zawsze tak samo wszystko ukazuje. Ale światłem i cieniem można manipulować, kierować nimi, jeśli się je rozumie. Wymawiając te słowa i dotykając kryształu, zmieniłem sposób, w jaki światło pada na kamienie, drzewa, na całą okolicę. W ten sposób wasze oczy widzą coś zupełnie innego, niż wam się poprzednio wydawało – zaśmiał się serdecznie draenei. – Chodźcie, moi nowi przyjaciele. Chodźcie tam, gdzie nigdy nie było nikogo z waszego ludu. Przejdźcie się drogami mojego domu.

Scena znieruchomiała i zniknęła. Ziarenka przestały się osypywać. Smok wrócił do pierwotnej pozycji, zamknął świecące oczy i na powrót stał się zwykłą ozdobą. Drugi jednak, ten, który oplatał dolną kulę, obudził się i przeciągnął, a potem oparł obronnym gestem łapy o przedmiot, którego strzegł.

– Restalaan zdradził Durotanowi i Orgrimowi tajemnicę, w jaki sposób draenei chronili swoje miasto. Czy chłopcy zachowali to dla siebie? – spytała cicho Tyrande.

Go’el znał odpowiedź.

– Nie – odparł Velen z bólem.

– Co się stało?

Draenei westchnął głęboko. Spojrzał na przedstawicieli Hordy i odszukał wzrokiem Go’ela. Kiedy się odezwał, brzmiało to, jakby mówił tylko do syna tamtego małego chłopca, którego kiedyś ugościł, a nie do licznej publiczności.

– Wiele lat później orkowie zostali zwiedzeni przez Ner’zula, a potem zdradzeni przez Gul’dana. Wierzę, że Durotan czuł wielkie wyrzuty sumienia…

Tyrande uśmiechnęła się łagodnie.

– Twoje współczucie jest godne podziwu, Proroku – przerwała Velenowi – ale proszę, przedstaw po prostu fakty.

Aggra była wstrząśnięta i zła.

– Nie pozwala mu nawet powiedzieć, co myśli! Dlaczego Baine nie protestuje?

Baine milczał, ale uszy miał płasko położne na głowie. Go’el nie miał wątpliwości, że to wyraz niechęci taurena, jaką budziły w nim słowa przeciwniczki.

– Bo Tyrande ma rację. Baine będzie miał swoją kolej, ukochana. Nie martw się.

Ale Go’el nie mógł zaprzeczyć, że podziela gniew i oburzenie swej partnerki.

Velen skinął głową.

– Dobrze. Fakty są takie, że Durotan wiele lat później poprowadził armię orków na Telmor.

– Dziękuję – powiedziała Tyrande. Odwróciła się do zgromadzonych, jej spojrzenie omiotło widownię i spoczęło na czwórce niebian. – Muszę uprzedzić sąd, że sceny, jakie zobaczycie, będą okrutne i odbiorą wam spokój. Ale tak to zwykle bywa, gdy dochodzi do zdrady i rzezi.

Baine znów nie zaprotestował. Go’el z goryczą zrozumiał powód – Tyrande ponownie miała słuszność.

Trzeba było jej jednak przyznać, że nie wyglądała na zadowoloną z tego, co zamierzała zrobić.

– Przedstawiam trzecią Wizję Velena. Zdobycie Telmoru przez orków.

Znów posypały się ziarna piasku w Wizji Czasu, pojawiła się kolejna scena. Go’el ujrzał dorosłego Durotana. Przywódca klanu Mroźnych Wilków miał na sobie zbroję przekazywaną z wodza na wodza przez dziesięć pokoleń. Jego syn natychmiast ją rozpoznał, choć sam nigdy jej nie widział. Skonstruowana była z ciężkich płyt połączonych łańcuchami, przyozdobiona malunkiem dwóch białych wilków stojących naprzeciw siebie. Powinna być moja, pomyślał Go’el. Któregoś dnia miała należeć do Duraka, gdyby los pozwolił.

Ale los postanowił inaczej. Zbroja zniknęła w odmętach czasu; Orgrim uważał, że została skradziona lub zniszczona przez żywioły. Zaś sam Go’el doczekał dorosłości jako więzień ludzi. Horda, zwłaszcza pod rządami Garrosha, miała dużo na sumieniu, ale Przymierze nie było bez winy.

Durotan i kilku innych przyodzianych do bitwy orków stało w tym samym „lesie” co w poprzedniej Wizji. Orgrim, wyglądający tak, jak go Go’el zapamiętał, stanął u boku przyjaciela, patrząc, jak Durotan szuka czegoś na ziemi. Go’el wiedział – był przekonany, że wszyscy wiedzą – czego.

Durotan wstał, trzymając w dłoni wspaniały klejnot szmaragdowej barwy.

– Znalazłeś go – rzekł Orgrim.

Durotan skinął głową i podniósł wzrok na twarze towarzyszy.

– Na pozycje! – rozkazał Orgrim pozostałym. – Mieliśmy szczęście, że obyło się bez ostrzeżenia.

Durotan wahał się przez chwilę, a potem wypowiedział zabójcze słowa.

– *Kehla men samir, solay lamaa kahl*.

Iluzja chroniąca Telmor powoli się rozwiała, ukazując szeroką, brukowaną drogę ciągnącą się w dal niby spaczone zaproszenie.

W jednej chwili cała arena zmieniła się w pole bitwy. Skala wizji była olbrzymia, prawie przytłaczająca – dosiadające opancerzonych wilków orki z bronią w ręku runęły do ataku z bojowym okrzykiem. Wizja skupiła się na nich. Wielkie bestie, na których jechali, dodały własne wycie do kakofonii wrzasków. Spowita tumanem kurzu pędząca grupa stanowiła brutalny kontrast z sielskim spokojem miasta. Wizja ukazała serie pojedynczych obrazów. Garstka draenei, którzy stanęli jak wrośnięci w ziemię, zbyt zaskoczeni, by uciekać czy się bronić. Miecze i topory, zrąbujące rogate głowy z karków tak szybko, że z błękitnych twarzy nie zdążało zniknąć zdumienie. Granatowa krew bryzgająca naokoło, plamiąca zbroje i brązową skórę, zlepiała wilcze futro i odbijała się na ziemi tropem wilczych łap.

Do upiornego chóru śmierci dołączyły krzyki pełne grozy oraz błagania w śpiewnym języku draenei. Banda Durotana pędziła naprzód, za szeregami wojowników sunęli czarnoksiężnicy zasypujący zbiorowiska przerażonych, bezbronnych draenei ogniem, cieniami i klątwami.

Część orków zboczyła do budynków, ścigając tych, którzy lekkomyślnie szukali tam schronienia. Kilka chwil później wojownicy wyłonili się zbryzgani krwią, zbiegli po schodach w poszukiwaniu następnych ofiar.

Teraz jednak mieszkańcy Telmoru mieli już obrońców. Strażnicy draenei odpowiedzieli czarami wykraczającymi poza pojmowanie ich wrogów. Srebrzystobiałe, lazurowe i lawendowe światło skontrowało brudnożółte rozbłyski magii czarnoksiężników. Uniemożliwiło to obserwowanie bezpośrednich starć, ale Go’el nie spuszczał wzroku z ojca. Jakby podążając za jego spojrzeniem, Wizja również skupiła się na Durotanie i jego przeciwniku, który właśnie zaatakował go mieczem rozjarzonym błękitną energią.

Restalaan.

Draenei wykrzyknął coś, czego Go’el nie zrozumiał, chwycił Durotana i ściągnął go z wierzchowca. Zaskoczony ork nie zareagował w porę i runął na ziemię. Kiedy sięgnął po topór, Restalaan zamachnął się mieczem.

Czarny wilk Durotana rzucił się na ratunek swojemu jeźdźcowi, chwycił potężnymi zębami ramię draenei. Miecz wypadł z dłoni Restalaana, a topór Durotana sięgnął celu, rozrąbując zbroję i ciało. Draenei padł na kolana, wilk zacisnął mocniej szczęki, z rany po toporze bluznęła krew. Ork uderzył po raz drugi, skracając straszliwą bez wątpienia mękę przeciwnika. I tak zginął Restalaan, który okazał Durotanowi przyjaźń i zdradził mu tajemnicę miasta.

Go’el myślał, że to będzie koniec krwawego pokazu; że Tyrande udowodniła to, co

chciała udowodnić. Ale gdy na nią spojrzał, stała z rękami ciasno skrzyżowanymi na piersi, ze wzrokiem utkwionym w strasznych obrazach, które sąd oglądał na jej polecenie. A rzeź trwała dalej.

Go’el uświadomił sobie z przerażeniem, że śmierć Restalaana, choć sama w sobie okrutna, była tylko preludium do tego, co Tyrande miała w zanadrzu.

8

Trupów było tak dużo, że orkowie potykali się o nie, pędząc ku nowym ofiarom. Walczono w zwarciu; Durotan, zakrwawiony tak samo jak wszyscy jego towarzysze, ciął, dźgał i walił szybko i celnie. Okrucieństwo bitwy było tak rzeczywiste, że kiedy Go'el zobaczył, co się zaraz wydarzy, wykrzyknął ostrzegawczo. Nie on jeden.

Ktoś zaatakował walczącego orka. Go'el, nie wiedząc, co się stanie, patrzył z bezsilną grozą.

Dziewczynka była jeszcze prawie dzieckiem, jej ciało zdradzało zaledwie zaczątki kobiecych krągłości, którym nie dane było w pełni rozkwitnąć.

To dzięki szkoleniu Durotan zdołał uniknąć przerąbania jej na pół, zrozumiał Go'el. Wiedział, jakiego wymagało to wysiłku i jakich umiejętności, czuł, jak jego własne mięśnie się napinają, gdy Durotan zmieniał tor cięcia topora. Dziewczynka natomiast nie próbowała się pohamować i rzuciła się na potężnego, opancerzonego orka, zaczęła bić go po masywnej nodze gołymi piąstkami. To, jak rzuciła się w wir walki, choć wiedziała, że czeka ją jedynie śmierć, było jednym z największych aktów odwagi, jakie Go'el kiedykolwiek widział.

Durotan jednak nie powalił dziecka draenei. Go'el wiedział, że ojciec nigdy nie zrobiłby czegoś takiego. Uczynił to ktoś inny. Ork poczuł pod powiekami pieczenie od łez, kiedy dziewczynka znieruchomiała i szeroko otworzyła świecące oczy, a z jej ust popłynął strumień krwi. Została przebita z tyłu. Jej zabójca pchnął włócznię w bok i ciało runęło na ziemię. Ork przydepnął wciąż drgające zwłoki butem i wyszarpnął broń, szczerząc się w uśmiechu do przerażonego Durotana.

– Masz u mnie dług, Frostwolfie – powiedział ork ze Strzaskanych Dłoni.

Przez chwilę Wizja pokazywała zamordowane dziecko, a potem wszystko zgasło.

Tymczasem Go'el ujrzał we wspomnieniach inną scenę. Niedawno uciekł spod buta swojego „pana", Aedelasa Blackmoore'a, i był poddawany próbom przez klan Wojennej Pieśni. Przyprowadzono doń ludzkiego chłopca – jeszcze młodszego niż tragicznie poległa dziewczynka draenei.

„Wiesz, co to jest – powiedział wtedy Iskar. – To nasi naturalni wrogowie… Zabij to dziecko, zanim ono dorośnie na tyle, żeby zabić ciebie".

„To tylko dziecko!" Przerażony, mały chłopiec. Serce Go'ela zabiło szybciej na to wspomnienie.

„Jeśli tego nie zrobisz… możesz być pewien, że nie wyjdziesz żywy z tej jaskini".

„Wolę umrzeć, niż splamić swój honor takim okrucieństwem".

A Hellscream – Grom Hellscream, najdzikszy, najokrutniejszy z orków, ojciec Garrosha – poparł tę decyzję.

„Zabijałem w przeszłości ludzkie dzieci – powiedział do Iskara. – Ale walcząc w ten sposób, straciliśmy wszystko, co mieliśmy, i gdzie nas to zaprowadziło? Jesteśmy upodleni i pokonani, nasz lud koczuje w obozach i nie próbuje nawet uwolnić sam siebie, a co dopiero walczyć za innych. Właśnie taki sposób wojowania jest temu winien".

Tyrande robiła dokładnie to, czego Aggra i Go'el się lękali – przekręcała prawdę. Zamordowanie małej dziewczynki z zimną krwią – orkowie tacy nie byli.

Ale nie dano im wytchnienia od zgrozy. Prawie natychmiast pojawiła się następna scena. Było jasne, że dzieje się to później tego samego dnia. Orkowie byli zbrukani granatową krwią. Piękne niegdyś komnaty, w których stali, zostały złupione, wszędzie walały się szczątki krzeseł i innych przedmiotów.

– Co z draenei, których złapiemy żywcem? – zapytał ktoś Durotana.

– Zabić ich – odparł ten szorstkim głosem. – Zabić wszystkich.

Obraz znieruchomiał i powoli zblakł. Piasek w Klepsydrze przestał się sypać.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia, lordzie Zhu.

Tyrande, z wysoko uniesioną głową, zaciskając zęby w ledwie maskowanym gniewie, wróciła na swoje miejsce w amfiteatrze, a widownia trwała w absolutnym milczeniu.

Anduin gapił się z rozdziawionymi ustami. Znał oczywiście tę historię. Wiele osób ją znało, lepiej lub gorzej, a żyjąc tak długo wśród draenei, książę poznał ją lepiej niż inni. Teraz jednak zrozumiał, jak bardzo go oszczędzono, nie zdradzając osobistych wspomnień z tamtego mrocznego dnia. Dłonie lepiły się Anduinowi od potu. Zauważył też nagle, że drżą.

Velen wyglądał, jakby się postarzał, posmutniał. Anduin zdał sobie sprawę, że nawet w tej chwili wielkoduszny Prorok opłakuje zarówno zabitych draenei, jak i orków, którzy byli sprawcami tej rzezi. Książę żył wśród nich dość długo, by to zrozumieć. Ofiary zginęły niewinnie. Orkowie musieli żyć z konsekwencjami swoich czynów.

– Uchroniłbym cię przed wojną, gdybym mógł, synu. – Usłyszał głos ojca. Na twarzy Variana malowało się ponure współczucie. – To paskudna rzecz. A to, co właśnie widzieliśmy, to wojna w swojej najgorszej odsłonie.

Anduinowi za bardzo zaschło w ustach, by mógł odpowiedzieć ojcu. Zgadzał się, że wojna jest paskudna, ale to, co widzieli, nie było wojną. Wojnę toczyły dwie strony, równie silne, uzbrojone, przygotowane. Tego, co wydarzyło się w Telmorze, nie można było określić tym mianem. To było ni mniej ni więcej jak masakra niewinnych. Wciąż nieco oszołomiony książę popatrzył ku przedstawicielom Hordy, ale wszyscy, nawet orkowie, mieli ponure miny. Choć niekoniecznie okrucieństwo ich poruszyło – w masakrze nie było po prostu „chwały". Nieuzbrojoną ludność mógł wyrżnąć każdy.

Baine odczekał chwilę, potem powoli wstał. Z szacunkiem skłonił głowę.

– Jestem pewien, że to, co widziałeś, sprawiło ci ból, Proroku, i żałuję, że oskarżycielka uznała tak wyraziste obrazy za konieczne.

– Z całym szacunkiem, protestuję! – krzyknęła Tyrande.

– Zgadzam się z oskarżycielką. Obrońca powstrzyma się na przyszłość od sugerowania świadkowi, co ten czuje.

– Oczywiście, fa'shua. Wyraziłem się pochopnie. Przepraszam. Czy możesz nam powiedzieć, Proroku, co myślisz o tym, co właśnie obejrzeliśmy?

– Nie ma potrzeby przepraszać. Jeśli włożyłeś w moje usta jakieś słowa, chu'shao Bloodhoofie, to tylko takie, które sam bym wybrał – odparł Velen. – Istotnie, był to bolesny widok.

– Czy możesz powiedzieć sądowi, co dokładnie sprawiło ci ból?

– Śmierć niewinnych, i dzieci wśród nich, oczywiście.

Baine pokiwał głową.

– Naturalnie. To wszystko?

– Nie. Ból sprawia mi także przypomnienie, że ktoś z natury szlachetny i prawy został zmuszony do zachowania się wbrew sobie przez swoich przełożonych.

– Masz na myśli Durotana?

– Tak.

– Uważasz, że ta rzeź nie sprawiła mu przyjemności?

– Z całym szacunkiem, protestuję – przerwała mu Tyrande. – Świadek nie może wiedzieć, co Durotan myślał.

Baine się tego spodziewał, bo niewzruszony odwrócił się do Tarana Zhu.

– Jeśli sąd pozwoli, chciałbym pokazać fragment tego, co oskarżycielka uznała za materiał dowodowy; pewien moment, którego Tyrande nie zdecydowała się pokazać.

– Proszę – zgodził się Taran Zhu.

Baine skinął głową Kairozowi. Spiżowy smok wstał, górując nad Chromią, i zręcznymi ruchami palców tchnął życie w piasek. Nad areną znów pojawił się Durotan, jego wilk, młoda draenei i jej morderca, uchwyceni w tej strasznej chwili, z krwią bryzgającą z ust dziewczynki i włócznią przebijającą jej ciało.

Anduin chciał odwrócić wzrok, ale powstrzymał się wysiłkiem woli. Do czego zmierzał Baine?

Postaci ożyły, dziewczynka padła w konwulsjach, ork wyszarpnął włócznię.

– Masz u mnie dług, Frostwolfie – warknął.

Tyrande przerwała w tym momencie, przeszła od razu do okrutnego wyroku Durotana: „Zabić ich… zabić wszystkich”.

Teraz jednak każdy mógł zobaczyć wyraz zgrozy na twarzy Durotana, patrzącego na zamordowane dziecko. Każdy mógł też usłyszeć jego przeciągłe, ochrypłe wycie rozpaczy, wściekłości i smutku. Ork z klanu Mroźnych Wilków podniósł głowę.

– Stop – warknął Baine. – Tutaj.

Na brązowej twarzy lśniły łzy. Wszyscy wiedzieli, jak rzadko orkowie płaczą. Pełne kłów usta Durotana były rozwarte w bezgłośnym teraz zawodzeniu. Na arenie też zapadła cisza.

Obraz zblakł. Po długiej chwili Baine odezwał się.

– Czy możesz powiedzieć sądowi, Proroku, co dziś sądzisz o orkach?

– Z całym szacunkiem, protestuję – rzekła Tyrande.

– Przychylam się do prośby obrońcy – powiedział Taran Zhu. – Świadek może odpowiedzieć.

Velen się nie spieszył, a kiedy znalazł właściwe słowa, głos łamał mu się ze smutku.

– Cieszę się, że przezwyciężyły klątwę wypitej krwi Mannorotha.

– Wiesz, kto uwolnił orki od tej klątwy?

– Grom Hellscream, ojciec Garrosha – odparł Draenei.

– Twierdzisz więc, że każdy może się zmienić – ciągnął Baine. – Nawet Grom Hellscream.

– Wierzę w to całym sercem.

– Nawet Garrosh Hellscream? – nie ustępował Baine.

– Z całym szacunkiem, protestuję! – zawołała Tyrande po raz czwarty. – Obrońca znów kieruje świadkiem.

Baine spokojnie odwrócił się do Taran Zhu.

– Fa'shua, oskarżycielka sama wprowadziła ten tok rozumowania zaprezentowanymi dowodami – powiedział.

– Zgadzam się z oskarżycielką – odparł Taran Zhu. – Obrońco, zabraniam nakłaniać świadka do spekulacji. Możesz zapytać inaczej.

Baine skinął głową.

– Podsumowując więc, z twojego doświadczenia, orkowie zmagali się z ogromnymi przeciwnościami i przezwyciężyli je. Czy zmienili się przy tym?

– Tak – rzekł Velen. – Wiem lepiej niż inni, jak potężny potrafi być demoniczny wpływ.

Jego głos zabrzmiał bardzo staro i smutno.

– Nie mam więcej pytań – oznajmił Baine.

Tyrande jednak miała. Z chłodnym niemal wyrazem na pięknej twarzy podeszła do draenei, którego sama wezwała na świadka.

– Mam jeszcze tylko jedno pytanie, Proroku. I odpowiedz, proszę, jak najprościej, bez dodawania swojej opinii. Czy Durotan i inni byli pod wpływem krwi Manorotha, kiedy spadli na Telmor?

– Nie.

– Mieli wolną wolę? Durotan miał wolną wolę i moc podejmowania decyzji?

Odpowiedź padła z ociąganiem.

– Tak.

Tyrande nie zdołała powstrzymać tryumfalnego spojrzenia.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Taran Zhu zarządził godzinną przerwę, mądrze wyczuwając, że widzowie muszą wyjść z sali i odetchnąć po tym, co widzieli, w przeciwnym bowiem razie następni dołączą do zatrzymanych do końca procesu.

Anduin przeprosił Jainę, Kaleca i ojca, twierdząc, że musi rozprostować nogi, wciąż jeszcze nie całkiem wyleczone, i odetchnąć świeżym powietrzem. Tak naprawdę chciał uciec. Przerwa była zbyt krótka, by zdążył wrócić do swojego ulubionego zakątka Pandarii, Wybryku Murarza. Dawno temu kamieniarze starannie wykuli wysokie schody, prowadzące donikąd, nie licząc wspaniałego widoku. Nikt nie wiedział, jakie było ich pierwotne przeznaczenie. Anduinowi bardzo podobała się idea schodów prowadzących tylko do piękna, to miejsce miało nań uspokajający wpływ. Teraz musiał się zadowolić urwiskiem na terenie świątyni, z dala od jej głównej części.

Był to niewielki skalny cypel w miejscu zazwyczaj zastrzeżonym dla mnichów i Mistrza Lao. Na czas procesu poproszono ich, by wraz z grumlem kowalem o imieniu Black Arrow za dnia trzymali się z dala od świątyni, Anduin znalazł tam więc samotność, której pragnął.

Górskie powietrze było rześkie i ożywcze. Buty Anduina zostawiały ślady w rzadkim śniegu. Punkt widokowy otaczały grube łańcuchy, chroniące nieostrożnych przed upadkiem. Na zachodzie wznosiły się góry w śnieżnych czapach; ich stare, masywne szczyty spowijały chmury i mgła. Na wschodzie Anduin dostrzegł dwie mniejsze pagody otoczone drzewami wiśni i strzeżone posągiem wielkiego Xuena.

Widok na wprost, na południe, niczym obraz prawdziwego mistrza, ukazywał zarówno spokój świątyni, jak i bezmiar Pandarii. Nie po raz pierwszy Anduin poczuł przypływ opiekuńczych uczuć; zastanawiał się, dlaczego obce mu miejsce, tak bardzo przypominało dom.

– Pragniesz samotności, czy mogę się przyłączyć?

Jedwabisty, młodzieńczy głos z tyłu zabrzmiał znajomo. Anduin uśmiechnął się i odwrócił do Wrathiona stojącego w łuku wejścia.

– Oczywiście, że możesz, choć wątpię, czy będę dobrym towarzyszem.

– Arcykapłanka Whisperwind, czy raczej, powinienem powiedzieć, chu'shao Whisperwind, miała mocne wejście – rzekł Wrathion, stając obok księcia. Z dłońmi splecionymi za plecami zapatrzył się w dal, jakby widok ów faktycznie go interesował. Anduin wiedział, że to tylko poza.

– Owszem – odparł.

– A mimo to nie mówi nam nic nowego – ciągnął Wrathion. – Wszyscy i tak już nienawidzą Garrosha. Po co przywoływać coś, co wydarzyło się jeszcze przed jego narodzinami? To dziwaczna taktyka.

– Niekoniecznie – rzekł Anduin. – Tyrande pokazuje nam, że orkowie nie mogą się zasłaniać wyjaśnieniem: „bo piliśmy krew demona". Garrosh jest całkowicie nieskażony – przynajmniej tym.

Garrosh z pewnością był skażony żądzą władzy i nieczułością na cierpienie innych, tak bezbrzeżną, że Anduin nie potrafił sobie jej nawet wyobrazić.

– A przecież zrobił tyle strasznych rzeczy – zadumał się Wrathion, marszcząc brwi i w zamyśleniu gładząc krótką brodę. – Mimo wszystko jednak… wrzucanie całej rasy do jednego worka obróci się przeciwko niej. Tu potrzeba kontekstu.

– Ty zawsze uważasz, że potrzeba kontekstu.

Pełna irytacji uwaga wymknęła się Anduinowi z ust, zanim zdążył się pohamować. Splótł ciasno ramiona i zadrżał. Arenę ogrzewały specjalne piece i ciepło ciał; a on

wychodząc, zapomniał płaszcza. Zrozumiał, że scena z zamordowaną dziewczynką wzburzyła go bardziej, niż mu się zdawało.

Wrathion tylko się zaśmiał. Jego oddech parował w zimnym powietrzu.

– To dlatego, że mam rację. Nic nie jest niezmienne. Dzisiejszy sprzymierzeniec jutro może być wrogiem. – Zamaszystym gestem wskazał góry. – Nawet sama ziemia się zmienia. Ogień płonie, a potem przygasa do węgli. Powietrze jest nieruchome, a potem skręca się w trąbę powietrzną, oceany i rzeki są w nieustannym ruchu. Nie ma czegoś takiego jak jedna niepodważalna prawda.

Anduin zacisnął usta. Wrathion nie miał racji. Nie mógł jej mieć. Pewne rzeczy były uniwersalne, niezmienne. Inne – zawsze złe. Na przykład mordowanie niewinnych.

– Skoro nic nie jest pewne, jak można zbudować cokolwiek trwałego? – spytał książę. Zabrzmiało to, wbrew jego intencji, jak umęczona skarga.

– Są stopnie trwałości – odparł Wrathion. – I skała, i woda mogą się przemieścić, jeśli spróbujesz postawić na nich dom, ale masz o wiele mniejszą szansę na kąpiel, jeśli wybierzesz za fundament tę pierwszą.

Anduin przez chwilę milczał. W głowie miał prawdziwą gonitwę myśli – wszystkie nieprzyjemne, wszystkie poważne. W końcu odwrócił się do księcia smoków.

– Wrathionie? – spytał cicho. – Czy uważasz, że jesteśmy przyjaciółmi?

Wrathion wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem i Anduina nieco to rozbawiło. Smok przekrzywił głowę w turbanie i wydął usta, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Tak – odrzekł w końcu. – A przynajmniej na tyle, na ile mogę mieć przyjaciela.

Anduin uśmiechnął się smutno, słysząc to zastrzeżenie.

– W takim razie… czy możemy po prostu… postać tu przez jakiś czas w milczeniu? Jak przyjaciele?

– Ależ oczywiście – zgodził się Wrathion.

I tak zrobili.

9

– Powiedz proszę, jak się nazywasz i czym się zajmujesz – rzekła Tyrande.

Drugi świadek, którego wezwała, był orkiem. W średnim wieku, krępym, o niezwykłej, bladozielonej skórze. Nosił krzaczastą, czarną brodę, być może chcąc zrównoważyć całkowicie łysą głowę.

– Jestem Kor’jus, hoduję i sprzedaję grzyby w Orgrimmarze.

– Jak nazywa się twój sklep i gdzie się znajduje?

– Nazywa się Dark Earth, jest w Szczelinie Cienia.

Tyrande zaczęła iść, czy raczej sunąć – z takim wdziękiem się poruszała. Skrzyżowała ręce na piersi, ściągnęła brwi w wyrazie skupienia.

– Dark Earth – powtórzyła z przesadnym dramatyzmem. – Szczelina Cienia. Brzmi to dość złowrogo. A może… jak coś zakazanego. Coś, co mogłoby przyciągnąć niechcianą uwagę wodzów Hordy.

Powiedziała to prawie napastliwym tonem i Kor’jus się nastroszył.

– Moje grzyby trafiły na stoły dwóch wodzów – warknął. – Do niedawna tylko taką uwagę mi poświęcali.

– Jeśli sąd pozwoli, chciałabym pokazać przysięgłym wydarzenie, o którym mówi Kor’jus.

Chromia znów aktywowała Wizję Czasu, ukazując Kor’jusa zbierającego na klęczkach grzyby. Był odwrócony plecami do drzwi i skupiony na pracy, nie zobaczył więc wchodzących, którzy podnieśli zasłonę, ale najwyraźniej ich wyczuł, zmarszczył bowiem brwi i się odwrócił.

– Zatrzymaj tu, proszę – poleciła Tyrande i Chromia zatrzymała scenę. – Kor’jusie,

możesz nam, proszę, powiedzieć, kim są ci orkowie?

– Tylko jednego znałem z imienia, ale wszyscy należeli do Kor'kronu. Ork z trzema palcami u jednej ręki i z blizną na twarzy to Malkorok Blackrock. A przynajmniej to był Malkorok.

Identyfikacja była konieczna tylko jako formalność; większość zebranych rozpoznała nieżyjącego przywódcę Kor'kronu. Szaroskóry, pokryty czerwonymi, wojennymi malunkami, Malkorok dla wielu był wcieleniem tego co najgorsze w orkach z Czarnej Skały. O tak, był rozpoznawany. Znienawidzony.

– Dziękuję. Chromio, kontynuuj proszę.

– Przeczytajcie wywieszkę – powiedział Kor'jusa w Wizji. – Sklep do jutra zamknięty.

Zacisnął dłoń na małym nożu, którego używał.

– Nie przyszliśmy tu po grzyby – rzekł Malkorok cicho. Wraz z czterema innymi orkami wszedł do środka. Jeden z nich zaciągnął zasłonę w wejściu. – Przyszliśmy po ciebie.

Dopiero teraz na twarzy Kor'jusa zagościła niepewność.

– Co takiego zrobiłem? – spytał. – Jestem uczciwym kupcem. Na pewno nie było na mnie żadnych skarg. Sam wódz Garrosh jada moje grzyby!

– To właśnie ze względu na niego tu jesteśmy – powiedział Malkorok, podchodząc o krok, potem drugi. Kor'jus się nie cofnął. – Wypowiadasz się przeciwko niemu, więc… może któregoś dnia twoje grzyby nie zostaną tak dokładnie obrobione, co?

Kor'jusowi zaświtało; skrzywił się.

– Horda nie składa się z niewolników. Każdy jej członek ma swoją wartość! Mogę krytykować decyzje mojego wodza, nie spiskując przeciwko niemu!

Malkorok teatralnym gestem przekrzywił głowę i postukał się palcem w podbródek, jakby naprawdę rozważał słuszność tego twierdzenia.

– Nie – rzekł. – Nie możesz.

Pochwycił nadgarstek hodowcy grzybów w trójpalczasty uścisk. Choć okaleczony, miał najwyraźniej potężną siłę, bo Kor'jus tylko sapnął i wypuścił nożyk. Swobodnym gestem, wyraźnie czerpiąc z tego przyjemność, Malkorok wygiął rękę ofiary. Pękła ze słyszalnym trzaskiem. Pozostała czwórka orków rzuciła się naprzód, być może w obawie, że ominie ich rozrywka. Śmiali się serdecznie, jakby to była zabawa przy kuflu, a nie bicie bezbronnego przeciwnika na krwawą miazgę.

Używali tylko pięści i celowali tak, by raczej sprawić ból, ale nie zabić – w twarz, ręce i nogi. Pod ciosem jednego z nich nos Kor'jusa chrupnął, trysnęła z niego krew i śluz. Po drugim uderzeniu posypało się kilka zębów. Kiedy nadgorliwy ork zamierzył się trzeci raz, Malkorok go powstrzymał.

– Jeśli go zabijemy, nie będzie mógł pokazać swoim, jak bardzo się boi – upomniał podwładnego dowódca elitarnej gwardii.

Kor'jus dumnie uniósł głowę, patrząc, jak w Wizji otrzymuje kolejne razy. I miał do tego prawo. Choć w walce brało udział pięciu świetnie wyszkolonych członków Kor'kronu przeciwko jednemu sklepikarzowi, Kor'jus trzymał się dzielnie przez kilka minut, zanim w końcu padł na kolana. Jego twarz była opuchnięta, rysy zmienione nie do poznania, a powietrze wciągał krótkimi, urywanymi haustami. Ostatni kopniak posłał go na ziemię, zwiniętego w kłębek, ale nawet wtedy nie krzyknął.

Jego oprawcy tylko trochę się zasapali. Wychodząc, klepali jeden drugiego po plecach. Gdy zniknęli, Kor'jus podniósł głowę, wypluł z ust krew i parę zębów, po czym zemdlał.

Obraz się rozwiał. Sprzedawca oddychał teraz szybko i gniewnie.

– Kor'jusie, czy według twojej wiedzy żołnierze Kor'kronu napadli tylko ciebie? – podjęła Tyrande.

– Nie – odparł ork. – Byli też inni. Pobito ich tak samo jak mnie, albo i gorzej.

– Zostałeś wyjątkowo brutalnie pobity – stwierdziła Tyrande. – Cud, że nie umarłeś.

– Z całym szacunkiem… – zaczął Baine.

– Wycofuję swoje ostatnie słowa, lordzie Zhu – na twarzy Tyrande malowała się zbolała cierpliwość. – Niech świadek powie przysięgłym, co ma na myśli, mówiąc „albo i gorzej".

– Mam na myśli wybuch w Brzytewce – wyjaśnił Kor'jus.

– Brzytewka nie słynie raczej z elegancji – rzekła Tyrande, budząc wesołość wśród niektórych widzów. – Wszelkie przejawy przemocy, nawet wybuch, można by zrzucić na niezadowolonych klientów, a nie Kor'kron.

Publiczność była wyraźnie rozbawiona, lecz odpowiedź Kor'jusa – zupełnie poważna.

– Byłem tam. Byłem w karczmie, bo unikałem Orgrimmaru, nie chciałem wpaść na Malkoroka – sklepikarz zaśmiał się krótko. – Ironia losu, co? Wszedł tam i zaczął grozić Opuszczonemu i krwawej elfce. – Zrobił zakłopotaną minę. – Wyszedłem, kiedy tylko się zjawili, niezauważony. Miałem szczęście.

– Doprawdy? Groził im? W jaki sposób?

– Próbował ich zastraszyć, przynajmniej na początku. Nie wiem, co było później.

Tyrande skinęła głową.

– Chromio, jeśli łaska, zobaczmy sami, co tam się dokładnie wydarzyło.

Anduin nie był nigdy w karczmie Brzytewka, teraz nie zobaczył niczego, co by go zachęciło do takiej wizyty. Była ciemna, hałaśliwa, brudna i najpewniej cuchnąca. Zauważył, że spiżowy smok Kairoz powściąga uśmiech, widząc reakcję niektórych widzów.

Mimo wszystko jednak w karczmie trwała głośna, dobra zabawa – dopóki nie weszli Kor'kroni.

Przystanęli w drzwiach, zwalistymi sylwetkami zasłaniając mizerne światło, które wpadało do głównej sal. Dwaj goście, Opuszczony i sin'dorei, pili razem, teraz unieśli głowy i popatrzyli na nowo przybyłych.

– Pauza – poleciła Tyrande. – Ta dwójka członków Hordy to kapitan Frandis Farley i Kelantir Bloodblade, zwana Krwawą Klingą. Kapitan Farley został wysłany przez lady Sylwanę, by dowodzić oddziałami Opuszczonych pod rozkazami Hordy. Rycerz krwi Bloodblade służyła wcześniej pod wielkim łowczym Halduronem Brightwingiem, niektórzy mówią o nim Jasnoskrzydły. Oboje, według wszystkich relacji, walczyli dzielnie w bitwie o Północną Strażnicę.

Anduin zerknął na przedstawicieli Hordy. Sylwana i Halduron pochylali się. Książę nie słyszał ani o Farleyu, ani o Bloodblade, ale sądząc po reakcji ich dowódców, oboje cieszyli się wysoką estymą.

Bloodblade miała włosy koloru słońca i skórę tak bladą, jakby to słońce nigdy jej nie widziało. Nawet poza służbą nie zdejmowała całej zbroi. Farley, zanim się odrodził, zdążył rozłożyć się nieco; Anduin zachodził w głowę, jak kapitan raczył się trunkami, skoro najwyraźniej nie domykała mu się szczęka.

Tyrande skinęła głową Chromii i scena ożyła.

– Kłopoty… – mruknęła Kelantir do swojego towarzysza.

– Niekoniecznie. – Frandis machnął kościstą ręką. – Mój przyjacielu Malkoroku! Szukasz wrażeń? Zawartość nocnika smakuje prawdopodobnie lepiej niż pomyje, które serwuje ten łotr Grosk, ale są tanie i podobno działają, jak trzeba. Chodźcie, postawimy wam kolejkę.

Malkorok się uśmiechnął. Anduinowi nie podobał się ten uśmiech; sądząc po minie Kelantir, jej też nie.

– Grosk, po kuflu dla wszystkich. – Ork z klanu Czarnej Skały klepnął Frandisa w plecy tak mocno, że ten niemalże padł na stół. – Mogłem się spodziewać, że zastanę tu Opuszczonego albo taurena. Ale muszę powiedzieć, że ty zupełnie tu nie pasujesz – rzekł, patrząc na Kelantir.

– Bynajmniej, bywałam w miejscach o wiele gorszych– odparła paladynka, mrużąc lekko oczy.

Karczmarz – przypuszczalnie „łotr Grosk" – doniósł piwa.

– Być może, być może… Ale czemu nie jesteś w Orgrimmarze? – indagował Malkorok

– Mam alergię na żelazo – odparła krótko Kelantir.

Mimo wiszącego w powietrzu napięcia, Anduin uśmiechnął się szeroko. Podobała mu

się. Była odważna. Coś takiego mogłaby powiedzieć jego przyjaciółka Aerin, zadziorna krasnoludka, która zginęła w zamęcie Kataklizmu.

Malkorok w pierwszej chwili zdawał się zaskoczony, potem się zaśmiał.

– Można by pomyśleć, że wy i paru innych wolicie bardziej wiejskie otoczenie. Gdzie jest ten młody byczek Baine i jego sługus Vol'jin? Miałem nadzieję z nimi porozmawiać.

Wszyscy obejrzeli się na nowego wodza Hordy i obrońcę. Ci, oczywiście, widzieli pokazywane zdarzenia po raz pierwszy, podobnie jak większość obecnych, i wyglądali na nieco zaskoczonych bezczelnością tej obelgi.

– Nie widziałam ich od jakiegoś czasu – Kelantir położyła nogi na stole, patrząc Malkorokowi w oczy. – Nie zadaję się z taurenami.

– Doprawdy? A my mamy świadków, którzy twierdzą, że i ty, i Frandis byliście tu, w tej karczmie, wczoraj wieczorem, pogrążeni w rozmowie z taurenem i trollem, zresztą nie tylko z nimi. Podobno mówiliście różne rzeczy, na przykład, że Garrosh to dureń, Thrall powinien wrócić i wykopać go do samego Podmiasta, a użycie bomby mana w Theramore było tchórzostwem.

– I jeszcze żywioły – podpowiedział jeden z Kor'krończyków.

– Właśnie, żywioły. Ponoć było jeszcze coś w tym guście, że to wielka szkoda, że Cairne go nie zabił, kiedy miał okazję, bo Thrall nigdy nie wykorzystałby żywiołów w tak okrutny i poniżający sposób – dodał Malkorok.

Piękna twarz Kelantir była nieruchoma niczym maska. Frandis Farley trzymał swój kufel, kapiąc na blat posoką.

– No, ale skoro mówicie, że nie widzieliście ani Baine'a, ani Vol'jina, to najwyraźniej ten świadek musiał się mylić – zakończył Malkorok.

– Najwyraźniej – stwierdził Frandis, otrząsając się – przydaliby się wam lepsi informatorzy.

Skupił się z powrotem na swoim kuflu.

– Pewnie tak – zgodził się Malkorok – bo jest dla mnie oczywiste, że żadne z was nie wypowiadałoby się w ten sposób przeciwko Garroshowi i jego przywództwu.

– Cieszę się, że to rozumiesz – rzekł Frandis. – Dzięki za trunek. Mogę postawić następną kolejkę?

– Nie, musimy już iść – odparł ork. – Poszukamy Vol'jina i Baine'a, bo na nasze nieszczęście tu ich nie ma.

Na szczęście dla nich – pomyślał Anduin. – Ich loa i Matka Ziemia miały ich w opiece.

Malkorok wstał i pokiwał głową.

– Pijcie na zdrowie – rzekł, po czym wyszedł z karczmy wraz z pozostałymi żołnierzami Kor'kronu.

– Niewiele brakowało – sapnęła z ulgą Kelantir.

– Faktycznie – zgodził się Frandis. – Przez chwilę spodziewałem się aresztowania, jeśli nie otwartego ataku.

Kelantir się rozejrzała.

– Dziwne. Grosk gdzieś zniknął.

Frandis poprawił szczękę i zmarszczył brwi.

– Co? Gdy tu taki tłum? Powinien zatrudnić kogoś do pomocy, a nie uciekać, kiedy czekają na niego spragnieni klienci.

Oboje popatrzyli sobie w oczy, a Anduin zrozumiał. Zjeżyły mu się włoski na karku, chciał wykrzyknąć ostrzeżenie, ale to nie była teraźniejszość, lecz przeszłość, i nic nie mógł zrobić – było już za późno, kiedy Farley i Bloodblade zrozumieli, co się dzieje.

Nieszczęsna dwójka zerwała się i popędziła do drzwi. Zewsząd wykwitł lód, zatrzymując ich w miejscu, wszystko pokryła biel. Odgłos eksplozji poniósł się echem po sali i to był koniec wizji.

Tyrande stała na środku areny, patrząc na niebian. Trudno było z tej odległości odczytać ich miny, ale Anduin, który znał dobrze przynajmniej Chi-Ji, wiedział, że musieli być wstrząśnięci tak samo jak wszyscy. Nocna elfka otworzyła usta, by coś powiedzieć, potem jakby się rozmyśliła i pokręciła głową. Nie musiała tłumaczyć, co przed chwilą widzieli. Wszyscy zrozumieli.

– Nie mam więcej pytań, fa’shua Zhu.

Po czym wróciła na swoje miejsce. W olbrzymiej sali panowała całkowita cisza.

10

Przez dłuższą chwilę Baine siedział nieruchomo. Miał nadzieję, że emanuje spokojem; w rzeczywistości po tym, co właśnie zobaczył, kipiał taką wściekłością, że bał się, iż nie zdoła przesłuchać Kor'jusa.

Podobnie jak wszyscy inni podejrzewał, że wybuch w Brzytewce nie był wypadkiem. Rzecz jasna, nie przeżył ani jeden świadek, by potwierdzić tę teorię. Grosk utrzymywał, że o niczym nie wiedział i uparcie powtarzał, że jego nieobecność była szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Nieważne. To nie on rzucił najpierw granat lodowy, a potem odłamkowy do zatłoczonej karczmy.

Baine w duchu pomodlił się o spokój, a potem wstał i podszedł do Kor'jusa.

– Minąłeś się o włos ze śmiercią – zaczął. – Malkorok i Kor'kron najwyraźniej uznali, że nie wystarczą już zwykłe pobicia, żeby uciszyć głosy sprzeciwu wobec Garrosha.

– Prawda. Dziękuję przodkom, że żyję – przytaknął Kor'jus.

– Bez wątpienia Malkorok robił to samo, co na Górze Czarnej Skały – ciągnął Baine. – Wyszukiwał tych, których uważał za zdrajców i bez sądu eliminował ich, traktując jak zagrożenie. O ile pamiętam, wcześniej wspominałeś, że celem tego nowego, nadgorliwego Kor'kronu byli też inni.

– Owszem, nie tylko mnie jednego prześladowali.

– A czy ktokolwiek z nich słyszał, jak Malkorok mówi, że dostał od Garrosha bezpośredni rozkaz, by… prześladować… kogokolwiek?

Kor'jus skrzywił się, a jego spojrzenie pobiegło do wzmiankowanego orka. Garrosh wyglądał jak wykuty z kamienia, niewidzącym wzrokiem spoglądał przed siebie.

– Nie. Ale to chyba jasne…

Baine podniósł dłoń.

– Odpowiedz po prostu na pytanie.

Kor’jus skrzywił się jeszcze mocniej, ale odparł ponuro:

– Nie.

– A więc nie możesz powiedzieć sądowi, że oskarżony wydał jakiekolwiek instrukcje, by mordować jego podwładnych za głosy sprzeciwu?

– Nie – powtórzył ork, z wyraźnym trudem powstrzymując się, by nie dodać czegoś więcej.

– Jest więc całkiem możliwe, że Malkorok i Kor’kron robili to na własną rękę, a Garrosh nie wiedział nawet o tym incydencie? Czy w ogóle o tego typu zajściach? I że gdyby wiedział, mógłby tego nie pochwalać i powstrzymać Malkoroka?

– Z całym szacunkiem, protestuję – odezwała się Tyrande.

– Zgadzam się z obrońcą – rzekł Taran Zhu. – Świadek może odpowiedzieć.

– T… tak – wycedził Kor’jus przez zęby. – To możliwe.

– Nie mam więcej pytań. – Baine skinął głową Tyrande, która wstała, ale nie podeszła do świadka.

– Fa’shua – zaczęła. – Proszę o odczytanie jeszcze raz fragmentu aktu oskarżenia. Tego, w którym sąd zwracał się do oskarżonego przed odczytaniem zarzutów.

– Zgadzam się – powiedział Taran Zhu i skinął głową Zazzarikowi Frylowi, goblinowi, którego umiejętności pisarskie i bezstronność udało się wynająć za nieprzesadnie astronomiczną kwotę. Pisarz poprawił okulary na zakrzywionym nosie, wypiął chudą pierś w poczuciu własnej ważności i rozwinął zwój.

– Garroshu Hellscreamie – przeczytał chropawym głosem. – Zostałeś oskarżony o zbrodnie wojenne i zbrodnie przeciwko samej esencji istot rozumnych Azeroth, a także o zbrodnie przeciwko Azeroth. Jesteś także oskarżony o wszystkie czyny popełnione w twoim imieniu albo przez tych, z którymi się sprzymierzyłeś.

– Dziękuję – powiedziała Tyrande, a Zazzarik wrócił do miejsca, w którym skończył pisać i zastygł z przygotowanym piórem.

– O wszystkie czyny popełnione w twoim imieniu albo przez tych, z którymi się sprzymierzyłeś – powtórzyła nocna elfka i wzruszyła ramionami. Obejrzała się na niebian. – Mam czasem wrażenie, że sprawa ta jest tak oczywista, że mogłoby mnie tu nawet nie być.

Te słowa sprawiły, ze Baine rozgniewany zerwał się ze swojego miejsca.

– Uwaga oskarżycielki jest zupełnie niestosowna! – warknął, zapomniawszy o formalnościach.

Tyrande uśmiechnęła się i pojednawczo podniosła dłoń.

– Wycofuję moje słowa, fa'shua, i przepraszam mojego szanownego kolegę. Nie mam więcej pytań.

– Świadek jest wolny – rzekł Taran Zhu.

Kor'jus wstał i z wyraźną ulgą pospiesznie wrócił na widownię.

Mnich zmierzył wzrokiem Tyrande.

– Chu'shao, nawołuję do ostrożności. Nie chciałbym zostać zmuszony do udzielenia ci nagany.

– Zrozumiałam – odparła elfka.

Baine obejrzał się, zmrużonymi oczami popatrzył na Garrosha, potem na Tyrande.

– Fa'shua, proszę o dziesięć minut przerwy, żeby porozmawiać z oskarżonym i moim doradcą do spraw czasu, zanim powołany zostanie następny świadek.

– Zgadzam się – rzekł Taran Zhu i uderzył w gong.

Kairoz ruszył ku tauzenowi z zagadkowym wyrazem twarzy. Tyrande, wciąż przy swoim stole, pozdrowiła go skinieniem głowy. Smok chwycił jej krzesło, uśmiechnął się i puścił do niej oko.

– Zaraz oddam – obiecał zaskoczonej arcykapłance, po czym postawił krzesło obok skutego łańcuchami Garrosha.

– Tyrande tego nie zapomni – rzekł Baine cicho, lecz z irytacją.

– I o to chodzi – odparł Kairoz, też półgłosem. – Według mojego rozeznania, a nigdy się w takich sprawach nie mylę, mamy tylko siedem minut i osiemnaście sekund. Mów, proszę, chu'shao.

Taurena nie trzeba było namawiać. Odwrócił się do Garrosha i rozdął nozdrza.

– Na Matkę Ziemię, Garrosh, co ty robisz?

– Ja? – Ork parsknął śmiechem. – Ależ nic.

– O to mi właśnie chodzi. Nie okazujesz skruchy… żadnych reakcji… najmniejszego choćby zainteresowania tym procesem!

Garrosh wzruszył ramionami. Łańcuchy zabrzęczały absurdalnie wesoło.

– To dlatego, że nie jestem zainteresowany tym procesem… chu'shao.

Baine cicho zaklął.

– Naprawdę chcesz zostać stracony?

– Stracony? Nie. Ale gdybym miał zginąć w chwalebnej walce przeciwko takim jak ta kapłanka, której kazali mnie oskarżać… tak. Z całą pewnością tego bym pragnął.

– Szanse na to, że zostaniesz wypuszczony i będziesz mógł znów walczyć w bitwie, maleją z każdą chwilą, którą spędzasz, siedząc bezczynnie na tym krześle i nie robiąc nic, co mogłoby ci pomóc! – ostrzegł Baine.

– Nie jestem dzieckiem, żeby mi opowiadać bajki, Bloodhoofie – odparł Garrosh. – Nigdy nie stanę znów do bitwy, choćbym żył tak długo jak ten spiżowy gad.

– Życie jest pełne niespodzianek – oświadczył nieoczekiwanie Kairoz. – Ale powiem tyle, z całą pewnością nie zobaczysz już nigdy bitwy, jeśli twoja głowa, zatknięta na pikę niczym kurczak na rożen, będzie wędrowała ku uciesze gawiedzi od bram Wichrogrodu po Orgrimmar i z powrotem.

Mijały minuty. Bloodhoof siedział przez chwilę, zmagając się ze swoim sumieniem. Skoro Garrosh sam nie dbał, co się z nim stanie, czemu Baine miałby to robić? Honorowi stało się przecież zadość – pomyślał. – Nikt nie może powiedzieć, że źle go broniłem. A jeśli zostanie uniewinniony? Co wtedy?

– Chu'shao Bloodhoofie – odezwał się Kairoz nagląco.

Baine uciszył go podniesioną dłonią.

Wiedział, że jest dobrym obrońcą – lepszym, niż Garrosh zasłużył. Ale czy będzie mógł w zaświatach spojrzeć w oczy ojcu i powiedzieć: „Wróciłem, ojcze, i zrobiłem wszystko, co w mojej mocy?".

Znał odpowiedź. Westchnął głęboko, z rezygnacją, i odwrócił się do Garrosha.

– Daj mi coś, czym mógłbym jej odpowiedzieć, Garroshu. Musiałem stworzyć całą linię obrony bez żadnej twojej pomocy.

– I oto są skutki – dodał Kairoz.

– Twoja wiara we mnie jest budująca – Baine rzucił mu miażdżące spojrzenie. Odwrócił się z powrotem do Garrosha. – Jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać, pomagać mi cię bronić… Czy jest w ogóle ktoś, z kim byś rozmawiał? Jakiś wojownik, jakiś szaman, którego darzysz szacunkiem?

Dziwny uśmiech wywinął wargi wokół kłów Garrosha.

– Cóż, chu'shao… jest ktoś taki – odparł.

Nie mogąc dojść do siebie po usłyszeniu od Garrosha całkowicie niespodziewanego imienia powiernika, Baine siedział obok orka jeszcze przez kilka chwil. Uśmiech Garrosha zniknął, zastąpiony na powrót tą samą co dotąd nieprzeniknioną maską. Tyrande bez wysiłku kontrowała wszystko, co pokazywał Baine. Nie było już nikogo żywego, kogo można by uznać współwinnym postępków Garrosha, mało kto też chciałby – czy wręcz mógł – powiedzieć o nim cokolwiek dobrego.

Następny świadek Tyrande właśnie przysięgał uhonorować powagę sądu. Baine pomyślał ponuro, że uszczypliwości Kairoza trafiły w punkt. Arcykapłanka wezwała kolejnego orka – znanego i szanowanego przez wielu obecnych Varoka Saurfanga. Baine

nie palił się do zadawania mu pytań.

Ork siedział na swoim krześle, emanując autorytetem i spokojem. Wiek poplamił jego zielone oblicze, czas i smutek poorały głębokimi zmarszczkami jego czoło i usta wokół pożółkłych kłów. Długie, siwe warkocze opadały mu na wciąż potężne bary, oczy spoglądały czujnie. Baine wiedział, do czego zmierza Tyrande; nadstawił uszu, mając nadzieję usłyszeć coś, cokolwiek, co mogłoby pomóc Garroshowi.

– Proszę się przedstawić – poprosiła uprzejmie Tyrande.

– Jestem Varok Saurfang – odparł ork niskim głosem. – Brat Broxigara, ojciec Dranosha. Służę Hordzie.

– Broxigar to jeden z wielkich bohaterów nie tylko Hordy, ale też całego Azeroth, tak?

Saurfang spojrzał na nią przez zmrużone oczy, jakby spodziewał się jakiejś sztuczki.

– Owszem, ja i wielu innych za takiego go uważamy.

– Ty sam cieszysz się znakomitą opinią w oczach swojego ludu, a także ras Przymierza – ciągnęła Tyrande. Baine słyszał w głosie elfki autentyczny szacunek. – Wielu z tu obecnych słyszało o wielkiej tragedii, jaka spotkała twojego syna.

Varok przybrał obojętny wyraz twarzy.

– Wielu ucierpiało od ciemności Króla Lisza. Nigdy nie domagałem się wyjątkowego traktowania.

Była to prawda.

Dzielny Dranosh Saurfang poległ w starciu nazywanym później Bitwą pod Angratharem, Bramą Gniewu, po czym został wskrzeszony i zmuszony do rzucenia wyzwania swojemu ojcu i innym bohaterom Hordy. Takie okropności nie były niestety rzadkością. Wielu, tak jak Varok, musiało stawić czoła komuś, kogo kochali i kogo już raz opłakali. Mroczna spuścizna Króla Lisza żyła w poranionych sercach ocalałych – oraz Rycerzy Hebanowego Miecza, niechętnie akceptowanej części zarówno Hordy, jak i Przymierza.

– Jeśli sąd pozwoli, chciałabym, żeby inni w pełni zrozumieli, co przeżyłeś.

Baine poczuł mdłości, uświadamiając sobie, co planuje Tyrande. Nie. Nie miało znaczenia, czy robiła to z wyrachowania, czy ze źle pojętego współczucia. Nie mógł jej pozwolić. Zerwał się na równe nogi.

– Z całym szacunkiem, protestuję! – zawołał. – Varok Saurfang dość już wycierpiał, fa'shua, a to, co chce zrobić Tyrande, to nic więcej jak sól na rany. Nie dopuszczę, by po raz kolejny przeżył śmierć syna.

– Nie ty decydujesz, co się będzie działo na tej sali, chu'shao – ostrzegł Taran Zhu. – Ale zgadzam się z tobą. Sąd jest świadom, że Varok Saurfang jest szanowanym bohaterem wojennym i poniósł wielką stratę, chu'shao Whisperwind, ale nie rozumiemy, jakie to ma

przełożenie na jego relacje z Garroshem. Król Lisz nie jest tu oskarżonym.

Policzki Tyrande pociemniały.

– Wycofuję prośbę i przepraszam świadka, jeśli sprawiłam mu przykrość.

Varok zacisnął zęby, ale krótko kiwnął głową.

– Czy zgodzisz się – ciągnęła arcykapłanka – że jesteś osobą powszechnie szanowaną, Varoku Saurfangu? Że mało kto, jeśli w ogóle ktokolwiek, kwestionuje twoje oddanie Hordzie?

– Nie mnie decydować o tym, jak widzą mnie inni – odparł Saurfang. – Mogę powiedzieć tyle, że kocham Hordę całym sercem i duszą.

– Tak bardzo, by za nią zginąć?

– Oczywiście.

– Tak bardzo, by za nią zabijać?

– Naturalnie. Jestem wojownikiem.

– Czy zgodzisz się, że ty i inni wykorzystywaliście Hordę jako swego rodzaju… pretekst do masakr?

– Z całym szacunkiem, protestuję! – krzyknął Baine. – Obsesja oskarżycielki na punkcie zdarzeń z przeszłości, które nie mają nic wspólnego z oskarżonym, zakrawa o podżeganie do nienawiści!

Taran Zhu odwrócił swe spokojne oblicze ku Tyrande.

– Chu’shao, czy możesz wyjaśnić, czemu służą te pytania?

– Staram się wykazać, że świadek jest osobą racjonalną i odpowiedzialną, lordzie Zhu. To całkowite przeciwieństwo podżegania do nienawiści.

Rzuciła Baine’owi gniewne spojrzenie.

Taran Zhu zastanowił się.

– Dobrze – rzekł. – Pozwalam. Świadek może odpowiedzieć na pytanie.

– Moja odpowiedź brzmi „tak” – powiedział Varok.

– Czy obecnie pochwalasz takie zachowanie? – ciągnęła Tyrande.

– Nie, nie pochwalam. I mówiłem to głośno.

– Komu?

– To nie tajemnica. Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem – mówiąc to, Varok popatrzył na Velena.

– Czy dzieliłeś się tą opinią z Garroshem Hellscreamem?

– Tak.

Tyrande skinęła głową.

– Jeśli sąd pozwoli, chciałabym pokazać Wizję, która moim zdaniem ma tu znaczenie. Co zaznaczam – dodała, spoglądając na Baine’a – ponieważ kazano mi wycofać Wizję

wybraną w pierwszej kolejności.

– Oskarżycielka może przedstawić materiał dowodowy – powiedział Taran Zhu.

Na środku sali zmaterializowały się obrazy.

Po raz pierwszy zgromadzeni zobaczyli Garrosha Hellscreama nie takiego, jakim był teraz – pojmanego, w łańcuchach, z obojętną miną – ale takiego, jakim był kilka lat wcześniej, przed upadkiem Króla Lisza. Kiedy – zadumał się Baine – jego własny ojciec wciąż szanował syna Groma Hellscreama.

Nawet najwyższy nadzorca Saurfang wyglądał młodziej, pomyślał Baine, z ciężkim sercem uświadamiając sobie, jakie piętno wywarła na orku strata jedynego dziecka.

W Stanicy Wojennej Pieśni w Boreańskiej Tundrze stali Garrosh i Saurfang, patrząc na rozłożoną na podłodze wielką mapę. Zrobiono ją z pozszywanych skór; chorągiewki w barwach Hordy i Przymierza oznaczały położenie różnych twierdz, brzęczał zabawkowy sterowiec, a malowane trupie główki przedstawiały niekończące się na pozór siły Plagi. Saurfang klęczał, pokazując palcem i przemawiając. Garrosh stał za nim, wyglądał jednocześnie na znudzonego i zirytowanego. Varok usiłował przekonać go o ważności zaopatrzenia wojsk, ale Hellscream przerwał mu lekceważącym gestem.

– Trasy zaopatrzeniowe… zapasy… Zanudzisz mnie na śmierć! Nie potrzeba nam niczego więcej poza wojowniczym duchem Hordy, Saurfangu! Teraz, kiedy okopaliśmy się mocno na tym skutym lodem pustkowiu, nic nas nie powstrzyma!

Baine zauważył, z jaką poufałością Garrosh zwracał się do o wiele starszego, bardziej doświadczonego orka. Nie podobało mu się to.

Saurfang jednak był zbyt mądry, żeby chwycić przynętę, i nie ustępował.

– Machiny oblężnicze, amunicja, ciężki sprzęt… – rzekł. – Jak proponujesz strzaskać mury Lodowej Korony bez nich?

Garrosh uśmiechnął się pod nosem i wyprostował dumnie.

– Proponuję? – prychnął. – Pokażę ci, co proponuję!

Zamachnął się Krwiożercą i rąbnął nim w figurki reprezentujące Twierdzę Walecznych.

– Proszę! I już mamy szlak transportowy. A na dokładkę…

Pod jego obutą stopą padł Valgard i Twierdza Zachodniej Straży.

– A więc przemówił syn swego ojca! – rzekł Saurfang z miażdżącą pogardą. – Płynie w tobie krew Hellscreama, bez dwóch zdań. Niecierpliwy jak zawsze… Niecierpliwy i lekkomyślny. Rzucasz się na oślep w wojnę, nie myśląc o konsekwencjach.

– Nie interesuje mnie, co uważasz za konsekwencje, starcze.

Baine cały się zjeżył na te słowa; Saurfang w Wizji najwyraźniej też. Podszedł do Garrosha.

– Piłem tę samą krew co twój ojciec, Garroshu – warknął. – Przeklęty jad Manorotha krążył też w moich żyłach. Raziłem ciała i umysły swoich wrogów. A choć Grom poległ chwalebną śmiercią, uwalniając nas wszystkich od klątwy krwi, nie uwolnił nas od strasznych wspomnień. To, co zrobił, nie wymazało okrucieństw, które popełniliśmy.

Saurfang odwrócił wzrok, mówił teraz bardziej do siebie niż do młodszego orka. W jego oczach pojawiła się udręka.

– Pierwszej zimy po zdjęciu klątwy setki orków-weteranów takich jak ja pogrążyły się w rozpaczy. Nasze umysły były w końcu wolne, owszem… Ale zaczęliśmy rozpamiętywać wszystkie te niewysłowione zbrodnie, które popełniliśmy pod wpływem Legionu. – Kiwnął głową, jakby doszedł do jakiegoś wniosku. Ściszył głos tak bardzo, że Baine musiał wytężyć słuch. – Najbardziej chyba dręczyły odgłosy wydawane przez dzieci draenei… Tego się nie da zapomnieć… Byłeś kiedyś na Farmie Ostroknur? Kiedy prosiaki są już duże i idą pod nóż… To właśnie ten odgłos. Odgłos zabijanych świń… Najbardziej wgryza się w pamięć. Dla nas, starszych weteranów, to ciężkie czasy.

Velen zamknął oczy. Baine poczuł, że skupienie zebranych przenosi się na draenei, usłyszał z widowni szuranie, będące najpewniej oznaką zakłopotania. Niebianie natomiast jak urzeczeni wpatrywali się w Wizję.

Nierzeczywisty Garrosh strzaskał atmosferę zadumy słowami, które sprawiły, że Baine miał ochotę go zadusić; słowami, które godziły wprost w przekaz wizji Durotana.

– Nie myślisz chyba, że te dzieci były niewinne? Dorosłyby i zwróciły się przeciwko nam!

Ku zaskoczeniu Baine’a Saurfang nie zareagował na tę sugestię. Odezwał się tylko tym samym cichym, nieobecnym głosem:

– Nie mówię tylko o dzieciach naszych wrogów…

To w końcu uciszyło Garrosha. Ork stał i patrzył na Saurfanga z połączeniem odrazy i współczucia. Varok się otrząsnął, a kiedy znów się odezwał, jego głos brzmiał mocno i zdecydowanie.

– Nie pozwolę, żebyś poprowadził nas znów tą ciemną ścieżką, młody Hellscreamie. Zanim ten dzień nadejdzie, własnoręcznie cię zabiję.

Na tę chwilę bez wątpienia czekała Tyrande. Wielki bohater wojenny grozi, że zabije Hellscreama, zanim porywczy młodzieniec pchnie ich wszystkich ku kolejnej wyniszczającej wojnie bez powodu.

Garrosh odpowiedział, a Baine był zaskoczony nagłą przemianą, jaką ujrzał w młodym orku. W jego głosie słychać było szacunek, prawie podziw.

– Jak udało ci się tak długo przeżyć, Saurfangu? Nie paść ofiarą własnych wspomnień?

Varok się uśmiechnął.

– Nie jadam wieprzowiny.

– Pauza.

Scena znieruchomiała. Tyrande odczekała chwilę, pozwalając, żeby to, co zobaczyli, odcisnęło się w umysłach przysięgłych i widzów, a potem skinęła głową Chromii. Obraz zniknął. Arcykapłanka odwróciła się do Saurfanga i złożyła oszczędny ukłon.

– Dziękuję, najwyższy nadzorco. Chu'shao, świadek jest twój.

Baine przytaknął i podszedł do Varoka.

– Najwyższy nadzorco, będę mówił krótko, żebyś nie musiał siedzieć na tym miejscu dłużej niż to konieczne. Powiedziałeś, że prędzej zabiłbyś Garrosha, niż pozwolił mu poprowadzić orków tą mroczną ścieżką.

– Tak.

– Czy to było tylko słowa?

– Nie.

– Rzeczywiście zabiłbyś go?

– Tak.

– Czy uważasz, że to zrobił? Poprowadził orków tą mroczną drogą?

– Tak. Dlatego zbuntowałem się przeciwko niemu. Po tym, czego się dopuścił…

Stary ork z obrzydzeniem pokręcił głową i rzucił Garroshowi jadowite spojrzenie.

– A więc ucieszyłbyś się z wyroku, jakiego domaga się chu'shao Whisperwind – egzekucji.

– Nie.

Po widowni przeszedł szmer, ale Baine poczuł ciche zadowolenie. Nie pomylił się co do Varoka. Pozwolił sobie na szybkie spojrzenie ku Tyrande i zobaczył, że kaldorei siedzi wyprostowana i bacznie ich obserwuje w nadziei na jakieś jego potknięcie. Nie zamierzał dać jej tej satysfakcji.

– A co chciałbyś zobaczyć?

Tyrande zerwała się z krzesła.

– Z całym szacunkiem, protestuję! Osobiste preferencje świadka nie mają znaczenia.

– Fa'shua, staram się ustalić, co najwyższy nadzorca miał na myśli, mówiąc „osobiście cię zabiję".

– Zgadzam się z obrońcą – rzekł Taran Zhu. – Możesz odpowiedzieć na pytanie, najwyższy nadzorco.

Varok nie odpowiedział od razu. Rzucił Garroshowi przeciągłe spojrzenie.

– Garrosh nie zawsze był taki, jakim widzicie go teraz. Jak mówiłem, był pochopny i lekkomyślny. Ale kiedyś nie wątpiłem w jego lojalność wobec Hordy. Nawet w tej chwili nie podważam jego oddania własnemu ludowi. Jego zbrodnie muszą jednak zostać

ukarane. Przysiągłem, że go zabiję i dotrzymałbym tej przysięgi. Ale nie oddałbym go w ręce kata. Wyzwałbym go osobiście, w mak'gora.

– Uważasz, że zasłużył na drugą szansę?

– Gdyby mnie pokonał, tak. Tak stanowi obyczaj orków. Tak każe honor.

Baine nie mógł uwierzyć w to, co słyszał.

– Nie chciałbym cię źle zrozumieć, wybacz więc, że powtórzę. Nie chcesz, żeby Garrosh został skazany na śmierć, lecz wolałbyś go wyzwać na honorowy pojedynek. A gdyby go wygrał, wybaczyłbyś mu?

– Musiałby odzyskać swoją reputację, bo porwał ją na strzępy i wdeptał w ziemię – warknął Saurfang. – Ale tak. Gdyby wyszedł zwycięsko, powinien dostać tę szansę. Kiedyś wiedział, co to honor. Mógłby to sobie przypomnieć.

Baine z trudem zdławił okrzyk tryumfu. To rozumiał. Coś takiego mógł poprzeć, a co więcej, było to rozwiązanie sprawiedliwe. Pomyślał o ojcu, który zginął w mak'gora; wiedział, że ojciec poparłby takie rozwiązanie. Baine zrozumiał, że jest na właściwej drodze. Mimo wściekłości na Garrosha naprawdę postępował właściwie.

Rzucił Tyrande tryumfalne spojrzenie.

– Nie mam więcej pytań.

Ku jego zaskoczeniu i zadowoleniu, arcykapłanka też ich nie miała. Kiedy Taran Zhu uderzeniem w gong oznajmił koniec pierwszego dnia procesu, po raz pierwszy pojawiła się szansa – niewielka – że Garrosh Hellscream wyjdzie z tego żywy.

11

Gdy Shokia pojawiła się w Młotogrodzie, mogło się wydawać, że przybita upadkiem Garrosha Hellscreama postanowiła wrócić do orkowych korzeni. Przybyć tu, gdzie poległ inny wielki wódz, Orgrim Doomhammer, i zniknąć w mrokach zapomnienia, a zdumiewających snajperskich umiejętności używać odtąd do polowania na wrogie trolle i poszukiwaczy przygód z Przymierza. Takie założenie było z gruntu nieprawdziwe, ale Shokia nie miała nic przeciwko, by wszyscy wokół podzielali ów pogląd, dzięki temu jej prawdziwe intencje i zamiary pozostawały tajemnicą. Nie wróciła, żeby lizać rany czy opłakiwać klęskę. Do Młotogrodu została wysłana przez kogoś, kto tak jak ona pragnął, by Horda odzyskała swą chwałę. Shokia działała w głębokiej tajemnicy.

Młotogród stał się nieoficjalnym azylem dla wszystkich niezadowolonych, którzy czuli, że nie ma dla nich miejsca w obecnym świecie, dlatego historia o powrocie do korzeni przyjmowana była za dobrą monetę. A Shokia nie nudziła się zbytnio, czekając na rozkazy; z przyjemnością patrzyła przez swoją lunetę, jak głowy przeciwników eksplodują niczym dynie.

Jednak odkąd w Pandarii rozpoczął się proces Garrosha Hellscreama, Shokię zaczął dręczyć niepokój. Kiedy wreszcie zostanie wezwana na pole bitwy przez swego sprzymierzeńca? Jakie dostanie instrukcje? Kto jeszcze podziela ich poglądy?

„Zaczekaj, aż przyślę ci rozkazy – rzekł jej tym swoim jedwabistym głosem. – Nie omieszkam tego zrobić, ale dopiero kiedy nadejdzie właściwy czas”.

Dlatego kiedy Adegwa, taureński karczmarz, poinformował ją, że przyszedł list, Shokia nie posiadała się z radości.

Bez wątpienia palce Cię świerzbią, żeby postrzelać do wrogów. Najpierw jednak musisz zgromadzić sprzymierzeńców. Poniżej znajdziesz listę tych, którzy mogą nam pomóc. Znajdź ich, a kiedy się zbierzecie, wyślę Ci dalsze instrukcje. Z pierwszym spotkasz się dziś, w Wąwozie Suchowąsów.

Shokia spakowała swój drogocenny karabin i resztę skromnego dobytku, wsiadła na wilka i pięć minut później była już w wąwozie. Zajęła pozycję nad ścieżką i zaczęła obserwować okolicę przez lunetę. Nie musiała długo czekać.

Ujrzała czarnego wilka o gładkim i lśniącym futrze. Jeździec siedział pochylony nisko nad grzbietem wierzchowca. Kaptur osłaniał twarz przybysza, ale wydymał się wystarczająco, by Shokia odgadła, że jej nowy towarzysz broni to także ork i także kobieta. Na twarz Shokii wypełzł powoli szeroki uśmiech. Ciekawe, czy… Niedługo się przekona.

Nieznajoma zwolniła, wilk zaczął się piąć ścieżką.

– Hej, wilczy jeźdźcu! – zawołała Shokia, nie wychylając się zza głazu. – Należysz do przyjaciół smoka?

Tamta zatrzymała się i ściągnęła kaptur, odsłaniając twarz o mocnych rysach.

– W zasadzie nie bywam przyjacielem smoków! – odkrzyknęła Zela, przywódczyni klanu Smoczych Paszcz. – Tym razem jednak nim jestem.

– Zela! Słyszałam, że padłaś w bitwie!

– Owszem, padłam, czy raczej spadłam, ale przeżyłam, by dalej walczyć dla naszego prawdziwego wodza. Przybyłam sama, zgodnie z poleceniem, ale resztki mojego klanu są gotowe do walki.

– W takim razie – rzekła Shokia, podnosząc zwój – zbierzmy więcej sprzymierzeńców!

Dzień drugi

– Wzywam na świadka Jego Książęcą Wysokość Anduina Wrynna, księcia Wichrogrodu.

Anduin lękał się tej chwili. Nigdy nie lubił kryptonimu, jaki przydzielił mu WW:7 – „Biały Pionek” – i nie miał ochoty w jakikolwiek sposób angażować się w tę sprawę z obawy, że tak właśnie – jak pionek – zostanie potraktowany przez obie strony.

Jego ojciec, rzecz jasna, o tym wiedział, ale Jaina nie. Wyglądała na zaskoczoną i nieco zmartwioną, kiedy Varian ścisnął syna za ramię, dodając mu otuchy. Anduin zszedł z widowni na miejsce świadka.

Był przyzwyczajony do dworskich zgromadzeń i przemawiał przed publicznością o wiele większą niż ta. Tym razem jednak czuł się inaczej. W tamtych sytuacjach był gościem albo zaproszonym mówcą, albo też szanowanym gospodarzem. Wiedział, co robić i jak się zachować. Rola świadka była dla niego czymś zupełnie nowym, wręcz przytłaczającym. Siadając, podchwycił spojrzenie Wrathiona. Wyobraził sobie, że słyszy, jak Czarny Książę mówi: „Jakież to interesujące!", i ta zabawna myśl go uspokoiła.

Tyrande podeszła do niego i uśmiechnęła się uprzejmie.

– Książę Anduinie – rzekła – dziękuję, że jesteś tu dziś z nami.

Anduin uznał, że lepiej nie przypominać jej, iż nie miał w tej sprawie wyboru, dlatego tylko skinął głową.

– Wasza Wysokość słynie w Azeroth jako głosiciel pokoju. Czy tak?

– Tak – odparł Anduin. Miał wielką chęć rozwinąć wypowiedź, ale pamiętał radę ojca: „Odpowiadaj na pytania, nie dodawaj nic od siebie. Tyrande wie, co robi".

– A więc można powiedzieć, Wasza Wysokość, że nie żywisz nienawiści do Hordy ani do ras, które ją tworzą?

– Owszem, można.

– Wasza Wysokość współpracował z nimi w przeszłości i domagał się okazywania litości nawet w czasie wojny, zgadza się?

– Tak.

– Wszyscy tu obecni znają oczywiście Garrosha Hellscreama z imienia i reputacji. Wasza Wysokość jednak miał z nim kontakt osobisty, prawda?

Zaczyna się – pomyślał Anduin i rozmyślnie powstrzymał się od spojrzenia na Garrosha.

– Tak.

– Ile razy?

– Dwa.

– Czy Wasza Wysokość może sądowi o nich opowiedzieć?

Anduin zdziwił się, że Tyrande po prostu nie pokaże tych zdarzeń, miała przecież do dyspozycji wyjątkowe narzędzie, jakim była Wizja Czasu. Może oszczędzała przydzielone minuty na coś bardziej widowiskowego niż obraz siedzących i rozmawiających postaci.

– Raz w Theramore, na konferencji pokojowej. Byliśmy tam ja, mój ojciec i lady Jaina Proudmoore. Thrall przyprowadził Garrosha i Rehgara Earthfury'ego, a także kilku członków Kor'kronu.

Anduin już dawno nie wspominał tamtego fatalnego spotkania, tyle wydarzyło się od tego czasu. Popatrzył na skutego łańcuchami orka, pod którego spojrzeniem czuł się jak przyszpilony do deski owad. Dziwne; to Garrosh był więźniem, a nie Anduin, a mimo to

młody książę omal nie zaczął się wiercić na swoim krześle.

– Jak potoczyła się ta konferencja?

– Początki były dość trudne. Potem jednak zaczęliśmy znajdować wspólny język. Nawet Garrosh…

– Czy Wasza Wysokość może wyjaśnić, co ma na myśli, mówiąc o trudnych początkach?

– Cóż, przede wszystkim trwała burza, więc nikt nie był w zbyt dobrym nastroju. Wszyscy przynieśli broń, żeby ją oficjalnie złożyć.

– Kto złożył swoją broń pierwszy?

– Ee… ja. Mój łuk. Wtedy pierwszy raz rozmawiałem z Thr… to znaczy z Go'elem.

– Czy król Varian i wódz Hordy poszli za przykładem Waszej Wysokości?

– Tak. Kiedy zaczęli rozmawiać, przekonali się, że mają ze sobą więcej wspólnego, niż im się wydawało.

– Jaki był wkład Garrosha w te rozmowy?

– Cóż… sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał, że bycie przywódcą oznacza czasem konieczność myślenia o rzeczach mało interesujących. Przerywał, kiedy Go'el i mój ojciec omawiali kwestie handlu. Cały czas mówił, że Horda… powinna po prostu brać to, czego chce.

Tyrande rzuciła Garroshowi wymowne spojrzenie.

– Rozumiem. Niech Wasza Wysokość mówi dalej.

– Cóż… Go'el i ojciec zaczęli się już dogadywać, kiedy przyszła wiadomość o kolejnym ataku Króla Lisza. Zgodzili się, że trzeba się tym zająć, ale planowali wznowić konferencję. Wtedy zaatakowali nas członkowie sekty Młot Zmierzchu. I spotkanie zmieniło się w chaos. Oczywiście to było celem ataku, przeprowadzonego w taki sposób, by wzbudzić wszelkie podejrzenia i uprzedzenia. Członkowie sekty rodem z Hordy zaatakowali przedstawicieli Przymierza i na odwrót. Garrosh krzyczał o „zdradzie ludzi". Ojciec pomyślał, że Go'el wynajął zabójcę i…

– Reszta jest historią, dziękuję, książę.

Tyrande odeszła kilka kroków, stanęła plecami do niego, a twarzą do widzów spoglądających z zaciekawieniem na arenę. Anduin też powiódł wzrokiem po publiczności i przypomniał sobie uwagę ojca o walkach gladiatorów. Zrozumiał, że oni naprawdę łaknęli krwi; myśl ta zarazem zmroziła go i zasmuciła. Popatrzył na Garrosha; widząc bijące od niego znużenie, pomyślał, że może ork czuje to samo.

I że być może, koniec końców, nie ma już ochoty z tym walczyć.

– Chciałabym przejść do drugiego… spotkania… Waszej Wysokości z Garroshem Hellscreamem.

Anduin oczywiście się tego spodziewał, ale nie przewidział własnej reakcji. Poczuł się, jakby to było przed chwilą; jakby wielki Dzwon dopiero co runął… Odchrząknął i niezadowolony usłyszał, że głos drży mu lekko.

– To było kilka miesięcy temu, kiedy…

Tyrande odwróciła się z łagodnym uśmiechem i podniosła rękę, powstrzymując jego dalsze słowa.

– Jeśli sąd pozwoli – rzekła – nie potrzebuję, żebyś o tym opowiadał, książę Anduinie. Chciałabym to pokazać.

A więc na to oszczędza Wizję…

– Czy to rozsądne? – wykrztusił Anduin. Za dobrze wciąż pamiętał okropne wycie Boskiego Dzwonu i efekt, jaki wywierało na tych, którzy mieli w sercach jakikolwiek mrok. Myśl o odtworzeniu tej chwili przepełniła go zgrozą. – A jeśli…?

Arcykapłanka podniosła dłoń.

– Bez obaw, Wasza Wysokość. Rozumiem obawy Waszej Wysokości. Rozmawiałam z Chromią o tym wydarzeniu, obie już je obejrzałyśmy. Choć Wizja Czasu ukazuje nam wszystko zadziwiająco szczegółowo, to bicie Dzwonu nie ma żadnych skutków.

– Dzięki Światłości – mruknął Anduin i odetchnął z ulgą.

Poczuł ból w kościach, nagły i przejmujący. Najwyraźniej jego ciało też nie miało ochoty pozostawać w miejscu, gdzie słychać będzie bicie Dzwonu. Anduin zacisnął wilgotne dłonie, wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić, i zmówił cichą modlitwę. Poczuł, jak obmywa go łagodna fala uzdrawiającej energii i ból nieco zelżał.

– Skoro rozwiałam obawy, czy mogę prosić, by Wasza Wysokość przybliżył nam szczegóły wydarzenia, które za chwilę zobaczymy?

Anduin oblizał usta i zerknął na niebian. Nadal siedzieli nieruchomo, ale sam ich widok działał kojąco. Skupiwszy wzrok na nich, unikając patrzenia na Hellscreama, zaczął opowiadać.

– Mogu stworzyli artefakt, który Lei Shen, znany jako Król Gromu, nazwał Boskim Dzwonem. Okoliczności powstania tego przedmiotu są okrutne i gwałtowne tak jak groza i chaos, który przynosił jego dźwięk. Brzmienie Dzwonu podsycało gniew i nienawiść wojowników Lei Shena, dając im niezwykłą siłę i moc, i zarazem budziło strach w sercach ich wrogów. Kiedy Przymierze się o tym dowiedziało, nocne elfy schowały Dzwon w Darnassus. Chodziło o to, żeby nie wpadł w ręce kogoś – wszystko jedno czy z Hordy, czy Przymierza – kto chciałby zrobić z artefaktu użytek…. Lady Jaina zabezpieczyła Dzwon czarami ochronnymi.

– Z opisu wnosząc, to bardzo potężna broń.

Oczywiście Tyrande wiedziała, że tak było.

– Broń obosieczna – ciągnął Anduin. – Odbierała tyle samo, co dawała, a może i więcej.

– Co się stało z Dzwonem?

– Jeden ze Słonecznych Łupieżców, działający z polecenia Garrosha, zdołał obejść zabezpieczenia lady Jainy. Wraz z kilkoma innymi członkami Hordy ukradł Dzwon.

– Ze słów Waszej Wysokości wynika, że Dzwon mógł uczynić Garrosha Hellscreama niepowstrzymanym.

Anduin mimowolnie spojrzał na orka i poczuł ciarki na plecach. Nie ze strachu jednak. Bezruch był dla Garrosha stanem całkowicie nienaturalnym. Książę pamiętał byłego wodza Hordy zawsze w ruchu, miotającego się i ryczącego. Sięgnął po szklankę wody stojącą na stoliku obok jego krzesła.

– Pandareni znaleźli sposób, by pokonać dźwięk Dzwonu – podjął. – Stworzyli Młot Harmonii, który przekształcał chaos Dzwonu w harmonię. Młot został zniszczony, a jego szczątki rozrzucone, ale z pomocą przyjaciół udało mi się je odszukać i poskładać, a także znaleźć eliksir, który aktywował artefakt. Kiedy Młot znów był cały, ruszyłem, by stawić czoła Garroshowi. Chciałem go powstrzymać, zanim uderzy w Dzwon.

– Sam?

– Nie było czasu na nic więcej.

Tyrande skinęła w stronę spiżowej smoczycy i zaczęło się to, czego lękał się Anduin.

Tym razem jednak miał okazję dowiedzieć się, co powiedział Garrosh, zanim ludzki książę doń dotarł.

Ork stał, nadnaturalnie wielki dzięki Wizji, i to był Garrosh, jakiego Anduin zapamiętał – nie ten nieruchomy niczym kamień więzień, który beznamiętnie obserwował własny proces. Był sam, jeśli pominąć jego czempiona Ishiego; stał w Skarbcach Mogu’shan na podwyższeniu przed przeklętym Dzwonem. Artefakt był gigantyczny – o wiele większy niż potężny wódz Hordy – metalowy płaszcz ozdabiała wykrzywiona twarz jakiejś groteskowej istoty, a górna krawędź i wieniec najeżone były kolcami. Garrosh wyszczerzył radośnie kły i zaryczał tryumfalnie, unosząc ramiona. Zawołał do swoich ludzi, którzy pozostali w skarbcach.

– To my jesteśmy Hordą! Nikt i nic nie zrobi z nas niewolników! Mając Boski Dzwon, wypalę z nas wszystkie resztki słabości!

Garrosh dygotał, Anduin zrozumiał, że ciałem orka wstrząsają płonące w nim, niedające się opanować pasja i podniecenie. Garrosh wypluwał nazwy uczuć, którymi gardził.

– Strach… rozpacz… nienawiść… zwątpienie. Podlejsze rasy gną się pod ich ciężarem. Ale my zapanujemy nad ich mocą. Razem zniszczymy Przymierze i odbierzemy

to, co nam się należy. Niech rozbrzmi nasza pieśń zwycięstwa.

Mimo wcześniejszych zapewnień Tyrande Anduin, wiedząc, co się wydarzy, zacisnął pięści tak mocno, że paznokcie przebiły mu skórę dłoni, a pot zrosił czoło. Rozległa się mroczna pieśń, ale książę od razu pojął, że arcykapłanka miała rację – okropny, fałszywy płacz Dzwonu zabrzmiał Anduinowi w uszach, ale nie w sercu i kościach. Chłopak aż osłabł z ulgi.

Zobaczył siebie samego biegnącego do Dzwonu. Uważał się za człowieka przeciętnej postury; jego ojciec znacznie go przerastał, ale był przecież wyjątkowo potężnym mężczyzną. Anduin przywykł do tej różnicy między nimi. Ale teraz patrzył na siebie obok potężnego wodza Hordy i gigantycznego dzwonu i zrozumiał, jak bardzo jest szczupły… jak bardzo kruchy…

– Stój, Garroshu! Nie wiesz, co może uczynić ten Dzwon! – głos Anduina w jego własnych uszach zabrzmiał stanowczo i pewnie.

Garrosh z przeszłości odwrócił się, ujrzał Anduina i uśmiechnął się, widząc, że między nim a zwycięstwem stoi zaledwie młodzik. Odrzucił głowę w tył i ryknął śmiechem.

– A więc ostatecznie to nie Varian, ale jego szczenię przychodzi stawić mi czoła. Odważnie rzucasz się w objęcia śmierci, młodzieńcze.

– Stop! – zawołała Tyrande i scena znieruchomiała.

Anduin zamrugał, wracając do teraźniejszości.

– To istotnie było bardzo odważne, Wasza Wysokość.

– Eee… niezbyt – zaprzeczył Anduin powodowany uczciwością. – Byłem śmiertelnie przerażony. Ale musiałem go powstrzymać bez względu na cenę.

Słysząc to, Tyrande wydawała się zaskoczona, potem jednak uśmiechnęła się słodko i szczerze.

– Nie wahać się postąpić słusznie mimo strachu to prawdziwa odwaga – przypomniała mu łagodnie.

Anduin poczuł, że się czerwieni.

– Cóż, nie mogłem pozwolić mu dokończyć tego, co zaczął.

Tyrande dała sygnał, by wznowić pokaz.

– Nie pozwolę ci tego zrobić, przysięgam! – zawołał Anduin z przeszłości.

– A więc powstrzymaj mnie, człowieczku – zakpił Garrosh. Wiedział, że książę nie powstrzyma zamachu potężnego ramienia; nie zdąży nawet sięgnąć orka, a co dopiero Dzwonu. Garrosh zamierzał zakpić z groźby Anduina.

Znów rozległ się okropny dźwięk, straszliwy, a jednocześnie majestatyczny. Tym razem znalazł ofiarę w osobie czempiona Garrosha. Ishi krzyknął i wyprężył się, kiedy mroczne byty, znane w Pandarii jako sha, esencje nienawiści, strachu, zwątpienia

i rozpaczy, wtargnęły w jego ciało. Nawet teraz Anduin nie mógł obojętnie znieść męki orka.

– Co za ból! – wył Ishi w agonii, jakiej nikt chyba nie mógł sobie wyobrazić. – Nie panuję nad nim!

Obie wersje Anduina – ta przeszła i ta teraźniejsza – patrzyły jak zahipnotyzowane na zmagania orka. Kolejni wojownicy, bez wątpienia zwabieni krzykami, zaczęli wyłaniać się z głębin. Ishi rzucił się na nich i musieli się bronić albo zginąć.

– Stop – poleciła Tyrande. – Książę Anduinie, dlaczego nie użyłeś swojego artefaktu wcześniej lub choćby w tym momencie?

– Młot mógł zadziałać tylko raz. Chybiając, zmarnowałbym szansę. Musiałem zaczekać, aż będę mógł uderzyć mocno i celnie. A nie zaryzykowałem tego w tamtej chwili, gdyż nie wiedziałem, jak to zadziała na Ishiego.

– Wasza wysokość martwił się o jego los?

Anduina to pytanie zbiło z tropu.

– A co w tym dziwnego?

Tyrande przez krótką chwilę po prostu stała przed nim, wpatrując się weń szeroko otwartymi oczami.

– Dalej – usłyszała od niej Chromia.

Garrosh zachęcał Ishiego, żeby „walczył”, żeby „zapanował” i „wykorzystał” sha, jednak jego opanowały wszystkie istniejące negatywne uczucia: wątpił w siłę Hordy, opłakiwał poległych, lękał się własnej śmierci, która zabrała go niedługo potem. Padł na kolana, w ostatnich chwilach myśląc tylko o swoim obowiązku, i wycharczał:

– Wodzu! Zawiodłem cię.

Garrosh podszedł do konającego wojownika.

– Tak, Ishi – powiedział spokojnie, z okrucieństwem. – Zawiodłeś.

I nagle w Anduinie wezbrał gniew. Garrosh zmusił Ishiego do przyjęcia sha. Obaj, i on, i książę, widzieli, jak zawzięcie walczył czempion, by zapanować nad czymś, czego kontrolować po prostu nie mógł. Oddał życie, żeby zadowolić swojego wodza, a jedyną nagrodą za jego wysiłki i cierpienie były najokrutniejsze słowa, jakie Garrosh mógł mu zaoferować. Anduin spojrzał teraz na więźnia, czując, że czerwieni się z przejęcia, i zacisnął zęby, widząc, jak ork, niech będzie przeklęty, uśmiecha się z zadowoleniem.

Książę poczuł ból w kościach.

– Twoja interwencja kosztowała mnie życie wielkiego wojownika – rzekł Garrosh w wizji. – Zapłacisz za to swoim.

– Tu się mylisz, Garroshu.

Głos Anduina zabrzmiał niewiarygodnie młodo, nawet dla samego księcia. Patrzył na

siebie skaczącego wysoko. Pamiętał, jak modlił się do Światłości, błagając o spokój; o to, by to jedno jedyne uderzenie nie chybiło celu. Anduin w wizji opuścił zdobyty z trudem Młot na Boski Dzwon i piękną, złowrogo wyglądającą powierzchnię artefaktu skaziła rysa. Garrosh Hellscream zatoczył się jak ogłuszony i z trudem utrzymał na nogach, uderzony falą dźwięku.

Anduin odwrócił się i na jego młodej twarzy zajaśniała nadzieja. Zaczął coś mówić…

Garrosh złapał równowagę, warknął: „Giń, szczeniaku!” i uderzył – nie Anduina, lecz Dzwon, który nigdy już nie miał przyzwać sha. Artefakt pękł i runął na księcia deszczem mosiądzu i cierpienia. Pogruchotał Anduinowi kości, które teraz, na wspomnienie tamtych wydarzeń, płonęły bólem tak dojmującym, że młodzieniec najwyższym wysiłkiem woli powstrzymał jęk.

Odzyskał przytomność dopiero pod opieką pandareńskich mnichów i swojego nauczyciela, dobrego i mądrego Velena, który uratował mu życie. To, co pokazywała teraz Wizja Czasu, było dla niego nowością; z wysiłkiem więc skupił się na niej, próbując nie myśleć o lodowatych szponach bólu. Ku jego zaskoczeniu Garrosh w wizji wyglądał raczej na wzburzonego niż zadowolonego tym, że zadał śmiertelny cios synowi swojego największego wroga.

– Wielu rzeczy jeszcze nie wiem o tym artefakcie – mruknął. – Ci o słabej woli nie mogą kontrolować energii sha, ale ja nad nią zapanuję.

Nikt nie śmiał się doń odezwać. Jego ludzie stali bez słowa, niewątpliwie zastanawiając się, co dalej. Garrosh otrząsnął się.

– Przynajmniej ludzki książę nie żyje – rzekł. Jego słowa mocno zabolały. – Król Wrynn zna teraz cenę dalszego oporu.

Lekceważąco machnął ręką i znów popadł w zadumę, marszcząc szerokie czoło.

– Zostawcie mnie. Mam dużo do przemyślenia.

Scena zblakła. Anduin był zadowolony, że to już koniec, ale słowa Garrosha – i jego mina – zbiły go z tropu. Obejrzał się na orka, który siedział z takim samym wyrazem twarzy, jak na wizji – z czołem zmarszczonym w głębokim zamyśleniu. Anduin zapatrzył się w te żółte oczy i dopiero głos Tyrande przywrócił go do rzeczywistości.

– Chu’shao, świadek do twojej dyspozycji. – Arcykapłanka cofnęła się na swoje miejsce.

Ukłoniła się księciu Wichrogrodu, który dostrzegł dobroć w pięknych oczach. Uśmiechnął się blado, a potem zebrał siły. Przyszła kolej na pytania Baine’a.

12

Baine pochylił głowę. Anduinowi zdawało się, że słyszy w jego głosie nutę smutku, jeśli jednak istotnie tam była, to niemal natychmiast ucichła.

– Wszyscy widzieliśmy, co przeżyłeś, książę Anduinie – rzekł tauren. – Przez jakiś czas chodziły słuchy, że zginąłeś. Bardzo się cieszę, że okazały się nieprawdą.

– Ja również – odparł Anduin i w sali rozległy się śmiechy.

Baine zastrzygł uszami.

– Książę, wcześniej mówiłeś, że bałeś się, stając przeciwko Garroshowi. Jak się czułeś, kiedy zrozumiałeś, że Dzwon na ciebie runie?

Anduin zamrugał oczami i przygarbił się, słysząc to pytanie, zaraz jednak znów się wyprostował.

– To… to wszystko wydarzyło się tak szybko…

– Spróbuj sobie przypomnieć, książę.

Anduin zwilżył wargi.

– Nie sposób opisać, jaki byłem przerażony. I jaki się czułem… zdradzony. Wiem, to brzmi głupio, czuć się „zdradzonym” przez wroga.

– Dlaczego w ogóle stawiłeś, panie, czoła Garroshowi?

– Żeby powstrzymać go przed przyzywaniem sha.

– Rozumiem. Ale dlaczego?

– Ponieważ… – Anduin urwał. Oczywista odpowiedź brzmiała: nie chciał dopuścić, żeby Garrosh użył sha jako broni. Wyperswadował to samo swojemu ojcu, przekonując, że wyrządziłby w ten sposób więcej złego niż dobrego. Varian dostrzegł mądrość jego argumentów.

– Chciałem, żeby Garrosh pojął, co robi – wykrztusił. – Myślałem, że jeśli zrozumie, jaką cenę musiałby zapłacić za zwycięstwo, wtedy… cóż…

– Wtedy co?

– Zrozumie, że to niehonorowe. Że… to ciemność, mrok. Że poświęcanie własnych ludzi tym… rzeczom… nie zapewni zwycięstwa, o które warto walczyć.

Słowa płynęły strumieniem z jego ust, niekontrolowane, nieprzemyślane, dopóki nie wybrzmiały. Ale ból w kościach złagodniał i Anduin wiedział, że to prawda – i że to słowa Światłości.

Baine zadrżał ledwie widocznie i podszedł do księcia, przypatrując mu się uważnie.

– Kiedy rozbity Dzwon miażdżył twoje kości, książę, wyobrażam sobie, że przepełniała cię wściekłość. Że kiedy się ocknąłeś, mając przed sobą długi i bolesny powrót do zdrowia, chciałeś się, panie, zemścić na Garroshu za to, że pogruchotał ci kości, podczas gdy ty przyszedłeś do niego, niosąc pomoc i mądrość.

– Nie – odparł Anduin bardzo cicho.

– Nie cierpiałeś? – naciskał Baine. – Nie byłeś przerażony, książę, że nigdy już nie będziesz chodził? Nie byłeś zły?

– Byłem, oczywiście, że byłem.

– Ale teraz, tu, pod przysięgą, twierdzisz, książę, że nie pragnąłeś zemsty.

– To prawda.

– Zdumiewające podejście. Dlaczego nie?

– Bo nic dobrego by z tego nie wynikło. Zemsta nie wyleczyłaby moich kości ani nie ożywiła zabitych. Jedyne, do czego by doprowadziła, to więcej krzywd.

Słowa przychodziły mu teraz łatwiej, naturalnie niczym oddychanie i tak jak oddech potrzebne do życia.

– Ale z pewnością nie chciałbyś, książę, żeby Garrosh zrobił jeszcze kiedyś coś, o co jest tu oskarżony, prawda?

– Nie, nie chciałbym.

Nigdy więcej męki, nigdy więcej cierpienia. Powinniśmy sobie pomagać. Rozwijać się i żyć razem.

– Cóż, oskarżycielka twierdzi, że jedyny sposób, by żadna z tych strasznych rzeczy nie wydarzyła się ponownie, to skazać Garrosha Hellscreama na śmierć. Czy Wasza Wysokość by sobie tego życzył?

– Z całym szacunkiem, protestuję! To, czego świadek może chcieć, nie ma znaczenia dla wyroku, jaki zapadnie w tej sali! – w głosie Tyrande słychać było napięcie, poderwała się na nogi z mniejszym nieco wdziękiem niż zwykle. Rzuciła Anduinowi skonfundowane spojrzenie.

– Fa’shua – rzekł Baine – większość ofiar Garrosha nie żyje i nie może wyrazić swej opinii. Książę Anduin przeżył i zapewne nam powie, co sądzi. Jeśli wciąż zależy nam na sprawiedliwości, nalegam, by ci, którzy doznali najcięższych krzywd, mogli wyrazić swoje zdanie.

Pandaren przyjrzał się wpierw Baine’owi, potem Tyrande.

– Rozumiesz, chu’shao Bloodhoofie, że to broń obosieczna? Jeśli zgodzę się, by ten świadek powiedział, co myśli, to świadkowie oskarżenia będą mogli zrobić to samo.

– Rozumiem – odparł tauren i na jego pysku zagościł wyraz zmieszania.

Anduin zastanawiał się nad taktyką Baine’a – dopuszczając opinię świadka na temat losu Garrosha Hellscreama, dał Tyrande do rąk potężną broń. Był zbyt inteligentny, żeby tego nie wiedzieć.

– Dobrze, dopuszczam. Książę Anduinie, możesz odpowiedzieć na pytanie.

– Książę Anduinie, powiedz, proszę, sądowi – rzekł Baine – czy chcesz, żeby Garrosh Hellscream zginął za to, co zrobił?

– Nie – powiedział cicho Anduin Wrynn.

– Dlaczego nie?

– Bo wierzę, że każdy może się zmienić.

– Dlaczego tak twierdzisz?

– Bo widziałem, jak zmienił się mój ojciec. – Anduin zerknął na Variana, który wyglądał na zaskoczonego.

– Czy uważasz, książę, że Garrosh Hellscream może się zmienić?

Pauza. Anduin odwrócił się do Garrosha i popatrzył na niego uważnie. W sercu nie miał strachu, tylko spokój. Wziął głęboki oddech, żeby udzielić prawdziwej odpowiedzi.

– Tak.

Baine cofnął się i kiwnął głową.

– Nie mam więcej pytań.

Tyrande popatrzyła na Anduina, potem na Baine’a, potem znów na Anduina, w końcu pokręciła głową.

Książę pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi, wstał i wrócił na miejsce na widowni.

Sylwana siedziała nieruchomo jak głaz, ale pod pozorami spokoju krył się prawdziwy wulkan gniewu. Nie mogła uwierzyć w niekompetencję nocnej elfki. Gdyby to ona była oskarżycielką, miałaby bardzo dużo pytań do młodego księcia, pytań jedwabistych i niebezpiecznych jak pajęczyna. A jednak pomimo tego, że Garrosh Hellscream połamał

mu wszystkie co do jednej kości, chłopak dał mu świadectwo tak rozczulające, że widać było, jak zmienia się nastrój na sali. A Tyrande tylko pokręciła głową.

– Sąd zarządza godzinną przerwę – oznajmił Taran Zhu i uderzył w gong.

Kiedy Baine zszedł z areny, Sylwana ruszyła mu na spotkanie, ale wyprzedził ją Vol'jin. Obaj przywódcy skierowali się do drzwi; troll gratulował Baine'owi niezachwianej uczciwości w procesie.

– Nikt teraz nie powie, że Garrosh został źle potraktowany przez Hordę, nieważne, czym jeszcze zaskoczy cię Tyrande. Manosh, mogłeś wezwać księcia Wichrogrodu jako świadka obrony!

– Młody Wrynn wie, co jest słuszne, a co nie – zahuczał Baine. – Umie wybaczać. Jego słowo się liczy.

– Bardziej, jak się okazuje, niż słowo najwyższego wodza taurenów – warknęła Sylwana, zrównując się z nimi, kiedy wyszli za próg.

Było południe, słońce jej przeszkadzało, ale nie zamierzała się cofać.

Baine groźnie położył uszy po sobie.

– Bacz na słowa, Sylwano – ostrzegł Vol'jin. – Nigdy nie wiesz, kiedy będziesz musiała je przełknąć.

– Na szczęście nie muszę uważać na słowa, kiedy patrzy cały Azeroth, bo inaczej mogłabym się zmienić w takiego samego liżącego buty sługusa Przymierza jak…

Baine nie ryknął i nie chwycił jej za gardło, choć taka reakcja byłaby oczywista. Zatrzymał się tylko, złapał Sylwanę za ramiona i ścisnął. Jego ruchy i mowa poza polem bitwy były tak precyzyjne i łagodne, że Sylwana zapomniała, że to wojownik – i to jeden z najlepszych, jakimi Horda mogła się pochwalić. Za późno zorientowała się, że mógł połamać jej ręce jak patyczki.

– Nie jestem sługusem Przymierza – powiedział Baine niskim, spokojnym głosem. – Ani też nie liżę niczyich butów.

– Puść ją, Bainie – rozkazał Vol'jin i tauren usłuchał. – Sylwano, Baine robi, co żem ja, jego wódz, kazał mu robić. I moje polecenie wykonuje z honorem. To prawe. Nie mów tak, jakby było inaczej.

– Nie mam nic przeciwko temu, by dobrze spełniał, co mu poleciłeś – odparła Sylwana, odzyskując panowanie nad sobą. – Protestuję, bo wypełnia to zadanie tak dobrze, że może jeszcze wygrać!

Baine zaśmiał się smutno.

– Pochlebiasz mi, choć zapewne nie taki był twój zamiar. Myślę, że nie ma takiego ryzyka – powiedział. – Sprawiłem, że żądni krwi widzowie zastanowili się przez chwilę, nic więcej. Nie powinno się lekkomyślnie podejmować decyzji o odebraniu komuś życia –

ani w bitwie, ani w mak'gora, ani na sali rozpraw. A teraz, jeśli mi oboje wybaczycie, muszę się przygotować przed rozmową z kolejnym świadkiem.

Ukłonił się im obojgu, Vol'jinowi niżej niż Sylwanie, i poszedł. Czekał na niego Kairoz; Sylwana uświadomiła sobie, że smok widział całe zajście. Miała ochotę zdrapać mu ten uśmieszek z przystojnej twarzy. Dlaczego nie podsuwał bardziej obciążających scen do pokazania?

Vol'jin pokręcił głową i westchnął.

– Sylwano, będziesz ty kiedyś mądrzejsza czy zostaniesz ino bardziej sprytna? – spytał nie bez sympatii.

– Będę, kiedy Horda zmądrzeje na tyle, żeby nie litować się nad tymi, którzy na to nie zasłużyli – odparła. – Garrosh może i był dobrym wodzem przez jakiś czas, ale kiedy Thrall oznajmił, że odchodzi na dobre, trzeba było coś zrobić.

Wódz uśmiechnął się zza długich kłów.

– Mianować mrocznym wodzem Czarną Panią?

Sylwana pokręciła głową.

– Nie interesuje mnie taka władza. Myślałam, że to wiesz, Vol'jinie. – To było najlepsze kłamstwo – takie, które zawierało nieco prawdy. Istotnie nie interesowała jej władza tak ostentacyjna i prymitywna.

Troll wzruszył ramionami.

– Kto wie, czego chce Sylwana. Czasem myślę, że nawet Sylwana tego nie wie. – Pogroził jej szponiastym palcem. – Ty zostaw Baine'a w spokoju. On ci nie ukradnie ofiary. Musisz czekać, aż nadejdzie właściwy czas.

Odszedł, przywołując jednego ze sprzedawców z przekąskami. Sylwana popatrzyła za nim w zadumie.

Jej gniew nie osłabł – nigdy nie słabł. Gniew był dla niej teraz tym, czym kiedyś oddychanie, gdy jeszcze biło jej serce. Ale zmienił się – z rozpalonego i gwałtownego w kontrolowany i wyrachowany.

Vol'jin i Baine nie myśleli jasno. Za bardzo pochłaniało ich to, jak żyją ich poddani, to, co chce zobaczyć Horda i co mogą pomyśleć jej członkowie. Ale nawet gdyby wzięli pod uwagę miłujących Światłość członków Przymierza, nie mogło być wątpliwości co do werdyktu.

Ale przysięgli nie należeli do Przymierza ani Hordy. Niebianie byli całkowicie bezstronni, a do tego obce im były wszelkie głębsze, ulotne czy intensywne uczucia innych ras Azeroth. Mogło to oznaczać, że będą ponad koncepcje takie jak „łaska" czy „jeszcze jedna szansa" – w takim wypadku Sylwana niepotrzebnie się martwiła.

Ale może też nie zrozumieją palącej potrzeby, by się zemścić, i nieprzemijającego bólu

po śmierci kogoś, kogo się kochało.

Zrozumienie przyszło nieoczekiwanie, niczym przecinający powietrze grot strzały, i tak samo jak on ostre, ale też przyniosło Czarnej Pani spokój. Sylwana nie mogła ryzykować, że niebianie, jakkolwiek „czcigodni", podejmą niewłaściwą decyzję.

Nie zamierzała czekać, aż sprawiedliwości stanie się zadość we „właściwym czasie", o czym przekonywał Vol'jin. Weźmie sprawy w swoje ręce, tak jak wiele razy przedtem. Ale w jaki sposób? Istniała szansa, że Sylwana dałaby radę dokonać tego sama, ale była to szansa niewielka. Komu więc mogła zaufać? Nie Baine'owi, rzecz jasna. Nie Vol'jinowi. Być może Theronowi. Elf wydawał się skłonny do rozmowy. Galiwix z kolei bez wątpienia będzie oczekiwał zapłaty.

Wciąż pozostało trochę czasu do wznowienia rozprawy. Zawsze miała jaśniejsze myśli, gdy była u siebie, w swoim świecie, w Podmieście, pod ponurym niebem, wśród Opuszczonych. Niechaj jej poddani, jej dom, staną się dla niej inspiracją.

Podeszła do Yu Fei, czarodziejki wyznaczonej przez sąd, i poprosiła o otwarcie portalu. Kiedy tylko Yu Fei skończyła recytować zaklęcie i przed Sylwaną pojawił się zarys Podmiasta, do Czarnej Pani podbiegł inny pandaren, którego nie znała.

– Lady Sylwano – powiedział – wybacz śmiałość, ale polecono mi, bym ci to przekazał!

Wetknął jej w ręce zwój i małe zawiniątko, opakowane w niebieską tkaninę. Cofnął się pospiesznie i ukłonił. Zanim Sylwana zdążyła spytać, kto to przysłał, powietrze wokół niej zamigotało i znalazła się w swoich pokojach.

Były urządzone skromnie, jak to zwykle jest, gdy lokator rzadko bywa we własnym mieszkaniu. Sylwana Windrunner nie potrzebowała już snu, ale wracała do domu, żeby pobyć sama i pomyśleć. Niewiele tu było mebli – łoże z ciężkim, ciemnym baldachimem, biurko ze świecami i przyborami do pisania, krzesło, samotna półka z kilkoma księgami. Na ścianie, łatwo dostępne, wisiały rozmaite narzędzia walki. W obecnym życiu Sylwana nie potrzebowała nic więcej, z poprzedniego zaś niewiele zachowała.

Zaciekawiona, kto mógł jej przysłać list i paczkę, a zarazem ostrożna, dokładnie obejrzała zwój. Nie wyczuwała w nim magii, nie dostrzegła też śladów trucizny. Zapieczętowany był czerwonym woskiem, ale nadawca nie odcisnął w nim swego znaku. Zaś pakunek owinięty był tkaniną bez żadnych cech szczególnych. Potrząsnęła delikatnie paczuszką i w środku coś zabrzęczało. Usiadła na miękkim łożu, zdjęła rękawice i złamała pieczęć paznokciem.

Odręczne pismo było eleganckie, przesłanie krótkie:

Kiedyś byłyśmy po tej samej stronie.

Może znów potrafimy.

Sylwana zmrużyła z namysłem oczy, starając się dociec, kim jest ów tajemniczy nadawca. Charakter pisma wydał jej się znajomy, ale nic poza tym. Lista tych, którzy zwrócili się przeciwko niej albo których odtrąciła, była długa. Sylwana, nieco rozbawiona, rozpakowała paczuszkę i otworzyła małe, drewniane puzderko.

Poczuła w piersi bolesny ucisk. Odepchnęła pudełeczko, jakby zawierało truciznę.

Nie przestała jednak ani na chwilę wpatrywać się w jego zawartość. Potem wstała i chwiejnym krokiem podeszła do biurka. Drżącymi palcami otworzyła szufladę. Tam, niedotykane od lat, spoczywały pamiątki z przeszłości królowej banshee. Nie było ich wiele – listy sprzed dziesięcioleci, groty strzał, które odebrały życie ważnym dla niej ofiarom, różne drobiazgi. Osad życia.

I małe pudełko.

Jakaś część Sylwany chciała wrzucić przesyłkę do szuflady, przekręcić kluczyk i zapomnieć – ponownie. Przesyłka nie mogła być zapowiedzią czegoś dobrego. A jednak…

Z pudełkiem wyjętym z szuflady wróciła na łóżko. Z niezwyczajną delikatnością Sylwana podniosła wieczko i popatrzyła na to, co było w środku. Kilka lat temu znalazł to pewien poszukiwacz przygód w ruinach wieży, w której Sylwana zginęła, i przedmiot wrócił do Królowej Opuszczonych. Wtedy wspomnienia omal jej nie złamały i teraz też niewiele brakowało, by tak się stało.

Ot, drobiazg, prosta ozdoba zaledwie, a taką miał władzę nad Czarną Panią. Sylwana wyjęła naszyjnik. Poczuła chłodny dotyk metalu w dłoni i spojrzała na niebieski, połyskujący klejnot. Delikatnie położyła go obok tego, który właśnie dostała.

Naszyjniki różniły się tylko klejnotami – jeden miał szafir, drugi rubin, pod każdym innym względem wyglądały tak samo. Sylwana wiedziała jednak, że różne są też inskrypcje.

Otworzyła swój i przeczytała: „Dla Sylwany. Kocham na wieki, Alleria”.

Alleria… opuściła ród Windrunnerów jako druga. Pierwszy był ich brat, Lirath, najmłodszy z nich wszystkich i być może najbystrzejszy. Potem Alleria, stracona za Mrocznym Portalem na Rubieży. A jeszcze później…

Sylwana potrząsnęła głową. Zdusiła emocje. Z najbliższej rodziny pozostała tylko jedna żywa osoba.

Sylwana otworzyła medalion z rubinem. Wiedziała, co w środku znajdzie, ale musiała to zobaczyć na własne oczy.

„Dla Vereesy. Kocham cię, Alleria”.

13

Wiadomość napisano pogrubionymi drukowanymi literami. Była krótka i treściwa.

Czekam na ciebie w domu po rozprawie.

Tak mało słów, a jednak wystarczyły, aby zburzyć spokój Vereesy.

Jej siostra była sprytna. Gdyby ktokolwiek przechwycił wiadomość, nie odgadłby, kto jest nadawcą, a nawet gdyby się to udało – wiadomość nie wydawała się jakoś szczególnie istotna.

Tyle że była. W tym wypadku słowo „dom” miało bardzo mroczne znaczenie. Vereesa podziękowała Jia Ji – posłańcowi, który nieświadomie przekazywał wiadomości mogące rozpętać wojnę – zrolowała zwój tak ciasno, że był nie grubszy od pióra, którym go zapisano, i cisnęła do najbliższego koksownika.

– Vereeso? – Wzdrygnęła się i obróciła gwałtownie. To był Varian. – Zaraz pora wracać. Jeśli masz ochotę na pierożki, lepiej się pospiesz.

Król i Anduin dojadali właśnie krokiety, kierując się ku świątyni. Vereesa zorientowała się, że palenisko, do którego wrzuciła zwój, należało do krępego, pandareńskiego kucharza, który pospiesznie ustawiał bambusowe koszyczki jeden na drugim i pałeczkami wyławiał idealnie ulepione pierożki. Uśmiechnął się do niej pytająco, a Vereesa przytaknęła, choć jedzenie było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę.

– Będą ci smakować. Wczoraj Anduin zjadł prawie cały zapas Mi Shao – rzekł Varian, uśmiechnął się szeroko i zmierzwił włosy syna.

Chłopak uchylił się pospiesznie, przynajmniej raz zachowując się tak, jak powinien ktoś w jego wieku.

– Młody człowiek nabiera sił – powiedział Mi Shao. – Pandareńska strawa mu służy.

Jestem zaszczycony, że zapewniam pożywienie i sprawiam przyjemność komuś, kto tak dobrze rozumie mój kraj.

– Spróbuj tych małych, posypanych ziarenkami – zachęcił Anduin Vereesę. – Są nadziewane kremem z korzeni lotosu. Coś wspaniałego.

– Dziękuję – odparła Vereesa. – Poproszę dwa.

– Po namyśle ja też proszę – skusił się książę. – Idź, ojcze, zaraz do ciebie dołączę.

– W takim razie do zobaczenia za chwilę. – Varian przyciągnął syna i uścisnął go krótko, a potem odszedł w kierunku areny.

Anduin popatrzył za nim, podziękował Mi Shao w mowie pandarenów i skosztował ciastko.

– Jakie to dobre… – Przymknął oczy z rozkoszy.

Przypomniał Vereesie jej synów i ich nienasycone apetyty, jednak jej myśli niemal natychmiast wróciły do Sylwany. Nie zaczęła nawet jeść.

– Wszystko w porządku? – spytał Anduin, spoglądając na nią i przeżuwając.

Vereesie serce zabiło szybciej. Niech to licho, jaki on spostrzegawczy… Czym się zdradziła? Czyżby już wiedział o…?

– Oczywiście, że wszystko w porządku. Czemu miałoby nie być?

Zmusiła się, żeby ugryźć ciastko. Z zewnątrz było miękkie i ciągnące, w środku słodkie, ale nie mdłe. Gdyby jej żołądek nie był zwinięty w supeł, a usta nie wyschły na wiór, specjał mógłby jej nawet smakować.

– Cóż… przez to, co powiedziałem w sądzie. Wiem, że ty i ciotka Jaina nie zgadzacie się z tym, że Garrosh zasługuje na drugą szansę. I chciałem powiedzieć, że rozumiem dlaczego. Naprawdę.

Vereesa aż osłabła z ulgi.

– A ja rozumiem, czemu ty uważasz inaczej.

Anduin się rozpromienił i Vereesa natychmiast pożałowała swojego kłamstwa.

– Naprawdę?

– W każdym dostrzegasz to, co najlepsze, Anduinie. Wszyscy to wiedzą.

Książę spoważniał.

– Wiem, że niektórzy tego nie szanują. Uważają, że jestem za miękki.

– Ejże. – Vereesa ujęła go za ramię. – W sali pełnej ludzi, którzy najchętniej zabiliby Garrosha własnymi rękami, ty się za nim wstawiłeś. Miękki człowiek nie miałby takiej odwagi.

Irytacja księcia znikła, zastąpiona tryumfalnym uśmiechem. Któregoś dnia ten chłopak będzie łamaczem serc. Jeśli dożyje.

– Dziękuję, Vereeso. To bardzo wiele dla mnie znaczy, zwłaszcza z twoich ust. Poza

tym… szczerze mówiąc, jestem trochę zaskoczony. Obawiam się, że zaliczałem cię do tych, którzy chcieliby Garrosha właśnie zabić.

– Nie, nie chciałabym. Wierzę w mądrość tego procesu, wierzę, że niebianie postąpią słusznie.

– Ja… bardzo się cieszę, że tak mówisz.

Kiedy wracali razem na salę rozpraw, Vereesa czuła, że jej gniew na Garrosha Hellscreama buzuje z nową siłą – za sprawą byłego wodza Hordy stała się kimś, kto okłamuje piętnastoletniego chłopca.

Ku ich zaskoczeniu pandareński strażnik przy wejściu uprzejmie odmawiał wszystkim wstępu na salę. Rozmawiał z nim Varian, coraz bardziej poirytowany. Odwrócił się i zobaczył nadchodzących Vereesę i Anduina. Skinieniem ręki nakazał im się pospieszyć. Minę miał gniewną; Vereesa poczuła, że jej czoło zrosił pot. Czyżby król odkrył…?

Nie.

Gdyby tak było, już by ją atakował.

– O co chodzi? – postarała się, by w jej głosie zabrzmiały zaciekawienie i umiarkowana troska.

– Sąd na dziś już zamknięty – odparł szorstko Varian. – Anduinie, chodź ze mną. Vereeso, jeśli chcesz, możesz wrócić na Purpurowe Wzgórze.

– Oczywiście – odparła Vereesa, ale nie odeszła od razu.

Udając, że zatrzymuje się tylko po to, by dokończyć ciastko, stanęła w miejscu, z którego mogła zajrzeć do świątyni.

Taran Zhu, Baine i Tyrande wydawali się czekać na Anduina i jego ojca. Baine zaczął mówić. Varian skrzyżował ręce na piersi i zacisnął zęby. Anduin słuchał ze zmieszanym wyrazem twarzy. Król najwyraźniej stracił panowanie nad sobą – zaczął krzyczeć na taurena. Taran Zhu coś powiedział, Varian w odpowiedzi krzyczał na niego i Tyrande, a książę próbował ich wszystkich uspokoić.

– Wielka łowczyni – powiedział pandaren. – Z całym szacunkiem, to nie jest widok przeznaczony dla twoich oczu.

Vereesa poczuła, że się czerwieni i kiwnęła głową.

– Oczywiście, przepraszam.

Odwróciła się i poszła, zachodząc w głowę, jaką nową taktykę zamierzał zastosować Baine, by nakłonić Czcigodnych Niebian do współczucia masowemu mordercy.

Zacisnęła pięści. Nie mogła się doczekać zmierzchu.

– O co chodzi? – spytał Anduin, wodząc wzrokiem od Taran Zhu do Tyrande,

Baine'a i w końcu do ojca. Tylko wyraz twarzy tego ostatniego potrafił odczytać; Varian był czymś skrajnie wzburzony.

– Anduinie – powiedział król. – Baine poprosił… – zacisnął szczęki. – Niech mnie Światłość oślepi, nie mogę tego nawet powtórzyć!

Baine wystąpił naprzód.

– Wasza Królewska Mość, chcę podziękować, że w ogóle przyprowadziłeś tu księcia.

– Jeszcze mi nie dziękuj – mruknął Varian. – Jestem bardzo bliski odprowadzenia go do domu, do Wichrogrodu.

– Ale… co… – zaczął Anduin.

Baine zastrzygł uchem.

– Poproszono mnie o przekazanie prośby.

Kto poprosił… – chciał spytać książę, ale słowa utkwiły mu w gardle. Nagle wiedział już, kto to taki i o co prosił. Pozostało tylko jedno pytanie.

– Dlaczego?

– Nie wiem, dlaczego chce z tobą rozmawiać, książę – odparł Baine i znów zastrzygł uchem wyraźnie sfrustrowany. – Tyle tylko, że chce. Mówi, że jesteś jedyną osobą, z którą w ogóle porozmawia.

– Raczej jedyną osobą, która chce rozmawiać z nim – sprostował wściekły Varian.

Anduin położył ojcu rękę na ramieniu.

– Jeszcze się nie zgodziłem, ojcze. – Popatrzył na opata. – Czy coś takiego jest w ogóle dozwolone podczas procesu?

– W myśl pandareńskiego prawa to ja decyduję, co jest w tym procesie dopuszczalne, młodzieńcze. Chu'shao Bloodhoof przyszedł do mnie już jakiś czas temu, a ja rozważyłem jego prośbę nad wyraz dokładnie. Poleciłem mu zaczekać, aż złożysz zeznania. Oskarżycielka i obrońca zrzekli się prawa do zadawania ci pytań, dlatego oboje mają coś do zyskania i do stracenia.

– Mówiąc bez ogródek – rzekł Baine – jesteś znany jako człowiek łagodny i współczujący, Wasza Wysokość. Gdybyś zaprzyjaźnił się z Garroshem i wykorzystał swoje prawo, by o tym mówić, pomógłbyś mi; zaszkodziłbyś zaś, gdybyś się zwrócił przeciwko niemu i z kolei mówił o swej niechęci. Chu'shao Whisperwind stoi przed podobnym dylematem.

– To czemu tego po prostu nie zabronić?

– Ponieważ Garrosh rozważa przerwanie milczenia przed sądem tylko pod warunkiem, że z nim porozmawiasz, Wasza Wysokość – rzekła Tyrande. – A to oznacza, że miałabym szansę przesłuchać go osobiście, a to by mi bardzo pomogło.

– Zależnie zaś od tego, co by wynikło z waszej rozmowy, mógłbym skorzystać i ja –

dodał Baine. – Jak już mówiłem, to wielka niewiadoma.

– Nie mogę zmusić Garrosha, żeby przemówił przed sądem, ale uważam, że to ważne, żeby się zgodził – powiedział Taran Zhu. – Niezależnie od tego, co się stanie. Wtedy nikt nie mógłby zarzucić, że nie miał swojej szansy.

– A więc wszystko spada na moje barki – westchnął Anduin. – Właściwie nie mam wyboru, prawda?

– Nie musisz tego robić – powiedział Varian. – Wiesz, że wolałbym, żebyś się nie godził. Uważam, że dość już przeżyłeś.

– To dlaczego po prostu nie powiedziałeś „nie", ojcze?

– Bo jesteś w takim wieku, że powinieneś decydować sam za siebie – odparł król. – Choć wolałbym, aby tak nie było. Musiałem ci o tym powiedzieć. Możesz się zobaczyć z Garroshem albo nigdy więcej go nie oglądać, jeśli wolisz.

Anduina to zaskoczyło. Uśmiechnął się do ojca z wdzięcznością. Zastanawiał się przez chwilę, usiłując zapanować nad natłokiem sprzecznych uczuć.

Przypomniał sobie spadające odłamki Dzwonu, nienawiść na twarzy Hellscreama, i poczuł, jak jego kości odpowiadają bólem. Nigdy więcej nie widzieć Garrosha, zrezygnować ze świadomego narażania się na ból – och, ależ to kuszące. Garrosh nigdy nie okazał mu niczego prócz pogardy i nienawiści – a okazji miał pod dostatkiem. Książę nie był mu nic winien. I tak przed sądem mówił o byłym wodzu Hordy lepiej, niż ktokolwiek miał podstawy oczekiwać. Dość już zrobił, by uratować życie kogoś, kto bardzo się starał odebrać mu jego własne.

A mimo to…

Przypomniał sobie reakcję Garrosha, kiedy ork myślał, że książę nie żyje. Nie cieszył się ani nie puszył, jak można by się spodziewać, ale zadumał. Do tego znużenie, bijące od niego tu, na sali rozpraw…

O czym Garrosh w tych chwilach rozmyślał? Co czuł, skoro chciał się widzieć z kapłanem? Czyżby miał wyrzuty sumienia?

Ból w kościach Anduina zelżał i książę podjął decyzję. Popatrzył na twarze zgromadzonych – każda miała cechy charakterystyczne innej z ras, każda należała do kogoś bliskiego księciu: człowieka – ojca, bohaterki nocnych elfów, pandareńskiego strażnika i Baine'a… taureńskiego przyjaciela. Ta przyjaźń była dość niespodziewana, nigdy nie zadeklarowana głośno, a jednak prawdziwa.

– Ktoś, kto ma kłopoty, poprosił, żebym z nim porozmawiał. Ojcze, jak mógłbym mu odmówić i wciąż stać w Światłości?

Varian z początku nalegał, by towarzyszyć synowi, ale Anduin, nie chcąc zdradzać swoich nadziei, odmówił. Zażądał także, by eskortujący go strażnicy nie szli za nim dalej niż do wejścia, chciał porozmawiać z Garroshem bez świadków. Varian kłócił się z synem przez bitą godzinę, lecz nadaremno.

– Zostałem wezwany jako kapłan – oznajmił Anduin. – Garrosh musi mieć możliwość swobodnej rozmowy ze mną i wiedzieć, że cokolwiek mi powie, pozostanie tajemnicą.

Król w końcu niechętnie się zgodził. Powiódł spojrzeniem po Taranie Zhu, Tyrande i Bainie.

– Jeśli Anduina spotka jakakolwiek krzywda, wszystkich was uznam za winnych. A potem zabiję Garrosha osobiście, nieważne, jakie będą konsekwencje, i do diabła z całym tym procesem.

– Bądź spokojny, królu Varianie, napaść Garrosha na Anduina jest fizycznie niemożliwa. Twój syn jest całkowicie bezpieczny i nie mówiłbym tak, gdyby nie było to prawdą – zapewnił Taran Zhu.

Teraz książę stał przed wejściem do niedostępnych dla nikogo podziemi świątyni. Czekali nań dwaj strażnicy Garrosha, mnisi Shado-pan, Li Chu i Lo Chu.

Skłonili się.

– Witaj, czcigodny książę – rzekł Li Chu. – Okazujesz wielką odwagę, stając przed swoim wrogiem.

Żołądek Anduina skręcił się w supeł; książę ucieszył się, że jego głos nie zdradza strachu.

– To nie jest mój wróg – powiedział. – Nie tu i nie teraz.

Lo Chu uśmiechnął się łagodnie.

– Jeśli to rozumiesz, panie, znaczy, że jesteś nie tylko dzielny, ale też mądry. Wiedz, że przez cały czas będziemy przy wejściu i zjawimy się natychmiast, kiedy nas wezwiesz.

– Dziękuję – odparł Anduin.

Velen nauczył go opanowywać zdenerwowanie i teraz książę zastosował jego rady. Wolno wciągnął powietrze, licząc do pięciu, przytrzymał je w płucach i wypuścił, znów odliczając. „Wszystko będzie dobrze – mawiał Velen. – Każda noc się kończy, każda burza przechodzi. Jedyne burze, które trwają bez końca, to te w twojej własnej duszy”.

Podziałało… przynajmniej dopóki nie stanął przed celą Garrosha.

Sama cela była bardzo ciasna. Miejsca w niej starczyło tylko na posłanie z futer, nocnik i miskę z wodą. Garrosh nie mógł zrobić więcej niż krok czy dwa w dowolnym kierunku, a nawet ten ruch ograniczały mu łańcuchy łączące kostki. Kraty były grubsze niż tors Anduina, a ośmiokątne otwory zamykała łagodna, fioletowa poświata. Taran Zhu mówił prawdę. Garrosha Hellscreama uwięziono fizycznie i magicznie.

Anduin ledwie to wszystko zauważył. Niemal natychmiast spojrzał prosto w oczy orka, który siedział wyprostowany na futrach. Książę nie wiedział, czego oczekiwać – gniewu, błagań, kpin; ale nie, Garrosh miał tę samą zadumaną minę, którą zobaczył Anduin, gdy wódz orków uznał, że zabił ludzkiego księcia.

– Proszę nie dotykać krat – poinstruował Lo Chu. – Wasza Książęca Mość może tu zostać godzinę, nie dłużej. Oczywiście, jeśli zechcesz, panie, wyjść wcześniej, po prostu daj nam znać.

Wskazał krzesło i mały stolik, na którym stał dzbanek z wodą i pusta szklanka.

Anduin odchrząknął.

– Dziękuję. Na pewno dam sobie radę.

Garrosh wydawał się w ogóle nie dostrzegać strażników, tak bardzo był skupiony na księciu. Bracia, tak jak obiecali, wycofali się w drugi kąt pomieszczenia. Anduinowi nagle zaschło w ustach. Nalał sobie wody i rozmyślnie powoli się napił.

– Boisz się?

– Co? – Woda chlapnęła na podłogę.

W kościach księcia nagle odezwał się ból.

– Czy się boisz? – powtórzył Garrosh.

Pytanie zostało zadane tonem, w którym nie pobrzmiewały żadne podteksty, jakby ork po prostu zagajał rozmowę. Anduin wiedział, że w rzeczywistości to prawdziwie wybuchowy ładunek. Zarówno szczera odpowiedź, jak i kłamstwo otworzyłyby drzwi do spraw, o których książe nie miał ochoty rozmawiać.

– Nie mam powodu się bać. Powstrzymują cię łańcuchy i zaklęte kraty. Nie możesz mi nic zrobić.

– Obawa o swoje bezpieczeństwo to tylko jeden z powodów do strachu. Są inne. Pytam jeszcze raz – boisz się?

– Posłuchaj – Anduin powoli odstawił szklankę na stół. – Przyszedłem tu, bo mnie prosiłeś. Bo Baine powiedział, że jestem jedyną osobą, z którą zgodziłeś się pomówić o… cóż, o czymkolwiek chcesz pomówić.

– Może chcę pomówić o twoim strachu.

– Jeśli tak, to obaj marnujemy czas.

Anduin ruszył do drzwi.

– Stój.

Książę zatrzymał się, wciąż plecami do Garrosha. Był na siebie zły. Zwilgotniały mu dłonie, najwyższym wysiłkiem woli panował nad drżeniem całego ciała. Nie mógł dopuścić, żeby ork zobaczył jego lęk.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo… jesteś jedyną osobą, z którą chcę rozmawiać.

Książę zamknął oczy. Mógł wyjść w tej chwili. Garrosh niemal na pewno zamierzał sobie z nim pogrywać. Może podstępem wydobyć z niego coś, czego Anduin nie powinien mówić. Ale co to takiego mogło być? Czego ork mógł chcieć się dowiedzieć? Młody książę zrozumiał, że choć się boi, tak naprawdę nie chce wychodzić. Jeszcze nie.

Wziął głęboki oddech i odwrócił się.

– W takim razie zacznij mówić.

Garrosh wskazał krzesło. Anduin przestąpił z nogi na nogę, a potem niespiesznie usiadł. Uniósł brwi na znak, że czeka.

– Powiedziałeś, że wierzysz, że mogę się zmienić – zaczął ork. – Co takiego sprawiło, że tak pomyślałeś po tym, co zrobiłem?

I znów – żadnych głębszych uczuć, tylko zaciekawienie. Anduin już miał odpowiedzieć, ale się zawahał. Co by zrobiła Jaina… Nie. Jaina nie była już tym rodzajem dyplomaty, na którym chciałby się wzorować. Książę z rozbawieniem uświadomił sobie, że pomimo gróźb, że zabije Garrosha, to Varian stał się teraz dla niego wzorem do naśladowania. Świadomość ta była zarazem smutna, bowiem kochał Jainę, i przyjemna – bo kochał ojca.

– Zrobimy tak – będziemy mówić na zmianę.

Usta Garrosha wygięły się w intrygującym uśmiechu.

– Umowa stoi. Jesteś lepszym negocjatorem, niż sądziłem.

Anduin zaśmiał się krótko.

– Dzięki.

Uśmiech orka stał się szerszy.

– Ty pierwszy.

Punkt dla Garrosha, pomyślał Anduin.

– Dobrze. Uważam, że możesz się zmienić, bo nic nigdy nie pozostaje niezmienne. Zostałeś obalony jako wódz Hordy, bo ci, którym przewodziłeś, zamiast wykonywać twoje rozkazy, zaczęli je kwestionować, a w końcu odrzucać. Zmieniłeś się z wodza w więźnia. Możesz się zmienić jeszcze raz.

Garrosh zaśmiał się bez humoru.

– Z żywego w martwego, chcesz powiedzieć.

– To jeden sposób. Ale nie jedyny. Możesz popatrzeć na to, co zrobiłeś. Popatrzeć, posłuchać i naprawdę spróbować pojąć, jakich dokonałeś zniszczeń i jakie zadałeś cierpienia, i uznać, że nie chcesz iść dalej tą drogą, jeśli tylko dostaniesz szansę.

Ork zesztywniał.

– Nie mogę się zmienić w człowieka – warknął.

– Nikt tego nie oczekuje – zapewnił go chłodno Anduin. – Ale orkowie mogą się zmieniać. Ty akurat powinieneś o tym wiedzieć najlepiej.

Garrosh milczał. Na chwilę w zadumie odwrócił wzrok. Anduin powstrzymał chęć skrzyżowania ramion na piersi, dopilnował, by usiąść w swobodnej pozie, i czekał. Spod futer posłania wyjrzał szczur o jasnych ślepiach i szorstkim futrze, i zaraz schował się z powrotem. Kiedyś wódz Hordy… a teraz w celi ze szczurem za towarzysza.

– Czy wierzysz w przeznaczenie, Anduinie Wrynn?

Książę po raz drugi dał się wziąć z zaskoczenia. Co działo się w głowie Garrosha?

– Nie… nie jestem pewien – wyjąkał, zapominając o postanowieniu zachowania obojętności, po której teraz nie zostało ani śladu. – To znaczy… Wiem, że istnieją przepowiednie. Ale uważam, że mamy też wybór.

– To ty wybrałeś Światłość? Czy ona wybrała ciebie?

– Nie… nie wiem. – Anduin zrozumiał, że nigdy nie zadał sobie tego pytania.

Przypomniał sobie pierwszy raz, kiedy pomyślał o kapłaństwie, i poczuł tęsknotę w duszy. Łaknął ukojenia, które dawała Światłość, ale nie wiedział, czy to ona wezwała jego, czy też on sam ruszył na jej poszukiwanie.

– Czy zdecydowałbyś się odrzucić Światłość?

– Czemu miałbym to robić?

– Z różnych powodów. Był już kiedyś jeden złotowłosy, ukochany przez wszystkich ludzki książę. Był paladynem, a mimo to odwrócił się od Światłości.

W jednej chwili oburzenie sprawiło, że Anduin przestał czuć się niezręcznie. Ciemny rumieniec zabarwił mu twarz.

– Nie jestem Arthasem! – warknął.

Garrosh uśmiechnął się zagadkowo.

– Nie, nie jesteś – zgodził się. – Ale być może… ja jestem.

14

Teraz nazywano je Widmowymi Ziemiami. Kiedyś ród Windrunnerów nazywał tę okolicę domem. Vereesa wróciła tu raz, proszona przez Haldurona Brightwinga, by stawić czoła ich wspólnemu pradawnemu wrogowi, Amani. Wtedy jej duszę trawił ogień cierpienia i teraz było tak samo. Kiedy przeleciała na swoim hipogryfie nad Przełęczą Talasyjską, poczuła skurcz mięśni brzucha i wilgoć na dłoniach trzymających wodze.

Trupia Blizna. Wijąca się przez piękny niegdyś kraj, niczym ślad pozostawiony przez gigantycznego ślimaka tam, gdzie przeszły setki martwych stóp. Nikt nie wiedział, czy kiedyś wróci tu życie. Blizna ciągnęła się przez Trankwillien, które nie zasługiwało już na tę nazwę, dzieliła Sanktuaria Księżyca i Słońca, biegła przez Las Wiecznej Pieśni i Srebrną Lunę, przecinając na pół także to cudowne miasto pieśni i opowieści. Nawet z tej wysokości Vereesa widziała schedę po Królu Liszu; martwe istoty, które wciąż włóczyły się po okolicy, wciąż zabijały.

Martwe, ale nie umarłe. Jak moja siostra.

Nie. Nie tak jak Sylwana. Ona i jej podwładni mieli wolną wolę, swój rozum. Mogli wybierać, co zrobią, a czego nie. Kogo zabiją, a kogo oszczędzą. I to właśnie ta ich umiejętność przyciągnęła Vereesę z powrotem do miejsca, w którym spędziła dzieciństwo; do miejsca, do którego już nigdy nie zamierzała wracać.

Oczy miała suche, zmysły przytępione od ciągłego bólu, który nie ustąpił ani na moment, odkąd otrzymała wiadomość o śmierci Rhonina. Skierowała wierzchowca na zachód. Nie mogła nie zastanawiać się, czy Sylwanie sprawia radość myśl o Vereesie powracającej do Iglicy Windrunnerów.

Na widok wieży zalała ją nowa fala bólu, przejmującego, ostrego, podsycającego

nienawiść. To nie orkowie zniszczyli jej dom, ale i tak zabrali jej wystarczająco dużo – najpierw brata, Liratha, a potem Rhonina, światło jej życia. Pragnęli zburzyć Quel'Thalas tak samo doszczętnie, jak to się potem udało Arthasowi.

Kiedy znalazła się bliżej, mimowolnie obnażyła zęby w grymasie odrazy i wściekłości. Wieża – jej rodzinna wieża – roiła się od chodzących trupów i na wpół przejrzystych upiorów.

Banshee.

Unosiły się w powietrzu, najwyraźniej śmierć, inaczej niż życie, pozbawiła je celu. Wśród nich widać było zakapturzone postaci w czarno-czerwonych szatach. Vereesa nie miała wątpliwości, kim są. Ludzie, wyznawcy kultu Ostoi Śmierci, który rozkwitł po najeździe Arthasa. Teraz wykorzystywali Iglicę Windrunnerów do jakichś okrutnych i bezecnych celów.

Wykorzystywali jej dom.

Vereesa krzyknęła bez słów, uwalniając całą tę bezsilną wściekłość, która kipiała w sercu elfki od chwili klęski Garrosha. Vereesa wypuszczała strzałę za strzałą. Pierwsza trafiła jednego z akolitów w oko. Druga i trzecia przebiły gardła kolejnych, zanim ci w ogóle dostrzegli zagrożenie. Czwarty zwrócił ku Vereesie twarz, na której malowało się bezbrzeżne zdumienie, sięgnął po broń i… zginął. Vereesa zeskoczyła ze swojego hipogryfa, zanim wierzchowiec wylądował. Zaatakowała nieumarłych. Jej miecz rozjarzył się, tnąc bezcielesne ciała, gdy odsyłała przeciwników w niebyt, dając im prawdopodobnie ukojenie… choć Vereesa czyniła to raczej z wściekłością niż ze współczuciem. Skrzywiła się, kiedy powietrze przeszył wrzask upiora, ale zwolniła zaledwie odrobinę i przerażający głos banshee ucichł na zawsze. Elfka krzyczała na równi z nieumarłymi, wywrzaskiwała bezładne frazy pozbawione treści, wyrażające jedynie jadowitą wściekłość i ból.

Dwaj następni akolici okazali się na swoje nieszczęście zbyt wolni w wypowiadaniu zaklęć. Vereesa rzuciła się na nich – jednemu odrąbała głowę, drugiego z zamachu cięła przez pierś. Kiedy padał, tryskając krwią z rany, pchnęła go w brzuch.

Złapała oddech, szarpnięciem uwolniła miecz i rozejrzała się, szukając wrogów, żywych albo nieumarłych, którzy mogliby się zbliżać do wieży. Nie przejmowała się, że ktoś ją rozpozna. W te okolice zapuszczało się bardzo niewiele żywych istot. Płaszcz z kapturem wystarczył, by ukryć tożsamość, gdyby w ruinach Vereesa natknęła się na jakiegoś nieustraszonego krwawego elfa, a żaden akolita nie przeżyłby spotkania z nią, żeby komukolwiek o tym powiedzieć.

Minuty zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Od czasu do czasu Vereesę znów dobiegały ciche, bezmyślne jęki i westchnienia. Walczyła z nieumarłymi, gdy któryś

zabłąkał się na tereny Windrunnerów. Na skórze osiadała jej wilgotna, lepka mgła. Vereesa zaczęła chodzić tam i z powrotem, zastanawiając się, czy nie padła ofiarą jakiejś okrutnej sztuczki Sylwany.

Nagle usłyszała za sobą bardzo cichy dźwięk. Obróciła się w okamgnieniu, unosząc łuk ze strzałą na cięciwie. Ale zanim zdążyła wypuścić pocisk, brzęknęła cięciwa i trzasnęło złamane drzewce.

Łuczniczka odziana w czarną skórę zestrzeliła strzałę Vereesy z cięciwy.

Nowo przybyła odrzuciła kaptur. Czerwone, rozjarzone oczy błysnęły w zielonej mgle, czarne usta wykrzywiły się w sardonicznym uśmiechu.

– Uważaj, siostro – powiedziała Sylwana, opuszczając broń. – Nie sądzę, żebyś chciała zabić tę banshee.

Szły po szarym piasku plaży. Szum fal było nieco łatwiej znieść niż westchnienia i lamenty umarłych. Sylwana pomyślała, że to miejsce pełne duchów – nie tylko w dosłownym tego słowa znaczeniu, bo także duchów rodziny, która urządzała tu niegdyś pikniki.

– Zostałyśmy tylko my – powiedziała Vereesa, jakby czytała w myślach siostry.

Sylwana uśmiechnęła się lekko. Jako średnie dzieci zawsze łączyła je więź, której nie miały z Allerią, najstarszą, ani z Lirathem, jedynym bratem.

– Taktownie dobrane słowa – stwierdziła.

Vereesa zatrzymała się, spoglądając w dal.

– Najpierw Lirath, zamordowany przez orków. Potem Alleria zniknęła na Rubieży. Dlaczego wybrałaś to miejsce, Sylwano?

– A jak myślisz, siostrzyczko?

– Żeby mnie zranić. Wybrałaś na spotkanie miejsce, w którym umarli czują się jak u siebie. Gdzie żywi nie są mile widziani. Chyba że – dodała – mają złe zamiary.

Sylwana zesztywniała.

– Żeby cię zranić? Zarozumiałe dziecko! – zaśmiała się ponuro. – Nie zauważyłaś, kto się do ciebie garnął, łkając i krzycząc z tęsknoty za swoim życiem? To byli moi łowczy! Ja tu zginęłam!

Vereesa się skrzywiła.

– Przepraszam. Myślałam… że przywykłaś… cóż…

– Do bycia królową banshee? Mroczną Panią…? – spytała Sylwana z przekąsem. – Lepsze to niż gnicie. Przynajmniej mam coś do powiedzenia w kwestii tego, co dzieje się na świecie.

– Mamy mniej do powiedzenia, niż mogłyśmy mieć nadzieję – Vereesa podniosła kamyk i rzuciła go w fale. – Nie wiem, kim teraz jesteś. Nie jesteś tą samą osobą, co kiedyś, moją ukochaną siostrą.

Jestem… i nie jestem – pomyślała Sylwana, ale nic nie odpowiedziała.

– Ale w jednym się zgadzamy. – Vereesa odwróciła się do niej, z rumieńcem na twarzy i rozognionym spojrzeniem. – Garrosh Hellscream musi umrzeć za to, co zrobił. I wydaje mi się, że tak samo jak ja nie wierzysz, że niebianie dojdą do podobnego wniosku, w przeciwnym razie nie byłoby cię tu.

– Nie mogę zaprzeczyć. To, że spróbowałaś się ze mną skontaktować, było bardzo dzielne, zwłaszcza jeśli, jak powiedziałaś, nie wiesz, kim teraz jestem.

Odważne i nieco nieroztropne. Gdyby medalion został przechwycony, Vereesa zostałaby uznana za zdrajczynię.

– Zaryzykowałam. Uznałam, że warto. Mam nadzieję, że się nie myliłam.

– Nie zrobiłaś tego tylko po to, żeby porozmawiać ze mną o niegodziwości Garrosha Hellscreama – rzekła Sylwana, splatając ręce na piersi. – Musisz mieć plan.

– Ja… cóż, jeszcze nie mam.

Sylwana uniosła brew i zaczęła kalkulować, ile czasu zajęłoby jej zabicie Vereesy.

– Chciałam ci powiedzieć, że nie jesteśmy same – ciągnęła jej siostra. – Są inni, którzy myślą tak jak my i którzy aktywnie nam pomogą, albo przynajmniej nie będą przeszkadzać, jeśli spróbujemy… zamordować Garrosha.

– Ludzie narzekają i marudzą, siostrzyczko, ale mało kto jest gotów działać. Sprzymierzeńcy, o których mówisz, znikną, jak tylko wyczują choćby cień zagrożenia. Nawet jeśli w niebezpieczeństwie będzie tylko ich reputacja.

Vereesa żywo pokręciła głową.

– Nie, nie znikną. Mam nawet aprobatę lady Jainy.

Sylwana zmarszczyła brwi.

– Teraz wiem, że kłamiesz, siostrzyczko. Jaina Proudmoore nie jest już może tą płaczliwą zwolenniczką pokoju co kiedyś, ale na pewno nie zgodzi się na zamach. Może liczyć na śmierć Garrosha, ale sama nic w tym kierunku nie zrobi.

– Mylisz się. Ona chce jego śmierci. Zanim zostanie ogłoszony wyrok. „Oszczędzić nam wszystkim kłopotu”, powiedziała. Są też inni. Admirał Katrina Rogers na przykład. Nienawidzi Hordy, a Garrosha najbardziej.

– O ile pamiętam, pochodzi z Południowego Brzegu – powiedziała Sylwana. – Wątpię, by chciała współpracować z Królową Opuszczonych.

– Nie musi wiedzieć. Nikt nie musi wiedzieć.

Sylwana umilkła i zamyśliła się.

– Mogłybyśmy zaczekać, czy niebianie nas nie wyręczą.

– Nie. Jeśli zdecydują się na łaskę… – Vereesa wypluła to słowo – …nie będziemy miały następnej szansy. Musimy działać, póki proces trwa. Póki obie nasze strony mają dostęp do Garrosha.

Na te słowa Sylwana parsknęła głośnym śmiechem.

– Dostęp? Nie widziałaś, jak jest strzeżony, siostrzyczko? Nawet najsprytniejszy zabójca nie dostanie się do tej celi.

Vereesa się uśmiechnęła. To wciąż była twarz, którą Sylwana pamiętała – te same usta, które rozciągały się w uśmiechu, gdy Vereesa była dzieckiem. Ale teraz w twarzy siostry Sylwana dostrzegła przebłysk okrucieństwa, którego nie spodziewała się zobaczyć.

– Nie – zgodziła się Vereesa. – Zabójca nie. Ale nawet więźniowie muszą jeść, prawda?

Trucizna. Nic dziwnego, że elfka pomyślała o siostrze.

– I chcesz użyć trucizny, której nikt nie wykryje. Takiej, której jeszcze nie stworzono.

Vereesa przytaknęła.

– Doskonały plan – rzekła Sylwana. – Wstyd mi, że sama o tym nie pomyślałam.

– Potrzebny nam będzie ktoś, kto przeniknie do kuchni albo dotrze do jedzenia u źródła – ciągnęła Vereesa. – Lub też przekona kogoś, komu już powierzono przygotowanie posiłków Garrosha.

– Chwileczkę, zanim poniesie cię całe to spiskowanie i knucie, choć brzmi ono bardzo kusząco – przerwała Sylwana. – Nie powiedziałam jeszcze, że wezmę w tym udział.

– Co? Przed chwilą przyznałaś, że to doskonały plan!

– Och, jest doskonały. Ale ja już cierpiałam pod jarzmem tyrana – rzekła Sylwana. – I zbuntowałam się przeciwko temu, który uczynił mnie tym, kim jestem. Zostałam wskrzeszona przez Arthasa, by mógł mnie dręczyć, ale jego nie ma, a ja nadal tak. Odrzuciłam też władzę Garrosha i jego śmierci również doczekam. – Rozłożyła ręce, wskazując swoje ciało, silne i na swój sposób piękne tak samo jak wtedy, gdy jeszcze żyła, choć teraz sinoszare i zimne w dotyku. – Poza tym… jestem Opuszczoną. Rozumiesz moje pobudki. Jakie są twoje, siostrzyczko?

– Nie do wiary, że mnie o to pytasz!

– Pytam i bardzo proszę, odpowiedz – nalegała Sylwana zimno. – Co takiego zrobił Garrosh, że zdecydowałaś się na takie rozwiązanie?

– A czego nie zrobił?! Spuścił na Theramore grozę, której nie da się niczym wytłumaczyć! A oni wszyscy zginęli… do tego straszną śmiercią. Tylko dzięki szczęściu nie podzieliłam ich losu.

Sylwana pokręciła głową.

Za życia miała jasne włosy, wręcz srebrzyste, teraz wydawały się prawie równie białe co loki jej siostry. Były księżycami, śmiała się Alleria, nazywała je Panią Luną i Małą Luną, podczas gdy złotowłosi – ona i Lirath, najstarsze i najmłodsze z nich wszystkich – byli słońcami. Alleria…

– To nie powód.

– Orkowie zawsze byli naszymi wrogami. Garrosh jest najgorszym z nich wszystkich, i wciąż żyje. Ich dzieje pełne są potworności i demonicznego barbarzyństwa. Odebrali nam braciszka, Sylwano! Wiesz też, że Alleria z każdym walczyłaby o zaszczyt osobistego uśmiercenia Garrosha. Chciałaby, żebyśmy to zrobiły.

Sylwana wydęła wargi.

– Zgadzam się, ale to też nie jest powód.

Vereesa z trudem przełknęła ślinę.

– Ty jednak naprawdę próbujesz mnie zranić. Chcesz widzieć, jak cierpię.

– Sama ocenię głębię twojego cierpienia. To nie to samo.

Vereesa należała do Przymierza. Wyszła za mąż za człowieka, urodziła mu dzieci. Tam był jej dom, tam było jej miejsce. To, co teraz mówiła, stało w sprzeczności z prawami Przymierza – choć oczywiście i tam można było spotkać łotrów i złodziei.

Przez chwilę Sylwana myślała, że jej siostra odmówi. Windrunnerowie zawsze mieli silną wolę. Smukłe ciało Vereesy było napięte jak cięciwa łuku, prawie dygotała. Sylwana czekała z cierpliwością martwego, był to jeden z darów, którymi mimowolnie obdarzył ją Arthas. Czekała, aż wybuchnie furia, którą wyczuwała w swojej siostrze.

Nic takiego się nie stało.

Zamiast ognia Sylwana zobaczyła wodę – łzy, które wezbrały w oczach Vereesy i popłynęły po jej twarzy. Vereesa nawet nie próbowała ich zetrzeć.

– Zabrał mojego Rhonina.

Tylko tyle. Aż tyle.

Sylwana podeszła do siostry i objęła ją, a Vereesa uczepiła się jej jak tonąca, bo zaiste tonęła.

15

Dzień trzeci

– Wodzu – Tyrande skłoniła głowę.

Go’el pomyślał, że wciąż dziwnie brzmi to słowo kierowane do kogoś innego. Nie źle czy niewłaściwie, nie żałował swojej decyzji ani przez chwilę, a Vol’jin zasługiwał na tytuł – ale… dziwnie. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek w ogóle do tego przywyknie.

– Arcykapłanko – odparł Vol’jin z przekornym błyskiem w oku.

– Przewodziłeś swojemu ludowi od wielu lat, jak wcześniej twój ojciec.

– Taka prawda.

– Teraz, po rządach tyrana Garrosha Hellscreama…

– Z całym szacunkiem, protestuję – przerwał Baine, choć bez przekonania.

– Po klęsce Garrosha Hellscreama – poprawiła gładko Tyrande, nie wypadając z rytmu – Go’el mianował cię wodzem Hordy. Przewodzisz teraz nie tylko trollom z klanu Mrocznych Włóczni, ale i całej Hordzie, choć nie jesteś orkiem.

– Z całym szacunkiem, protestuję! – zawołał Baine i tym razem słychać było, że faktycznie jest wzburzony. – Zdolność świadka do przewodzenia Hordzie nie powinna być przedmiotem rozmowy!

– Szacowny Zhu, staram się wykazać wiarygodność świadka przed przysięgłymi – wyjaśniła Tyrande.

– Znajdź inny sposób, chu’shao – poradził ze spokojem Taran Zhu.

– Jak sobie życzysz. Vol’jinie, twój lud cierpiał pod jarzmem Garrosha. Podobnie jak ty sam, osobiście. Czy możesz opowiedzieć o tym sądowi?

– Z przyjemnością – odparł Vol’jin głosem zduszonym od powstrzymywanego oburzenia. – Trolle dołączyły do Hordy jako pierwsze z ludów Azeroth, kiedy orki przybyły. Żeśmy byli lojalni przyjaciele dla orków i dla Go’ela. Go’el poprosił mnie, bym został doradcą Garrosha i żem zrobił wszystko, co mogłem, żeby nim być. Ale Garrosh nie pamiętał, że trolle cały czas to byli jego dobrzy przyjaciele.

– Co konkretnie zrobił?

– Mój lud nie mógł mieszkać w Orgrimmarze, tam gdzie mieszkać chciał. Garrosh przepędził nas na oznaczony teren. Wprowadził na Wyspach Echa prawo wojny.

– Trudno to nazwać postępowaniem przywódcy, który ma reprezentować wszystkie rasy wchodzące w skład Hordy – zauważyła Tyrande.

– To prawda.

– Rozmawiałeś z nim o swoich zastrzeżeniach?

– Wiele razy, tak.

– I przyznał przed tobą, że to zrobił? Że wypędził twój lud?

– Tak.

– Chciałabym pokazać przysięgłym pierwszą wizję tego świadka – Tyrande cofnęła się, żeby obejrzeć wyświetlaną scenę.

Przywódca trolli i wódz Hordy znajdowali się w sali tronowej w Fortecy Grommasha.

– Nie odszczekuj mi, trollu – warknął Garrosh. – Wiesz, kto tu rządzi. Nie zastanawiałeś się nigdy, dlaczego Thrall wybrał mnie zamiast ciebie?

– Żadna zagadka, Garroshu. Tyś dostał tytuł, boś jest syn Groma, a lud chciał bohatera.

To była prawda. Tuż po klęsce Króla Lisza wszyscy mieli dość wojny, ale wciąż żywili ogromny szacunek dla wojennych bohaterów. Go’el uważał, że przyznany na krótki czas tytuł wodzowski pomoże Garroshowi ukierunkować swoją energię. Bardzo się pomylił.

Vol’jin w wizji jeszcze nie skończył.

– Tyś więcej podobny do ojca, niż myślisz, nawet bez krwi demona.

Garrosh zawarczał i zrobił krok w jego stronę, dygocząc z ledwie powstrzymywanego gniewu.

– Masz szczęście, że cię na miejscu nie wypatroszyłem, pętaku.

– Zatrzymaj! – powiedziała ostro Tyrande i dwie postacie znieruchomiały, jakby nagle skuł je lód. – Czcigodni Niebianie, oto widzicie! Garrosh Hellscream, wódz Hordy, wprost grozi Vol’jinowi śmiercią.

Chromia zręcznymi ruchami małych palców ponownie ożywiła scenę.

– Jesteś głupcem, myśląc, że możesz się tak zwracać do wodza – rzekł Garrosh.

– Tyś nie mój wódz. Ty żeś nie zasłużył na mój szacunek, a ja nie dam, żeby pragnienie wojny zniszczyło Hordę.

Vol’jin mówił spokojnie, precyzyjnie i chłodno, tymczasem Garrosh był pobudzony, podniecony niemal do szaleństwa.

– A jak konkretnie zamierzasz to zrobić?! Twoje groźby są puste! Idź, zagrzeb się razem z resztą swoich w tych waszych cuchnących norach. Nie będziesz dłużej brudził mojej sali tronowej!

Obraz zatrzymał się i znikł. Tyrande pokręciła głową.

– Idź, zagrzeb się razem z resztą swoich w tych waszych cuchnących norach – powtórzyła. – To interesujący sposób traktowania i mówienia o rasie, która od tak dawna lojalnie służyła Hordzie.

– Żem to samo pomyślał.

– A więc Garrosh zamiast traktować cię jako szanowanego doradcę zgodnie z poleceniem Go’ela zapędził trolle do miejsca, które sam nazywał cuchnącymi norami i wyrzucił cię z sali tronowej. Groził ci także śmiercią.

Go’el się spiął. Vol’jin, dotąd prawie swobodny, spoważniał.

– Zrobił więcej niż groźby.

Odchylił głowę w tył, pokazując wypukłą jasnoniebieską bliznę tam, gdzie przeciął mu gardło nóż niedoszłego zabójcy. Go’el spojrzał na niebian i zobaczył, że poruszyli się niespokojnie, widząc ten dowód nienawiści.

Tyrande zaczekała, aż ucichną pomruki.

– Chciałabym pokazać tę nikczemną napaść i rolę, jaką odegrał w niej Garrosh Hellscream. Chromio?

Ze wszystkich stron rozległ się szelest – niemal wszyscy widzowie wyprostowali się, pochylili trochę do przodu. Historia o tym, co spotkało Vol’jina, znana była wśród ludów Hordy i Przymierza. Niektórzy wyczekiwali po prostu krwawych szczegółów, a inni chcieli pozbyć się wszelkich wątpliwości.

– Wodzu, czy mógłbyś nakreślić tło?

– Oczywiście. To po tym, jak Horda wylądowała na brzegach Pandarii. Mroczne Włócznie nie miały rozkazu iść z resztą. Uważałem, że błąd szturmować, ale Garrosh bardzo chciał ten kraj… Powiedział: „Kraj bogaty w zasoby: drewno, kamień, żelazo, paliwo. I ludzi” – zacytował.

– „Drewno, kamień, żelazo, paliwo i ludzi” – powtórzyła Tyrande. – W pojmowaniu Garrosha wszystko to są zasoby. Chcesz zatem powiedzieć sądowi, że twoim zdaniem Garrosh zamierzał wziąć pandarenów w niewolę?

Po sali przeszło westchnienie grozy.

Baine poderwał się ze swojego miejsca.

– Z całym szacunkiem, protestuję! – krzyknął. – Każda odpowiedź będzie opinią

świadka, niczym więcej, a nie istnieją żadne dowody, że Garrosh chciał zniewolić całą rasę!

– Nie – odparowała Tyrande – ktoś, kto tak dobrze potraktował trolle, nigdy by tego nie zrobił!

Oboje popatrzyli na siebie ze złością.

Naraz Taran Zhu uderzył w mały gong z większą niż zazwyczaj siłą.

– Spokój na sali! Przypominam wszystkim obecnym, że wszelkie ekscesy będą skutkowały odosobnieniem na czas trwania procesu! Chu'shao Whisperwind, o ile nie masz czegoś na poparcie swojego oskarżenia, sugeruję zmienić podejście.

– Sam dopuściłeś opinie świadków, fa'shua.

Taran Zhu zamilkł na chwilę, potem westchnął.

– W rzeczy samej. W takim razie proszę inaczej sformułować pytanie.

Tyrande odwróciła się do Vol'jina.

– Wodzu, jak sądzisz, co Garrosh chciał przez to powiedzieć?

– Nie wydaje mi się, żeby Garrosh myślał o „zniewoleniu". Chciał nowych rekrutów do armii. Jego bojowy okrzyk brzmiał: „Na brzegi, zamalujmy ten kontynent czerwienią!".

– Czerwienią krwi? Chciał wyrżnąć pandarenów, a nie ich zniewolić?

– Chu'shao! – warknął Taran Zhu, zanim Baine zdążył się nawet podnieść z krzesła. – Przestań wkładać słowa w usta świadka, bo udzielę ci upomnienia.

Tyrande skłoniła się i podniosła rękę.

– Rozumiem, fa'shua. Kontynuuj proszę, wodzu.

– Myślę, że zamierzał zrobić z Pandarii terytorium Hordy. Dużo tu mieszkańców, którzy mogliby walczyć dla Hordy, a ich kolor to czerwień. I to, ja myślę, mówił Garrosh.

– Ale pewności nie masz?

– Mogę powiedzieć tylko to, co żem słyszał i co żem sam pomyślał.

– Naturalnie – zgodziła się Tyrande.

Nie po raz pierwszy Go'el poczuł podziw dla prawości Vol'jina. Troll wygłaszał zaledwie swoją opinię, mógł z łatwością skłamać. Ale nie zrobił tego. Tyrande jednak poruszyła ten temat i zasiała ziarno wątpliwości; ani przysięgli, ani widzowie nie przestaną się teraz zastanawiać, co tak naprawdę chciał powiedzieć Garrosh.

– A więc… Horda przybyła do Pandarii – zachęciła arcykapłanka.

– Bez Mrocznych Włóczni. Poszedłem spotkać się z Garroshem. Był zły i mówił różne gorzkie słowa, tak jak przedtem; potem jakby zmienił zdanie.

– Dziękuję. Chromio?

Mała spiżowa smoczyca wskoczyła na stół, aktywowała Wizję Czasu i na arenie

ukazała się scena.

– Na tym polega różnica między nami, Vol'jinie – stwierdził ówczesny Garrosh. – Ja nie pozwolę, żeby mój lud wyginął z głodu na pustyni. Nie zatrzymam się przed niczym, podkreślam, niczym, by zapewnić dumną, chwalebną przyszłość orkom i każdemu, kto ma odwagę stanąć z nami ramię w ramię. Zaczekaj tu.

Odszedł na bok i rozmówił się cicho z jednym z członków Kor'kronu, Rak'gorem Bloodrazorem. Go'el zmarszczył brwi, zastanawiając się, czemu Tyrande nie pozwala przysięgłym usłyszeć tej szeptanej konwersacji. Garrosh wrócił po chwili, uśmiechając się krzywo.

– Jest coś, co możesz zrobić, trollu, żeby udowodnić swoją przydatność Hordzie. Możesz pojechać z pewną misją w głąb tego kontynentu.

– Pojadę – rzekł Vol'jin i dodał: – ale tylko jako świadek mojego ludu. Ktoś musi pomóc ci się opamiętać, Garroshu.

Obraz znieruchomiał i rozwiał się. Tyrande odwróciła się do trolla.

– Czy możesz opowiedzieć, co stało się podczas tej wyprawy, na którą Garrosh wysłał cię z Rak'gorem Bloodrazorem?

– Żeśmy ruszyli szukać kolonii sauroków – rzekł Vol'jin. – Zwiadowcy meldowali, że w tych jaskiniach działa pradawna magia. Garrosh chciał to sprawdzić.

– I co odkryliście?

Vol'jin wziął głęboki oddech.

– Były… nienaturalne – odparł. – Bloodrazor powiedział mi, że Garrosh dowiedział się o istnieniu jakiegoś powiązania między saurokami a mogu. Miał rację.

Na środku areny pojawiła się kolejna scena. Tym razem troll, Bloodrazor i kilku innych, których Go'el nie znał, stali na środku ciemnej, wilgotnej jaskini. Trup wielkiego sauroka krwawił powoli do nieruchomej, sięgającej kostek wody. Wszędzie leżały jaja – Vol'jin znalazł kolonię. Z gardła trolla wydobył się cichy warkot, a kiedy się odezwał, jego głos był zduszony i dygotał z oburzenia.

– Mogu ich zrobili. Wzięli się tu za paskudną magię. – Vol'jin najeżył się, gdy ork się doń zbliżył. – Najczarniejszą magię.

Odwrócił się do Bloodrazora z uniesioną bronią, wyraźnie czekając na rozkaz zniszczenia wszystkich jaj.

Ork zaprezentował zęby w śmiertelnie groźnym uśmiechu.

– O, tak. Mocy zdolnej ukształtować ciało i stworzyć niesamowitych wojowników. Tego właśnie pragnie wódz.

Go'el oderwał wzrok od ukazywanych wydarzeń i popatrzył na reakcję przysięgłych i widowni. Niebianie jak zawsze wyglądali na nieporuszonych, ale tylko oni – reszta

widzów oglądała ten miażdżący dowód winy z minami wyrażającymi przerażenie, wściekłość i wszystkie podobne im uczucia.

– Garrosh chcący nad wszystkim panować?! – krzyknął Vol'jin z przeszłości. – Nie tym jest Horda!

To właśnie, pomyślał Go'el, było owo zdanie. Zdanie, które – nawet jeśli nie słyszał go nikt oprócz tych kilku towarzyszy trolla – zostało wypowiedziane i wypuszczone w świat. To ono kierowało Go'elem, kiedy pomagał Vol'jinowi odebrać Wyspy Echa. To ono pomogło przywódcy trolli pozostać przy życiu, odzyskać siły i bronić Hordy, która była jego rodziną. To znajomość tej prawdy przez Variana nie pozwoliła mu zrobić tego, co Garrosh zamierzał zrobić z sha; to ona sprawiła, że król ludzi nie zajął i nie okupował Orgrimmaru.

Nie tym jest Horda.

I nigdy nie będzie.

Ale takiej Hordy chciał Garrosh. Wizja trwała.

Bloodrazor podszedł do trolla. Vol'jin patrzył na niego z wściekłością. Ork rozdął nozdrza i skrzywił się, jakby poczuł jakiś okropny smród.

– On wiedział, że jesteś zdrajcą! – warknął, i choć Go'el wyczuł, co się stanie, nawet on był zaskoczony tym, jak szybko zaatakował zwalisty, opancerzony Kor'kron. Nóż zatoczył się po krótkim łuku, z rozciętego gardła Vol'jina trysnęła krew i troll upadł.

Widownia głośno wstrzymała oddech. Scena znikła.

– Zazzariku Fryllu, czy mógłbyś odczytać zarzuty numer dwa, trzy, cztery, pięć i siedem? – poprosiła Tyrande.

Goblin chrząknął, przejrzał kilka zwojów, a potem odczytał głośno:

– Morderstwo.

Tyrande przerwała mu, unosząc dłoń. Fryll zamilkł i zamrugał zza okularów.

– Morderstwo – powtórzyła arcykapłanka i wyprostowała palec wskazujący. – Rozkaz, by poderżnąć Vol'jinowi gardło, jeśli ten nie zgodzi się na barbarzyński plan wodza. Kontynuuj proszę.

– Ee… Przymusowe wysiedlenia. – Goblin popatrzył na nią wyczekująco.

Tyrande wyprostowała drugi palec.

– Zabronienie trollom, które są szanowanymi i prawowitymi członkami Hordy, mieszkania poza wyznaczonym terenem.

– Uprowadzenia.

Razem już trzy.

– Wysłanie Vol'jina z członkami Kor'kronu z pełną świadomością, że Vol'jin najpewniej zostanie zamordowany.

– Uprowadzanie w niewolę.

– Najpewniej Pandarii. Na pewno zaś wynaturzone sauroki nie były ochotnikami.

– Z całym szacunkiem, protestuję – rzekł Baine. – Garrosh nie jest odpowiedzialny za to, co stało się z saurokami.

– Zgadzam się z obrońcą – powiedział Taran Zhu.

– Owszem, ale Wizja jasno pokazuje, że chciał być odpowiedzialny – warknęła Tyrande. Mnich był zmuszony przytaknąć.

– Dopuszczam sformułowanie „wyrażona chęć uprowadzenia w niewolę" – rzekł.

– Tortury.

– Jeśli zgodzimy się, że Garrosh chciał zrobić coś podobnego do tego, co stało się z saurokami. Spaczonymi. Zdeformowanymi. Zniewolonymi. Żywe istoty miały zostać tak potraktowane bez żadnego innego powodu jak kaprys orka. Zeznania tego jednego świadka – wskazała trolla – są dowodem potwierdzającym równo połowę zarzutów, które postawiono Garroshowi Hellscreamowi. Połowę! Inni także będą mówić o morderstwach, torturach i tym podobnych haniebnych czynach, których Garrosh się dopuścił, jak potwierdził właśnie Vol'jin. On…

– Fa'shua – zahuczał Baine. – Jeśli oskarżycielce skończyły się pytania do świadka i musi się uciekać do przemów, może ja dostałbym szansę zadania swoich?

To był celny cios. Policzki Tyrande gwałtownie pociemniały.

– Masz jeszcze jakieś pytania do świadka, chu'shao Whisperwind? – spytał uprzejmie Taran Zhu.

– Chciałabym przedstawić jeszcze jedno wydarzenie, fa'shua, jeśli można. Jest… nadzwyczaj ważne. Żyje tylko jedna osoba, która tego doświadczyła.

– Oczywiście.

Tyrande odzyskała panowanie nad sobą i spokojnie skinęła głową smoczycy.

Go'el z początku był zdezorientowany. Tyrande pokazywała coś, co przed chwilą wszyscy widzieli – Garrosha obrażającego Vol'jina, a potem oddalającego się, by pomówić na osobności z Rak'gorem. Tym razem jednak wszyscy mogli usłyszeć, co wódz Hordy powiedział do swojego żołnierza.

– Nie wątpię, że zdołasz potwierdzić moje podejrzenia – rzekł Garrosh w wizji tak cicho, by słyszał go tylko Rak'gor. – Zobacz, jak zareaguje troll. Jeśli się zgodzi, może żyć. Jeśli nie – to zdrajca. Poderżnij mu gardło.

Scena znieruchomiała. Tyrande podeszła do powiększonej wersji Garrosha, a na jej twarzy pojawił się uśmieszek pełen satysfakcji. Popatrzyła na niego, potem na prawdziwego Garrosha.

W przeciwieństwie do karykaturalnie wręcz napuszonego Hellscreama z przeszłości,

teraźniejszy Garrosh siedział z obojętną miną. Spojrzenie jednak utkwił w Tyrande, a nie w scenie, którą pokazała. Arcykapłanka stała prosto, z wysoko uniesioną głową. Była piękna i straszna w swoim słusznym gniewie, niczym nieubłagana bogini sprawiedliwości nieznająca litości ani współczucia. Jej pierś unosiła się i opadała w przyspieszonym oddechu, na smukłej, długiej szyi wyraźnie widać było puls. Go'el zesztywniał, czekając na to, co musiało nastąpić. Na przejmującą mowę. Na oburzenie. Na obrzydzenie tym, jak nisko upadł syn Hellscreama bohatera. Nie zabraknie jej popleczników w potępianiu Garrosha. W sali zapanuje tumult.

W końcu się odezwała.

– A więc już wiemy.

Wymówiła te słowa cichym głosem, który poniósł się wyraźnie po pogrążonej we wstrząśniętym milczeniu widowni. Patrzyła jeszcze przez chwilę na Garrosha, a potem, wykrzywiając usta w grymasie wyrażającym pogardę dobitniej niż jakiekolwiek słowa, odwróciła się doń plecami.

– Nie mam więcej pytań.

16

Baine gorączkowo, wręcz desperacko usiłował wymyślić cokolwiek, co mogłoby mu pomóc ujść spod ciosu zadanego właśnie przez Tyrande.

Vol'jin był jego przyjacielem. Baine zawsze szanował trolla, zbliżyli się do siebie po śmierci Cairne'a. Nie chciał go przesłuchiwać, nie chciał kwestionować jego interpretacji wydarzeń ani dyskredytować go w oczach przysięgłych. Ale to sam Vol'jin kazał mu bronić Garrosha.

– Wodzu Vol'jinie… jesteś honorowym trollem, o czym wie zarówno Horda, jak i Przymierze. Nikt nie zaprzecza, że doszło do owego zamachu na twoje życie, ani że trolle zostały wygnane do jednej z najpodlejszych części Orgrimmaru.

Vol'jin czekał.

– Teraz do ciebie należy tytuł wodza i związana z tym odpowiedzialność – ciągnął Baine. – Zostałeś już zmuszony do podjęcia kilku bardzo trudnych decyzji. Czy mogę spytać, jaka byłaby twoja polityka wobec zdrajców?

– Z całym szacunkiem, protestuję! – Tyrande zerwała się ze swojego miejsca. – Jak przed chwilą orzekłeś, fa'shua, zdolność świadka do przewodzenia Hordzie nie podlega tu dyskusji!

– Fa'shua, nie kwestionuję jego zdolności. Pytam tylko o jego stanowisko w konkretnej sprawie – wyjaśnił Baine.

Taran Zhu przekrzywił głowę.

– Rozumiem, że to ma związek ze sprawą, chu'shao?

– Tak.

– Oby. Zgadzam się z obrońcą.

– Nie miałem okazji rozprawić się z nikim, kto mnie zdradził. Jeszcze. – Z twarzy Vol'jina zniknął przyjazny wyraz. Zastąpiła go czujność.

– Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał – powiedział Baine. – Ale byłeś gotów skazać Garrosha na śmierć za to, co zrobił Hordzie.

– Tak.

– A więc byłbyś gotów skazać na śmierć każdego, kto w twojej – jako wodza – opinii, zdradziłby Hordę?

Powietrze było gęste od napięcia, którego powodem po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu nie był Garrosh. Baine czuł mrowienie na karku, ale wiedział, że nie może się teraz wycofać.

– Tak, jeśli…

– Odpowiedz po prostu na pytanie, wodzu. Proszę.

Vol'jin popatrzył na niego z namysłem, a potem warknął krótko:

– Tak.

Baine odwrócił się, wdzięczny, że nie musi dłużej na niego patrzeć, i skinął głową Kairozowi. Smok siedział cicho, coraz bardziej ponury, wyraźnie czekał, żeby popisać się swoimi umiejętnościami. Teraz zerwał się z krzesła i niemalże skoczył do Wizji Czasu.

Baine wypuścił powietrze przez szerokie nozdrza, powstrzymując się z wysiłkiem od niecierpliwego tupania kopytami. Ujrzał Garrosha i Vol'jina; tę samą scenę, którą pokazała wcześniej Tyrande, ale oskarżycielka urwała ją przedwcześnie. Baine chciał pokazać przysięgłym, jak skończyło się to spotkanie. Nerwowo kręcił ogonem.

– Tyś nie mój wódz – rzekł ze spokojem Vol'jin z przeszłości. – Żeś nie zasłużył na mój szacunek, a ja nie dam, żeby twe pragnienie wojny zniszczyło Hordę.

– Zatrzymaj tu – polecił Baine. Odwrócił się do Czcigodnych Niebian i popatrzył na nich przenikliwie. – To ważne. Oto macie przed sobą udowodniony fakt – poddany Hordy właśnie powiedział orkowi, który został należycie mianowany przez pełnoprawnego wodza, cytuję: „Tyś nie mój wódz".

Z idealnym wyczuciem chwili Kairoz odczekał, pozwalając, żeby waga słów Baine'a została zrozumiana przez wszystkich, a potem wznowił scenę.

– A jak konkretnie zamierzasz to zrobić?! – krzyknął Garrosh. – Twoje groźby są puste. Idź, zagrzeb się razem z resztą swoich w tych waszych cuchnących norach. Nie będziesz dłużej brudził mojej sali tronowej.

– Wiem dokładnie, co będę robił, synu Hellscreama. Będę czekał i patrzył, aż twoi poddani zrozumieją, żeś niekompetentny. Będę się śmiał, gdy nauczą się gardzić tobą. Jak ja. A wreszcie czas nadejdzie, że twoja porażka się dokona, a twoja władza pozbawiona będzie znaczenia, i ja tam będę, i zakończę twoje rządy szybko i bez hałasu.

Scena się zatrzymała. Z widowni dobiegły nerwowe szelesty.

– Vol'jin nazwał prawowicie wybranego wodza Hordy niekompetentnym. Powiedział, że gardzi Garroshem. Zagroził, że zakończy jego rządy. Jak nazwać te słowa, jeśli nie zdradą? A jaki los czeka na zdrajców Hordy, według Vol'jina, jej obecnego wodza?

– Z całym szacunkiem, protestuję! – Po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu Tyrande wydawała się naprawdę wytrącona z równowagi. Baine zdołał zdenerwować nieporuszoną zazwyczaj elfkę. – Obrońca znęca się nad świadkiem!

– W ogóle się do niego nie zwraca – zauważył Taran Zhu.

– To, co Vol'jin zrobił albo nie, powiedział czy nie powiedział, nie ma znaczenia! – krzyknęła Tyrande.

– Z całym szacunkiem, fa'shua, uważam, że ma – rzekł Baine. – Uważam, że Garrosh poczuł się zagrożony przez Vol'jina i uznał go za zdrajcę. Uważam, że to możliwe, iż bał się o własne życie.

– Słyszałem, jak wyraził niezadowolenie, irytację i brak szacunku, chu'shao – powiedział Taran Zhu. – A także, być może, groźbę, że Garrosh nie będzie dłużej przewodził Hordzie. Ale Go'el ustąpił miejsca dobrowolnie. Choć Vol'jin jest wyraźnie poddanym niezadowolonym i nie ma szacunku dla swego wodza, nie dostrzegam fizycznego zagrożenia.

Na tym Baine mógł poprzestać. Pokazał, co chciał pokazać – że Garrosh miał wszelkie prawo zabić Vol'jina, jeśli uważał, iż troll będzie próbował go obalić. Zdawał sobie jednak sprawę, że to nie wystarczy. Czcigodni Niebianie widzieli, jak Garrosh dopuszcza się przemocy wobec trolla. Musieli to zobaczyć również z drugiej strony.

Wściekły, że do tego doszło, a zarazem zdeterminowany wypełnić swoje obowiązki, Baine powiedział:

– Proszę o pozwolenie na dokończenie tej rozmowy. Uważam, że jest niezwykle istotna.

Taran Zhu przyjrzał się im wszystkim, a potem skinął głową.

– Zezwalam.

Baine nie mógł patrzeć ani na prawdziwego Vol'jina, ani na jego podobiznę. Wpatrywał się w niebian, kiedy przemówił Vol'jin z przeszłości.

– Do końca swoich rządów będziesz oglądał się przez ramię i bał własnego cienia.

Baine przymknął oczy.

– Bo kiedy nadejdzie ten czas i twoja krew sączyć się będzie z twego ciała, zrozumiesz, kto wypuścił strzałę, która przebiła twoje czarne serce.

– Przypieczętowałeś swój los, trollu – warknął ówczesny Garrosh. Splunął Vol'jinowi pod dwupalczaste stopy.

– A ty swój, „wodzu”.

Obraz znikł.

Cisza. Baine nie mógł spojrzeć na Vol’jina, odwrócił się więc do Tarana Zhu.

– Nie mam więcej pytań do tego świadka, fa’shua.

Pandaren kiwnął głową. Baine’owi wydawało się, że w jego spojrzeniu dostrzega ślad współczucia.

17

Drzwi zamknęły się z hukiem za Anduinem i na swoją prośbę książę został sam na sam z mordercą.

Nalał sobie wody do szklanki i napił się. Stwierdził, że tym razem dłoń mu już tak nie drży. Garrosh, jak zwykle skuty łańcuchami, siedział na posłaniu z futer i przyglądał się człowiekowi.

– Chciałbym się dowiedzieć, co myślisz o zeznaniach Vol'jina – rzekł wreszcie.

Anduin zacisnął usta.

– Jeśli nasza umowa dalej obowiązuje, tym razem to ty masz mi coś powiedzieć pierwszy.

Garrosh zagrzmiał basowym, melancholijnym śmiechem.

– Powiem ci więc, że moim zdaniem ten dzień położył kres wszelkiej nadziei, że wyjdę z celi gdziekolwiek indziej niż na egzekucję.

– Nie poszło najlepiej – zgodził się Anduin. – Ale co konkretnie sprawiło, ze jesteś o tym przekonany?

Garrosh popatrzył na niego jak na idiotę.

– Groziłem Vol'jinowi, wypędziłem jego lud i kazałem go zabić. To chyba wystarczy.

Anduin wzruszył ramionami.

– On również tobie groził, nie szanował twojej rangi i prosto w oczy przysiągł, że cię zabije. Mógł mieć zwolenników, gotowych zrobić to w Orgrimmarze, gdyby sam nie zdołał. Może wygnałeś jego plemię nie dlatego, że go nienawidziłeś, ale dlatego, że się go bałeś.

Ork zerwał się z okrzykiem wściekłości tak szybko, że Anduin uskoczył w tył

z zaskoczenia. Słysząc pełen furii ryk, bracia Chu natychmiast się pojawili.

– Wszystko w porządku! – Książę uniósł dłoń, zmuszając się do uśmiechu. – My po prostu… dyskutujemy.

Li i Lo popatrzyli po sobie. Li rzucił Garroshowi przeciągłe spojrzenie.

– Brzmiało to jak coś więcej.

Ork milczał, ale oddychał szybko i ciężko, zaciskając i otwierając pięści.

– Nie – zapewnił ich Anduin.

– Więźniu Hellscreamie – powiedział cicho Lo – masz nad sobą panować. Rozmowa z Jego Wysokością to przywilej, który zostanie cofnięty, jeśli uznamy, że coś mu grozi. Rozumiesz?

Przez chwilę wydawało się, że zaraz Garrosh rzuci się do krat. Jednak usiadł. Zabrzęczały łańcuchy.

– Rozumiem – odparł, wciąż wściekły, ale już opanowany.

– Doskonale. Życzysz sobie zostać, Wasza Wysokość?

– Tak – rzekł Anduin. – Możecie odejść.

Bracia ukłonili się i wyszli, choć Li rzucił Garroshowi jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie, zanim zaczął wspinać się na rampę.

– Zabiłbym cię, gdyby nie było między nami krat – warknął cicho ork.

– Wiem – odparł Anduin. Co dziwne, nie bał się. – Ale są.

– Istotnie. – Garrosh wziął głęboki oddech. – Nie bałem się jakiegoś tchórzliwego zamachu na moje życie. Nigdy nie bałem się Vol'jina.

– To dlaczego nie wyzwałeś go na mak'gora? – odparował Anduin. – Po co robić coś po kryjomu, wbrew własnym tradycjom, skoro nie bałeś się, że zwycięży cię w otwartej walce? Tak robią tchórze. Tak zrobiła Magatha.

– Myślałem, że masz honor, ale uderzasz poniżej pasa, szczeniaku.

– Mówię prawdę, Garroshu. To cię tak denerwuje. Nie to, co myślą o tobie inni, tylko to, co myślisz ty sam.

Anduin spodziewał się kolejnego wybuchu wściekłości, ale tym razem Garrosh skierował swój gniew do wewnątrz. Zdradzały go tylko oczy.

– Nigdy nie zapomniałem o tradycjach mojego ludu… – powiedział tak cicho, że książę musiał wytężyć słuch. – Powtórzę to, co powiedziałem Vol'jinowi. Gdybym był wolny, nie cofnąłbym się przed niczym, by zapewnić dumną i chwalebną przyszłość orkom – i każdemu, kto miałby odwagę stanąć z nami.

– A gdyby stanęło z wami Przymierze?

– Co?

– Gdyby stanęło z wami Przymierze? Chodzi ci rzeczywiście o dumę i chwałę orków

czy może o swoją?

Te słowa nie były zaplanowane; wyrwały się jakby kierowane własną wolą. Już wypowiadając je, Anduin zdał sobie sprawę z ich niedorzeczności. A mimo to coś zaszeptało mu w duszy: „Nie, to nie jest niedorzeczne ani niemożliwe. Może zapanować pokój”. Nikt nie musiał rezygnować z takiej przyszłości. Jedność, wspólna praca na rzecz dobra wszystkich – cóż innego mogło wzbudzić prawdziwą dumę, przynieść trwałą chwałę?

Czy nie tak właśnie zostaje się bohaterem? A nie przez zabijanie?

Garrosh patrzył na księcia wstrząśnięty, usta miał półotwarte w grymasie niedowierzania.

Anduin wstrzymał oddech. Chwila się dłużyła. Nie śmiał znów się odezwać z obawy, że czar pryśnie.

W końcu Garrosh przemówił.

– Wynoś się.

Rozczarowanie sprawiło, że nagle zabolały wszystkie kości w ciele księcia, niczym w chóralnej, żałobnej pieśni.

– Kłamiesz, Garroshu Hellscreamie – powiedział Anduin cicho i z żalem. – Jest coś, przed czym byś się cofnął. Cofnąłbyś się przed pokojem.

Z tymi słowy wstał, wszedł po rampie i zastukał do drzwi. Otwarto mu je w milczeniu i wyszedł, czując, jak spojrzenie orka przewierca mu plecy.

Jaina była sama w swoim namiocie na Purpurowym Wzgórzu. Przygotowywała się do kolacji. Purpurowe Wzgórze, położone daleko na północny zachód od Świątyni Białego Tygrysa, było centrum dowodzenia Ofensywy Kirin Tor. Obecnie gościło także Variana i Anduina oraz kilkoro potężnych magów, Vereesę, Kalecgosa i ją samą. Jaina przebrała się w mniej oficjalną szatę i ochlapała twarz wodą z miski. Miała prawie ochotę zacząć nucić. Zeznania Vol’jina były nieodwracalnie obciążające. Nigdy nie zadawała się z trollem; Światłość jednak wiedziała, że rasa ta była groźna dla ludzi i innych członków Przymierza, zanim jeszcze powstała Horda. W pewnym sensie zabawne było, gdy Vol’jin opowiadał o mnogości ras pod jej sztandarami, zważywszy na długą historię rasowych uprzedzeń trolli. A jednak omal nie zaczęła wiwatować po jego wypowiedzi w sądzie.

– Jaino?

– Kalec! Wejdź.

Smok uniósł płachtę zasłaniającą wejście, ale nie postąpił dalej. Dobry nastrój Jainy prysł, kiedy zobaczyła jego minę.

– Co się stało?

– Przejdziesz się ze mną?

Padało – wydawało się, że tu zawsze pada – ale Jaina powiedziała: „Oczywiście”. Wyszła z namiotu i opuściła płachtę na miejsce. Dłonie jej i Kaleca spotkały się i splotły. Jaina powiedziała Nelfi, młodej adeptce, która pomagała wszystkim magom na Purpurowym Wzgórzu, że nie będzie ich dłuższą chwilę, ale żeby nie czekano na nich z kolacją, gdyby wszyscy inni byli gotowi.

Przeszli przez rozległy, brukowany dziedziniec, wciąż trzymając się za ręce. W milczeniu zeszli po wielkich schodach prowadzących do wody, po których kiedyś stąpali mogu. Kiedy skręcili w lewo w Gęstwinę Cieni, Jaina zrozumiała, że Kalec prowadzi ją na mały skrawek plaży na końcu krętej dróżki. Tajemni strażnicy ustawieni tu na warcie nie zwrócili na nich uwagi, ani na moment nie zbaczając z wyznaczonych zaklęciami tras. Jaina skupiła się na stąpaniu po śliskich od deszczu, starożytnych kamieniach, coraz bardziej pewna, że nie spodoba się jej rozmowa, która ją czekała.

Kiedy zeszli na wąską plażę, mimowolnie wróciła pamięcią do spaceru po podobnym piasku pod murami miasta, które już nie istniało. Przypomniała sobie, jak dostrzegła błękitnego smoka szukającego miejsca do wylądowania, i to, jak puściła się biegiem na jego spotkanie.

Kiedy ją ujrzał, jego twarz się rozświetliła. A potem rozmawiali o tych, którzy przybyli jej na pomoc przeciwko Hordzie. Jaina była zaniepokojona osobistym podejściem generałów do nadchodzącej bitwy.

Przypomniała sobie, co wtedy powiedziała: „Jeśli ktoś ma być zgorzkniały i pełen nienawiści, to ja. A mimo to słyszę, jak niektórzy z nich wyrażają się o Hordzie w okrutnych, obraźliwych słowach, i czuję taki smutek… Mój ojciec nie chciał po prostu wygrać. Nienawidził orków. Chciał ich zmiażdżyć. Zetrzeć z powierzchni Azeroth. I tak samo myśli część tych generałów”.

Anduin miał rację. Ludzie naprawdę się zmieniali. Teraz ona sama należała do tych, których wtedy potępiała.

To wówczas właśnie Kalec po raz pierwszy nieśmiało wyraził, że chciałby być dla niej kimś więcej niż przyjacielem. Obiecał, że pomoże jej bronić domu. „Nie robię tego dla Przymierza ani dla Theramore. Robię to dla pani tego miasta”. I ucałował wnętrze jej dłoni.

Zbliżyli się do siebie, kiedy smok zmagał się z utratą kontroli nad sobą pod wpływem artefaktu, który wyjawił prawdziwą historię stworzenia Smoczych Aspektów. Jednak wydarzenia ostatnich miesięcy znów ich od siebie oddaliły i Kalec dopiero niedawno przybył do Pandarii. Teraz patrzył na Jainę z miłością, ale też ze smutkiem, a ona poczuła

chłód niemający nic wspólnego z nadmorską bryzą.

Przez chwilę patrzyła tylko na statki Przymierza i piękną, purpurową poświatę najwyższej partii wieży. Unosiła się na sporej wysokości nad platformą lewitacyjną. Otaczały ją symbole oka Kirin Tor; dla Jainy wyglądała prawie jak latarnia morska, światełko wśród burzy.

Zaśmiała się wisielczo.

– Najpierw bagno, teraz deszcz. Musimy sobie w końcu znaleźć jakąś naprawdę ładną plażę.

Kiedy Kalec nie odpowiedział żartem, poczuła w duszy chłód. Odetchnęła głęboko i odwróciła się do niego, ujmując go za ręce.

– Co się dzieje? – spytała, choć obawiała się, że już wie.

Kalec wziął ją w ramiona i uścisnął, wtulając policzek w jej białe włosy. Jaina objęła go w pasie, wdychała jego zapach, słuchała bicia serca. Delikatnie ją odsunął, stanowczo zbyt szybko, i zajrzał w jej oczy.

– Ta wojna tak wiele ci zabrała – powiedział. – I nie chodzi mi tylko o rzeczy materialne. – Odsunął kosmyk włosów, który przesłonił jej oko, pozwalając, by ostatnie złote pasmo prześlizgnęło się delikatnie między jego palcami. – Zrobiłaś się taka…

– Oschła? Zgorzkniała? – Jaina musiała się wysilić, by ton jej głosu nie pasował do tych słów.

Kalec smutno przytaknął.

– Tak. Jakby twoje rany nigdy nie przestawały krwawić.

– Mam wymienić, co się stało? – Jej ton był ostry, ale nawet nie próbowała go łagodzić. – Byłeś świadkiem niektórych tych zdarzeń!

– Ale nie wszystkich. Nie prosiłaś, żebym przybył z tobą do Pandarii.

Jaina spuściła wzrok.

– Nie. Ale to nie znaczy, że…

– Wiem – przerwał jej łagodnie. – Jestem tu, cieszę się, że jestem, i mam nadzieję, że będę z tobą dalej, cokolwiek się stanie. Chcę ci pomóc, Jaino, ale sprawiasz wrażenie, jakby podobało ci się w tych ciemnościach, które ogarnęły twoje serce. Przyglądam ci się co dzień w sądzie i widzę kogoś, kogo bardziej wypełnia nienawiść niż miłość. Być może stałaś się taka za sprawą Garrosha, ale pozostajesz w tym mroku z własnej woli.

Jaina cofnęła się, patrząc na niego z niedowierzaniem.

– Myślisz, że mi się to podoba? Że lubię mieć koszmary i czuć taką wściekłość, jakbym miała zaraz wybuchnąć? Nie sądzisz, że mam prawo być zadowolona, nie, nie, wręcz zachwycona, że ktoś, kto zrobił tyle strasznych rzeczy, dostaje w końcu to, na co zasłużył?

– Nie, nie uważam, że ci się to podoba i tak, zgadzam się, masz prawo do własnych uczuć. Martwi mnie to, że te uczucia nie skończą się razem z procesem.

Jaina poczuła pulsującą żyłkę na skroni i przyłożyła do niej rękę.

– Dlaczego tak myślisz?

– Pamiętam, jak bardzo chciałaś, żeby Varian rozbił Hordę.

– Nie wierzę, że…

– Wysłuchaj mnie – poprosił smok. – Pomyśl przez chwilę, jak byś się czuła, gdyby Varian zrobił to, co Garrosh. Powiedzmy, że uznaje, iż Przymierze ma się składać wyłącznie z ludzi. Wydaje dekret, że draenei mają wstęp do Wichrogrodu pod warunkiem zamieszkania w norach. Rozkazuje zamordować Tyrande, gdyby nie zgodziła się stworzyć dla niego armii satyrów. Gnomy i krasnoludy byłyby tolerowane wyłącznie jako siła robocza. Dowiaduje się, że w najpiękniejszym zakątku Azeroth, w uświęconym miejscu, znajduje się pewien artefakt. Niszczy je, żeby go zdobyć. Potem…

– Wystarczy – powiedziała Jaina. Drżała, ale nie umiała nazwać tego, co czuła. – Zrozumiałam.

Kalec umilkł.

– Nie zniszczyłam Orgrimmaru. A mogłam. Z wielką łatwością – rzekła.

– Wiem.

– Pamiętasz, jak mi powiedziałeś, że zostaniesz i będziesz walczył w bitwie o Theramore? – Smok przygryzł wargę, przytaknął. – Byłam zła na generałów za ich nienawiść do Hordy. A ty spytałeś, czy uważam, że przez tę nienawiść nie będzie można na nich polegać jako na dowódcach.

– Pamiętam – odparł Kalec. – Powiedziałaś też, że nie ma znaczenia, co czujesz ty i oni. A ja odpowiedziałem, że ma znaczenie i to wielkie, ale w tym momencie najważniejsza jest obrona miasta. Tak jak najważniejsze było pokonanie Garrosha, kiedy wszyscy razem, Przymierze i Horda, próbowaliśmy go obalić.

– A więc… chcesz mi powiedzieć, że teraz, kiedy już to zrobiliśmy, kiedy stanął przed sądem… różnice między… między nami… znów mają znaczenie.

– Tak – szepnął smok.

Jaina poczuła łzy szczypiące pod powiekami.

– Jak bardzo? – spytała słabym głosem.

– Jeszcze nie wiem. Nie będę wiedział, dopóki nie zobaczę, kim będziemy, kiedy to wszystko się skończy. Jeśli dalej będziesz karmić tę nienawiść, Jaino… ona cię pochłonie. A ja nie mógłbym patrzeć… jak cię w ten sposób tracę. Nie chcę cię stracić, Jaino!

„To mnie nie zostawiaj!”, krzyknęło jej serce, ale nie wypowiedziała tej prośby głośno. Wiedziała, co ma na myśli i chodziło tu o coś znacznie więcej niż zwykłe, fizyczne

rozstanie. To nie była kłótnia kochanków o błahostkę. To był spór o to, kim każde z nich jest w głębi duszy. I czy będą mogli dalej być razem, jeśli najgorętsze potrzeby ich serc okażą się sprzeczne.

Dlatego Jaina się nie kłóciła. Nie obiecała się zmienić ani nie zagroziła odejściem. Odchyliła tylko głowę w tył, zarzuciła Kalecowi ręce na szyję i pocałowała go z całej siły. Z cichym westchnieniem bólu i miłości Kalecgos przyciągnął ją mocno do siebie, jakby nigdy już nie miał jej wypuścić.

W Srebrnej Lunie zapadł piękny wieczór. Thalen Songweaver, zwany Tkaczem Pieśni, odziany swobodnie w pończochy, bryczesy i rozpiętą pod szyją lnianą koszulę, otworzył szeroko okna, żeby wpuścić do środka nocne powietrze; zwiewne zasłony wydymały się i delikatnie falowały. Do jego luksusowego apartamentu w Giełdzie Królewskiej dobiegały ciche odgłosy. Thalen leżał na łóżku, palił czarny lotos w wodnej fajce i marzył o chwale. To relaksujące zazwyczaj połączenie nie sprawdziło się tego wieczora. Choć przytępił zmysły, nie pozbył się podenerwowania; ściągnąwszy białe brwi, dumał nad bieżącą sytuacją.

Jeszcze nie tak dawno jego pozycja była godna pozazdroszczenia. Pomagał swojemu wodzowi, Garroshowi Hellscreamowi, na wiele sposobów – po pierwsze, udając oddanego i godnego zaufania członka Kirin Tor, podczas gdy meldował o wszystkim orkowi, po drugie zaś… cóż. Dość powiedzieć, że historia zapamięta na zawsze nie to, jak Theramore zostało założone czy jak się rozwijało, ale w jaki sposób zostało unicestwione.

Krwawy elf uśmiechnął się na tę myśl, bawiąc się leniwie miniaturową bombą many, repliką prawdziwej, którą stworzył. Rozdawał je w ramach podziękowania tym członkom Hordy, którzy uwolnili go z theramorskiego więzienia. Wiedział, że to rzecz w wyjątkowo złym guście, ale wciąż uważał je za ogromnie zabawne.

Jednak tego wieczora nawet wspomnienia chwili tryumfu nie mogły go uspokoić. Westchnął, wstał i podszedł do okna. Oparł się o parapet, wyjrzał na zewnątrz. Choć dom aukcyjny pozostawał otwarty całą dobę, o tej porze ulice były puste. Cywilizowane elfy, w przeciwieństwie do swoich kuzynów kaldorei, załatwiały większość spraw, kiedy uśmiechało się do nich słońce. Gdyby chciał oglądać nocne życie, wynająłby pokoje nad Mordownią.

Wszystko szło tak dobrze. A potem cały Azeroth obrócił się przeciwko Garroshowi. Thalen rozdął nozdrza. Nawet jego własny przywódca Lor’themar Theron odmówił pomocy wodzowi. Słabeusze, wszyscy co do jednego. Teraz o losie Garrosha miała zadecydować banda gadających miśków i jakieś świecące… duchy czy cokolwiek to było.

Zupełny obłęd.

Thalen obejrzał się z uczuciem na swoje luksusowe komnaty. Podejrzewał, że wkrótce roztropność każe mu je opuścić. Theron był zbyt zajęty obalaniem prawowitego wodza, żeby zaprzątać sobie głowę samotnym arcymagiem, ale kiedy już postanowią, co zrobić z Garroshem, bez wątpienia przywódca sin'dorei przypomni sobie ten drobny incydent w Theramore, a elfy takie jak Songweaver – elfy naprawdę wierne Hordzie, wyobraźcie to sobie tylko! – staną się jednostkami niepożądanymi. Theron tak się łasił do Przymierza, że kto wie, może uzna, że trzeba stracić wszystkich nieprawomyślnych.

Thalen w zadumie pogładził się po smukłej szyi. Zdecydowanie wolał zachować głowę tam, gdzie była teraz.

Co za ponure myśli. Może szklaneczka czy dwie w karczmie pomogą mu zasnąć.

Już miał zamknąć okna, kiedy zobaczył wbiegające na teren Exchange dwa olbrzymie, czarne wilki. W pierwszej chwili nie zwrócił na nie uwagi, uznał, że zakapturzeni orkowie są poszukiwaczami przygód, chcącymi sprzedać swoje najnowsze łupy w domu aukcyjnym. Oni jednak minęli dom i bank, zatrzymując się wprost pod oknem Thalena. Elf zobaczył, że to dwie kobiety. Jedna zdjęła kaptur i rozglądała się czujnie. Druga nie odsłoniła twarzy.

Niepokój walczył w Thalenie z ciekawością, która stanowczo była jego przekleństwem. Ach, brawura do samego końca, pomyślał kwaśno.

– Ejże, przyjaciele albo wrogowie! – zawołał wesoło. – Nie jestem pewien, z kim mam do czynienia. Albo przyjechałyście mnie aresztować, albo jesteście tymi, które przyniosły mi ratunek z tamtego przykrego więzienia w Theramore, i chcecie mi złożyć wizytę, do czego was zapraszałem.

Zakapturzona orczyca spojrzała w górę. Widok jej dumnej, szarej twarzy był przeznaczony tylko dla oczu Thalena.

– Ani jedno, ani drugie, ale jesteśmy mimo to przyjaciółkami. Przyjechałyśmy po twoją pomoc w bardzo pilnej i chwalebnej sprawie.

Zela, przywódczyni klanu Smoczych Paszcz, wyszczerzyła się w bezczelnym uśmiechu.

– No, no – mruknął Thalen. – Myślałem, że…

– Żyję i mam się dobrze, i cieszę się, widząc, że ty również. – Na następne słowa serce elfa zabiło mocniej. – Jak powiedziałeś, ktoś cię kiedyś uratował, kiedy tkwiłeś w niewoli. Myślę, że należysz do osób, które chciałyby spłacić dług wdzięczności.

18

Dzień czwarty

Tyrande popatrzyła na Go’ela siedzącego na krześle świadka, a potem zaśmiała się cicho, kręcąc głową. Taran Zhu zmarszczył brwi.

– Chu’shao, potrzebujesz chwili przerwy?

– Nie, fa’shua, proszę Wysoki Sąd o wybaczenie. Starałam się po prostu wymyślić, jak przedstawić Go’ela.

– Niech sam się przedstawi – zasugerował mnich.

Tyrande uniosła brew, zachęcając orka, by przemówił.

Go’el odwrócił się do niebian.

– Nazywam się Go’el. Jestem synem Durotana i Draki, partnerem Aggralany, córki Ryala. Ojcem Duraka. Przewodzę Kręgowi Ziemi.

– Czy możesz nam powiedzieć więcej o Kręgu Ziemi? – spytała Tyrande.

– Krąg to organizacja złożona z szamanów wszystkich ras – odparł ork. – Nie ma w niej konfliktów, tylko troska o nasz świat. Naszym obecnym, najważniejszym obowiązkiem jest współpraca z żywiołami, by uleczyć rany zadane mu przez Kataklizm.

– Ale ty po Kataklizmie zrobiłeś więcej niż większość szamanów. Odegrałeś kluczową rolę w pokonaniu przyczyny Kataklizmu – spaczonego czarnego Smoczego Aspektu, Deathwinga.

– Miałem zaszczyt pomóc.

– Zrobiłeś o wiele więcej, Szamanie Świata Go’elu, ale teraz chciałabym opowiedzieć Wysokiemu Sądowi o imieniu i tytule, jakie kiedyś nosiłeś. Czy możesz nam powiedzieć,

jakie miałeś obowiązki, zanim dokonałeś heroicznych czynów dla ratowania naszego świata?

– Z najwyższym szacunkiem, protestuję – oznajmił Baine, wyraźnie niechętnie.

– Fa'shua, chcę jedynie ustalić charakter świadka – broniła się Tyrande. – W powszechnej opinii Go'el to zupełnie wyjątkowa osoba.

– Nie przeczę, oskarżycielko, ale nie przedłużajmy. Go'elu, odpowiedz proszę na pytanie.

– Kiedyś znano mnie jako Thralla, wodza Hordy.

– Thrall. Interesujące imię – zauważyła Tyrande. Zaczęła swobodnie przechadzać się po sali. Lecz po wcześniejszym rozbawieniu nie zostało już ani śladu. – Możesz nam proszę powiedzieć, jak je otrzymałeś?

– Oznacza ono „niewolnika" – odparł Go'el. – Moi rodzice zostali zamordowani. Zostałem znaleziony przez człowieka, Aedelasa Blackmoore'a, który nadał mi imię i wychował mnie na gladiatora. Później dowiedziałem się, że chciał, bym poprowadził powstanie orków przeciwko Przymierzu.

– Oczywiście nie zrobiłeś tego – powiedziała Tyrande. – Co się stało?

– Uciekłem Blackmoore'owi i zacząłem uwalniać orków z obozów, gdzie ich przetrzymywano.

– Kiedy to było?

– Kilka lat przed nadejściem Legionu.

Tyrande skinęła głową.

– Zgromadziłeś armię uwolnionych orków, prawda?

– Tak.

– I czego dokonałeś z tą armią?

– Poprowadziłem ją na ośrodek zarządzania obozami, Twierdzę Durnhold. Pokonałem Blackmoore'a i zdobyłem wolność dla mojego ludu. Potem poprowadziłem orków przez morze, do Kalimdoru, gdzie założyłem nowy kraj i miasto – Durotar i Orgrimmar.

– Orgrimmar od Orgrima Doomhammera, a Durotar na cześć twojego ojca, Durotana. Kraj i miasto dla orków – powiedziała Tyrande.

– Miała to być nasza nowa ojczyzna, tak.

– Tylko dla orków?

– Nie. Znalazłem silnych i odważnych sojuszników w Sen'jinie, przywódcy klanu Mrocznych Włóczni, a później w jego synu, Vol'jinie. Taureni… zawsze powtarzałem, że uważam ich za serce Hordy, a Cairne Bloodhoof był mi bratem. Horda rosła, przyjęła Opuszczonych, sin'dorei, część populacji goblinów, a teraz jest także otwarta dla każdego pandarena, który zechce do nas dołączyć i wierzy w nasze ideały.

– Niektórzy uważają, że te decyzje rozmyły ideę prawdziwej Hordy.

Go’el zerknął na Garrosha, który siedział na swoim zwykłym miejscu obok Baine’a. Garrosh odpowiedział mu nieporuszonym spojrzeniem.

– Uważam, że wzmocniły Hordę, a nie ją osłabiły.

– Kiedy zrezygnowałeś i dlaczego?

– Niedługo po klęsce Króla Lisza – odparł Go’el. – Tuż po tym, jak Azeroth wstrząsnął Kataklizm. Ruszyłem do Nagrandu, żeby pobierać nauki u tamtejszego szamana. Dowiedzieć się, co niepokoi żywioły. Horda potrzebowała przywódcy pod moją nieobecność. Później, kiedy opanowałem potrzebne umiejętności, dołączyłem do tych, którzy dążyli do uspokojenia żywiołów i uratowania naszego świata.

– Na swoje miejsce mianowałeś Garrosha Hellscreama, prawda?

– Tak. – Go’el zacisnął zęby, ale jego głos pozostał spokojny.

– Czym się kierowałeś?

– Garrosh sprawił się dobrze i honorowo w Północnej Grani. Był młody, odważny, stał się symbolem nadziei i zwycięstwa dla ludu udręczonego wojną i grozą Plagi.

– Miałeś jakieś obawy?

– Miałbym wątpliwości w wypadku każdego, kogo bym mianował. Zastanawiałbym się, na przykład, czy brzemię przywództwa nie przygniecie kogoś starszego. Albo czy fakt, że wybraniec nie jest orkiem, nie doprowadziłby do wybuchu niezadowolenia. Nie było idealnego kandydata. Garrosh wydawał się znać własne ograniczenia, zresztą miał pod ręką wielu doradców.

Tyrande skinęła głową Chromii.

– Jeśli sąd pozwoli, chciałabym zaprezentować wizję, która to pokaże.

Na środku areny pojawiła się scena – moment, który Go’el dobrze pamiętał.

– Niedługo powrócisz?

Go’el zamrugał, zaskoczony niepewnością w głosie Garrosha w Wizji. Zupełnie zapomniał, jak Hellscreama krępowało własne dziedzictwo – i on sam.

– Nie… nie wiem – odparł dawny Go’el. – Nauka tego, co muszę poznać, może potrwać. Sądzę, że nie będę nieobecny zbyt długo, ale mogą minąć tygodnie, nawet miesiące.

– Ale… Horda! Potrzebujemy wodza!

– To dla Hordy właśnie odchodzę. Nie martw się, Garroshu. Nie porzucam jej. Udaję się tam, gdzie muszę, by służyć tak, jak powinienem. Wszyscy służymy Hordzie. Nawet jej wódz. A może zwłaszcza jej wódz. I wiem dobrze, że ty też służysz jej wiernie.

– Tak, wodzu. To ty nauczyłeś mnie, że mój ojciec był kimś, z kogo mogę być dumny za to, co był gotów zrobić dla innych. Dla Hordy. Niedługo jestem poddanym Hordy, ale

wiem już, że tak jak mój ojciec – oddałbym za nią życie.

Go'el zobaczył zaskoczenie na twarzach wielu obecnych w świątyni, kiedy usłyszeli taką szczerość z ust dawnego Garrosha. Od bardzo dawna jedyny Garrosh, jakiego widzieli czy o jakim słyszeli, był niszczycielem Theramore. Go'el uważał, że pokazywanie tego przez Tyrande nie było mądre; takie sceny musiały zaskarbić Hellscreamowi współczucie.

– Już stawiałeś czoła śmierci i wymykałeś się jej – rzekł Thrall. – Zabiłeś wiele jej sług. Zrobiłeś dla nowej Hordy więcej niż wielu z tych, którzy byli w niej od początku. Wiedz jedno – nigdy bym nie odszedł, nie mianując na swoje miejsce kogoś, kto mógłby się nią zająć, nawet na tak krótki czas.

– Ty… ty chcesz mianować wodzem mnie? – Na młodej twarzy malowało się zaskoczenie.

– Nie. Ale polecam ci przewodzić Hordzie w moim imieniu, dopóki nie wrócę.

Garrosh nie wiedział, co powiedzieć.

– Znam się na bitwach. Na taktyce, na zbieraniu wojsk, to potrafię. Pozwól mi służyć w ten sposób. Znajdź mi wroga, którego mam pokonać, a zobaczysz, z jaką dumą będę dalej służył Hordzie. Ale nie mam pojęcia o polityce, o… o rządzeniu. Wolałbym trzymać w ręku miecz niż zwój!

– Rozumiem to – zapewnił go Thrall. – Ale nie będziesz pozbawiony doradców. Poproszę Eitrigga i Cairne'a, którzy przez lata dzielili się ze mną swą mądrością, by tobą pokierowali i doradzali ci. Polityki da się nauczyć. Twoja miłość do Hordy! – Go'el pokręcił głową. – To dla mnie w tej chwili ważniejsze niż smykałka do polityki. A tego, Garroshu Hellscreamie, masz pod dostatkiem.

Garrosh wciąż wydawał się wahać.

– Jeśli uważasz, że jestem godny – powiedział w końcu – to wiedz jedno. Zrobię, co w mojej mocy, żeby przynieść chwałę Hordzie!

– W tej chwili nie potrzeba jej chwały – odparł Thrall. – Wyzwań będziesz miał pod dostatkiem nawet bez dodatkowych starań. Horda ma już swój honor, ty musisz tylko zadbać, by tak zostało. Przedkładaj jej potrzeby nad własne, tak jak twój ojciec. Kor'kron dostanie polecenie, by cię chronić tak, jak chroniliby mnie. Jadę do Nagrandu jako szaman, nie jako wódz. Wykorzystaj ich dobrze, Cairne'a i Eitrigga. Czy poszedłbyś w bój bez narzędzia walki?

Garrosh zrobił zdziwioną minę.

– To głupie pytanie, wodzu, i ty o tym wiesz.

– Och, wiem. Sprawdzam tylko, czy rozumiesz, jak potężną broń masz do dyspozycji – rzekł Thrall. – Moi doradcy są tą bronią w walce o to, co najlepsze dla Hordy. Widzą

rzeczy, których ja nie widzę, prezentują mi możliwości, których nie znam. Tylko głupiec odrzuca coś takiego. A ciebie za głupca nie mam.

– Nie jestem głupcem, wodzu. Nie prosiłbyś mnie o taką służbę Hordzie, gdybyś mnie za takiego miał.

– Prawda. A więc, Garroshu, czy zgadzasz się przewodzić Hordzie do chwili mojego powrotu? Słuchając rad Eitrigga i Cairne'a, kiedy będą je dla ciebie mieli?

Garrosh wziął głęboki oddech.

– To moje największe pragnienie – przewodzić Hordzie najlepiej jak umiem. Dlatego więc tak, po tysiąckroć tak, wodzu. Będę się starał ze wszystkich sił i będę słuchał doradców, których mi polecasz. Wiem, jak olbrzymi zaszczyt mnie spotkał, i zrobię, co w mojej mocy, żeby nie okazać się go niegodnym.

– W takim razie postanowione – rzekł Thrall. – Za Hordę!

– Za Hordę!

– Zatrzymaj tu, proszę.

Scena znieruchomiała. Tyrande podeszła do olbrzymich, nieruchomych postaci, przypatrując się uważnie młodszemu Garroshowi. Wyglądał na uradowanego i głęboko poruszonego. Elfka odwróciła się do obecnego – milczącego, skutego łańcuchami, patrzącego na nią spod na wpół przymkniętych powiek. Go'el zrozumiał, że nie musiała nic mówić. Kontrast między tymi dwoma wcieleniami Garrosha Hellscreama nie mógł być wyraźniejszy.

Tyrande pokręciła głową, jakby nie mogła uwierzyć własnym oczom.

– Powiedz nam, proszę – podjęła – co się stało po twoim wyjeździe, który miał być zaledwie krótką nieobecnością?

– Kataklizm – odparł Go'el. – Moje szamańskie umiejętności okazały się bardziej potrzebne niż ja sam czy ktokolwiek inny mógł przewidzieć.

– A więc to powstrzymało cię przed powrotem? Trwające szkolenie?

– Z początku tak. Potem udałem się do Malstromu, żeby, jak już mówiłem, pomóc Kręgowi w uspokajaniu żywiołów. Ale gdy Deathwing wdarł się do naszego świata, szczególnie ważna okazała się moja umiejętność czerpania mocy z żywiołu ziemi.

– Powiedziałabym, że okazała się kluczowa dla pokonania Aspektu Śmierci – Tyrande spojrzała na Baine'a, bez wątpienia oczekując protestów, ale tauren milczał. – Pod nieobecność pierwotnego, niespaczonego Nelthariona nie było żadnego Strażnika Ziemi, zgadza się?

– Tak. – Go'el poruszył się niespokojnie.

– I tylko ty byłeś dość silny, by utrzymać żywioł ziemi przeciwko Chromatusowi, oraz Duszę Demona przeciwko Deathwingowi, tak?

– Tak – potwierdził ork. – Mimo to przegralibyśmy, gdyby nie pomoc wielu innych, zarówno członków Hordy jak i Przymierza. Do tego twierdzę, że każdy inny szaman o wystarczających umiejętnościach bez wahania wziąłby na siebie ryzyko.

– Ale nie było nikogo innego o takich umiejętnościach – nie ustępowała Tyrande.

– Nie – przystał Go'el. Nie lubił, kiedy uważano go, choćby przejściowo, za równego Aspektowi, czy przypisywano jakieś wyjątkowe bohaterstwo, gdyż w duszy wiedział, że każdy członek Kręgu Ziemi zrobiłby to samo, gdyby tylko mógł.

– Po upadku Deathwinga wróciłeś do Malstromu, gdzie kontynuowałeś swoją pracę, tak?

– Tak.

– Wtedy doszły już twoich uszu wieści o poczynaniach Garrosha.

Go'el rzucił Tyrande pytające spojrzenie, potem przytaknął.

– Owszem.

– Wielu sądzi, że powinieneś wtedy wrócić i nadal przewodzić Hordzie.

– Ci, którzy tak mówią, nie byli ze mną w Malstromie – odparł Go'el. – Każdy z członków Kręgu bez wahania powie, że nie stać nas było, by zrezygnować z choćby jednej pary rąk.

– A więc zabroniono ci odejść?

– Nie… Nikomu nie rozkazano pozostać. Sami musieliśmy znaleźć w sercach odpowiedź na pytanie, co należy uczynić. Wciąż słyszałem zew żywiołów; wiedziałem, że muszę zostać.

– Załóżmy, że nie słyszałbyś ich zewu. Że mógłbyś opuścić Malstrom. Co byś zrobił? Wróciłbyś do Orgrimmaru i kazał Garroshowi opuścić twój tron?

– Ale on wówczas był już wodzem. Nie miałem prawa tak postąpić. W tamtym momencie nie byłem nawet tak naprawdę członkiem Hordy. Zostałem przywódcą Kręgu Ziemi i Kręgowi byłem wierny. Inni przywódcy mogli dokonać zmiany, ale ja nie. Nie wiedziałem nawet na pewno, czy moja dawna wizja Hordy jest wciąż tym, czego chce lud.

– Nie mam pewności, czy to pojmuję.

Go'el wiedział, że Tyrande go zrozumiała, ale mimo to z zadowoleniem przyjął szansę na zrzucenie ciężaru z serca.

– Świat nie czekał na mój powrót – rzekł ze skromnym uśmiechem. – Zmienił się. Orkowie się zmienili. Moja Horda się zmieniła. Co miałem zrobić? Zabijać orków, którzy myśleli inaczej niż ja? Czy miałem prawo zmuszać Hordę, by stała się taka, jaką była pod moimi rządami? Czy miałem w ogóle prawo protestować, skoro wybrałem inną drogę?

– Gdyby cię poproszono… co byś zrobił?

– Zostałem poproszony o pomoc przez Vol'jina. A kiedy tylko otrzymałem tę prośbę od

mojego brata, odpowiedziałem na nią. Całym moim sercem.

– Co ty oraz ci, którzy za tobą poszli, musieliście zrobić, żeby pomóc Vol’jinowi i trollom?

Go’el nie odpowiedział od razu.

– Zabić Kor’kronów, którzy zaprowadzili na Wyspach Echa stan wojenny.

– Czy to nie było działanie wbrew woli wodza Hordy?

– Tak. Ale niezależnie od tego, kto jej przewodzi, Horda jest i zawsze będzie rodziną. To nie była obrona przed zagrożeniem z zewnątrz, czy nawet najazd na wroga. Horda zaatakowała samą siebie.

– I dlatego postanowiłeś wystąpić zbrojnie przeciwko Garroshowi.

– Tak. Nie mogłem stać z boku, kiedy brat poprosił mnie o pomoc przeciwko komuś, kto powinien go cenić, a próbował zabić.

Tyrande uśmiechnęła się i skłoniła głowę w geście szacunku.

– Dziękuję, Go’elu. Nie mam więcej pytań. Obrońco, świadek jest do twojej dyspozycji.

Go’el uświadomił sobie, że choć przesłuchanie przez arcykapłankę było ciężkie, teraz czeka go coś o wiele gorszego. Jego przyjaciel Baine, syn Cairne’a z rodu Krwawego Kopyta, wstał. Go’el widział, co tauren zrobił Vol’jinowi, będącemu przyjacielem taurena, który wraz z Baine’em walczył z Garroshem; który osobiście nalegał, by Bloodhoof bronił Hellscreama jak tylko można najlepiej

I Baine bronił, i nie ustawał w tej obronie. Bez wątpienia zaatakuje Go’ela tak samo jak trolla.

Jak do tego wszystkiego doszło?, pomyślał Go’el i przygotował się na przesłuchanie.

19

Harrowmeiser, zwany czasem Broniarkiem, westchnął. Kolejny śliczny wieczór w malowniczym Wyjącym Fiordzie, na urokliwym kontynencie Northrend. I te fikuśne światła północy, o których wszyscy bez przerwy gadali. I rozkoszne temperatury poniżej zera. I jakże kusząca, nierówna prycza oraz coś, co czasami można było nawet nazwać jedzeniem.

Goblin stał i patrzył na zachodzące słońce. Z jednej i z drugiej strony pilnowały go kobiety; po raz któryś Harrowmeiser zastanowił się, jak też mogą wyglądać bez hełmów.

Tak… kolejny cudowny dzień w Twierdzy Zachodniej Straży dla mimowolnego gościa Przymierza.

Stracił rachubę czasu i nie wiedział, jak długo już jest tu przetrzymywany. Jego piękny sterowiec, Dama pod Żaglami, używany był teraz przez wroga do ochrony twierdzy przed okolicznymi piratami. Dni mijały jeden za drugim. Przy braku wyraźnych pór roku trudno było ocenić, ile to już minęło. Pewnie kilka lat.

Żeby choć koszulę dostać, pomyślał smutno, kiedy zrobiło się zimniej. Jestem z Zapadki. Z tropików. A oni mnie tu trzymają z żelaznymi kulami u nóg i nie dadzą nawet koszuli. Dziękuję bardzo.

– Wiesz co, Groszku, kiedy wieści o tych okrutnych praktykach dotrą do Hordy, może z tego wyniknąć jakiś międzynarodowy incydent – zwrócił się do swojej strażniczki. – To znaczy… – przeciągnął się, napinając ten i ów mięsień – jestem praktycznie goły.

Wyszczerzył ostre, żółte zęby w lubieżnym uśmiechu i sugestywnie poruszył brwiami.

Prawie usłyszał, jak zgrzytnęła zębami. Krasnoludzka wojowniczka o szmaragdowych oczach nienawidziła swojego przydomka, co oczywiście skłaniało Harrowmeisera do

używania go jak najczęściej.

– Ech, nie przypominaj mi – mruknęła Groszek. – I kto tu gada o okrucieństwach!

– Tak? – zdziwił się goblin. – Czy to możliwe, że widok mojej połyskującej zielonej skóry opinającej pięknie wyrzeźbione mięśnie…

– …przypomina nam kadzie z zarazą? Jak najbardziej – wtrąciła Chaberek. Imię miała jakoś tak znacznie mniej ujmujące, sierżant Taka-czy-inna, ale jej oczy miały kolor bezchmurnego nieba.

– Dalej, moje panie, musicie mieć jakieś serca gdzieś pod tymi zbrojami – powiedział Harrowmeiser. – Jestem tu uwięziony już długo i zrobiłem wszystko, czego ode mnie chcieliście. Chcecie mieć ochronę przed piratami? – Wyciągnął szponiasty palec w kierunku Strzaskanych Cieśnin, gdzie cumowało dobre pół tuzina pirackich galeonów. Co jakiś czas atakowały, choć najczęściej trzymały się poza zasięgiem z lądu. Ale nie, pomyślał Harrowmeiser, wydymając z dumy chudą pierś, nie poza zasięgiem geniuszu i talentów goblinów! – Macie ochronę przed piratami! Codziennie doglądam tego sterowca zgodnie z rozkazami Przymierza, przewożę tabuny poszukiwaczy przygód, odkąd zajęliście mój statek i tylko raz…

– Siedemset trzynaście.

– Słucham, Chaberku?

Na to słowo ludzkie oczy straciły odcień pogodnego nieba, nabierając barwy znacznie bardziej kojarzącej się z lodowcem.

– Siedemset trzynaście razy. Twój sterowiec miał jakąś usterkę albo wypadek siedemset trzynaście razy. A dzień jeszcze się nie skończył.

– *Madam*! Pani mnie rani!

– Ha! – prychnęła Groszek. – Chciałoby się! Nie kuś, goblinie, bo to brzydko.

– Ja? Kuszę? Nigdy! Wiecie, jak to mówią, raz spróbujesz goblina… – zaczął, ale przerwał, kiedy zobaczył, że żadna z nich go nie słucha.

Obie kobiety odwróciły się w prawo, w kierunku głównej bramy. Wielkie uszy Harrowmeisera wychwyciły to, co tak przyciągnęło ich uwagę. Powietrze rozdarły gardłowe, nieartykułowane wrzaski i bojowe okrzyki członków Przymierza. Rozległ się aż zanadto znajomy szczęk broni, gniewny świst strzał i pierwsze krzyki pełne bólu.

– Och, po prostu wyśmienicie – mruknął. – Mam to dziadostwo przykute do nóg, a tu się nagle zwalają wrykule żądni krwi.

– Zostań tu – poleciła Chaberek i odbiegła.

– Rany – Harrowmeiser z aprobatą uniósł brew. – Nieźle śmiga w tej zbroi.

– Ja też – mruknęła Groszek. Przez chwilę stali oboje w milczeniu. Krasnoludka drgnęła. Nagle zaklęła z fantazją, dobyła miecza i przeszyła goblina wściekłym

spojrzeniem spod zasłony hełmu. – Zostań tu!

Potem pobiegła za swoją towarzyszką szybkim truchtem w stronę zamieszania.

Harrowmeiser nie tracił czasu. Napiąwszy łańcuchy na całą długość, podbiegł do kawałka gołej ziemi obok lądowiska. Macając pospiesznie, znalazł kamień i zaczął tłuc nim w zamek. Spod zmarszczonych brwi zerkał na bramę, usiłując dostrzec, co się dzieje, potem na sterowiec.

Do licha z zamkiem, pomyślał. Ze stęknięciem wysiłku dźwignął jedną z metalowych kul, a drugą powlókł za sobą, krok za krokiem zbliżając się do Damy pod Żaglami i upragnionej wolności. Niewdzięczne wiedźmy. Będą jeszcze za nim tęsknić. Był jedynym okruchem humoru i pogody w ich ponurym świecie w barwach Przymierza.

Nagle usłyszał tupot stóp i zamarł. Uszy mu oklapły. Ujrzał dwóch mężczyzn biegnących w jego kierunku. Jednego od stóp do głów okrywała płytowa zbroja, drugi był prawdopodobnie magiem albo kapłanem. Dłonią przytrzymywał kaptur zasłaniający mu twarz. Nie nosili żadnych uniformów i wydawało się, że biegli zza muru, a nie wprost z fortu, ale nie miało to znaczenia. Już brali udział w starciach – wojownik miał zakrwawiony miecz.

Goblin przełknął nerwowo ślinę.

– Ja tylko, ee, szykowałem statek! – wykrzywił usta w nędznej imitacji uśmiechu. – Możemy przypuścić atak z powietrza, pokażemy tym wrykulskim draniom, co?

Zacisnął dłonie w pięści i wyprowadził kilka ciosów w powietrze, wydając przy tym odgłosy mające brzmieć jak groźne pochrząkiwanie.

– Wsiadaj na pokład – głos maga był niczym jedwab, ale ton zdradzał napięcie. – Pospiesz się. Shokia i inni kupują nam czas.

Harrowmeiser nic nie rozumiał, ale – hej! – pozwalali mu wsiąść do sterowca. Ruszył w kierunku statku. Wojownik sapnął ze zniecierpliwieniem i goblin uświadomił sobie, że to kobieta, choć w męskiej, ludzkiej zbroi. Ku jego zaskoczeniu i skrywanemu zachwytowi wzięła go na ręce – z żelaznymi kulami i w ogóle z całym tym balastem – i wniosła na pokład. Tam postawiła go bezceremonialnie przed kołem sterowym. Ścisnął je, jakby od tego zależało jego życie.

– Cóż za muskuły! Dokąd lecimy, moja pani? – krzyknął.

– Na dół, i nie jestem żadną panią! – odkrzyknęła kobieta. Głos miała niski i chrapliwy, odradzający wszelkie nieposłuszeństwo. Uważnie spoglądała w stronę doku, bez wątpienia, czy ich ucieczka została zauważona.

– Pamiętaj tylko, że ty to powiedziałaś – odparował Harrowmeiser. – Zaraz, zaraz… chcesz powiedzieć, że mam lecieć w dół, do piratów?

– Nie zdawałam sobie sprawy, że uwolniłam idiotę – warknęła wojowniczka, patrząc

na niego ze złością przez szczeliny hełmu. A spojrzenie miała piorunujące. Goblin nie wiedział, że ludzkie oczy mogą tak wyglądać.

– Tam są piraci – powtórzył. – Och… o nie… już rozumiem. Wy też jesteście piratami, tak? Tu chodzi o te ataki, tak? Słuchajcie, ja wszystko wyjaśnię! Przymierze mnie zmusiło!

Zdarzało mu się to bardzo rzadko, ale akurat mówił prawdę.

Kobieta sapnęła i zdjęła hełm, ukazując szarą skórę i kępy przygniecionych, grubych, czarnych włosów typowych dla orków.

– Piraci, tfu – prychnęła pogardliwie i splunęła. Wprost na pokład jego ukochanego sterowca. – Pijane, zalane rumem robactwo. Niestety, potrzebujemy ich pomocy i dostaniemy ją.

– Jestem uratowany! – zapiał Harrowmeiser. – W samą porę! Kim wy właściwie jesteście?

– Jestem Zela, przywódczyni Smoczych Paszcz – powiedziała szaroskóra, prostując się dumnie.

– A niech mnie – jęknął goblin. Wieści o jej wyczynach podczas oblężenia dotarły do niego nawet w Północnej Grani. Niektórzy „bohaterowie" Przymierza lubili dręczyć go opowieściami o klęskach Hordy. – Wódz Zela? Myślałem, że…

Zela barwnie zaklęła.

– Jestem żywa, zdrowa i płonę żądzą zemsty, jak zapewne i ty, goblinie.

– Harrowmeiser, do nóżek padam. Faktycznie, pałam, ale na razie raczej żądzą szybkiej ucieczki i nie chodziło mi o wpadnięcie w ręce piratów. Czego od nich chcecie?

– Potrzebujemy ludzi do walki o naszą sprawę, a oni to zrobią. Jeśli dość im zapłacimy. Moi informatorzy mówią, że kiedyś miałeś dobre kontakty i możesz wciąż mieć dostęp do znacznych funduszy. Pomożesz nam stworzyć armię.

Nagle wszystko to nabrało sensu. Harrowmeiser poczuł, że znalazł się na znajomym gruncie.

– Och tak, jasne, mam paru wspólników i zarobiłem w swoim czasie miedziaka czy dwa. Ale co to za sprawa? Może nie będę chciał jej poprzeć.

Wyzywająco skrzyżował ręce na piersi.

Zela obróciła się do niego gwałtownie.

– Poprzesz naszą sprawę, bo dzięki temu odzyskasz wolność. I zostaniesz przy życiu.

– Twoja argumentacja, choć niezbyt subtelna, jest przekonująca. Dobrze, zabiorę was do piratów.

– Rozpoznają cię, goblinie? – zapytał wysoki, szczupły mag tym swoim jedwabistym głosem. Odrzucił kaptur, ukazując długie, białe włosy i rozjarzone, zielone oczy. Krwawy

elf! – Byłbym bardzo zły, gdybyś po tym wszystkim, co przeszliśmy, żeby cię uratować, zepsuł wszystko, pozwalając oddzielić sobie głowę od ramion.

– Cóż… ee… a mogliby? – odparł wykrętnie goblin.

– Tak więc – mruknął elf – nie pokazuj się więc i pozwól mówić nam. Albo zaczekaj, może ciebie też przebierzemy. – Mag, jakby nagle coś sobie uświadomił, teatralnie pstryknął palcami. – Nie, nic z tego. Jesteś za niski na krasnoluda.

Harrowmeiser popatrzył na niego spode łba. Elf poklepał go po głowie.

W niebieskich oczach Go'ela Baine zobaczył zarazem rezygnację i determinację.

Bardzo szanował orka i rozważał, czy nie pominąć dalszych pytań. Wiedział jednak, że gdyby nie przesłuchał przyjaciela, wyszedłby na tchórza i nie wypełnił właściwie swoich obowiązków. Go'el i Vol'jin zrozumieją to albo nie. Baine przyjął zadanie i zamierzał je wykonać.

Skłonił głowę i pozostał w tej pozycji o chwilę dłużej niż wymagała zwykła uprzejmość.

– Niech będzie zapisane, że obrońca uznaje Go'ela, znanego niegdyś jako Thrall, za prawdziwego bohatera w świecie, w którym określeniem tym zbytnio się szafuje. Obrońca dziękuje mu za wiele lat poświęceń dla dobra Hordy i samego Azeroth. Jesteśmy twoimi dłużnikami.

Go'el zmrużył oczy, ale odparł uprzejmie:

– Robiłem to, co musiałem.

Co teraz i ja czynię, chciał powiedzieć Baine.

– Kiedy przyjąłeś tytuł wodza, miałeś wizję swojej nowej Hordy, prawda?

– Tak. Chciałem, aby była to Horda złożona z ras ceniących honor, sprawność w boju i wzajemny szacunek. Chciałem uciec od upiorów demonicznego dziedzictwa, które się za nami tak uparcie ciągnęły.

– I uważasz, że oskarżony naraził to na szwank? Choć to jego własny ojciec położył ostateczny kres temu demonicznemu dziedzictwu?

– Z całym szacunkiem, protestuję – rzekła Tyrande. – Grom nie jest Hellscreamem, którego tu sądzimy. Syn nie jest swoim ojcem.

– Zgadzam się z oskarżycielką. Zadaj to pytanie inaczej, chu'shao – nakazał Taran Zhu.

– Czy uważałeś, że Garrosh zagroził twojej wizji Hordy?

– Tak, ale powiedziałem już, że nie wiedziałem, czy mam prawo…

– Proszę tylko odpowiedzieć na pytanie, tak albo nie.

W niebieskich głębinach zalśnił przelotnie gniew, ale Go'el odpowiedział:

– Tak.

– Jak już mówiłem, jesteś znany jako osoba honorowa. Sprawiedliwie traktujesz nawet wrogów, co zaraz zobaczą przysięgli.

Nad areną pojawił się człowiek. Mężczyzna. Leżał na podłodze, ziemia zdawała się pod nim drżeć. Miał czarne włosy i kosztowne ubranie. Wyglądał na przerażonego.

Kairoz zatrzymał scenę. Baine odwrócił się do Go'ela.

– Czy rozpoznajesz tego człowieka?

Ork miał zaciętą minę.

– Tak. I… jestem wdzięczny, że nie pokazałeś, co wydarzyło się wcześniej.

Baine rozumiał, co Go'el ma na myśli. Kairoz upierał się, pokazanie tej sceny pomogłoby podkreślić ich stanowisko, ale Baine nie miał odwagi tego zrobić.

– Czy możesz go przedstawić sądowi?

– To jest… to był… Aedelas Blackmoore. – Po sali przeszedł pomruk zaskoczenia; wszyscy zdali sobie sprawę, że są świadkami prawdziwie historycznej chwili. – Przybyłem z nim pertraktować. Zaoferowałem, że oszczędzę Twierdzę Durnhold i całą jej załogę, jeśli on zgodzi się uwolnić mój lud. Odmówił.

– Czy mógłbyś powiedzieć sądowi – zapytał Baine, nienawidząc się za to w duchu – jaką formę przybrała ta odmowa?

Zapadła chwila ciszy.

– Przedstawiłem mu swoje warunki – odezwał się w końcu Go'el. – Jego odpowiedzią było… rzucenie mi pod nogi głowy zamordowanej młodej kobiety, Taresy Fokston.

– Jesteś orkiem więzionym przez ludzi. Co oznaczała dla ciebie ta śmierć?

– Wiesz, Bainie. – Głos Go'ela był niski i zimny.

Baine odwrócił się, starannie zachowując neutralny wyraz twarzy.

– Ja wiem. Przysięgli nie.

Go'el wziął głęboki oddech, zbierając się w sobie. Kiedy się odezwał, mówił wyraźnie, z opanowaniem. Tylko mocno zaciśnięte pięści zdradzały targające nim uczucia. Spojrzał na niebian; na ich mądrych twarzach malowały się życzliwość i współczucie.

– Taresa Fokston była moją przyjaciółką. Uważała mnie za swojego brata. Nie kochałbym jej mocniej, nawet gdyby była moją rodzoną siostrą. Była dla mnie dobra i już raz zaryzykowała życiem, by mi pomóc w ucieczce. Zaryzykowała ponownie, żeby przesłać mi ostrzeżenie… i tym razem przegrała. Blackmoore… – Ork przerwał, zgrzytnął zębami. – Blackmoore zabił ją, odciął jej głowę, mając nadzieję, że mnie złamie. Nie złamał.

Baine dał znak Kairozowi. W wizji pojawiła się młodsza wersja Thralla. Wyglądał w każdym calu jak bohater – większy i potężniejszy niż większość orków, odziany

w czarną zbroję Orgrima Doomhammera, z ogromną bronią, o tym samym co jej dawny właściciel przydomku, na plecach. W obu rękach dzierżył po mieczu, jeden z nich rzucił Blackmoore'owi. Mężczyzna wrzasnął i odskoczył, gapiąc się na orka. Widać było teraz wyraźnie, że jego lniana koszula jest poplamiona wymiocinami.

– Thrallu, mogę wyjaśnić…

– Nie – przerwał mu ork, tym samym nienaturalnie spokojnym tonem, którym przed chwilą mówił do Baine'a. – Nie możesz wyjaśnić. Nie ma żadnego wyjaśnienia. Jest tylko walka, z dawna wyczekiwana. Pojedynek na śmierć i życie. Bierz miecz.

Blackmoore skulił się.

– Ja… ja…

– Weź miecz, bo inaczej cię przebiję na miejscu, kiedy tak się kulisz jak przerażone dziecko.

Blackmoore'owi trzęsła się ręka, ale chwycił rękojeść miecza i wstał niezdarnie.

– Spróbuj mnie zabić.

I, ku zaskoczeniu wszystkich, Blackmoore spróbował. Było jasne, że pił, ale mimo to zachował zwinność i Thrall musiał być szybki, by sparować cios.

Wyraz twarzy Blackmoore'a zmienił się. Ściągnął brwi i zacisnął usta, a kiedy zamarkował uderzenie w lewo i zadał mocny cios z prawej, poruszał się pewniej i z większą siłą.

W swoim czasie, przypomniał sobie Baine, Blackmoore był uważany za świetnego wojownika. Kairoz powiedział mu nawet, że w alternatywnej ścieżce czasu Blackmoore podbił królestwo Lordaeronu i rządził nim jako tyran. Thrall był o wiele silniejszy, ale Blackmoore zwinniejszy, a ponadto walczył o życie.

Kiedy Thrall zauważył, że jego przeciwnik rozgląda się za tarczą, chcąc osłonić lewy bok, z wściekłością wyrwał drzwi z zawiasów i rzucił nimi weń.

– Schowaj się za drzwiami, tchórzu.

Blackmoore uskoczył, odepchnął drzwi.

– Jeszcze nie jest za późno, Thrallu! – zawołał. – Możesz stanąć przy mnie, możemy działać razem. Oczywiście uwolnię resztę orków, jeśli obiecasz, że będą walczyć pod moimi sztandarami tak jak i ty!

Na zielonej twarzy orka odmalowało się niedowierzanie. Potem pociemniała z gniewu. W tym momencie Blackmoore uderzył. Thrall tak był zaskoczony jego niedorzeczną propozycją, że nie zdołał się zasłonić na czas. Miecz ze szczękiem odbił się od czarnej zbroi.

– Ciągle jesteś pijany, Blackmoore, jeśli choć przez chwilę ci się zdawało, że zapomnę o widoku…

Baine już to widział. Wiedział, czego się spodziewać. Ale nawet on drgnął, kiedy Thrall eksplodował przemocą. Do tej pory ork się powstrzymywał – teraz naparł na człowieka z szybkością, mocą i zabójczym wdziękiem.

Blackmoore nie miał żadnych szans, ale nie poddawał się. Ciosy spadające na miecz, którym się zasłaniał, musiały rezonować w jego każdej kości. Zaczął tracić siły, ruszał się coraz wolniej, aż w końcu ostatnie uderzenie wytrąciło mu broń z ręki. Nawet wtedy nie stracił woli walki. Sięgnął do buta i wyciągnął stamtąd sztylet, poderwał się z krzykiem, z wyszczerzonymi zębami, gotów zatopić go w oku Thralla.

Ryk orka poniósł się echem teraz, tak samo jak musiał zabrzmieć wtedy; jego miecz opadł.

– Stop.

Baine oszczędził widzom szczegółów śmierci Blackmoore'a.

Scena znikła, zanim zabójczy cios sięgnął celu.

– Uczciwy pojedynek – powiedział tauren. – Nawet bardziej niż uczciwy, mógłby ktoś powiedzieć. Aedelas Blackmoore nie był prawym człowiekiem. Syn zdrajcy, od samego początku również knuł zdradę, chciał uzbroić orków i wykorzystać ich do pokonania Przymierza, a potem zapanować nad wszystkimi krajami ludzi. Do tego był okrutny. Pobił ciężko Thralla za to tylko, że ten przegrał walkę na arenie. Uwiódł młodą Taresę Fokston dla własnej rozrywki, a potem stracił ją za próbę pomocy Thrallowi. Wielu nazwałoby go potworem, nawet ludzie. Go'el miał wszelkie powody, by nienawidzić Blackmoore'a. A mimo to dał wrogowi szansę. Przyniósł mu nawet broń, żeby Blackmoore mógł zginąć z honorem.

Baine odwrócił się i popatrzył na Go'ela.

– Dlatego nie rozumiem, dlaczego ork, który ceni honor do tego stopnia, że uzbroił wroga, który zaledwie kilka chwil wcześniej zamordował kogoś mu drogiego, był zarazem gotów zabić Garrosha Hellscreama z zimną krwią. Czy to pozostaje w duchu Hordy o jakiej marzyłeś, Go'elu?

W tym momencie wydarzyło się kilka rzeczy. Tyrande poderwała się, krzycząc: „Protestuję! Nie świadka tu sądzimy!", Go'el też się podniósł, ale nic nie powiedział – nie musiał.

Taran Zhu raz po raz bił w gong.

– Spokój! – krzyknął. – Chu'shao Whisperwind! Go'elu! Proszę natychmiast siadać albo ukarzę was oboje! Czu'shao Bloodhoofie, nakazuję przerwać te indagacje. Zgadzam się z oskarżycielką!

Baine ukłonił się mnichowi i odwrócił do Go'ela. Ork usiadł, ale obrzucił taurena spojrzeniem, jakim nigdy dotąd nie patrzył na przyjaciela i jakiego Baine miał nadzieję

nigdy nie widzieć.

– Przejdę do sedna sprawy – powiedział.

– Mądry wybór – oznajmił wyniośle Taran Zhu.

– Twoje decyzje, zarówno o opuszczeniu Orgrimmaru na tak długo, jak i mianowaniu Garrosha Hellscreama wodzem, były krytykowane – zaczął Baine.

– Jestem świadom tej krytyki. – Go'el usiadł wygodniej i skrzyżował ręce na piersi.

– Powiedziałeś tu, przed sądem, że nie podjąłeś tych decyzji bez powodu.

– Owszem, i wymieniłem owe powody.

– Czy żałujesz, że nie postąpiłeś inaczej? Czy może czujesz się odpowiedzialny za to, co zrobił Garrosh Hellscream?

– Nie. To odpowiedź na oba pytania.

– Jesteś pewien?

Go'el zmrużył oczy, ale zanim zdążył się odezwać, Tyrande wstała.

– Z całym szacunkiem, protestuję! Obrońca nęka świadka! – krzyknęła.

– Chu'shao Bloodhoofie – powiedział Taran Zhu tonem łagodnym jak gdyby nigdy nic – jeśli chcesz coś wykazać, zrób to, proszę.

– Zrobię, fa'shua, jak zaraz się przekonasz. Go'el został raz porwany przez Druidów Płomienia – rzekł Baine do milczącej i słuchającej widowni. – Torturowali go, wykorzystując przeciwko Go'elowi jego największą siłę, bliskość z żywiołami. Rozrzucili jego esencję po wszystkich planach żywiołów. Go'el musiał wtedy stawić czoła swoim lękom. Uważam, że lęki te mają przełożenie na to, co się stało na polu bitwy. Oraz w tej sali.

Skinął głową Kairozowi, który poderwał się z krzesła. Spiżowy smok czekał na zeznania Go'ela, bowiem jak to sam ujął, „zostawał w cieniu, podczas gdy Chromia pokazywała wszystkie najciekawsze chwile".

Na co Baine odparł: „Wydaje mi się, że sam fakt, że czyjeś życie zawieszono na szali, jest już wystarczająco ekscytujący".

Wtedy Kairoz rzekł: „Wobec tego przechylmy tę szalę na naszą korzyść". I wyszukał mu kilka momentów, które, jego zdaniem, taki właśnie odniosą skutek.

Scena, która pojawiła się teraz nad areną, była bardzo dramatyczna. Zobaczyli podniebną świątynię o kolumnach tak białych, jak otaczające je chmury. Wokół trzaskały błękitne błyskawice, którym odpowiadał gniewny huk gromu. Dookoła kręciły się ożywieńce w zbrojach okrywających ich jaśniejące, niebiesko-białe postaci, zaś na środku, w objęciach rozszalałej nawałnicy widać było coś, co wyglądało jak cienista, gigantyczna sylwetka Go'ela.

Przed nim stała Aggra, wołała go, wyciągała do niego ręce. Słowa, które wymówiła

postać z cieni, przepełnione były smutkiem i cierpieniem.

– Zawiodłem. Zawiodłem ten świat. Żywioły… nie chcą do mnie przemawiać. Krąg Ziemi… stracił wiarę w swojego przywódcę. Moja słabość… zaprowadziła Azeroth… w zapomnienie.

Wichura szarpała włosami i ubraniem Aggry, niemal zagłuszała jej głos.

– Go'elu, to ja, Aggra! Nie poznajesz mnie?

– Zapomnienie… nic… tylko zapomnienie – rozpaczał cień. – Zawiodłem… Hordę… jako wódz. Garrosh… poprowadzi ją do ruiny. Mój lud… do ruiny. Cairne, mój bracie… czemu nie posłuchałem?

Obraz zblakł niczym duch schwytany przez promienie wstającego słońca.

– Czemu nie posłuchałem… – powtórzył Baine cicho, ale doskonale słyszalnie.

A potem nad areną zmaterializowała się kolejna scena.

20

Tylko nie to… Nie…

Głęboko w piersi Go’el poczuł ból, na chwilę wstrzymał oddech. Obejrzał się na Baine’a, wstrząśnięty, że syn może w ten sposób użyć obrazu ojca. Tauren spuścił wzrok na własne dłonie. Nie mógł patrzeć. A więc jemu też sprawia to ból. I mimo wszystko zdecydował się to pokazać. Go’el zgrzytnął zębami, ze wszystkich sił starając się zachować spokój.

– Popełniasz wielki błąd – zahuczał czyjś niski głos.

Go’el się go spodziewał.

Cairne Bloodhoof.

Stary byk czekał na Thralla pod martwym drzewem, na którym wtedy wisiały czaszka i zbroja Manorotha. Cairne stał z rękami splecionymi na piersi. Proste plecy i potężne mięśnie zupełnie nie pasowały do podeszłego wieku taurena. Po widowni przeszedł cichy szmer. I Horda, i Przymierze szanowały i podziwiały tego wojownika.

Podobno wygrywałeś tę walkę, bracie…

– Cairne! – zawołał Go’el w Wizji. Nie, wtedy był Thrallem. – Dobrze cię widzieć. Miałem nadzieję porozmawiać z tobą, zanim wyruszę.

– Nie sądzę, żebyś był zadowolony, bo raczej nie spodoba ci się, co mam do powiedzenia – odparł tauren.

– Zawsze słuchałem tego, co miałeś do powiedzenia. Dlatego poprosiłem, żebyś doradzał Garroshowi pod moją nieobecność. Mów.

Tyle że to nie była prawda. Raz nie posłuchał.

– Kiedy przybył posłaniec z twoim listem – zaczął Cairne – pomyślałem, że w końcu dopadła mnie starcza demencja i mam zwidy jak biedny Drek’Tar. Zobaczyłem

własnoręcznie przez ciebie napisaną wiadomość, że chcesz mianować Garrosha Hellscreama wodzem Hordy!

Cairne coraz bardziej podnosił głos. Thrall rozejrzał się i zmarszczył brwi.

– Porozmawiajmy o tym na osobności – rzekł. – Moje komnaty i uszy stoją dla ciebie otworem o każdej…

– Nie. – Cairne tupnął w gniewie kopytem; rzadko okazywał zdenerwowanie. – Nie bez powodu jestem tutaj, w cieniu tego, co było kiedyś twoim największym wrogiem. Pamiętam Groma Hellscreama. Pamiętam, jakich szkód narobił. Może i zginął bohaterską śmiercią, zabijając Manorotha, ja pierwszy to przyznam. Ale wszyscy są zgodni, nawet ty, że zabił bardzo wielu i chełpił się tym. Łaknął krwi, przemocy, i zaspokajał to łaknienie krwią niewinnych. Miałeś rację, mówiąc Garroshowi o bohaterstwie jego ojca. To prawda. Ale prawdą są też mniej chwalebne rzeczy, których Grom Hellscream się dopuścił, i jego syn musi się dowiedzieć także o nich. Stoję tu i proszę, żebyś pamiętał o tym, o sprawach mrocznych tak samo jak jasnych, i o tym, że Garrosh jest synem swojego ojca.

– Garrosh nigdy nie był skażony krwią demona tak jak Grom. Jest uparty, owszem, ale lud go kocha. On…

– Kochają go, bo widzą tylko chwałę! Nie widzą lekkomyślności. Ja też widziałem chwałę – przyznał Cairne. – Dostrzegłem w nim i mądrość, i rozumienie strategii, i być może, gdyby o to zadbać i pokierować nim, ich nasiona mogłyby wykiełkować w duszy Garrosha. Ale o wiele za łatwo przychodzi mu działanie bez zastanowienia, lekceważenie tej wewnętrznej mądrości. Są w nim rzeczy, które szanuję i podziwiam, Thrallu. Nie myśl, że nie. Ale on nie nadaje się na wodza Hordy, tak samo jak nie nadawał się Grom. Nie bez twojego nadzoru, mitygowania go, kiedy przesadzi, a zwłaszcza nie teraz, kiedy sytuacja między nami a Przymierzem jest tak napięta. Wiesz, że coraz częściej słychać szepty, że skoro Magni zamienił się w diament, a nowego przywódcy nie widać, to dobra pora, by uderzyć na Żelazną Kuźnię?

– Oczywiście, że wiem. – Thrall westchnął. – Cairnie, niedługo wrócę.

– To nie ma znaczenia! To dziecko nie ma charakteru, żeby być takim wodzem, jakim jesteś ty. Czy może powinienem powiedzieć: „byłeś”? Bo Thrall, którego znałem, który zaprzyjaźnił się z taurenami i tak bardzo im pomógł, nie oddałby Hordy, którą odbudował, w ręce szczeniaka, który wciąż ma mleko pod nosem!

– Jesteś jednym z moich najstarszych przyjaciół w tym kraju, Cairnie – rzekł Thrall niebezpiecznie cichym głosem. – Wiesz, że cię szanuję. Ale decyzja została podjęta. Jeśli martwi cię niedojrzałość Garrosha, to pokieruj nim, tak jak cię prosiłem. Pozwól mu skorzystać ze swojej rozległej wiedzy i zdrowego rozsądku. Musisz mi pomóc, Cairnie. Potrzebuję twojego wsparcia, nie dezaprobaty. Twojego opanowania, żeby Garrosh

zachował rozsądek – a nie niechęci, która go rozjuszy.

– Prosisz o mądrość i zdrowy rozum. Mam dla ciebie tylko jedną radę. Nie przekazuj Garroshowi tej władzy. Nie odwracaj się od ludzi, nie zostawiaj im za przewodnika tego zarozumiałego pyszałka. Oto moja mądrość, Thrallu. Mądrość zdobywana latami, okupiona krwią, cierpieniem i walką.

Thrall zesztywniał. To była ostatnia rzecz, jaką chciał usłyszeć. Ale usłyszał; kiedy znów się odezwał, jego głos brzmiał chłodno.

– W takim razie nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia. Moja decyzja jest ostateczna. Garrosh będzie przewodził Hordzie pod moją nieobecność. Ale tylko od ciebie zależy, czy będziesz mu w tej roli doradzał, czy pozwolisz, by Horda zapłaciła cenę za twój upór.

Go'el patrzył z ciężkim sercem, jak ówczesny Thrall odwraca się plecami do swojego brata i odchodzi w mrok. Wiedział, co potem zrobił – wsiadł na swoją wiwerę i poleciał do Mrocznego Portalu, żeby rozpocząć nauki w Draenorze.

Nigdy więcej nie zobaczył Cairne'a.

Cairne w wizji stał i patrzył za odchodzącym przyjacielem. Potem westchnął ciężko i pochylił głowę. Po chwili spojrzał w górę, na czaszkę demona.

– Gromie, jeśli twój duch wciąż tu jest, pomóż nam pokierować Garroshem. Poświęciłeś życie dla Hordy. Wiem, że nie chciałbyś widzieć, jak twój syn ją niszczy.

– Stop.

Obraz starego byka się rozwiał. Baine zobaczył, że Go'el się prostuje.

– Zadam ci teraz, Go'elu, to samo pytanie, które sam sobie zadałeś – dlaczego nie posłuchałeś?

Go'el spodziewał się, że Tyrande zaprotestuje, ale ona siedziała nieruchomo, spokojna, z delikatnym uśmiechem na ustach. Dawała mu szansę na odpowiedź. Skorzystał z niej.

– Ponieważ nie jestem spiżowym smokiem. Nie potrafię skakać w przód i w tył przez czas, znając wszystkie możliwe konsekwencje każdej decyzji. Jestem śmiertelnikiem i mogę się opierać tylko na tym, co mam przed sobą, tak samo jak ty. Podjąłem najlepszą decyzję w sytuacji, z której nie było tak naprawdę dobrego wyjścia. Tak, wyznaczyłem Garrosha, by przewodził Hordzie pod moją nieobecność. A kiedy uderzył Kataklizm, ty, Bainie Bloodhoofie, byłeś przy mnie i rozumiałeś, czemu powierzyłem mu władzę. Czy żałuję, że nie postąpiłem inaczej? Takie rozważania nic nie zmienią. Robimy, co możemy w danej chwili, z każdym oddechem. Popełniamy błędy i musimy z nimi żyć. Staramy się wyciągać z nich naukę. To wszystko.

– Garrosh Hellscream też popełnił błędy – odparł Baine. – Z którymi będzie żyć jeszcze ciężej.

– Jeśli przeżyje – zauważył Go’el.

– Próbowałeś go zabić, prawda?

– Wiesz, że tak.

– Gdybyś mógł cofnąć się do tamtej chwili, kiedy miałeś przed sobą pokonanego Garrosha, spróbowałbyś go zabić jeszcze raz?

Go’el zajrzał głęboko we własne serce. Czy by spróbował?

Odpowiedź go zaskoczyła.

– Nie – powiedział cicho. – W ciągu kilku ostatnich dni doszedłem do wniosku, że ten proces to dobry pomysł. Pewne rzeczy trzeba było powiedzieć głośno. Wierzę, że Czcigodni Niebianie podejmą właściwą decyzję.

– Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie – rzekł Baine. – Przyznałeś, że popełniałeś w życiu błędy. – Wskazał Garrosha siedzącego z obojętną miną, z rękami, nogami i pasem w łańcuchach. – On także je popełnił. Czy nie powinien mieć szansy wyciągnąć z nich nauki? Zrobić, co w jego mocy, by je naprawić?

– Niektórych rzeczy naprawić się nie da – zahuczał Go’el dobitnie. – Czasami trzeba po prostu powstrzymać przyczynę zniszczeń, zanim narobi ich więcej. Twój ojciec był mądry, Bainie. Ale czy wiemy, że miał słuszność? Czy znamy wszystkie możliwe zakończenia? Ja nie. A ty?

Spojrzał Baine’owi w oczy i to tauren pierwszy odwrócił wzrok.

– Nie mam więcej pytań, fa’shua – rzekł i wrócił na swoje miejsce.

Tyrande wstała, szeleszcząc suknią.

– Mówisz, Go’elu, że nie znamy wszystkich zakończeń i to prawda. Jeśli sąd pozwoli, chciałabym pokazać, co mogłoby nastąpić, gdyby Go’el podjął inną decyzję. Zakończenie, które było tak prawdopodobne, że Ysera Przebudzona miała o nim wizję. Wizję, która nakłoniła ją, by odszukać świadka.

– Oskarżycielka może pokazać tę wizję – zgodził się Taran Zhu.

Tym razem scena nie pokazała się od razu. Z początku nie było nic słychać ani widać. Potem, stopniowo, Go’el zaczął rozróżniać zarysy budynków, gór i drzew. A kiedy obraz się wyostrzył, ork zobaczył, że budynki są puste; na zboczach gór nie ma łąk, a drzewa to suche szkielety. Panowała taka cisza, bo nie było żadnego życia, które mogłoby wydawać dźwięk. Słyszał tylko wiatr i trzask gromu w oddali.

Wizja pokazała następne rzeczy: ciała gnijące tam, gdzie upadły. Ciała ludzi, orków i taunka, mamutów, magnataurów i niedźwiedzi. Padlinożercy nie ucztowali; kruki też leżały nieruchomo na martwej ziemi, a nieczuły wiatr poruszał ich czarnymi piórami.

Nie, zaraz – coś żyło. W polu widzenia pojawiły się krzycząco piękne odcienie lawendy, fioletu i indygo smoka zmierzchu, który wraz z pobratymcami leciał nad

martwotą Azeroth. Dołączył do niego następny, potem jeszcze jeden, aż w powietrzu zrobiło się od nich tak gęsto, że Go’el ledwie dostrzegł ostatnią z potworności zawartych w wizji. Ale ten ułamek chwili wystarczył.

Na iglicy Świątyni Żmijowego Spoczynku wisiało nabite ciało Niszczyciela, Dewastatora Światów, Siewcy Śmierci, który sam był martwy, martwy w świecie, nad którym kołowały tylko smoki zmierzchu.

Ta wizja nigdy nie miała się ziścić. A Go’el wiedział, że przynajmniej w części to jego zasługa.

– Nie mam więcej pytań.

21

Vereesa zjawiła się dopiero długo po zmierzchu. Sylwana porzuciła już nadzieję i była gotowa wracać do Podmiasta, kiedy wypatrzyła hipogryfa siostry. Poczuła falę ulgi, za którą zaraz pienił się gniew.

– Spóźniłaś się ponad godzinę! – warknęła. – Cieszę się, że nie muszę już jeść, jeśli żywym tak dużo czasu zabiera zwykły posiłek!

– Przepraszam – powiedziała Vereesa. – Chciałam pomówić z Jainą. Zobaczyć, czy zmienia zdanie po zeznaniach Go'ela.

Przesłuchanie poszło lepiej, niż Sylwana miała nadzieję. Wielu członków Hordy oraz, rzecz jasna, Przymierza, odpowiedzialnością za wybryk natury, jakim okazał się wódz Garrosh, obciążała właśnie Go'ela. Niektórzy bez wątpienia dalej by tak twierdzili – tak to już jest z malkontentami. Żaden dowód, żadne wytłumaczenie nie przekonałoby ich, by zrezygnowali z hołubionych od dawna żalów. Baine omal nie sprowadził Go'ela do poziomu zwykłego śmiertelnika, ale mistrzowsko dobrana ostatnia wizja Tyrande uciszyła jego przeciwników, przynajmniej na razie. Choć ork zgadzał się, że proces to dobry pomysł, wszyscy pamiętali, że to Varian Wrynn wstrzymał egzekucję.

– Zmieniła zdanie w jakim znaczeniu? – spytała Sylwana, wystarczająco zaciekawiona, by zapomnieć o gniewie na siostrę.

– W jakimkolwiek. Nie wiem, czy to przez zeznania Go'ela, czy jej rozmowę z Kalecgosem, ale nie jest już tak złakniona krwi jak wcześniej.

– Zdawało mi się, że jest z nami! – syknęła Sylwana, zaniepokojona. – Co ten błękitny smok jej powiedział?

– Nie wiem. Nie zdołałam podejść wystarczająco blisko Ale Kalec nie ma w sobie

zawziętości, siostro, wiesz o tym. Jest zbyt bliski Dawczyni Życia, żeby chcieć tego, co my… albo pozwolić, by Jaina tego chciała, jeśli byłby w stanie temu zapobiec. Wiem, że kiedy wrócili z przechadzki, oboje wyglądali na bardzo zasmuconych.

– Zrób, co możesz, żeby Jaina się nie rozmyśliła – zażądała Sylwana. – A tymczasem wygląda na to, że musimy działać szybciej, niż początkowo planowałyśmy.

Vereesa przytaknęła.

– Tak jak proponowałaś, rozmawiałam z pandareńskimi sprzedawcami jedzenia, którzy rozstawili kram niedaleko świątyni. Mi Shao powiedział, że jego siostra, Mu-Lam, pracuje w kuchni, gdzie przygotowuje posiłki dla więźnia i strażników. Rozmawialiśmy o tym, co Garrosh jada.

Już lepiej.

– Opowiadaj.

Vereesa wyraźnie się rozluźniła. Zdjęła dłoń z głowicy sztyletu za pasem. Siostry zeszły po plaży nad morze.

– Codziennie na śniadanie dostaje to samo: zestaw bułeczek i herbatę.

Sylwana pokręciła głową.

– To nam nic nie da. Chyba że twój przyjaciel, Mi Shao, da się namówić, żeby przygotować dla niego „specjalne” bułeczki.

– Nie. Jego siostra też nie, jak sądzę. Na pewno niektórzy pandareni znają się na truciznach, ale niewielu zechciałoby jej użyć w tym celu.

– Mów dalej.

Coś błysnęło w piasku. Sylwana pochyliła się i podniosła przedmiot.

Był to pamiątkowy medalik wytłoczony w ostatnich dziesięciu latach, ozdobiony uśmiechniętym obliczem Kael’thasa Sunstrider, o którym mówiono, że kroczy w Słońcu. Wykrzywiła usta i cisnęła go w fale.

– Na obiad dostaje ryż i jakieś mięso z rożna: kurczaka, muszan, tygrysa, pewnie cokolwiek przyniosą myśliwi.

Sylwana z trudem pohamowała uśmiech.

– Tygrysiego mięsa raczej nie dostaje.

– Ale jest podawane w… och!

Vereesa zrobiła wstrząśniętą minę, a potem się zaśmiała. Był to śmiech pełen czystej, nieoczekiwanej wesołości, bez śladu złośliwości.

Przez ułamek chwili Sylwana znów stała na tej samej plaży, ale skąpana w słońcu i ogrzewana wybuchami radości jej sióstr, rozbawionych jakimś wyczynem Liratha.

Drgnęła na to wspomnienie. Ale mimo to uśmiechnęła się. Nie mogła się powstrzymać.

– Nie, chyba masz rację – przyznała Vereesa, wciąż roześmiana. – Xuenowi chyba by

się to nie spodobało. – Wzięła głęboki oddech i opanowała się. – Śmiałam się chyba pierwszy raz, odkąd… tak. To Garrosh dostaje na obiad.

Sylwana opuściła przyjemne ciepło wspomnień i wróciła do teraźniejszości. Morderstwo jest o wiele łatwiejsze niż radość. A przynajmniej bardziej znajome.

– O ile nie zdołamy zatruć zwierzęcia, zanim zostanie zabite i rozebrane, nie mamy kiedy się do niego dobrać – powiedziała, głośno myśląc. – To trudniejsze, niż się spodziewałam.

Vereesa podniosła muszelkę i zaczęła ją przerzucać z ręki do ręki. Opuścił ją dobry humor, zmarszczyła brwi.

– Sylwano… jak zrobić, żeby ta trucizna trafiła właśnie do niego? Chodzi mi o to, że… nie przyrządzają specjalnych posiłków tylko dla Garrosha. Strażnicy jedzą to samo, co on.

– Nie widzę problemu.

– Cóż… nie chcemy zabijać strażników.

Sylwana zamrugała.

– Słucham?

– Chcemy zabić Garrosha Hellscreama, a nie pilnujących go pandarenów.

Sylwana pokręciła głową.

– Nie ma znaczenia, kto jeszcze umrze, o ile spotka to Garrosha. Komu jak komu, ale jemu straty uboczne nie spędzały snu z powiek. Śmierć kilku pandarenów to niska cena. A może jednak nie masz odwagi, żeby to zrobić?

Vereesa wpatrywała się w muszelkę. Przekładała ją z ręki do ręki, tam i z powrotem. W jej głowie myśli również krążyły wte i wewte. Sylwanie nie sprawiłoby przyjemności zabicie siostry, ale nie mogła pozwolić, żeby Vereesa spanikowała. Nie w tej chwili.

Utrzymaj kurs, siostrzyczko. Nie zostawiaj mnie teraz.

– Jeśli… jeśli umrze ktoś poza Garroshem, Varian będzie o wiele bardziej skłonny zbadać, jak do tego doszło. Taran Zhu też. Mogliby dotrzeć do nas. Jeśli to będzie sam Garrosh… wszyscy będą o wiele bardziej skłonni odwrócić wzrok.

Sylwana popatrzyła na Vereesę, mrużąc czerwone oczy.

– To… to mi nie przyszło do głowy – przyznała niechętnie. Wciąż podejrzewała, że jej siostra wzdraga się po prostu przed zabijaniem niewinnych. – Zdajesz sobie sprawę, że to jeszcze utrudnia nam zadanie.

– Wolę pomyśleć trochę dłużej nad tym, jak go zabić i nie dać się wykryć, niż wymyślać sposoby na uniknięcie schwytania – odparła Vereesa. – Z tego co zaobserwowałam w sądzie, nawet Vol'jin mógłby być przeciwny. A na pewno Varian.

Wiatr się wzmógł, rozwiewał im włosy.

– Zdawało mi się, że odchodzisz od zmysłów z żalu – rzekła Sylwana.

– Bo tak jest! Jak śmiesz… och. – Gniew znikł tak samo szybko, jak się pojawił. – Dziękuję.

– Cóż, mów dalej o daniach podawanych na kolację w Świątyni Białego Tygrysa.

– To trzy różne potrawy. Ryżowy makaron z rybą, jakiś gulasz i zielone curry.

Sylwana pospiesznie myślała. Dawno już nie kosztowała jedzenia. Wróciła myślą do uczt, w których brała udział z rodziną. Do pikników tu, na brzegu morza, przy wtórze fletu Liratha. Alleria leżała z książką, a Sylwana i Vereesa chlapały się w falach, wracały na brzeg głodne jak wilki i pożerały łakomie pieczone przepiórki i szynkę, jabłka i arbuzy, chleb, ser…

– Sylwano?

Elfka otrząsnęła się ze wspomnień. Już po raz drugi dała się im ponieść. To niedobrze.

– Będziesz musiała nauczyć się je przyrządzać – powiedziała szorstko. – Kiedy poznamy składniki, może znajdziemy sposób, by ukoić twoje wrażliwe sumienie i osiągnąć nasz cel.

– Tak zrobię – odparła Vereesa. – Powiem Mi Shao, że moich chłopców interesuje pandareńska kuchnia. To mu sprawi przyjemność.

– Miej też oko na Jainę.

– Och, będę, bez obaw.

Stały nad wodą.

Sylwana zrozumiała, że ich spotkanie dobiegło końca, a mimo to żadna z nich nie miała ochoty odchodzić. Cisza ciągnęła się, aż przerwała ją Vereesa.

– Rozmawiasz z kimś po… po twojej stronie?

– Nie – odparła Sylwana. – Moja niechęć do Garrosha jest powszechnie znana, do tego już naraziłam się Baine'owi i Vol'jinowi. Poza tym im mniej wtajemniczonych, tym lepiej. Sobie nawzajem chyba możemy ufać.

Vereesa odwróciła się do Upiornej Królowej i zmierzyła ją wzrokiem.

– Możemy, Sylwano?

Sylwana przytaknęła.

– Nie zdradzę cię, siostrzyczko. Dość już wycierpiałyśmy.

Wymawiając te słowa, uświadomiła sobie, że to prawda. Poczuła się… zaskoczona.

Vereesa się uśmiechnęła.

– Dobrze. Lepiej już wracajmy.

Sylwana kiwnęła głową. Ruszyły niespiesznie z powrotem do swoich wierzchowców.

– Jak myślisz, kiedy porozmawiasz z Mi Shao?

– Mogę spróbować jutro podczas pierwszej przerwy.

– W takim razie spotkajmy się tu znów jutro po rozprawie.

– Jesteś pewna, że to roztropne? Nie chcemy wzbudzić niczyich podejrzeń.

Sylwana omal się nie potknęła na myśl, że jutro nie zobaczy znów Vereesy. Poczuła ukłucie dziwnego bólu, którego nie powinna czuć, zupełnie jakby zabolała ją dawno utracona kończyna; przygryzła wargi, żeby nie krzyknąć.

– Mówiłaś, że nie ma czasu do stracenia – odparła. – Nie wiemy jeszcze, jaka trucizna będzie potrzebna, jak ją podamy…

Vereesa z uśmiechem podniosła rękę.

– Dobrze już, dobrze! Tak się będę cieszyć, kiedy to się już skończy. Pomyśl tylko, Sylwano! – Jej oczy jaśniały z radości. – Garrosh Hellscream na podłodze swojej celi, wydający ostatnie tchnienie, czujący, jak zimny jad powoli zatrzymuje mu serce. Szkoda tylko, że nie będzie wiedział, kto to zrobił.

– Jesteś bardziej krwiożercza, niż zapamiętałam – powiedziała Sylwana. – Do twarzy ci z tym.

– Muszę być. Nie myślałam o niczym innym poza śmiercią tego orka, odkąd… – Głos uwiązł jej w gardle i odwróciła wzrok. – No cóż… Do zobaczenia jutro, siostro. – Uśmiechnęła się dziwnie nieśmiało i nagle przestała wyglądać jak oschła, gniewna kobieta, którą uczyniły z niej ostatnie wydarzenia. Teraz bardziej przypominała siostrę, jaką zapamiętała Sylwana. – To może dziwnie zabrzmi, ale… cieszę się, że to robimy. Razem.

– Ja też, Mała Luno. Ja też.

– Nie zdążymy! – warknęła Zela, chodząc tam i z powrotem po pokładzie Damy Pod Żaglami.

Harrowmeiser, wciąż z żelaznymi kulami u nóg, stał ze skrzyżowanymi ramionami. Jego gniewnie spojrzenie i nastroszone brwi prezentowały się wspaniale.

– Cóż, pani…

– Wodzu!

– Wodzu, uważam, że Dama Pod Żaglami radzi sobie całkiem dobrze, zważywszy, że od kilku lat nie pozwalano mi przy niej pomajstrować. Robię, co mogę!

– To rób więcej! Wszystko pójdzie na marne, jeśli nie zdążymy tam przed wydaniem wyroku!

– Byłoby łatwiej, jakbyś mi to zdjęła – warknął goblin, pokazując żelazne kule.

– Zostawię je, żebyś szybciej spadał, jak cię wyrzucę za burtę, jeśli mnie zawiedziesz!

– Przedmioty o równej masie spadają z taką samą prędkością – zauważył Harrowmeiser.

– Owszem, ale nie bierzesz pod uwagę oporu powietrza – odezwał się Thalen, przyglądając się swoim paznokciom. – Ani dodatkowych czynników. Przypuśćmy, na przykład, że spadałbyś ze spadochronem albo czarem powolnego spadania rzuconym na…

– Pomożesz mu, Thalenie.

Arcymag znieruchomiał.

– Że co, proszę?

– Skoro obaj jesteście tacy cwani, będziecie pracować razem. I to już. Macie znaleźć jakiś sposób, żeby nas jak najszybciej dostarczyć do Pandarii.

Aż do tej chwili Thalenowi lot bardzo się podobał.

Zela była godnym partnerem. Obaliła spaczonego orka i odebrała mu przywództwo nad klanem, który do naiwnych nie należał, a potem dała nieźle popalić zdrajcom Garrosha. Nic dziwnego, że ich smoczy sprzymierzeniec wybrał właśnie ją na przywódczynię tej nietypowej grupy. Smocze Paszcze wysłała przodem, czekały już na nich w Pandarii.

Następna została zwerbowana Shokia. Snajperka zdawała się znać ich przywódczynię osobiście, choć nie wspominała skąd. Jej pojęcie na temat taktyki bitewnej, zwłaszcza wysokości i odległości, bardzo pomogło im ustalić strategię.

A ten cały Harrowmeiser… nie wchodził im pod nogi. Aż do teraz.

Zeszli obaj pod pokład, gdzie goblin z wyjątkowo nadętą miną wprowadził krwawego elfa w tajniki działania Damy pod Żaglami. Thalen musiał niechętnie przyznać, że jest pod wrażeniem.

– Ten sterowiec nie jest wcale taką latającą trumną, jak się żaliłeś – powiedział. – Jakim cudem udało ci się tak o niego dbać, kiedy byłeś więźniem?

Harrowmeiser stał obok sapiących miechów i obracającego się głośno wału korbowego.

– Klej, sznurek i trollowy fetysz voodoo.

Thalen się zaśmiał.

– Zabawny z ciebie typ. Ale bez żartów. Jak?

Goblin westchnął i pokazał brudnym, zielonym palcem wnętrze silnika. Thalen ujrzał przed sobą czaszkę jakiegoś małego, nieszczęsnego zwierzątka, ozdobioną farbą i kolorowymi piórami.

– A niech to. Rozumiem. – Czuł bijącą od fetyszu magię. – Cóż, tak czy inaczej, twoje starania wydają się przynosić skutek. W dużej mierze. – Niechętnie sięgnął po fetysz i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę. – Mam dla ciebie propozycję.

– W tej chwili jestem szeroko otwarty na każdy pomysł, który nie skończy się dla mnie upadkiem z wysokości z obojętnie jaką prędkością.

– Ty rób, co możesz, żeby ta maszyneria działała najsprawniej, jak to możliwe. – Mag pomachał dłonią i z jego palców zaczęła spływać delikatna, fioletowa mgiełka. – A ja zobaczę, czy nie uda mi się wzmocnić tego maleństwa na tyle, żeby zwiększyć prędkość.

Podniósł fetysz do ust, dmuchnął nań i uśmiechnął się, kiedy piórka zatrzepotały.

22

Dzień piąty

Jaina Proudmoore wierciła się niespokojnie. Rozglądała się po wielkiej arenie i rozmawiała cicho z Varianem i Anduinem o błahostkach. Nadal siedziała obok Kalecgosa, ale miała świadomość, że napięcie między nimi jest widoczne dla innych. To jeszcze nie był koniec, jeszcze nie, a Jaina nie chciała przedwcześnie rezygnować z czegoś tak cennego. Nie, jeśli tylko mogła coś na to poradzić i nadal móc spojrzeć sobie w twarz w lustrze.

Chromia i Kairoz stali przy Wizji Czasu, prawdopodobnie ustalając kolejność wyświetlania Wizji.

– Bardzo dobrze – powiedziała Jaina, żeby przerwać huczącą jej w uszach ciszę – że Kairoz zaoferował nam Wizję Czasu. W ten sposób całkowicie eliminujemy pogłoski. Wiemy, że to, co widzimy, jest całkowitą prawdą.

Kalec też przyglądał się spiżowym smokom, choć nieco przy tym marszczył brwi.

– Doceniam dokładność, jaką daje Wizja Czasu, ale… Garrosh wspomniał o Festynie Lunomroku i boję się, że sceny, które oglądamy, stają się coraz bardziej rozrywką niż materiałem dowodowym.

I znów wracamy do tego samego… zawsze, niezmiennie do tego samego.

– Garrosh sam sobie to ściągnął na głowę – warknęła Jaina.

– Nie przeczę, ale widowiskowość tego procesu… – Kalec pokręcił czarno-niebieską głową. – To, co się tu dzieje, jest bardzo ważne. To nie rozrywka, to ma być sposób na sprawiedliwość. Nie powinna być wymierzana w atmosferze walki gladiatorów.

– Ludzie cierpią, Kalec – przypomniała mu. – Niektórzy z nas nigdy nie podniosą się po tym, co zrobił ten potwór. Potrzebujemy tego.

Smok odwrócił się do niej, na pięknej twarzy malował się wyraz głębokiej troski. Zamknął dłoń Jainy w swoich rękach.

– Po co? – spytał cicho. – Żeby zostawić przeszłość za sobą? Żeby żyć dalej? Nie zrobiłaś tego, Jaino. Jak już mówiłem, nie mam nawet pewności, czy tego chcesz.

Jainę zalała fala emocji. Wyszarpnęła rękę.

Taran Zhu uderzeniem w gong nakazał ciszę. Wdzięczna za to odwrócenie uwagi Jaina skrzyżowała ręce na piersi, zła i smutna jednocześnie.

– Pandareński sąd otwiera posiedzenie. Niechaj się stanie – powiedział mnich. – Chu'shao, proszę wezwać pierwszego świadka.

Tyrande skinęła głową, wstała i podeszła do krzesła świadka.

– Oskarżenie wzywa Alexstraszę, Strażniczkę Życia.

Jaina otworzyła usta ze zdumienia. Tego się nie spodziewała. Alexstrasza, która w prawdziwej postaci była oczywiście smokiem, w swej ludzkiej formie rzadko zaprzątała sobie głowę skromnością stroju. Tego dnia jednak miała na sobie połyskliwą, czerwono-złotą suknię okrywającą ją od szyi po stopy. Obnażone miała tylko ręce i szyję. Wstała z cichą godnością i zeszła na arenę.

Garść widzów wstała. Jej ród, jej siostra. Potem zaczęli się podnosić członkowie innych rodów, i jeszcze inni, aż salę wypełnił cichy tupot setek par butów uderzających o podłogę. Prawie wszyscy obecni wstali na znak szacunku dla byłego Aspektu, który od tysięcy lat strzegł, chronił i kochał wszelkie życie Azeroth. Alexstrasza stanęła przy krześle. Zanim usiadła, odchyliła w tył rogatą głowę i spojrzała na morze twarzy. Jej oblicze rozświetlił łagodny uśmiech; w geście podziękowania położyła dłoń na sercu. W oczach zalśniły jej łzy.

– Tego właśnie potrzebujesz? – szepnął stojący obok Jainy Kalec. Jaina nie odpowiedziała.

Tyrande uśmiechnęła się serdecznie do Alexstraszy i ukłoniła nisko.

– Dawczyni Życia. Postaram się, by zeznania sprawiły ci jak najmniej bólu.

– To wielce uprzejme. Dziękuję.

Arcykapłanka wzięła głęboki oddech.

– Tego świadka nie trzeba przedstawiać. Znają ją nawet niebianie.

– Z całym szacunkiem, protestuję – powiedział Baine. – O ile świadek nie może złożyć zeznań bezpośrednio obciążających Garrosha Hellscreama, nalegam, żeby go zwolnić.

– Fa'shua – rzekła Tyrande – Garrosh Hellscream otrzymał istotne wsparcie zwłaszcza ze strony jednego klanu: Smoczych Paszcz. Chciałabym pokazać, z jakiego rodzaju

ludźmi się sprzymierzał.

– Fa'shua – przerwał Baine – wszyscy, a przynajmniej większość z nas, od czasu do czasu zadajemy się z niewłaściwymi osobami. To, co klan Smoczych Paszcz zrobił w przeszłości, nie ma znaczenia dla sprawy.

– Uwaga chu'shao Bloodhoofa jest trafna – zgodził się Taran Zhu.

– Owszem, ale to nie wszystko – odparła Tyrande. – Smocze Paszcze chwytały w niewolę i dręczyły smoki, i robią to nadal. Robiły to pod rządami Garrosha i uważam, że ten akurat świadek jest tu bardzo na miejscu.

Taran Zhu z satysfakcją kiwnął głową.

– Zgadzam się z oskarżycielką. Proszę kontynuować.

– Pani, ty i twoi pobratymcy zostaliście raz porwani i uwięzieni przez Smocze Paszcze, zgadza się?

– Tak – odparła Alexstrasza.

Jaina z niejakim zaskoczeniem skonstatowała, że smoczyca jest zdumiewająco spokojna.

– Możesz nam powiedzieć, jak to się stało?

– Smocze Paszcze zdobyły Duszę Demona, artefakt, który pozwalał kontrolować smoki. Idąc tropem zranionego samca, trafiły do naszego domu, i za pomocą Duszy Demona porwały trzy moje towarzyszki i mnie, choć nie bez walki.

– Co było potem?

– Nekros, który władał Duszą Demona, rozkazał mojemu rodowi i mnie lecieć za nim do Grim Batol.

– Czego od was chcieli?

– Chcieli, żebyśmy służyli im jako wierzchowce w ich wojnie z Przymierzem. Żeby… mogli jeździć na nas do bitwy i zmuszać do atakowania swoich wrogów.

– Oczywiście niektóre czerwone smoki padły w tych bitwach. Jak Smocze Paszcze je zastępowały?

– Zabierali mi dzieci za każdym razem, kiedy składałam jaja.

Jaina ze współczuciem przygryzła wargę. Nie miała dzieci i było mało prawdopodobne, by to się zmieniło. Uwielbiała swojego „bratanka" Anduina i zdruzgotała ją śmierć podopiecznej, Kinndy, wiedziała jednak, że te uczucia są niczym w porównaniu do więzi rodzica z dzieckiem. Być matką istot magicznych, kochających życie i właściwie nieśmiertelnych, i widzieć je w niewoli… Jaina nie miała pojęcia, jak Alexstrasza mogła w ogóle coś takiego znieść. Spojrzawszy na niebian, zauważyła, że nawet oni, słuchający z uważnym i uprzejmym dystansem, są poruszeni.

– Wybacz mi, proszę, te osobiste pytania.

– Rozumiem, czemu je zadajesz.

Tyrande uśmiechnęła się z wdzięcznością i Jaina zrozumiała ze zdumieniem, że Królowa Smoków dodaje otuchy arcykapłance. Aż pokręciła głową, oszołomiona.

– Powiedziałaś: „za każdym razem, kiedy składałam jaja" – podjęła Tyrande. – Jak to się stało, że złożyłaś je więcej niż raz? Dlaczego dobrowolnie wydawałaś na świat dzieci, wiedząc, że zostaną ci odebrane?

– Z początku odmówiłam – odparła Alexstrasza. – Powiedziałam im, że mają jeden miot i więcej nie dostaną. Nie zgadzali się też moi towarzysze. Nekros… Nekros wziął jedno z moich jaj, przystawił mi je do twarzy i zmiażdżył w rękach. On… mnie nim obryzgał.

Głos się jej załamał i przerwała. Podjęła dopiero po chwili, kiedy zapanowała nad sobą.

– Wyłam w męce… Moje niewyklute dziecko zostało zamordowane na moich oczach, miałam na sobie jego szczątki… Mimo krępujących mnie łańcuchów zaatakowałam orków i poraniłam kilku, zanim mnie obezwładnili.

– I zrobiłaś, co ci kazali.

– Nie od razu. Odmówiłam jedzenia, chciałam umrzeć, by nie musieć wydawać na świat więcej dzieci, które mogliby dręczyć. Zniszczyli następne jajo. Potem… zrobiłam, czego chcieli. – Alexstrasza uśmiechnęła się smutno. – Widzisz, dopóki moje dzieci żyły, mogłam mieć nadzieję, że być może któregoś dnia zostaną uwolnione.

Przepełniona nieopisanym współczuciem i zgrozą Jaina mimowolnie zasłoniła usta dłonią. Znała oczywiście ten okrutny wycinek historii orków, ale usłyszeć, jak opowiada o tym Alexstrasza…

W tym momencie odkryła, że zgadza się z Kalecem w sprawie Wizji Czasu. Wysłuchanie tej historii było wystarczająco poruszające. Była niewymownie wdzięczna, że Tyrande powstrzymała się od jej pokazania.

– Inni też stracili życie, nieprawdaż?

– Tak. W końcu trzech z czterech moich towarzyszy zostało zabitych.

Jaina obejrzała się na Vereesę. Wysoka elfka siedziała nieruchomo niczym wykuta z kamienia. Tylko przyspieszony oddech zdradzał natężenie jej uczuć.

– A więc mimo, że ty i twoi towarzysze przystaliście na tak okrutne żądania, wasi oprawcy nie traktowali was lepiej?

– Nie. Trzymano mnie skutą łańcuchami. Nawet szczęki miałam w obejmie, żebym nie mogła nikogo zaatakować. Jeśli któreś z nas stawiało opór albo próbowało się uwolnić, używali przeciwko nam Duszy Demona. To było… – Alexstrasza zadrżała – … niewymownie bolesne.

– Potrzebujesz chwili przerwy? – spytała łagodnie Tyrande.

Królowa Smoków pokręciła swoją rogatą głową.

– Wolałabym skończyć i mieć to za sobą – w jej melodyjnym głosie dało się słyszeć napięcie.

– Dostarczałaś im czerwonych smoków, tak jak chcieli – powiedziała Tyrande. – Jak były wykorzystywane?

Alexstrasza spuściła wzrok na dłonie złożone na podołku.

– Dosiadali ich do bitwy jak zwierząt, a ich zdolności używali do zabijania członków Przymierza. Każdy przejaw buntu prowadził do dręczenia, a nawet śmierci ich niewyklutych braci i sióstr.

– Jak czuje się smok, zwłaszcza czerwony, zmuszany do takich czynów?

Alexstrasza uniosła głowę; nie zdołała ukryć cierpienia w głosie.

– Czcimy życie, każde życie – powiedziała. – Na myśl o jego odbieraniu cierpimy. Czujemy wstręt. Smocze Paszcze nie mogły zmusić nas do niczego, co napawałoby nas większą odrazą.

Tyrande kiwnęła głową, jakby usatysfakcjonowana, i odwróciła się do widzów.

– Jako przywódca Hordy Garrosh Hellscream dobrowolnie i świadomie sprzymierzył się ze Smoczymi Paszczami, nie bacząc na ich metody pozyskiwania wierzchowców. Usłyszeliście właśnie, co ten klan zrobił najbardziej łagodnej z ras naszego świata.

Ruszyła przed siebie, odliczając na palcach tak jak podczas przesłuchania Vol’jina.

– Uprowadzanie w niewolę. Tortury. Przymusowe poczęcia. Porywanie dzieci. Zabijanie więźniów. Pięć zarzutów wobec Garrosha znów potwierdzonych przez zeznania jednego świadka.

Tyrande przez chwilę przyglądała się orkowi, a potem odwróciła z powrotem do Alexstraszy.

– Dziękuję – powiedziała nocna elfka, a potem rzekła do Baine’a: – Świadek jest do twojej dyspozycji.

Baine wstał i podszedł do Smoczej Królowej. Jaina zmarszczyła brwi.

– Nie przeszkadza ci, że teraz on będzie ją przesłuchiwał po czymś takim? – spytała Kaleca.

– Wolałbym, żeby w ogóle nie musiała zeznawać – odparł smok. – Ale Strażniczka Życia jest silna i znosiła o wiele większe cierpienia niż słowa padające na sali sądowej. Robi to, co musi. Baine tak samo.

– Nie musi robić tego – syknęła Jaina. Tym razem to Kalec nie odpowiedział. Jaina pochyliła się z uwagą do przodu, wsparła brodę na dłoniach. Miała o Bainie lepsze mniemanie, obserwując go podczas procesu nie mogła zrozumieć, jak mógł bronić

Garrosha, zwłaszcza jeśli wymagało to takiego okrucieństwa. Nic z tego nie pojmowała.

– Dziękuję, Strażniczko Życia. Żałuję, że muszę ci sprawić ból – powiedział tauren.

Jakby rzeczywiście w to wierzył, pomyślała Jaina.

– Będę mówił krótko. Wiele wycierpiałaś z rąk Smoczych Paszcz i orków. Co myślisz o nich teraz?

– Nie jestem wrogiem żadnej rasy – odparła Alexstrasza. – Jestem Strażniczką Życia i choć większość moich mocy Aspektu zniknęło, serce pozostało to samo.

– Żywisz do nich sympatię?

– Kocham ich – powiedziała smoczyca po prostu. Jaina znieruchomiała, a potem powoli podniosła głowę. Szeroko otwartymi oczami, nie mrugając, wpatrywała się, wstrząśnięta, w Królową Smoków.

– Orków? – spytał Baine, jakby czytał Jainie w myślach. – Którzy robili ci takie straszne rzeczy? Jak możesz ich kochać? Nie domagasz się ich zniszczenia? Zwłaszcza zniszczenia Garrosha Hellscreama, który przywrócił im potęgę?

– Mało jest istot prawdziwie złych – odparła Alexstrasza. – A nawet dla nich może być odkupienie. Zmiana jest nieodłączną częścią życia. Dopóki coś żyje, może się rozwijać. Może znaleźć światło albo ciemność. Dopiero kiedy opowie się po stronie ciemności tak zdecydowanie, że samo życie jest w niebezpieczeństwie, dopiero wtedy powiedziałabym, że nie ma już nadziei.

– Jak było w przypadku Deathwinga i Malygosa.

– Tak. Ku mojemu wielkiemu żalowi.

Tyrande szukała czegoś wśród papierów na stole, cała spięta. Co jakiś czas podnosiła wzrok, lekko marszcząc brwi.

Jaina wpatrywała się w czerwoną smoczycę.

– Co ona mówi? – szepnęła szorstko. – Co ona robi?

– Z całym szacunkiem, protestuję! – krzyknęła Tyrande. Jaina z ulgą zamknęła oczy.

– Tak, chu’shao? – spytał Taran Zhu.

– Wnoszę o zarządzenie przerwy!

– Na jakiej podstawie?

– Te pytania wytrąciły świadka z równowagi!

Taran Zhu zamrugał, potem spojrzał na Alexstraszę.

– Strażniczko Życia, czy potrzebujesz przerwy?

– Nie, fa’shua. Relacjonowanie tych wydarzeń było bolesne, ale nic mi nie jest.

– Wniosek odrzucony. Kontynuuj, chu’shao Bloodhoofie.

– Dziękuję. – Tauren skłonił głowę, a potem odwrócił się do Alexstraszy. – Mam ostatnie pytanie. Gdyby któryś z tamtych orków, które tak cię torturowały, które zabijały

twoje nienarodzone dzieci, stanął teraz przed tobą i poprosił o wybaczenie… co byś zrobiła?

Wielka Strażniczka Życia uśmiechnęła się – z początku z wahaniem, potem szerzej. Alexstrasza popatrzyła w kierunku Go'ela i jego rodziny, spojrzała mu w oczy. Kiedy w końcu się odezwała, zdawała się promieniować światłem, tak jasny był jej duch.

– Wybaczyłabym mu, oczywiście.

Powiedziała to takim tonem, jakby Baine był dzieckiem, któremu udziela prostej, oczywistej odpowiedzi.

Więcej pytań nie było.

23

Kiedy Taran Zhu uderzył w gong i oznajmił, że sąd zamyka posiedzenie na dziś, Anduin natychmiast odwrócił się do ojca.

– Idę teraz do Garrosha – oznajmił. – Raczej nie przyjdę na obiad.

Zazwyczaj jadał z ojcem, często z Jainą, Kalecem i Vereesą, a potem wracał do Garrosha. Sam nie wiedział, czy rozmawia z orkiem, słucha go, udziela mu duchowej porady, czy po prostu jest celem dla jego ciętych uwag. Czasami wszystko to naraz. W tej chwili żałował, że nie może zrobić jeszcze czegoś – wbić trochę rozumu do tego pustego łba.

Varian kiwnął głową.

– Tak sądziłem – rzekł. – Coś ci zostawimy.

– Nie trzeba. Pójdę na pierogi do Mi Shao.

– Zaraz, co takiego? – spytała Jaina. – Do Garrosha? Anduinie, co ty robisz z Garroshem?

Wydawała się jednocześnie zła i zaniepokojona.

– Wyjaśnię przy obiedzie – powiedział Varian. – Idź, synu.

Anduin przeskoczył zwinnie nad rzędem siedzeń i pospieszył do schodów. Usłyszał jeszcze, jak Jaina pyta: „Varianie, co tu się dzieje?”. Skrzywił się. Tak bardzo spieszyło mu się do Garrosha, że się zapomniał. Rozmyślnie nie powiedział Jainie o swoich spotkaniach z orkiem. Mało kto o nich wiedział i książę był z tego zadowolony. W ten sposób unikał podobnych reakcji. Wszystkim się zdawało, że mogą mu mówić, co ma robić i z kim się zadawać; miał już tego serdecznie dość. Jednak w tej chwili ważniejsza była potrzeba zobaczenia się z Hellscreamem.

Pospieszył korytarzem do drzwi prowadzących do celi Garrosha.

– Książę jest dziś szybszy niż więzień – powiedział na jego widok Li Chu. – Jeszcze go nie przyprowadzono.

– Zaczekam.

Anduin oparł się o ścianę korytarza, z ramionami ciasno splecionymi na piersi. Próbował się rozluźnić, z ponurym rozbawieniem zdał sobie sprawę z absurdalności tych usiłowań i dalej po prostu stał.

Garrosh zjawił się kilka chwil później. Utykał, więc jego nadejście obwieściło brzęczenie i szuranie łańcuchów. Towarzyszyli mu Yu Fei oraz sześciu strażników, nie odstępujących go za każdym razem, kiedy opuszczał celę. Anduin zobaczył na jego brązowej twarzy przebłysk zaskoczenia, szybko ukryty. Bracia Chu otworzyli drzwi. Yu Fei weszła pierwsza, dając księciu znak, by poszedł za nią. Zeszli po rampie i stanęli bez słowa w głębi pomieszczenia.

Garrosh dokuśtykał do otwartych drzwi celi. Dwaj strażnicy zdjęli z niego wszystkie łańcuchy, oprócz tych pętających kostki, zaś pozostała czwórka i bracia Chu stali w pobliżu, czujnie obserwując każdy ruch orka. Garrosh usiadł na futrach, drzwi zamknięto. Yu Fei podeszła i wymruczała zaklęcie, wykonując delikatne ruchy łapami. Okna rozjarzyły się fioletem.

– Co to konkretnie robi? – Zaklęcie było oczywiście dodatkowym zabezpieczeniem, ale Anduin zdał sobie sprawę, że nie wie, jak działa.

– To zapora, działająca w jedną stronę – odparła Yu Fei. – Strażnicy mogą sięgnąć do środka w razie potrzeby, ale Garrosh nie może jej pokonać od środka.

– Sprytne – powiedział książę.

Pandarenka spuściła oczy i skłoniła się.

– To dla mnie zaszczyt – powiedziała i pospiesznie wyszła.

Anduina zdziwiło jej zachowanie, ale zaraz o tym zapomniał, był o wiele bardziej zainteresowany rozmową z orkiem. Li i Lo skinęli mu głowami, a potem zamknęli na klucz zewnętrzne drzwi.

Anduin nie od razu się poruszył. Patrzył po prostu na Garrosha, którego wydawał się bawić oczywisty gniew księcia.

– Mów, książę, bo pękniesz – zachęcił Anduina ork. – A nie chcę, żeby mnie obwinili za bałagan.

– Jak mogłeś to zrobić?! Jak mogłeś to wszystko zrobić?! – Słowa posypały się z ust Anduina i zupełnie jakby to, że przemówił, przywróciło mu zdolność ruchu, ruszył przed siebie i zatrzymał się o krok od krat. – Nie jesteś szalony. Nie jesteś pozbawiony uczuć. Powiedz mi więc, jak mogłeś to zrobić?!

Garrosh najwyraźniej dobrze się bawił. Rozparł się wygodnie na swoich futrach, pobrzękując przy tym łańcuchem.

– Co zrobić?

– Wiesz, o czym mówię. O sprzymierzeniu się ze Smoczymi Paszczami!

– Przy całej swojej pobożności jesteś szybki w osądach – odparł Garrosh. – Tyrande zagrała dziś mocną kartę, przyznaję. Swoją historyjką Alexstrasza zmiękczyła niejedno serce.

– Historyjką? Tym to dla ciebie było?

Garrosh wzruszył ramionami.

– To już przeszłość, załamywanie rąk nic tu nie zmieni.

– Tak samo jak załamywanie innych rąk nad tobą? – odparował Anduin.

– Tak właśnie. Niepotrzebne mi twe współczucie, człowieku.

– To po co chciałeś ze mną porozmawiać? Ze mną, kapłanem, kimś, kogo próbowałeś zabić?

Garrosh milczał.

– To Strażniczka Życia, Garroshu. To… to najłagodniejsza istota na tym świecie. A twoi orkowie zrobili jej coś takiego.

Oczy orka pojaśniały.

– Aha, prawda wychodzi na jaw. Jesteś taki sam jak Jaina, co? W duchu uważasz nas wszystkich za potwory.

Anduin chrząknął i odwrócił się, sfrustrowany. Garrosh zaśmiał się.

– Wszyscy jesteście tacy sami.

Książę prychnął.

– Oczywiście. Tak samo jak ty jesteś taki sam jak Go'el, Saurfang i Eitrigg.

Garrosh odwrócił wzrok.

– Oni zapomnieli albo, jak Go'el, nigdy nie wiedzieli, co to jest prawdziwa chwała Hordy.

– Och tak, rozbijanie jaj przynosi wielką chwałę.

– Jest chwała w tym, że nakłania się smoka do swojej woli!

– A więc jednak uważasz, że torturowanie obrończyni życia to nic złego?

– Nie ja porwałem Alexstraszę!

– Nie, ale sprzymierzyłeś się z tymi, którzy to zrobili, i to w pełni. Z tymi, którzy wciąż niewolą smoki. Bo nakłonienie smoka do swojej woli to przecież wielka chwała. – Książę podszedł bliżej. – Jaka jest twoja wizja Hordy, Garroshu? Bo jak dotąd świat zobaczył w niej tylko niepotrzebną przemoc, mękę i zdradę przyjaciół.

– Moja Horda zmiażdżyłaby wrogów tak jak olbrzym miażdży owada!

Garrosh zerwał się na nogi i przysunął tak blisko, że Anduin czuł na policzkach przyspieszony i rozpalony gniewem oddech. Ale ork nie dotknął krat.

– A co będzie, jak twoja wymarzona Horda zmiażdży już wszystkie naprzykrzające się jej owady? Co się stanie wtedy? Co zrobicie, kiedy skończą się wam wrogowie? Zwrócicie przeciwko sobie samym? Och, zaraz, przecież już to zrobiłeś, nieprawdaż?

Patrzyli sobie przez długą chwilę w oczy, potem Anduin westchnął. Nie czuł już wściekłości, rozwiała się gdzieś, pozostał tylko smutek. Smutek i mdłości na myśl o ruinie, jaką zostawił po sobie Garrosh Hellscream – wliczając w to samego Garrosha.

– Tak bardzo chciałbym zrozumieć… – powiedział książę ledwie słyszalnym szeptem. – Bo rozumiem przynajmniej część. Rozumiem, że chcesz, żeby twój lud miał powody do dumy. Chcesz, żeby wasze dzieci były zdrowe. Chcesz, żeby orkowie byli silni, żeby rozkwitali. Chcesz dokonywać wielkich czynów, żebyś nie został zapomniany, kiedy obrócisz się w proch. To rozumiem, naprawdę rozumiem. Ale reszta? Alexstrasza? Karczma? Trolle? Theramore? – Powoli pokręcił głową. – Tego nie mogę pojąć.

Kiedy książę mówił, Garrosh milczał. Patrzył na księcia jak zauroczony, zahipnotyzowany słowami chłopca. A potem odpowiedział głosem tak samo spokojnym jak Anduina.

– Nigdy nie pojmiesz.

Przez chwilę Anduin milczał.

– Może i masz rację – rzekł w końcu.

– Książę Anduinie, proszę odsunąć się od celi – rozległ się głos Li Chu. Anduin drgnął i usłuchał. Li wpatrywał się w Garrosha. – Wszystko w porządku, Wasza Wysokość?

– W najlepszym – powiedział książę. Za Li stał Lo z tacą w rękach. Przyniósł posiłek – miskę parującego curry, drugą z ryżem, dwie brzoskwinie, tropikalny sanfrut pokrojony na ćwiartki i dzban z wodą. Garrosh nie mógł narzekać na traktowanie, obchodzono się z nim lepiej niż on zrobił to ze swoimi więźniami. Yu Fei wyrecytowała zaklęcie i poświata na kratach zgasła. Pod czujnym spojrzeniem Li Lo postawił jedzenie na stoliku przy drzwiach.

Anduin ruszył do wyjścia. U podnóża rampy przystanął na chwilę i odwrócił się.

– Z drugiej strony jednak – powiedział – może i nie masz.

Tym razem to Sylwana się spóźniła. Kiedy dotarła do Iglicy, Vereesa już tam była, chodząc tam i z powrotem po plaży, i natychmiast ruszyła ku siostrze, gdy ta zeskoczyła ze swego nietoperza.

– Uda się! – wołała. – To doskonałe rozwiązanie!

Sylwana uśmiechnęła się mimowolnie na widok takiego podniecenia. Jeśli słowa Vereesy miały odbicie w rzeczywistości, to wiadomość zaiste była wspaniała.

– Mów szybko!

– Jednym z posiłków jest zielone curry – powiedziała Vereesa. – Dostaje je zazwyczaj co trzeci dzień, ale Mu-Lam Shao mówi, że to zależy przede wszystkim od tego, co akurat jest świeże. Robią je w wielkim kotle w kuchni.

Wyrównały krok, obie szły szybko, z podnieceniem. Sylwana miała wrażenie, że wyostrzone ma wszystkie zmysły, jakby pierwszy raz od dawna naprawdę się obudziła.

– Mów dalej.

– Po nałożeniu porcji dla Garrosha wysyłają mu ją na tacy z ryżem i jakimiś owocami, znów z tym, co akurat jest świeże. Dają mu też pokrojonego na ćwiartki sanfruta. – Vereesa nie posiadała się z radości. – Sylwano, przygotowanie dania kończy jedzący. Dobierasz ryż do każdego kęsa i wyciskasz na to trochę soku z sanfruta. Sam owoc jest cierpki, ale skórkę ma słodką, więc można ją zjeść na deser. Nie musimy zatruwać curry…

Sylwana się zatrzymała.

– …możemy zatruć sanfruta – mruknęła. – I Garrosh sam się otruje!

– Tak! – Vereesa promieniała radością niczym słońce. – Musimy tylko podmienić sanfruta tuż przed tym, jak posiłek wyjdzie z kuchni.

Obie jednocześnie wyciągnęły do siebie ręce. Uścisk obleczonej w rękawiczkę dłoni Vereesy był mocny.

Jak ona się cieszy, pomyślała Sylwana. I… ja też.

– To genialne, Mała Luno – powiedziała. – Ty jesteś genialna. – Siostra zarumieniła się z zadowolenia. – Dasz radę dostać się do kuchni, żeby to zrobić?

Vereesa skinęła twierdząco głową.

– Tak. Już jestem tam stałym gościem. Rozmawiam z Mu-Lam, kiedy ta przygotowuje posiłki. Jak dotąd nikt nie zaprotestował, a jak sądzę, Mi Shao powiedział im o moim zainteresowaniu. Patrzyłam dziś, jak przygotowują curry. Sanfrut jest krojony tuż przed nałożeniem curry do miski, potem układany na tacy. Mogę przynieść zatruty owoc już pokrojony i szybko zastąpić nim ten dobry.

– A wiesz, czy Garrosh w ogóle to je?

– Tak. Mu-Lam mówi, że bardzo mu smakuje.

– Cudownie! – wykrzyknęła Sylwana. – Garrosh, najprawdopodobniej jeden z najgroźniejszych orków w historii, zginie przez słabość do pandareńskich owoców.

– Czuję się, jakby to był prezent – rzekła Vereesa. – Jakby to było przeznaczenie.

Sylwana spojrzała na ich splecione dłonie. Czuła… ciepło. Nie fizyczne, nie, tego już nigdy nie zazna. Gdyby nie nosiły rękawiczek, Vereesa zapewne wzdrygnęłaby się,

czując, jak zimna jest skóra jej siostry.

A może… nie.

– To chyba przeznaczenie – mruknęła Sylwana. – Wierzę, że pisane nam było się porozumieć. Możliwe, że Garrosh Hellscream zostałby pokonany przez nic innego, jak połączone siły dwójki ostatnich Windrunnerów w Azeroth.

Uniosła głowę, wbiła spojrzenie świecących czerwonych oczu w jasnoniebieskie tęczówki Vereesy.

– Horda i Przymierze ledwie go powstrzymały. Ale ty i ja, siostrzyczko, my będziemy jego końcem. I… może początkiem czegoś jeszcze.

– Co masz na myśli?

– Nie musimy poprzestawać na śmierci Garrosha – głos Sylwany drżał lekko. Kiedy ostatnio to się zdarzyło? Odkąd została zamordowana tylko raz. Raz, wiele lat temu, kiedy pewien poszukiwacz przygód dał jej medalion z szafirem. – Co jeszcze cię trzyma w Przymierzu? – ciągnęła, mając nadzieję, że nie myli się co do siostry. – Garrosh może być tylko początkiem. Jesteśmy potężne, my, siostry Windrunner. Zmieniłyśmy świat. I możemy dalej go zmieniać, razem. Kiedy Garrosh umrze, przyłącz się do mnie.

– Co?!

– Przyłącz się i rządź u mego boku. Nienawidzisz Hordy, ale ja też jej nienawidziłam, dopóki nie zdobyłam tam władzy. Możemy stanowić własne prawo, Mała Luno. Możemy przekształcić Hordę wedle naszego uznania. Nic nas nie powstrzyma. Zetrzemy wrogów na proch, a sprzymierzeńców wyniesiemy na wyżyny. Czuję to i myślę, że ty również.

Mocno ścisnęła dłonie Vereesy.

Ale łowczyni nie cofnęła się. Patrzyła w oczy siostry, lekko rozchylając usta.

– Ja…

– Chcę cię mieć przy sobie, siostrzyczko – powiedziała Sylwana i głos się jej załamał. – Byłam… taka samotna. Nie zdawałam sobie z tego sprawy aż do teraz. Nie sądziłam, że mogłabym… Zostań ze mną. Proszę… zostań, moja Mała Luno.

24

Dzień szósty

– Chu’shao Whisperwind, możesz wezwać pierwszego świadka.

– Dziękuję, fa’shua. Wzywam Gakkorga, dawnego członka Kor’kronu.

Niewielu ich pozostało. Większość stanęła po stronie Garrosha i ruszyła do bitwy z siłami Go’ela, kiedy ten przybył na Wyspy Echa.

Vol’jin nie wybrał jeszcze swojej elitarnej gwardii; Baine wyobrażał sobie, że będzie tam sporo trolli. Tych kilku żołnierzy Kor’kronu, których przetrwało, siedziało w więzieniach. Poza jednym. Gakkorg zdezerterował, zanim jeszcze odkryto Pandarię. Wyznaczono nagrodę za jego głowę, ale sprytny ork zdołał skutecznie się ukryć.

Był młodszy, niż Baine sądził, a także, jak to zazwyczaj bywało z członkami Kor’kronu, w świetnej formie. Jego skóra miała głęboki, prawie szmaragdowy odcień zieleni; utykając, podszedł do krzesła świadka i złożył przysięgę.

– Niech świadek się przedstawi – poprosiła Tyrande.

– Jestem Gakkorg. Jak już powiedziałaś, niegdyś byłem członkiem Kor’kronu. Służyłem pod wodzem Thrallem, a potem pod Garroshem Hellscreamem.

– Niewielu z tych, co to kiedyś służyło, w ogóle przetrwało – zauważyła Tyrande.

– Z całym szacunkiem, protestuję! – krzyknął Baine.

– Zgadzam się z obrońcą – powiedział Taran Zhu. – Proszę zadawać pytania bez dodawania własnych komentarzy, chu’shao.

– Kiedy odszedłeś ze służby u Garrosha? – podjęła Tyrande.

– Niedługo po pierwszej kampanii na kontynencie Kalimdor – odparł Gakkorg.

– Dziękuję. Chromio, Wizja, proszę.

Delikatna zachęta palców Chromii obudziła smoka Wizji Czasu. Pojawił się Gakkorg z przeszłości, z wypchanym, zakrwawionym workiem na plecach, podchodzący do jednego z licznych, podłużnych, metalowych szop, których pełno stało w Zęzowej Wodzie.

Podłoga szopy była wysypana słomą. Mieszkali w niej więźniowie.

Z początku spali, ale obudzili się, gdy drzwi otworzyły się szerzej. Było ich czworo, każde miało gruby łańcuch przymocowany do prawej przedniej nogi. Ziewali, przecierali zaspane, duże, piwne oczy i pomrukiwali z zaciekawieniem; twarze mieli większe niż dorosły człowiek, ale wciąż małe jak na swój gatunek. Ich grzbiety porastała gęsta, długa sierść po dziecięcemu poskręcana w czarne, brązowe i szare loki. Odziani byli tylko w prymitywne skrawki zwierzęcych skór, a kiedy zwęszyli, co niesie Gakkorg, podnieceni zaczęli klaskać i wydawać odgłosy zachwytu. Wywijali małymi ogonami i tupali ciężkimi stopami.

To były dzieci magnataurów.

– Właśnie tak, maluchy – zachęcał Gakkorg. – Naróbcie hałasu, żeby rodzice was słyszeli.

Wyciągnął z worka strzęp ociekającego krwią mięsa i młode magnataury oszalały. Jeden zabulgotał śmiechem, pozostałe pokrzykiwały z zadowoleniem i wyciągały ręce. Na ich okrągłych policzkach lśniły łzy.

Gakkorg przyglądał się im przez chwilę, a potem pokręcił głową i mruknął coś pod nosem. Rzucił kawał mięsa małej samicy, która zatańczyła w miejscu, na ile pozwalał jej łańcuch na nodze, a potem przypadła do ziemi, żeby pochłonąć posiłek. Pozostali jeszcze głośniej zaczęli domagać się swoich kawałków. Gakkorg nie kazał im czekać. Wkrótce cała czwórka, od najmłodszego, ledwie niemowlęcia, do najstarszego samca o malutkich kłach wyrastających po bokach głowy zajęta była jedzeniem.

– Zatrzymaj, proszę. – Scena znieruchomiała. – Kto i co to jest? – spytała Tyrande.

Gakkorg poszarzał z żalu.

– Młode magnataury. Garrosh porwał je, żeby zmusić dorosłych, by walczyli dla niego w Jesionowej Kniei.

– Czy były w jakiś sposób torturowane?

– Nie – odparł ork. – Moim zadaniem było opiekować się nimi i je karmić. Kiedy ich rodzice robili trudności, dawałem małym lepsze kąski, żeby hałasowały. Lubiły mięso namoczone w miodzie. Rodzice nie wiedzieli, co z nimi robimy, im bardziej się martwili, tym łatwiej było nad nimi panować. Nie torturowałbym dzieci, nocna elfko.

– Ale opiekowałeś się porwanymi – stwierdziła Tyrande.

Gakkorg potarł twarz.

– Tak, opiekowałem – przyznał z ciężkim westchnieniem.

– Czy ich rodzice walczyli dla Hordy w tej bitwie? – spytała arcykapłanka, choć Baine wiedział, że widziała ich wtedy na własne oczy.

– Tak.

– Co się z nimi stało?

– Wszyscy zginęli.

– Czyli maluchy zostały sierotami – ciągnęła Tyrande. – Dorośli zginęli, dotrzymując swojej części umowy. Do czego zobowiązał się Garrosh?

– Powiedział magnataurom, że jeśli nie będą walczyć, pozabija ich dzieci. Jeśli będą walczyć, to wypuści młode.

– Rozumiem. Czy dotrzymał słowa?

Gakkorg nie odpowiedział od razu. Siedział wpatrzony w obrazy małych magnataurów, znieruchomiałych w czasie, z niewinnym zachwytem zastygłym na twarzach, który stanowił kontrast z raczej makabrycznym posiłkiem.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – ponagliła Tyrande.

Ork się otrząsnął.

– Tak… i nie. Magnataury… cóż, nie są najbystrzejsze. A Garrosh przebiegle dobierał słowa. – Gakkorg oderwał wzrok od znieruchomiałych maluchów i ściągając brwi, popatrzył na oskarżonego. – Owszem, uwolnił młode – niemalże wypluł te słowa. – Magnataury założyły, że Garrosh odstawi je do domu. On jednak rozkazał je wypuścić na plażach Azshary.

Baine zamknął oczy. Nie śmiał patrzeć na Garrosha z obawy, że rzuci się na niego za to ostatnie bestialstwo.

– Ale były w stanie się sobą same zająć, tak?

– Być może byłyby tam, gdzie wiedziały, co jest bezpieczne, a co nie. Gdzie mogły znaleźć dorosłych ze swojego gatunku. Ale zostały wypuszczone na Strzaskanym Brzegu.

– A tam nie było bezpiecznie?

– Na Strzaskanym Brzegu są nagi – oznajmił Gakkorg głucho.

Nic więcej nie powiedział. Nie musiał.

– Co zrobiłeś, kiedy się o tym dowiedziałeś?

– Zrzuciłem swój tabard i zniknąłem – rzekł ork. – Nie ja jeden.

– Dziękuję. I tak oto Garrosh Hellscream okazuje się winnym następnego zarzutu: porywania – i mordowania – dzieci. Chu’shao Bloodhoofie, świadek jest twój.

Baine nie mógł nic wykrztusić. Po prostu machnął ręką. Nie miał Gakkorgowi nic do powiedzenia, bał się, że jeśli się do niego odezwie, to tylko po to, by pogratulować mu

dezercji.

Kiedy Tyrande wróciła na swoje miejsce, a Gakkorg na widownię, pojawiła się Strażniczka, która pospiesznie podeszła do arcykapłanki. Zamieniły szybko kilka słów i Tyrande uniosła brwi. Mina Tyrande jednoznacznie wyrażała niedowierzanie, ale następne słowa Strażniczki przekonały arcykapłankę.

– Chu'shao Whisperwind – odezwał się Taran Zhu – czy mogłabyś podzielić się tą nowiną z sądem?

– Jedna chwila, fa'shua.

Dwie nocne elfki dalej rozmawiały śpiewnym szeptem, w końcu Tyrande kiwnęła głową. Strażniczka pospiesznie wyszła, a arcykapłanka wzięła głęboki oddech. Wyglądała na oszołomioną, zadowoloną i przytłoczoną jednocześnie. W końcu wstała i przez długą chwilę stała po prostu za stołem. Nie wezwała świadka, przeszukiwała tylko wzrokiem publiczność, potem popatrzyła na niebian, jakby podejmując decyzję. Baine przyglądał się jej czujnie. Tyrande zawsze zachowywała się pewnie i z opanowaniem, teraz jednak wyglądała… tryumfująco.

– Lordzie Zhu – powiedziała – wnoszę formalną prośbę o uznanie, że reguły tego procesu zostały naruszone w sposób nieodwracalny, dlatego tez niemożliwym jest wydanie sprawiedliwego wyroku.

Widownia zaczęła szemrać. Taran Zhu uderzył w gong. Pierwszy raz, odkąd proces się rozpoczął, Garrosh nachylił się do Baine'a.

– Co się dzieje? – spytał.

– Zależnie od tego, co chce przez to uzyskać, albo uważa, że zostaniesz uniewinniony, w co chwilowo nie wierzę, albo chce powołania nowych przysięgłych.

– Co oznacza, że bez wątpienia zostanę stracony.

Garrosh powiedział to spokojnym, prawie znudzonym tonem. Baine rzucił mu ostre spojrzenie.

– Jest zaledwie garstka istot zdolnych wydać bezstronny wyrok. Czworo z nich to twoi przysięgli.

– To niczego nie zmienia.

Baine nie odpowiedział. Kiedy gwar ucichł, Taran Zhu powiedział:

– Chu'shao Bloodhoof i Whisperwind, proszę podejść wraz ze swoimi doradcami.

Kiedy wszyscy stanęli już przed nim, mnich z irytacją spojrzał na Tyrande. Baine zauważył, że Chromia nie wyglądała na zachwyconą.

– Oskarżycielko, powiedz mi, czemu tak blisko końca chcesz, żebym uznał ten proces za nieważny.

– Doniesiono mi, a ja muszę donieść o tym tobie, że chu'shao Bloodhoof nie powinien

reprezentować oskarżonego z uwagi na konflikt interesów. Uważam, że nie jest w stanie uczciwie pełnić swojej roli, i dlatego wnoszę, by proces został uznany za nieważny oraz by powołano nowego obrońcę i ławę przysięgłych.

– Chu'shao – rzekł Taran Zhu z powagą i zniecierpliwieniem jednocześnie – nie wątpię, że wiesz, iż jest niemożliwością znaleźć kogokolwiek z Hordy, Przymierza czy skądinąd, kto byłby zdolny do całkowicie uczciwej reprezentacji oskarżonego.

– Cóż, będziecie jednak musieli to zrobić – stwierdziła Tyrande.

– Jakie masz dowody?

Tyrande miała dość wyczucia, by zrobić choć trochę zakłopotaną minę.

– Właśnie mnie poinformowano, że zlokalizowano świadka, którego zeznania, delikatnie rzecz ujmując, nie stawiają w dobrym świetle chu'shao Bloodhoofa. Wolałabym bez potrzeby nie kalać jego reputacji. Uważam, że wysłuchanie tych informacji wpłynie na przysięgłych do tego stopnia, że nie będą w stanie wydać sprawiedliwego wyroku.

Taran Zhu złożył łapy i przez długą chwilę uważnie się jej przyglądał.

– Nie chciałbym być twoim wrogiem, lady Tyrande.

– Cieszę się, że nim nie jesteś, Taranie Zhu.

– Kim jest ten zaskakujący świadek?

– Wolałabym…

– Ale już! – przerwał gniewnie Baine. – Nie interesuje mnie ani trochę, co byś wolała, chu'shao! Kogo znalazłaś?!

Taran Zhu podniósł łapę.

– Proszę o ciszę, chu'shao Bloodhoofie. Tyrande, opinia Baine'a o Garroshu to żadna nowość. Nawiązał nawet do ewentualności posądzenia go o uprzedzenie w swojej mowie otwierającej. Jeśli masz jakieś zastrzeżenia, trzeba było je podnieść wtedy.

– Wtedy nie miałam tego świadka, fa'shua.

Przez długą chwilę Taran Zhu siedział bez ruchu. W końcu się odezwał.

– Chu'shao Bloodhoofie, jest jasne, co chu'shao Whisperwind chce osiągnąć. Mam więcej wiary w niebian i ich zdolność do wydania sprawiedliwego werdyktu niż ona, ale chciałbym poznać twoje zdanie. Wygląda na to, że to ty najbardziej możesz tu ucierpieć.

To była właśnie ta chwila, zrozumiał Baine. Taran Zhu oczywiście zrobi, co uzna za stosowne. Takie miał prawo jako fa'shua. Ale spytał Baine'a, a tauren odpowie mu prawdę. Rozumiał także, że Tyrande nie musiała tego robić. Jeśli zeznania były tak druzgoczące, jak najwyraźniej sądziła – a nie miał powodu wątpić w jej pewność – to mogła po prostu wezwać świadka i pozwolić, by wszystko samo się rozstrzygnęło. Usiłowała okazać Baine'owi szacunek. Może nawet pójść mu na rękę.

– Był czas, kiedy ucieszyłbym się z takiego obrotu spraw – powiedział. – Cieszyłbym

się, że wypełniłem swój obowiązek najlepiej, jak umiałem, a jednocześnie uwalnia się mnie od tego ciężaru. Matka Ziemia mi świadkiem, że ciążyła mi moja decyzja. Nie prosiłem o to brzemię i jestem pewien, że świadek, którego znalazła Tyrande, upubliczni siłę moich uczuć wobec oskarżonego. Choć jestem być może marnym czempionem, mimo to nikogo lepszego Garrosh Hellscream nie ma. Rozkazano mi go bronić i będę go bronić. Niezależnie od tego, co mi grozi osobiście. Oto moje zdanie, szanowny Zhu.

Ku jego zaskoczeniu Tyrande nie wyglądała na zadowoloną. Odwróciła się do niego.

– Wydaje mi się, że nie doceniasz wagi tego, co się stanie – rzekła z naciskiem. – Nie chcę, żeby to była osobista napaść.

– A jednak to robisz.

– Muszę! – Powiedziała to cicho, ale każda sylaba jej słów pęczniała od mocy. – Poświęcę cię, Bainie, jeśli tego będzie trzeba. Poświęcę wszystko i każdego, kogo będę musiała.

Baine głęboko odetchnął. Wyprostował się dumnie i spojrzał z góry na nocną elfkę.

– A więc zrób to.

Taran Zhu przyglądał się im obojgu.

– Niech tak będzie – powiedział. – Chu'shao, możesz wezwać swojego świadka. W oparciu o jego zeznania oskarżony może postanowić zatrzymać Baine'a jako swojego chu'shao albo go oddalić.

Tyrande na chwilę zamknęła oczy.

– Bainie Bloodhoofie, to, co się teraz stanie… sam tego chciałeś. Dziękuję, fa'shua.

Zanim Kairoz usiadł, chwycił Baine'a za ramię.

– Wiem, co na ciebie ma – szepnął. – Nie mam czasu znaleźć kontrwizji, a nic nie przychodzi mi do głowy tak na szybko!

– Nie będziesz musiał – odparł ze stoickim spokojem Baine. – Skoro Chromia bierze w tym udział, jest jasne, że Tyrande planuje pokazać swoje dowody, a nie tylko opowiadać o nich. Muszę ufać, że prawda przemówi sama i przyjąć konsekwencje.

– Jesteś takim samym idealistą jak ten młody książę – syknął Kairoz, sfrustrowany.

Baine prychnął kpiąco.

– To prawie komplement – rzekł i wrócił na swoje miejsce.

Garrosh pochylił się do niego.

– Co się stało?

– Proces będzie trwał. Tym razem będziesz miał możliwość wpłynąć na jego bieg. Możesz mnie zatrzymać albo nie. Jeśli będziesz chciał, żeby ktoś inny cię reprezentował, Taran Zhu wybierze innego obrońcę.

– A czemu miałbym to robić? Zapewniasz mi rozrywkę w moich ostatnich dniach.

Tyrande stanęła obok krzesła świadka, wzięła głęboki oddech i powiedziała:

– Zaznaczam, że uważam następnego świadka za skrajnie wrogo nastawionego do stanowiska oskarżenia. Wzywam Tropiciela Peritha Stormhoofa z rodu Burzowego Kopyta.

I w tym momencie Baine zrozumiał, jak daleko jest gotowa posunąć się Tyrande, by doprowadzić do skazania Garrosha Hellscreama.

25

Taureński tropiciel Perith Stormhoof podszedł do krzesła świadka powoli niczym ktoś idący na stracenie. Usiadł z godnością i czekał.

– Niech świadek przedstawi się sądowi – poleciła Tyrande.

– Nie będę zeznawał – oznajmił Perith.

Głos miał niski, prawie beznamiętny, ale Baine wiedział, że to fasada.

– Pericie Stormhoofie– powiedział Taran Zhu – jesteś zobowiązany złożyć zeznania, jeśli zostałeś wezwany.

– Złożyłem przysięgę Cairne'owi, a potem Baine'owi z rodu Krwawe Kopyto, że nigdy nie powiem ani nie zrobię niczego, co by im zaszkodziło. Jestem zaufanym powiernikiem ich tajemnic. Nie możesz mnie zmusić do mówienia.

– Pandareńskie prawo pozwala mi więzić cię tak długo, aż zgodzisz się zeznawać.

– Wolę siedzieć do końca swoich dni w więzieniu i zachować swój honor, niż zdradzić mojego najwyższego wodza.

Baine miał dość. Wstał.

– Pericie Stormhoofie, rozkazuję ci zeznawać. Udowodniłeś aż nadto swoją lojalność zarówno wobec mnie, jak i mojego ojca, i w naszym imieniu obiecuję, że nie będę ci miał za złe niczego, co powiesz. To czas prawdy, którą zarówno Cairne, jak i ja zawsze ceniliśmy, więc powiedz swoją, tak jak nakazuje pandareńskie prawo.

Maska zniknęła. Perith popatrzył na niego z udręką. Najwyraźniej uważał, że Baine nie zdaje sobie sprawy z powagi tego, co Tropiciel może być zmuszony wyjawić. Ale Baine wiedział i prawie czuł ulgę. Skinął mu głową.

– Będę zeznawał, ale tylko dlatego, że tak mi kazał mój wódz – oznajmił Perith. Jego

smutek był niemalże namacalny.

– Zwracam uwagę przysięgłych, to świadek wrogo nastawiony – powtórzyła Tyrande. Nie okazała zadowolenia z kapitulacji Peritha, ale żalu też nie. – Proszę podać swoje imię i zajęcie.

– Jestem Perith Stormhoof. Należę do Szybkonogich, jestem Tropicielem w służbie Baine'a Bloodhoofa, a wcześniej jego ojca, Cairne'a.

– Proszę powiedzieć, czym zajmują się Szybkonodzy.

– Przede wszystkim jesteśmy posłańcami, ale nie tylko. Znamy treść przenoszonych wiadomości. Znamy sekrety najwyższego wodza. – Mówił beznamiętnym, zrezygnowanym głosem. – Wiemy, jak podróżować bezpiecznie, w każdym tego słowa znaczeniu, żeby nic nas nie opóźniło.

– Gdy nie dostarczasz wiadomości najwyższego wodza Baine'a, gdzie zazwyczaj przebywasz?

– W jego otoczeniu.

– Jako doradca?

Perith potrząsnął siwą głową.

– Nie. Jako cień, chyba że mnie potrzebuje.

Garrosh nachylił się do Baine'a.

– Ona cię zniszczy, taurenie – powiedział zupełnie swobodnym tonem.

– Jestem o tym przekonany – odparł Baine.

– To dlaczego…

– Spokojnie – zahuczał Baine, niebezpiecznie łagodnym głosem.

– Znasz więc wiele sekretów – ciągnęła Tyrande. – Oskarżenie chce zaznaczyć, że to zeznanie jest składane wyłącznie w celach procesowych. Nie zamierzam wydobywać tajemnic Hordy, żeby wspomóc Przymierze.

– Gdybym uważał, że tak jest, czu'shao, to ciebie usunąłbym z procesu – powiedział Taran Zhu prawie wesoło.

Baine nie obejrzał się, żeby zobaczyć, jak zareagowali członkowie Przymierza zasiadający na widowni. Zamierzał pozwolić, żeby wszystko potoczyło się swoim torem. Proszę, Matko Ziemio, niech to będzie najlepsza decyzja dla nas wszystkich… Jesteśmy tak bardzo znużeni wojną, mówił w myślach.

Tyrande zmarszczyła brwi, ale mimo to skłoniła głowę. Odwróciła się z powrotem do Peritha.

– Kiedy zacząłeś służbę u Baine'a Bloodhoofa?

– W noc śmierci jego ojca – odparł tamten. – Ponury Totem zajął Gromowe Urwisko i zaatakował osadę Krwawego Kopyta. Baine w porę dostał ostrzeżenie i zdołał uciec,

dzięki niech będą Matce Ziemi.

– To ty go ostrzegłeś?

– Nie. Ja towarzyszyłem Cairne'owi w Orgrimmarze. Po mak'gora… coś mnie zatrzymało. Ponure Totemy tam były. Spotkałem się z Baine'em później, w obozie Taurajo.

– A więc kto go ostrzegł?

– Szaman Ponurych Totemów, niejaki Stormsong, który miał więcej honoru niż Magatha.

– Baine miał więc szczęście. Jeśli sąd pozwoli, chciałabym przedstawić Wizję z tej strasznej nocy.

Baine na chwilę zamknął oczy, modląc się o spokój.

Ujrzał przed sobą siebie samego, Jorna Skyseer nazywanego Wróżącym z Nieba, Hamuula Runetotem z plemienia Runicznego Totema oraz Peritha siedzącego jak zawsze z tyłu. Baine bardzo go szanował, ale Perith wolał trzymać się na uboczu. Tego między innymi uczono Szybkonogich.

– Magatha ma to, czego chciała – powiedział Hamuul, kiedy postawiono przed nim jedzenie. – Kontrolę nad Gromowym Urwiskiem, wioską Krwawego Kopyta, prawdopodobnie nad obozem Mojache, a jeśli jej nie powstrzymamy, wkrótce nad wszystkimi taurenami.

– Ale nie nad Słoneczną Skałą – wtrącił cicho Jorn. – Wysłali gońca. Udało im się odeprzeć atak.

Baine patrzył, jak sam kiwa głową, mruczy cicho i odgryza kęs, raczej z konieczności niż z apetytu.

– Arcydruidzie – powiedział po chwili – mój ojciec zawsze ufał twoim radom. Nigdy nie potrzebowałem ich bardziej niż teraz. Co mamy robić? Jak mamy walczyć z Magathą?

Hamuul nie odpowiedział od razu.

– Z tego co wiemy – rzekł w końcu – większość taurenów jest teraz pod władzą Magathy, dobrowolnie lub nie. Garrosh może nie jest winien zdrady, ale z całą pewnością to narwaniec, zresztą – tak czy inaczej – życzył twojemu ojcu śmierci. W Podmieście nie jest dla ciebie bezpiecznie, dopóki patrolują je orkowie najpewniej lojalni w stosunku do Garrosha. Trolle z Mrocznych Włóczni zasługują na zaufanie, ale jest ich niewiele. Co do krwawych elfów, są o wiele za daleko, żeby pomóc. Garrosh dotrze do nich przed nami.

Baine zaśmiał się głośno, choć z goryczą.

– A więc wychodzi na to, że nasi wrogowie są bardziej godni zaufania niż przyjaciele.

– A przynajmniej łatwiej dostępni – odparł Hamuul.

Baine w wizji ucichł, pogrążył się w zadumie.

Po długiej chwili potrząsnął głową, strzygąc uszami, i podjął decyzję.

– Wolę honorowego wroga niż nieuczciwego sprzymierzeńca. Udajmy się więc do honorowego wroga. Znajdziemy kobietę, której ufał Thrall. Udamy się do lady Jainy Proudmoore.

Widownia eksplodowała krzykiem.

Jaina wpatrywała się w Tyrande. Dobiegające zewsząd krzyki stały się stłumione i niezrozumiałe, jakby Jaina była pod wodą. Nie czuła ręki ściskającej jej palce ani drugiej, która potrząsała nią za ramię. Mogła tylko patrzeć na arcykapłankę z okropnym, przejmującym poczuciem zdrady. Nocna elfka odwzajemniła jej spojrzenie z połączeniem nieustępliwej determinacji i głębokiego współczucia.

– Jak ona mogła? – wymamrotała Jaina. Mogła się spodziewać czegoś takiego po Bainie, ale Tyrande…

– Jaino!

Głos Kaleca był głośniejszy i mocniejszy niż kiedykolwiek. Smok potrząsnął ją za ramię.

Nagle wszystko wokół Jainy przyspieszyło, nabrało ostrości i wyrazistości; wszyscy krzyczeli, Taran Zhu bił w gong. Jaina oderwała wzrok od Tyrande i popatrzyła na Variana. Król też krzyczał.

– Jaino, dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?!

Oczy Anduina wyglądały jak wielkie złote monety. On także najwyraźniej uznał, że milczenie to najlepsza reakcja, jeśli chce pomóc taureńskiemu najwyższemu wodzowi.

Niech Światłość ma ich oboje w opiece.

– Wszystko się rozpada… – wymamrotała. – Wszystko. Po prostu się rozpada.

– Jaino – powiedział Kalec. – Taran Zhu właśnie zarządził dziesięciominutową przerwę. Możemy wyjść, jeśli chcesz. Nie musisz tego oglądać.

– Czego niby nie musi oglądać? – spytał ostro Varian. Widać było, że usiłuje zapanować nad sobą i że udaje mu się to zaledwie po części. – Tak samo było ze Słonecznymi Łupieżcami. Jaino, powinnaś była mi powiedzieć! Na co jeszcze mam się teraz przygotować?!

Jaina pokręciła głową. Wyprostowała się.

– Nie wątpię, że wszystko zobaczysz. Nie opowiem ci tego w dziesięć minut.

– To powiedz, ile możesz! Niech mnie Światłość oślepi, Jaino, właśnie się dowiedziałem, że ktoś, kogo zaliczałem do swoich najlepszych przyjaciół, spotykał się potajemnie z Baine’em Krwawe Kopyto! – warknął król, krzyżując ramiona na szerokiej

piersi, być może po to, żeby się na nią nie rzucić. – Już to twoje bezustanne wymykanie się do Thralla było ciężkie do zniesienia, ale…

– Ojcze – przerwał mu cicho Anduin. – Ja też mam ci coś do powiedzenia.

Baine siedział w milczeniu i czuł dziwny spokój, podczas gdy świat wokół niego oszalał.

Taran Zhu zarządził dziesięć minut przerwy, ale potrzeba było co najmniej dwa razy tyle, żeby przerwać bijatyki i odstawić uczestników do ich nowych kwater. Tyrande nie mogła wiedzieć, że Baine nie próbował ukrywać swojego pierwszego kontaktu z Jainą Proudmoore. Był tak zły na decyzję Garrosha, by zaczekać i zobaczyć, kto wyjdzie zwycięsko ze starcia Ponurych Totemów z Krwawym Kopytem, że publicznie rozpowiadał, iż jeden z dowódców Przymierza okazał mu większe wsparcie niż własny wódz. Posunął się wręcz do tego, że pomoc ze strony Jainy podał za powód odmowy ataku na Theramore podczas zgromadzenia przywódców Hordy i ich ludzi. Nikt nie uważał go za zdrajcę. Jaina była wśród Hordy szanowana, a na pewno nie tak znienawidzona jak Varian czy Tyrande.

Przynajmniej nie wtedy.

Garrosh przyglądał się Baine'owi nieco oszołomiony.

– Wygląda na to, że dołączysz do mnie za kratkami, Bloodhoofie – stwierdził.

– Być może – odparł tauren. – Ale poproszę o celę z kimś innym.

– Może z Jainą?

– Nie. Ale może z Anduinem.

Taran Zhu znów uderzył w gong. Tym razem szybko wrócono na swoje miejsca.

– Rozważałem zakończenie posiedzenia na dziś – powiedział mnich tonem ostrzejszym niż zazwyczaj; jego oczy, co rzadko się zdarzało, ciskały błyskawice. – Ale mam nadzieję, że kiedy świadek skończy zeznawać, wszyscy będziemy zachowywać się w sposób cywilizowany. Jeśli nie, wiedzcie, że gdy uznam, iż któryś ze świadków lub osób wzmiankowanych podczas tej rozprawy jest w niebezpieczeństwie, natychmiast otoczę go ochroną Shado-pan. To nie Festyn Lunomroku ani arena walk gladiatorów, tylko sąd. Miejsce sprawiedliwości i prawdy. I dopilnuję, żeby wszyscy zachowywali się stosownie.

Nikt się nie odezwał. Taran Zhu popatrzył po widowni, a potem jego spojrzenie powędrowało znów w dół, do Tyrande.

– Chu'shao, możesz wrócić do zadawania pytań.

– Dziękuję, fa'shua. – Arcykapłanka niespiesznie wstała, przygładziła suknię i podeszła do Peritha. – O ile pamiętam – powiedziała, jakby po chwili przerwy wrócili do towarzyskiej pogawędki – skończyliśmy na tym, że Baine Bloodhoof planował spotkanie

z lady Jainą Proudmoore.

Oczy wszystkich spoczęły na Jainie. Siedziała wyprostowana i spokojna, z rękami splecionymi na podołku, ale rumieniec na twarzy i przyspieszony oddech zdradzały jej zdenerwowanie. Siedzący obok niej Kalec wydawał się gotów do natychmiastowego ataku, gdyby zaszła potrzeba; oczy Variana płonęły gniewem. Wodził spojrzeniem od Peritha do Tyrande; Baine sam nie wiedział, na które z nich król jest bardziej zły.

– Zgadza się.

– Byłeś obecny na tym spotkaniu?

– Nie, nie byłem.

– Ale wiesz, co się stało?

– Wiem tyle, ile powiedział mi mój wódz.

– Czyli?

Perith zerknął na Baine'a z głębokim smutkiem w oczach.

– Lady Jaina nie zgodziła się mieszać Przymierza w wojnę z Hordą, ale zaoferowała pomoc osobiście.

– Jaką postać przybrała ta pomoc?

– Ofiarowała złoto.

Po widowni przeszedł szmer niezadowolenia.

– Ile złota? – spytała Tyrande.

– W takie szczegóły mnie nie wtajemniczono.

– To był jedyny raz, kiedy twój wódz zadawał się z lady Jainą?

Baine zesztywniał. O drugiej wizycie nie było powszechnie wiadomo. Perithowi głos się łamał, kiedy odpowiadał:

– Nie, nie był.

Tyrande dała znak Chromii.

– Jeśli sąd pozwoli, chciałabym zaprezentować drugą Wizję.

26

Jaina wciąż była otępiała po pierwszej odsłonie z przeszłości. Wiedziała, że otrząśnie się za jakiś czas, ale póki co była zadowolona z tego stanu. Jej uczucia były tak sprzeczne, tak silne, że nie chciała ich analizować. A na pewno już nie tu i nie teraz.

Varian powstrzymał się przed nazwaniem jej i swego syna zdrajcami. I na razie Jaina uznała, że to i tak dużo. Król czekał, jak rozwinie się sytuacja.

Tak samo, mówiąc prawdę, jak Jaina.

Nad areną pojawił się jej przytulny salonik z półkami pełnymi książek i kominkiem, przed którym stały dwa fotele. Zakręciło się jej w głowie. Takie zwyczajne miejsce, salonik. Po prostu pokój. Który zniknął, obrócony w fioletowy pył tak jak wszystko i wszyscy w Theramore. Trzaskający ogień, brzęk filiżanek na spodkach, śmiechy i ożywiona, inteligentna dyskusja – nigdy już nikt tego nie usłyszy.

Nie mogła oderwać wzroku od sceny, ale na oślep wyciągnęła rękę do Kalecgosa.

Pochwycił jej dłoń i mocno ścisnął.

Do tego widok jej samej, w pospiesznie narzuconej szacie…

Złote włosy, łagodne oczy, twarz z jedną tylko bruzdą na czole, usta, które częściej składały miłe słowa, niż otwierały się w bolesnym krzyku.

To była twarz kogoś obcego.

Jainie pękało serce na tak wyraźny dowód, że jeszcze niedawno była tak bardzo niewinna. Nie chciała się załamać, nie przy wszystkich. Kalec o tym wiedział, dlatego nie objął jej ramieniem ani nie próbował pocieszać w inny sposób, tylko mocno trzymał jej dłoń.

Jaina w wizji zrobiła kilka kroków tam i z powrotem, a potem odwróciła się do gościa.

Była taka mała obok taurena. Ta obserwacja stała się dla Jainy oazą spokoju w huraganie emocji. Przybysz miał na sobie płaszcz i stał cicho, nie protestował, choć strażnicy potraktowali go raczej szorstko.

– Zostawcie nas – rozkazała im Jaina.

Mój głos… naprawdę brzmiał tak młodo?

– Pani? Zostawić cię samą z tym… stworem? – zaprotestował jeden z żołnierzy.

Jaina rzuciła mu surowe spojrzenie.

– Przyszedł do mnie w dobrej wierze i zabraniam tak o nim mówić.

Strażnik zaczerwienił się nieco, zawstydzony, ukłonił swojej pani i razem z drugim wyszedł.

Perith ściągnął kaptur.

– Lady Jaino Proudmoore. Nazywam się Perith Stormhoof. Przybywam z rozkazu mojego wodza. Prosił, żebym przekazał ci tę buławę. Powiedział… że dzięki temu łatwiej uwierzysz w moje słowa.

Fearbreaker. Uśmierzyciel. Doskonała, starożytna broń krasnoludów, którą Magni Miedziobrody przekazał Anduinowi Wrynnowi, a ten z kolei dał ją Baine'owi w tej samej komnacie. Dopiero teraz Jaina przypomniała sobie, że trzymała ją podczas tamtego spotkania. Ściskała ją w dłoniach, nieskazitelną i doskonałą tak samo jak w dniu, kiedy została wykuta. Broń miała srebrną głowicę owiniętą złotymi taśmami, była pokryta runami i ozdobiona mrowiem małych klejnotów.

– Wszędzie poznam Uśmierzyciela – powiedziała Jaina z przeszłości. Każdy by poznał. Ci, którzy znali Anduina, znali też Uśmierzyciela, a więc Tyrande wydała teraz także księcia Wichrogrodu.

– Wiedział, że poznasz. Lady Jaino. Mój wódz darzy cię wdzięcznością i estymą, i przez pamięć nocy, kiedy otrzymał Uśmierzyciela, przysyła mnie z ostrzeżeniem. Horda zdobyła Północną Strażnicę.

Rozległy się gniewne okrzyki, niektóre skierowane do Jainy, ale większość do Baine'a. Jaina rozumiała dlaczego. Przyjście do niej po pomoc przeciwko Magacie było wewnętrzną sprawą taurenów – co innego ostrzeżenie przed atakiem Hordy na Przymierze. Pierwszy raz od wieków Jaina przejęła się losem członka Hordy.

Taran Zhu uderzył w gong i choć napięcie nie opadło, widzowie ucichli. Nikt nie chciał zostać usunięty z sali w takiej chwili.

Perith w wizji mówił dalej.

– Boli go fakt, że zwycięstwo zostało osiągnięte dzięki mrocznej, szamańskiej magii. Gardzi takim postępowaniem, ale chcąc chronić swój lud, zgodził się, by taureni dalej służyli Hordzie. Kazał mi podkreślić, że zobowiązanie to nie sprawia mu radości.

Widownia ochłonęła nieco, ale w powietrzu wciąż wibrowała wściekłość.

– Wierzę w to – usłyszała Jaina własne słowa. – Mimo to brał udział w akcie przemocy przeciwko Przymierzu. Północna Strażnica…

– To dopiero początek – przerwał jej Perith. – Hellscreamowi chodzi o coś znacznie więcej niż jedna warownia.

– Co?!

Nawet teraz Jaina pamiętała to uczucie – jakby ktoś uderzył ją w żołądek.

– Jego celem jest podbój całego kontynentu. Niedługo rozkaże Hordzie pomaszerować na Theramore. I zważ na moje słowa: ma wielką armię. Jeśli nie wzmocnisz swoich sił, przegrasz. Mój wódz pamięta pomoc, której mu udzieliłaś, i kazał mi cię ostrzec. Nie chce, byś została wzięta z zaskoczenia.

– Twój wódz – odparła Jaina ze wzruszeniem – to zaprawdę honorowy tauren. Jestem dumna, że tak dobrze o mnie myśli. Dziękuję mu za to ostrzeżenie. Przekaż mu, proszę, że przyczynił się do ocalenia wielu niewinnych.

– Wódz żałuje, że może cię tylko ostrzec, pani. I… prosi, żebyś przyjęła Uśmierzyciela i zwróciła go temu, kto tak wspaniałomyślnie mu go podarował. Baine uważa, że nie zasługuje już na ten dar.

Właśnie – pomyślała Jaina – przecież Vol'jin zrozumie… może nawet o tym wiedział…

– Dopilnujemy, żeby Uśmierzyciel został zwrócony poprzedniemu właścicielowi – powiedziała w wizji. Głos miała pełen serdeczności i wdzięczności. Byłam… dobra – zrozumiała Jaina. – Byłam wtedy dobra…

Po tym jak Perith się jej ukłonił, zobaczyła, że też to w niej dostrzegł. Jaina szybko napisała wiadomość, zapieczętowała ją i podała Tropicielowi.

– To zapewni ci bezpieczny przejazd przez terytorium Przymierza, gdybyś został złapany.

– Nie zostanę, ale dziękuję za troskę – roześmiał się Perith.

– Powiedz także swojemu szlachetnemu wodzowi, że nie będzie żadnych plotek o odwiedzającym mnie Szybkonogim. Każdemu, kto zapyta, powiem, że dostałam wiadomość od zwiadowcy, któremu udało się ujść z życiem z bitwy. Zjedz coś i wracaj bezpiecznie.

– Niech Matka Ziemia obdarzy cię łaską, pani – rzekł Perith. – Teraz, kiedy cię poznałem, jeszcze lepiej rozumiem decyzję mojego wodza.

– Któregoś dnia – powiedziała z uczuciem Jaina z przeszłości – być może będziemy walczyć po jednej stronie.

– Być może. Ale nie dziś.

Teraz też nie, pomyślała Jaina.

– Zatem, Wasza Wysokość – zwróciła się do Variana, wciąż wpatrując się przed siebie – każesz mnie aresztować za zdradę?

– Mam jedno pytanie.

Popatrzyła na niego. Ujrzała profil jego poznaczonej bliznami twarzy; wpatrywał się z gniewem nie w nią, lecz w Baine'a.

– Czy sądzisz, że Baine wiedział o bombie many? Czy myślisz, że był częścią planu, by ściągnąć wszystkich generałów do Theramore?

– Nie. – Odpowiedź przyszła jej łatwo, z pewnością, a kiedy wymówiła to jedno słowo, poczuła dziwną lekkość w piersi.

Varian powoli skinął głową.

– Dobrze – rzekł. – Jeszcze nie zdecydowałem. Kiedy będzie po wszystkim, ty i Anduin wszystko mi opowiecie. – Popatrzył przy tym na nią, a w jego niebieskich oczach płonął ogień emocji. – Wszystko.

– Chu'shao Whisperwind – powiedział Taran Zhu – czy masz jeszcze jakieś pytania do świadka?

– Nie, nie mam – odparła Tyrande.

– Chu'shao Bloodhoofie, możesz porozmawiać chwilę z oskarżonym…

– Nie potrzebuję chwili – przerwał mu Garrosh. Tak długo tylko siedział i słuchał, że Jaina drgnęła, słysząc jego głos. Był donośny i potężny, niósł się daleko, ale nie brzmiał jak arogancki ryk, którego Jaina nauczyła się oczekiwać u orka. – Podjąłem decyzję.

– Obrońca powinien porozmawiać… – zaczął Taran Zhu.

– Ja będę mówił – przerwał znów Garrosh, jeszcze bardziej podnosząc głos – i Baine Bloodhoof pozostanie moim obrońcą.

Baine zastrzygł uszami. Najwyraźniej tak jak wszyscy inni, pomyślała Jaina, zakładał, że Garrosh będzie oburzony jego brataniem się z wrogiem.

Tyrande nie mogła w to uwierzyć.

– Fa'shua, ja…

– Oskarżony jest zadowolony ze swojego chu'shao – powiedział Taran Zhu. Nawet on wydawał się nieco zaskoczony, ale prawie natychmiast nad sobą zapanował. – Sugeruję pogodzić się z tym faktem, chu'shao Whisperwind. Chcesz wezwać jeszcze jakichś świadków?

– Tylko jednego, fa'shua.

– Zrobisz to jutro. Chu'shao Bloodhoofie, czy jesteś gotów wezwać potem swojego świadka?

– Jestem, jak najbardziej – odparł Baine.

– Doskonale. Myślę, że wystarczy nam niespodzianek jak na jeden dzień. Przypomnę wszystkim na koniec – ta świątynia jest miejscem pokoju. Jakiekolwiek uczucia wzbudziły w was dzisiejsze wydarzenia, mówcie o nich spokojnie i nie podejmujcie żadnego działania.

Trzykrotnie uderzył w gong, oficjalnie kończąc posiedzenie sądu.

Jaina wstała, ale Varian położył jej rękę na ramieniu.

– Nie tak szybko. Teraz sobie chwilę porozmawiamy.

27

Nie była to chwila.

Rozmowa trwała długo, ciągnęła się nieprzyjemnie i w końcu Anduin doszedł do wniosku, że to w ogóle nie jest rozmowa, tylko próby przekrzyczenia siebie nawzajem.

Jego ojciec był wściekły, co zrozumiałe. Książę i Jaina spodziewali się takiej reakcji, dlatego właśnie nie wspomnieli o udziale Anduina w rozmowach Jainy z Baine'em ani o tym, że takie rozmowy miały miejsce.

– Jak mogłaś pomóc Baine'owi, Jaino? Jak mogłaś przekazać mu pieniądze?! – wybuchnął Varian, kiedy tylko znaleźli się na Purpurowym Wzgórzu.

Już wcześniej król polecił rozpiąć dużą płachtę niedaleko swojego namiotu, w jej cieniu załatwiał wszystkie bieżące sprawy. Stały tam krzesła – to należące do władcy Wichrogrodu nie było wcale wspanialsze od innych – ale nikt nie usiadł. Deszcz bębnił miarowo o tkaninę.

– Dałam mu swoje własne pieniądze, nie miejskie i nie Przymierza. Nie sądzisz chyba, że Magatha Grimtotem jako przywódczyni taurenów byłaby pod jakimkolwiek względem dobrym wyborem, w tym dla Przymierza! – odparowała Jaina.

– Nie miałem szansy powiedzieć, co o tym sądzę, bo mnie nie spytałaś!

– Nie przyszedł do ciebie, tylko do mnie, a Theramore umie… – Jaina zbladła i przełknęła ślinę – …umiało bardzo dobrze dbać samo o siebie! Poza tym i tak nie miałbyś zamiaru mnie wysłuchać, tak samo jak nie masz go teraz!

Varian potarł oczy.

– Słuchałem – powiedział. – Dziś w sądzie. Słuchałem, jak Szybkonogi informuje mnie, że prowadziłaś bardzo ryzykowne politycznie rozmowy z rasą, która jest wrogiem

Przymierza.

– Nie byliśmy wtedy w konflikcie z taurenami ani Hordą – zauważyła Jaina.

– Zawsze jesteśmy w konflikcie! – zawołał Varian. – Ktoś gdzieś zawsze robi coś, co wywołuje napięcia. Jesteś zbyt inteligentna, żeby o tym nie wiedzieć. Dlatego wszystko jest bardzo istotne; wszystko się liczy. Ta sprawa była ważna i nie powinienem się o tym dowiadywać w ten sposób!

– Wiesz równie dobrze jak ja, że nie wysłuchałbyś Baine'a, niezależnie od tego, co by powiedział, i nieważne, jakie by miał powody, bo należał do Hordy. A ponieważ ja go wysłuchałam, udało mi się uratować przynajmniej dzieci Theramore!

– I ty robisz teraz dokładnie to samo – rzekł Varian. – To ty nie słuchasz niczego, co Horda ma do powiedzenia. – Zanim Jaina zdążyła zaprotestować, podniósł ręce. – Może cofnijmy się o krok. – Zmusił się, żeby mówić spokojnie. – Zostawmy na razie Baine'a i ciebie. Tak naprawdę chcę przede wszystkim wiedzieć, dlaczego, na Światłość, uznałaś za dobry pomysł wciągnąć w to moje dziecko!

– Ja się tam znalazłem tak jakby przypadkiem – wtrącił Anduin, próbując załagodzić kłótnię. – Uciekłem z Żelaznej Kuźni, używając kamienia powrotu Jainy, i trafiłem w sam środek rozmowy. Nie bądź na nią zły, ojcze, nie miała wyboru.

– Mam wielką ochotę zamknąć was oboje na jakiś czas w więzieniu – warknął Varian.

– Nie będziesz się do mnie w ten sposób zwracać. Jestem przywódcą Przymierza, a nie twoim porucznikiem ani twoim dzieckiem – oznajmiła Jaina lodowatym głosem.

Jakby na dany znak zahuczał grom.

Zadygotała z gniewu.

– Jesteś członkiem Przymierza – odparował król, robiąc krok w jej stronę.

– Wiesz – wycedziła Jaina – im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że poprzedni przywódcy Kirin Toru mieli słuszność: lepiej być niezależnym. Nie naciskaj mnie, Varianie Wrynnie, bo mogę się zrewanżować, jeśli zajdzie konieczność.

– Jaino… – zaczął Anduin, ale ona pokręciła głową.

– Wybaczcie, ale jak na razie mam dość mężczyzn z rodu Wrynnów. Do zobaczenia na kolacji.

Zręcznie poruszyła rękami i z wprawą wieloletniej praktyki teleportowała się nie wiadomo gdzie. Jej twarz wydawała się surowa i odpychająca w fioletowo-błękitnym świetle czaru. Potem zniknęła.

Ojciec i syn przez chwilę stali w ciszy. Deszcz wciąż bębnił o płócienny dach.

– A więc tak – odezwał się Anduin, gdy milczenie zrobiło się nieznośne i niezręczne. – Wyślesz mnie do więzienia bez kolacji?

– Nie powinna była cię w to wciągać – oznajmił Varian bez uśmiechu.

– Nie zrobiłaby tego, gdybym się nie pojawił nagle w jej komnacie – odparł książę. Usiadł, w zamyśleniu przesuwając palcem po poręczy krzesła. – Baine jest dobry, ojcze.

Varian też usiadł i ukrył na chwilę twarz w dłoniach.

– Magni… był twoim przyjacielem, Anduinie. Uśmierzyciel był bardzo cennym darem. Dlaczego oddałeś go taurenowi? Żeby… odrzucił ci go w twarz?

I oto spod gniewu wybrzmiał ból.

– Bo uważałem, że tak należy postąpić. Baine spodobał się Światłości. Oddał mi go, bo jest honorowy. Wybrał, po której stronie stanie, i ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, to zostać zmuszonym do użycia Uśmierzyciela w bitwie przeciwko Jainie.

Varian przymknął oczy.

– Nie pomyślałem o tym. Wciąż jestem na Jainę bardzo zły, synu.

– Ona wie, dlaczego. Ale teraz cierpi. Myślę… że widok jej dawnego domu był dla niej ciężkim przeżyciem.

– Oczywiście, że był. Ten proces… – Varian pokręcił głową. – Ucieszę się, kiedy się skończy. Niezależnie od wyniku, Garrosh nie ma już władzy. Moim zdaniem nie ma znaczenia, czy umrze, czy zgnije w więzieniu. Został powstrzymany, to jest najważniejsze.

– Wasza Wysokość! – zawołał z zewnątrz jeden z wartowników. – Przyszła wiadomość.

– Wejść! – odkrzyknął Varian.

Żołnierz wszedł, zasalutował energicznie, ociekając wodą, i wręczył królowi zwój, który jakimś cudem pozostał suchy. Zwój był zapieczętowany i opisany pandareńskimi znakami oznaczającymi, że jest to oficjalny dokument sądowy.

Varian wsunął palec pod pieczęć, złamał ją i przeczytał treść. Widać było, że najpierw zagotowała się w nim wściekłość, potem jednak Varian się roześmiał.

– Co to jest?

Zamiast odpowiedzieć, podał pismo Anduinowi.

Do Jego Wysokości króla Variana Wrynna

WASZA WYSOKOŚĆ ZOSTAJE NINIEJSZYM WEZWANY do stawienia się w Świątyni Białego Tygrysa jako świadek obrony oskarżonego Garrosha Hellscreama.

Podpisem był odcisk taureńskiego kopyta.

Po kolacji Anduin poszedł na plażę.

Przestało padać – przynajmniej na chwilę – a on nie miał ochoty na towarzystwo ani ojca, ani Jainy. Usiadł na głazie i spojrzał na morze, na kołyszące się w porcie statki, na fioletowe światło wieży.

Usłyszał trzepot skrzydeł. Zaalarmowany poderwał się na nogi z Uśmierzycielem w dłoni, a potem rozluźnił na widok kształtu o rozmiarach dużego psa, unoszącego się kilka metrów nad jego głową. W przedniej łapie istota trzymała skórzaną torbę.

– Masz ochotę na towarzystwo? – spytał Wrathion.

– Wiesz – odparł Anduin – Jaina i mój ojciec woleliby, żebym z tobą nie rozmawiał, więc jak najbardziej, dotrzymaj mi towarzystwa.

Wrathion zaśmiał się i lekko usadowił na głazie obok księcia. W mgnieniu oka przybrał swą ludzką postać. I wciąż szeroko się uśmiechał.

– Nie widzę Lewej i Prawej – powiedział Anduin, mając na myśli nieodłączną zazwyczaj obstawę smoka.

– Dałem im wolne na wieczór. Przyszedłem zobaczyć, czy wszystko u ciebie w porządku po tej przygodzie, jaką były dzisiejsze zeznania – rzekł smok. – Byłem już gotów odbić cię z więzienia, gdyby twój ojciec postanowił cię tam wtrącić. Upewniam się, że jesteś tego świadom.

– To bardzo miło z twojej strony – powiedział Anduin. – Na razie więzienie mi darowano, przynajmniej do końca procesu. Moim zdaniem ojciec najchętniej zamknąłby mnie, dopóki nie skończę trzydziestu siedmiu lat.

– Z tego, co mi mówiono, wnoszę, że większość ludzkich rodziców miewa takie pomysły – odparł Wrathion. – Zakładam, że nie byłeś dziś u Garrosha.

– Skąd… nieważne. – Anduin nie krył się ze swoimi wizytami, ale też o nich nie rozpowiadał. Był również, że nie robił tego nikt inny. Wrathion jednak zawsze w jakiś sposób wszystko wiedział. – Nie… jestem pewien, czy w ogóle jeszcze do niego pójdę.

– Nie mów mi, że zrezygnowałeś z prób nawrócenia go na Światłość! – Wrathion chwycił się za serce i teatralnie wzdrygnął. – Wyznam, że przyjąłbym to ze smutkiem, choć od dawna twierdzę, że twoja naiwność cię zgubi.

Anduin potarł brodę i westchnął.

– Sam nie wiem… Chyba jestem po prostu tym wszystkim zmęczony. I nie mogę się stąd wyrwać, zwłaszcza teraz.

– Kiedy będę trochę starszy – oznajmił Wrathion – jeśli grzecznie mnie poprosisz, będę cię brał na grzbiet i woził w różne fascynujące miejsca, gdzie będziemy przeżywali przygody, od których twój ojciec postarzeje się o dziesięć lat w jedną noc.

– Nie masz pojęcia, jak cudownie to brzmi – odparł Anduin ponuro.

– Tymczasem – ciągnął czarny smok – widzę tu drewno na ognisko, żeby odpędzić chłód i zapewnić światło potrzebne do rozegrania… – zamaszystym gestem wyjął coś z torby – partyjki jihui.

Anduin poweselał. Gra, w której celem było doprowadzenie do równowagi między stronami, wydawała mu się idealnym sposobem na spędzenie tego wieczoru.

– Gramy!

28

Dzień siódmy

– Oskarżycielko, możesz wezwać ostatniego świadka – zezwolił Taran Zhu.

Tyrande wygląda na znużoną, stwierdziła w duchu Jaina.

– Jeśli sąd pozwoli, wzywam na świadka lady Jainę Proudmoore.

Czarodziejka wstała i bez pośpiechu zeszła po schodach na arenę. Według niej wczorajszym decyzjom oskarżenia daleko było do roztropności, między innymi dlatego, że arcykapłanka zszargała reputację swojego najlepszego świadka. To bez znaczenia, pocieszała się Jaina. Z pewnością okrucieństwa Garrosha było więcej niż dość, by nawet tak współczujące istoty jak niebianie uznały, że najlepiej będzie zamknąć go w jakimś ciemnym, ponurym miejscu… a potem zapomnieć, że tam siedzi.

Kalec próbował z nią rozmawiać wczoraj wieczorem, ale powiedziała mu, że jest tylko bardzo zmęczona i że zobaczą się rano w sądzie. Potem miała koszmary, po zeznaniach Peritha i z mdlącego strachu przed własnymi.

– Po pierwsze chcę powiedzieć, lady Jaino, że jest mi niezmiernie przykro, iż zmuszam cię do wspominania pewnych rzeczy.

Jaina popatrzyła Tyrande w oczy.

– Chu’shao – powiedziała szorstko – przeżywam Theramore na nowo każdego dnia. Pytaj więc.

Elfka zrobiła minę, jakby właśnie otrzymała reprymendę, po czym skinąwszy głową, zaczęła się przechadzać.

– Lady Jaino – zaczęła – jak usłyszeliśmy wczoraj od Peritha Stormhoofa, zostałaś

ostrzeżona przed atakiem na Theramore.

– Tak.

– Co zrobiłaś, kiedy dostałaś to ostrzeżenie?

– Wydałam instrukcje, by o ataku zawiadomiono cywilnych mieszkańców miasta. Ci, którzy chcieli odejść, mogli to zrobić. Jak się okazało, większość postanowiła zostać i walczyć. Później wysłaliśmy pełen statek cywilów, w tym wszystkie dzieci, do Gadgetzan. Następnie skontaktowałam się z królem Varianem.

To nie było tak trudne, jak się obawiała. Po prostu odpowiadaj na pytania – powtarzała w myślach. – Nie wchodź na tematy osobiste.

– Jaka była jego reakcja?

– Powiedział, że przyśle mi flotę 7. Legionu i odwoła niektórych swoich generałów z placówek w różnych częściach Azeroth. Zamierzał także skontaktować się z Gennem Greymane'em, a ja miałam poprosić o pomoc innych wodzów Przymierza.

Tyrande nadal przechadzała się tam i z powrotem, z dłońmi splecionymi z przodu i spojrzeniem utkwionym nie w Jainie, ale w przysięgłych.

– Co stało się potem?

– Później poinformowano mnie, że przybyło kilka statków Hordy. Stanęły na kotwicy tuż za granicą wód terytorialnych Przymierza.

– Czy zaatakowałaś, kiedy się o tym dowiedziałaś?

Emocje zaczęły powoli przebijać skorupę opanowania czarodziejki, poczuła nieprzyjemne mdłości i uczucie pustki w dołku. Pokręciła głową.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Bo nie były na naszych wodach. A ja nie chciałam być tą, która sprowokuje wojnę.

A powinnam – powtarzała w myślach. – Niech mnie Światłość ma w swojej opiece, powinnam. Może gdybyśmy uderzyli, zanim przybyli generałowie…

– Powiedziałaś, że prosiłaś o pomoc innych przywódców Przymierza. Kogo?

Jaina zwilżyła językiem zaschnięte wargi.

– Pojechałam do Dalaranu i rozmawiałam z Radą Sześciu – odparła. – Odpowiedzieli na moją prośbę, przysyłając samego Rhonina oraz kilku innych wybitnych magów. Rhoninowi towarzyszyła także Vereesa Windrunner, wielka łowczyni Srebrnego Sojuszu.

– Co wtedy zrobiliście?

– Czekaliśmy na posiłki obiecane przez króla Variana. I przygotowaliśmy się do oblężenia: gromadziliśmy zapasy żywności, broni, opatrunków; żołnierze codziennie ćwiczyli. W każdej chwili spodziewaliśmy się, że statki Hordy wpłyną do naszego portu.

Serce biło jej coraz szybciej, w miarę jak opowieść nieuchronnie zmierzała do

zniszczenia Theramore.

– Czy przybyła obiecana pomoc?

Jaina ugryzła się w język, żeby nie odwarknąć.

Wszyscy znali te wydarzenia. Wszyscy wiedzieli, co się stało w Theramore. Z pewnością nawet niebianie. Ale na to przecież czekała, prawda? Żeby Garrosh Hellscream zapłacił za to, co zrobił. A jeśli to oznaczało, że musiała przeżyć wydarzenia tamtego strasznego dnia na nowo, niech tak będzie.

Odchrząknęła.

– Tak. 7. Legion przybył z dwudziestoma okrętami i pół tuzinem najwybitniejszych generałów Przymierza… oraz wielkiego admirała.

Aubreya, który cudem przeżył atak na Północną Strażnicę, tylko po to, by zginąć w Theramore…

– Lady Proudmoore? – powiedziała Tyrande.

– Prze… przepraszam, czy możesz powtórzyć pytanie?

– Powiedziałam, że Horda w końcu zaatakowała, tak?

– Tak.

– Byliście przygotowani?

– Tak. Ostatecznie zwyciężyliśmy, ale nie było to łatwe i ponieśliśmy znaczne straty. W samym środku całego tego zamieszania wykryliśmy zdrajcę – członka Kirin Tor, jednego ze Słonecznych Łupieżców.

Jaina starała się mówić spokojnie, ale ostatnie słowo niemal wycedziła. Mimowolnie zacisnęła pięści. Dlaczego już wtedy nie zrozumiała, że nie można im ufać?

– Straciłaś kogoś bliskiego?

– Kapitana Wymora. Był moim przyjacielem od wielu lat.

– Czy zginął ktoś jeszcze, kogo stratę odczułaś wyjątkowo mocno?

Jaina pokręciła głową.

– Nie. Nie… wtedy.

– Czy miałaś jakieś podejrzenia, że zamiast zniszczenia Theramore środkami konwencjonalnymi Horda ma zamiar zrobić coś innego?

– Nie. Walczyli zaciekle i ponieśli duże straty. Mieliśmy wszelkie powody zakładać, że też dają z siebie wszystko, tak jak my.

– A więc uważaliście, że to było autentyczne zwycięstwo.

Jaina przytaknęła.

– Co zrobiliście, kiedy Horda się wycofała?

– To, co zawsze trzeba zrobić. Zajęliśmy się rannymi. Pogrzebaliśmy zabitych. Pocieszyliśmy tych, którzy stracili ukochane osoby. Tuliliśmy tych, którzy przeżyli.

Kinndy…

Jaina przełknęła ślinę.

– Odkryliśmy, że w trakcie bitwy żołnierze Hordy uwolnili Thalena Songweavera. Vereesa i Shandris Feathermoon wyruszyły jego tropem. Dlatego nie było ich…

Coś ścisnęło ją za gardło.

– Dlatego nie było ich w mieście, kiedy spadła bomba many – dokończyła Tyrande z głębokim współczuciem.

Dobrze, że Jaina pomyślała, by schować w rękawie chusteczkę. Wyciągnęła ją i otarła oczy.

– Zgadza się – powiedziała. – Dzięki niech będą Światłości, obie przeżyły.

– Chu'shao – wtrącił Taran Zhu – czy chcesz prosić o przerwę?

Tyrande popatrzyła na Jainę. Czarodziejka pokręciła głową. Musiała zmobilizować wszystkie siły; nie miała pewności, czy jeśli teraz przerwie, stać ją będzie na ponowne podjęcie tego wysiłku.

– Nie, będziemy kontynuować – powiedziała Tyrande. – Uważaliście więc, że bitwa jest skończona i Przymierze zwyciężyło. Zaczęliście zajmować się swoimi ludźmi. Kiedy zrozumieliście, że coś jest nie tak?

– Zanim to wszystko się stało, do Theramore przybył Kalecgos. – Jaina nie potrafiła powstrzymać się od gdybania. Wszystkie ewentualności przebiegały jej przez głowę jak stado talbuków, nigdy pojedynczo, zawsze licznie. Gdyby tylko bardziej postarała się znaleźć Źrenicę Światła. Gdyby tylko artefakt nie został skradziony. Gdyby tylko… – Niebieskim smokom skradziono artefakt nazywany Źrenicą Światła, a Kalec prosił mnie o pomoc w jego odnalezieniu. Niedługo po bitwie powiedział mi, że go wyczuwa, że Źrenica szybko zbliża się do Theramore.

– Źrenica Światła – powtórzyła wolno Tyrande. – Możesz nam o niej powiedzieć coś więcej?

– Spoczywała zapomniana przez tysiące lat, aż Malygos zaczął jej używać do kierowania igłami przepływowymi. Igły wysysały tajemną moc z linii magicznych Azeroth i przesyłały ją do Węzła – wyjaśniła Jaina. – Po śmierci Malygosa Źrenica Światła została użyta do ożywienia Chromatusa, jedynego udanego eksperymentu ze smokiem chromatycznym. Potrzeba było wszystkich czterech Aspektów i pomocy Go'ela dzierżącego moc ducha ziemi, żeby go pokonać.

Znów musiała wspomnieć o tym, co były wódz Hordy zrobił dla świata. Gniewnie odepchnęła tę myśl.

– To zaiste potężny artefakt o niszczycielskiej mocy w niewłaściwych rękach – powiedziała Tyrande. – Co było dalej?

– Kalec poleciał go szukać – podjęła Jaina. – A Rhonin…

Głos się jej załamał.

Nalała sobie wody drżącą ręką i zwilżyła usta. Serce biło jej szybko jak u królika.

Tyrande wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć pocieszająco jej dłoni, ale nie dokończyła tego gestu. Zamiast tego odwróciła się do Chromii.

– Jeśli sąd pozwoli – powiedziała prawie z nabożeństwem – z największym szacunkiem, oto przedstawiam Wizję tego zdarzenia.

Jaina nigdy jeszcze nie widziała Chromii tak poważnej. Mała gnomka delikatnie położyła ręce na Wizji Czasu, a potem zaczęła tkać czar budzący śpiącego, metalowego smoka.

Jaina mocno przygryzła wargę. Nad areną zaczął się tworzyć obraz. Poznała siebie i Rhonina, który oddał wtedy wszystko. Przez łzy wypatrzyła na widowni Vereesę. Elfka zaciskała dłonie i zdawała się nie oddychać. Jaina nie wiedziała, czy się smucić, czy cieszyć, że Vereesa zobaczy tę chwilę. To ją zdruzgocze – ale zobaczy, na własne oczy zobaczy prawdziwe bohaterstwo mężczyzny, którego kochała. I wszyscy inni też.

Wizja przeniosła ich do ukochanej wieży Jainy, pełnej ksiąg, zwojów i niezliczonych zakamarków, gdzie można było w spokoju oddać się lekturze; pełnej gotujących się eliksirów i porozstawianych wszędzie w beztroskim nieładzie butelek. Przez otwarte okno wpadało słońce i świeże powietrze. Widać w nim było także gobliński podniebny galeon, wciąż jeszcze małą kropkę. To tutaj Jaina, Pained i Tervosh spędzili niezliczone godziny. I w Wizji, tutaj właśnie, Rhonin, tak bardzo żywy, czekał na Jainę z przeszłości, wbiegającą po schodach z garstką ochotników, którzy jej pomagali i których imion, co sobie uświadomiła, nie znała.

– To Źrenica Światła? – zapytał wizerunek Jainy.

– Tak – odparł Rhonin. – Zasila największą bombę many, jaką kiedykolwiek zbudowano. I emituje pole tłumiące, żeby nikt nie zdołał uciec. Mogę ją odciągnąć od celu, ale najpierw pomóż mi, odchylę pole tłumiące na tyle, żeby ci ludzie zdążyli przenieść się w bezpieczne miejsce.

– Oczywiście! – Jaina w Wizji zaczęła otwierać portal. Przypomniała sobie, że zamierzała wysłać swoich towarzyszy do Wichrogrodu. Ale ujrzała, podobnie jak wszyscy inni na sali, że portal otworzył się na małej, skalistej wysepce na Wielkim Morzu.

– Dlaczego przekierowujesz mój portal?

– To wymaga… mniej energii – sapnął Rhonin. Wysiłek, jakiego wymagało podniesienie pola tłumiącego, wyraźnie go wyczerpywał. Jaina zaczęła protestować, ale przerwał jej. – Nie kłóć się. Po prostu… przechodźcie wszyscy!

Towarzysze Jainy usłuchali, ale ona nie. Teraźniejsza Jaina patrzyła, jak jej przeszła

wersja zszokowana odwraca się do Rhonina.

– Ty jej nie rozbroisz! Ty chcesz tu zginąć!

– Zamknij. Się. Przechodź! Muszę ją tu ściągnąć, dokładnie tu, żeby ocalić Vereesę, Shandris i… tylu, ilu zdołam. Mury tej wieży są przesycone magią. Powinno mi się udać zlokalizować eksplozję. Nie zachowuj się jak dziecko, Jaino. Idź!

– Nie! Nie mogę ci na to pozwolić! Masz rodzinę. Jesteś przywódcą Kirin Tor!

– A ty jego przyszłością! – warknął Rhonin.

Wyglądał, jakby miał zemdleć, jakby trzymał się na nogach tylko nadludzkim wysiłkiem woli.

– Nie! Nie jestem! – zaprotestowała Jaina. – Theramore to moje miasto. Muszę tu zostać i go bronić!

– Jaino, jeśli zaraz nie pójdziesz, oboje zginiemy i moje wysiłki, żeby ściągnąć tę przeklętą bombę tutaj, zamiast pozwolić, żeby uderzyła w sam środek miasta, pójdą na marne. Tego właśnie chcesz? Tego?!

Nadlatujący podniebny galeon słychać było coraz wyraźniej.

– Nie zostawię cię! – krzyknęła Jaina. – Może razem uda się nam odwrócić eksplozję!

Zobaczyła siebie samą, jak odwraca się do nadlatującego statku; jak widzi upadającego Kalecgosa i zrzucaną bombę. Wizja się zmieniła i nagle wszyscy obecni widzieli to, co ona. Chyba wszyscy na sali jednocześnie gwałtownie nabrali powietrza.

To, co się stało potem, w pamięci Jainy było zamazane, teraz jednak zobaczyła wszystko. Rhonin przerwał czary na krótką chwilę, dość długą jednak, by chwycić Jainę i przemocą wepchnąć ją w portal. Opierała się, ale czar portalu ją wciągnął.

Patrzyła prosto na Rhonina, kiedy to się stało.

Przywódca Kirin Tor skierował wzrok w stronę okna, z wyciągniętymi ramionami, bez śladu strachu, z wyzywającym wyrazem twarzy.

A potem…

Świat zalała biel. Całe ciało arcymaga zrobiło się fioletowe – przybrało odcień czystej magii. I eksplodowało w przyprawiającej o mdłości chmurze lawendowego popiołu.

Zanim Jaina uświadomiła sobie, co robi, gardło zapiekło ją od krzyku. Nie była sama – ani tu, w sądowej sali, ani w przeszłości, gdzie ci, którzy widzieli spadającą bombę, krzyczeli przepełnieni wszechogarniającą grozą.

Jak przez mgłę usłyszała dźwięczny odgłos gongu Taran Zhu i jego głos, zarządzający przerwę. Jaina była wdzięczna, że męka Vereesy już się skończyła, choć jej własna miała się dopiero zacząć.

Anduin nie rozmawiał z Jainą bezpośrednio o tym, czego osobiście była świadkiem. Oczywiście znał relacje i wydawało mu się, że rozumie koszmar, jaki przeżyła. Teraz uświadomił sobie, że tak naprawdę nie rozumiał niczego. Nie wiedział, co jeszcze Tyrande planuje pokazać, ale po tym, co zrobiła wczoraj, miał jak najgorsze przeczucia. Pokazała już przysięgłym i widzom straszliwą ofiarę Rhonina; domyślał się, że teraz raczej nie będzie się powstrzymywać.

Musiał przyznać, że brutalna, bezlitosna taktyka nocnej elfki działała. On sam popatrzył gniewnie na Garrosha, który okaleczony, poznaczony bliznami po sha i skuty łańcuchami siedział obok Baine'a skrywającego twarz w dłoniach. Książę wiedział, że to nie groźba więzienia powstrzymywała rozwścieczony tłum od zawładnięcia świątynią, lecz obawa, że nie zobaczą następnej Wizji, nie usłyszą następnego świadka, nie obejrzą następnego okrucieństwa.

Przerwa trwała zaledwie dwadzieścia minut. Vereesa wstała i bez słowa wyszła. Anduin nie dziwił się jej, nie sądził też, by wróciła. Jaina także opuściła salę, niemal natychmiast po Tyrande, choć z tego, jak się do siebie odnosiły, Anduin wnioskował, że stosunki między świadkiem a oskarżycielką są raczej napięte. Spodziewał się, że Kalec będzie im towarzyszył, ale błękitny smok siedział na swoim miejscu.

– Nie idziesz do Jainy? – spytał książę. – To krótka przerwa, ale na pewno ucieszy ją twoje towarzystwo!

Kalec smętnie pokręcił głową.

– Nie mam tej pewności – odparł.

Książę poruszył się na krześle, zakłopotany. Varian nie zwracał na niego uwagi. Rozparł się wygodnie, skrzyżował ręce na piersi i wbił spojrzenie w Garrosha.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział cicho Anduin. – Tyle przeszła… Wydawaliście się idealną parą.

– Taką miałem nadzieję – rzekł smok. Potem, jakby powiedział za dużo, klepnął Anduina w ramię ze sztuczną wesołością. – Idę rozprostować skrzydła.

– Może zrobię to samo.

– Co, rozprostujesz skrzydła? – Był to kiepski żart, ale Anduin uśmiechnął się mimowolnie.

– Ha, chciałbym. Mam tylko nogi. Do zobaczenia, Kalecgosie.

Trzy bułeczki z lotosem i kubek mleka jaka później Anduin zaczął się zastanawiać, dlaczego w ogóle próbował pomóc Garroshowi Hellscreamowi. I raczej nie będzie tego ciągnął, jeśli Tyrande pokaże to, czego się spodziewał.

Jaina była blada, ale bardziej opanowana niż poprzednio. Napięcie między nią a Tyrande było jakby mniejsze, kiedy weszły i zajęły swoje miejsca. Taran Zhu oznajmił, że sąd wznawia posiedzenie, i polecił Tyrande kontynuować.

– Jak widzieliśmy w Wizji Czasu, Rhoninowi udało się przenieść cię w bezpieczne miejsce i ściągnąć bombę many do wieży – przypomniała arcykapłanka. – Co było dalej?

Jaina siedziała prosto, z rękami na podołku. Oczy miała zaczerwienione, ale kiedy się odezwała, jej głos brzmiał spokojnie.

– Odzyskałam przytomność na wyspie. Znalazł mnie Kalecgos, powiedziałam mu, że wracam do Theramore, żeby zobaczyć, czy został tam ktoś, komu mogłabym pomóc. Zaproponował, że pójdzie ze mną, ale uparłam się, że chcę sama.

Anduin kątem oka zerknął na Kalecgosa. Smok zacisnął mocno wargi i nie patrzył na Jainę. Książę domyślał się, że rozmowa tych dwojga nie była wcale tak cywilizowana i spokojna, jak można by wnioskować po wyważonych słowach Jainy.

– I zrobiłaś to?

– Tak.

– Chciałabym pokazać sądowi, co Jaina Proudmoore ujrzała po powrocie do miasta, które założyła, kochała i za które była gotowa oddać życie.

Na widowni rozległ się chóralny pomruk pełen zgrozy. Anduin zobaczył, że nawet Czcigodni Niebianie, zazwyczaj tak nieporuszeni, wyglądali na wstrząśniętych. Bomba many wyżłobiła wielki krater ziejący przed ruinami pozostałymi z wielkiej wieży. Niebo było rozdarte i poranione, miało szalone barwy, które podobno można było zobaczyć w Północnej Grani.

A ciała…

Anduin z trudem przełknął ślinę, czując gorycz żółci. Było ich tak dużo. Niektóre wyglądały normalnie… na tyle, na ile normalnie może wyglądać trup. Inne zaś unosiły się w powietrzu, krwawiąc do góry. Jeszcze inne miały jednorodny odcień fioletu. W tym, w jaki sposób zabrała ich śmierć, nie było żadnej reguły, żadnej prawidłowości.

Książę patrzył, jak Jaina, z pobladłą twarzą, niemalże całkowicie otępiała z szoku, szła przez ruiny. Jej włosy, teraz śnieżnobiałe, zdawały się unosić wokół głowy; słychać było stłumiony pomruk i trzaski nagromadzonej magicznej energii.

Na tle tego przerażającego zniszczenia ostro rysowały się pamiątki zwykłego życia. Anduin przelotnie dostrzegał puchary, szczotki do włosów, kartki z książki, które rozsypały się w fioletowy pył, kiedy Jaina spróbowała je podnieść.

W olbrzymiej świątyni panowała zupełna cisza. Wszyscy patrzyli, jak Jaina przetrząsa zgliszcza, szukając życia, szukając jakiejkolwiek nadziei. Słychać było tylko ciche łkanie, kiedy napotykała ciała tych, których znała. Pained, która przeżyła tyle bitew, wciąż

trzymała miecz, kiedy Jaina pochyliła się, by pogładzić jej długie włosy. Kosmyki rozpadły się pod dotykiem palców czarodziejki.

Anduin rozpoznawał kolejnych poległych. Na przykład admirała Aubreya, Markusa Jonatana, od tak dawna stały widok w głównej bramie Wichrogrodu. Uświadomił sobie, że samolubnie pragnie, by tamta Jaina po prostu odeszła, żeby nie musiał więcej oglądać tego horroru, nawet jeśli był to horror z drugiej ręki.

Na ziemi leżał niewielki kształt rozmiarów dziecka. Anduin odwrócił się do Jainy i zobaczył, że ukryła twarz w chusteczce. Nie mogła się zmusić, żeby zobaczyć to jeszcze raz, a on zupełnie się jej nie dziwił.

Jaina w Wizji patrzyła na drobne zwłoki leżące twarzą w dół w szkarłatnej kałuży. Krew zlepiła różowe kucyki. Z niezwykłą delikatnością Jaina sięgnęła do ciała swojej uczennicy, gnomki Kinndy Sparkshine, którą wszyscy zwali Iskierką.

Ciało rozsypało się w fioletowy pył, a Jaina krzyczała w męce.

Anduin chciał odwrócić wzrok, ale siedział jak zahipnotyzowany, nie mógł oderwać spojrzenia od lady Jainy Proudmoore, jednej z najświetniejszych czarodziejek swojej ery, która krzyczała, łkała i chwytała garście magicznego pyłu, jakby mogła poskładać dziewczynę z powrotem.

Siedzący obok niego Kalec głośno wciągnął powietrze. Książę chciał zerwać się i krzyknąć do Tyrande: „Przestań, proszę, przestań!”. Elfka, jakby usłyszała ten bezgłośny krzyk, dała znak Chromii i scena litościwie się rozwiała. Anduin wypuścił oddech, który nie wiedzieć kiedy wstrzymał.

Tyrande odwróciła się. Jej oczy płonęły tryumfem kupionym za wysoką cenę.

– Świadek do twojej dyspozycji, chu’shao Bloodhoofie.

Jej głos zabrzmiał donośnie i mocno jak dzwon.

29

Baine Bloodhoof nie wstał od razu. Był zbyt oszołomiony tym, co właśnie zobaczył. Nie potrafił sobie wyobrazić zasypania Jainy serią pytań po czymś takim, a co dopiero próby powiedzenia czegoś pozytywnego o Garroshu Hellscreamie. Nie mógł się nawet zmusić, żeby na niego spojrzeć. Zmówił w duchu szybką modlitwę do Matki Ziemi i podszedł do niegdysiejszej pani Theramore.

– Lady Jaino – powiedział cicho. – Z przyjemnością poproszę o przerwę, jeśli sobie tego życzysz.

Jaina popatrzyła na niego z nieprzeniknioną twarzą. Głos miała beznamiętny.

– Nie. Chcę to już mieć za sobą.

– Jestem pewien, że nikogo z tu obecnych to nie dziwi. – Baine nie oferował jej swojego współczucia. Nie chciała go, nie od niego. – A choć wszyscy zmagamy się z własnymi reakcjami na to, co właśnie zobaczyliśmy, możemy tylko zgadywać, jak ty się czułaś po tej tchórzliwej napaści.

Nie wahał się użyć tego słowa. Baine był taurenem, który mówił, jak jest. Nikt, kto zobaczył na własne oczy Zniszczenie Theramore, nie mógł przecież określić tego inaczej.

– Czy możesz nam powiedzieć własnymi słowami, jak się czułaś?

Jaina popatrzyła na niego z niedowierzaniem, a potem się roześmiała gorzkim, suchym śmiechem. Baine, zaskoczony, stulił po sobie uszy. Jaina z trudem zapanowała nad sobą.

– Nie sądzę, by istniały słowa oddające to, jak się czułam.

– Proszę, lady Jaino, spróbuj.

– Byłam zła. Bardzo zła. Było we mnie tyle… wściekłości. Nie mogłam oddychać, nie mogłam jeść, z trudem się poruszałam. To, co tam widzieliście… Tak. Oglądanie dziś tego

było dla was straszne. Widziałam, że wielu z was płakało. Ale mimo wszystko nie byliście tam wtedy. Nie widzieliście swoich przyjaciół…

Zacisnęła usta i umilkła. Baine dał jej chwilę, potem delikatnie ponaglił:

– Byłaś zła. Co chciałaś zrobić?

– Chciałam go zabić.

– Garrosha Hellscreama?

– Tak. Garrosha i każdego orka, jaki wpadłby mi w ręce. Chciałam zabić każdego goblina, każdego trolla, każdego Opuszczonego, każdego krwawego elfa i każdego taurena, włącznie z tobą, Bainie Bloodhoofie. Chciałam zetrzeć Hordę z powierzchni ziemi tak samo jak Garrosh Hellscream zniszczył mój dom. Moje życie.

Baine nie był zły. Zarówno jego mina, jak i głos pozostały łagodne.

– Co zrobiłaś?

– Poszłam do króla Variana i powiedziałam mu, co uczynił Garrosh. Przyznałam, że miał rację, nienawidząc i nie ufając Hordzie, a ja się myliłam. Że musimy wypowiedzieć Hordzie wojnę i zacząć od zniszczenia Orgrimmaru.

– Jak zareagował król Varian?

– Zgodził się, że musimy iść na wojnę. Ale w przeciwieństwie do mnie nie chciał uderzać od razu. Stwierdził, że potrzebna nam strategia; że trzeba odbudować Północną Strażnicę. Obiecałam mu Źrenicę Światła i powiedziałam, że wiem, jak jej użyć, by zniszczyć Orgrimmar, tak jak Garrosh zniszczył mój dom.

– Jak król zareagował?

Jaina znów popatrzyła na swoje dłonie.

– Rzekł… że nie możemy ryzykować kolejnych strat Przymierza; nie możemy działać pochopnie. A Anduin dodał, że jego zdaniem nawet część członków Hordy może być zła na Garrosha za jego tchórzliwe postępowanie. Odparłam, że na to już za późno.

– Co dokładnie powiedziałaś?

– Nie pamiętam.

– Lady Jaino, mogę pokazać Wizję z tego wydarzenia, jeśli ty nie jesteś w stanie mi o tym opowiedzieć.

Głos Baine'a był uprzejmy, ale mimo to Jaina poderwała głowę i na jej twarzy zobaczył… wstyd.

– To nie będzie konieczne – rzekła cicho. – Powiedziałam Varianowi, że jest tchórzem, a… Anduinowi, że go przepraszam, jeśli mam swój udział w tym, że jest tak naiwny. I… wyszłam.

– Co zrobiłaś potem?

– Pojechałam do Dalaranu. Przekazałam Vereesie, co się stało. Jak dzielny był jej mąż,

że to on mnie ocalił, i ją również, i wszystkich, których mógł. – Baine nie obejrzał się na Vereesę; nie wróciła po przerwie. – Błagałam o pomoc Kirin Tor. Chciałam, żeby poruszyli Dalaran, jak to już kiedyś zrobiono, i użyli go do zniszczenia Orgrimmaru. Odmówili.

– A więc nikt, jak się wydaje, nie chciał zniszczyć całego miasta. Nawet po tym, co się stało w Theramore – powiedział Baine.

– Nie.

– Co zrobiłaś potem?

– Odzyskałam Źrenicę Światła, zanim zdołała to zrobić Horda. A skoro nikt nie chciał mi pomóc, nauczyłam się nią posługiwać.

– Bez armii, bez pomocy latającego miasta?

– Zgadza się.

– Jaki miałaś plan?

Jaina wbiła spojrzenie w jego oczy. Wyzywająco wysunęła podbródek.

– Zniszczyć Orgrimmar falą tsunami złożoną z żywiołaków wody.

– Można chyba bezpiecznie powiedzieć, że wszyscy wiemy, iż tego nie zrobiłaś – rzekł Baine. – Zostałaś powstrzymana? Czy zmieniłaś zdanie?

– Po trochu jedno i drugie.

– Możesz wyjaśnić?

Jaina zmarszczyła brwi.

– Wszystko poszło dobrze. Wiedziałam dokładnie, co chcę zrobić. – Przerwała, być może szukając odpowiednich słów, być może usiłując przypomnieć sobie, jak dokładnie się wtedy czuła.

Kairoz odnalazł tę konkretną chwilę i bardzo się zezłościł, kiedy tauren postanowił jej nie pokazywać. Baine nie sądził, by Garroshowi pomógł widok rozszalałej, załamanej Jainy knującej zemstę, ani żeby wynikło z tego cokolwiek poza skazaniem na dodatkowe cierpienia kobiety, która doświadczyła już wystarczająco wiele jak na jeden dzień.

– Byłam na Wyspie Jatki i stworzyłam falę. Miałam wysłać ją na północ, do Orgrimmaru. Po drodze nabrałaby jeszcze większej siły.

– Dlaczego jej nie uwolniłaś, lady Proudmoore?

– Go’el mi przeszkodził.

– Skąd wiedział, gdzie cię znaleźć?

– Miał wizję zesłaną przez żywioły. Wezwały go i prosiły o pomoc. Powiedział, że nie pozwoli mi zatopić Orgrimmaru. My… walczyliśmy o kontrolę nad falą.

Baine spojrzał na Go’ela. Szaman siedział obok Aggry, pochylony, i przyglądał się im z uwagą i smutkiem w oczach. Przyjaźń między ludzką dyplomatką a wodzem orków była

czymś niezwykłym. Garrosh zniszczył również ją.

– Kto wygrywał?

Jaina popatrzyła tam, gdzie Baine, potem szybko spuściła wzrok.

– Ja – powiedziała. – Zamierzałam go zabić.

– Co się stało?

– Znalazł mnie Kalec. Razem z Go'elem spróbował odwieść mnie od mojego zamiaru.

– Udało im się to? Czy cię obezwładnili?

Jaina zrobiła zakłopotaną minę.

– Powiedzieli mi… że będę nie lepsza od Garrosha. Nie lepsza niż… Arthas. A ja zrozumiałam… – Podniosła wzrok. – Zrozumiałam, że mają rację.

– I że Garrosh będzie taki sam jak ty?

– Z całym szacunkiem, protestuję! – odezwała się Tyrande.

– Fa'shua, chcę tylko upewnić się, że wszyscy dobrze rozumiemy słowa świadka – powiedział Baine.

– Zgadzam się z obrońcą – oznajmił Taran Zhu. – Świadek może odpowiedzieć.

– Tak. Bylibyśmy tacy sami.

– A tego nie chciałaś.

– Nie. Nigdy.

– Ale przez chwilę rozumiałaś, jak mógł chcieć coś takiego zrobić. Zniszczyć całe miasto, nawet cywilów.

– Ja… tak. Tak, rozumiałam.

Baine skłonił głowę.

– Dziękuję, lady Jaino. Nie mam więcej pytań.

– A ty, oskarżycielko? – spytał Taran Zhu.

Sięgnął po bijak; najwyraźniej zakładał, że odpowiedź będzie przecząca.

– Tak, fa'shua, mam – powiedziała Tyrande, wstając i podchodząc do Jainy. – Lady Jaino… później dowiedziałaś się także, że gdybyś wypuściła falę, zniszczyłabyś flotyllę Przymierza. Czy to jest powód, dla którego cieszysz się, że się powstrzymałaś?

Baine wstrzymał oddech. Jak łatwo byłoby Jainie po prostu potwierdzić. Na taką odpowiedź Tyrande liczyła; lady Proudmoore mogłaby odejść i zająć się ponownym leczeniem ran, które tak brutalnie otwarto. Wiedział, że zdrada Słonecznych Łupieżców w Dalaranie – jej nowym mieście, jej nowym Theramore – zraniła ją bardzo głęboko. Zdaniem wielu Jaina znalazła się emocjonalnie znów tam, gdzie była po upadku Theramore, i chodziły pogłoski, że naciskała Variana, by unicestwił Hordę.

Jaina nie odpowiedziała od razu. Zastanowiła się nad tym pytaniem tak, jak na to zasługiwało.

– Oczywiści ulżyło mi, gdy się dowiedziałam, że nie zniszczyłam tej flotylli, nawet jeśli zrobiłabym to niechcący. Ale nie, to nie był główny powód. – Popatrzyła na Garrosha i w nim utkwiła spojrzenie. – Cieszę się, że się powstrzymałam, bo nigdy, przenigdy nie chciałabym być taka jak on.

Później Baine uznał, że Tyrande powinna była na tym poprzestać. Ale nocna elfka nie znała umiaru. Jaina była jej ostatnim, najlepszym świadkiem. Oskarżenie mogło liczyć już tylko na dodatkowe pytania i było jasne, że Tyrande chce zakończyć mocnym akcentem. Dlatego właśnie zadała o jedno pytanie za wiele.

– Czy może jak Horda?

Jaina znieruchomiała. Tyrande czekała.

– Lady Jaino? – zachęciła po chwili. – Pytałam, czy nie chcesz nigdy, przenigdy być jak Horda?

A Jaina – udręczona, wściekła, cierpiąca, zdruzgotana, szczera Jaina – odparła po prostu:

– Horda to nie Garrosh.

Tyrande zrobiła wielkie oczy, poniewczasie uświadamiając sobie swój błąd.

– Nie mam więcej pytań, fa'shua – powiedziała cicho, rzuciła Jainie przeciągłe spojrzenie i wróciła na swoje miejsce.

Kiedy Sylwana przybyła nad jezioro Jasne, niedaleko Podmiasta, zastała tam już swoją siostrę.

– Dostałam twoją wiadomość – powiedziała – i przyprowadziłam dla nas konie.

Sylwana wiedziała, że Vereesa nie wróci po przerwie na salę rozpraw. Jej siostra właśnie zobaczyła, jak ginie jej mąż – czy raczej jak zmienia się w manifestację czystej magii, a potem ginie. Zaskoczyła ją jednak wiadomość, która głosiła jedynie: „Jezioro Jasne. Chcę się przejechać". Sylwana wzięła za dobry znak to, że Vereesa wybrała na spotkanie miejsce położone tak głęboko na terenach Opuszczonych. Była dumna, że siostra w ogóle o nim wiedziała oraz że dotarła tam niezauważona. Luny Windrunner były doskonałymi zwiadowcami. Za to prośba Vereesy nie była dla Sylwany zaskoczeniem. Jako dzieci obie uwielbiały wspólne przejażdżki.

Vereesa siedziała oparta plecami o pień martwego drzewa. Odwróciła się powoli. Źle wyglądała; Sylwana ucieszyła się, że może – taką miała nadzieję – zaoferować siostrze jakąś przyjemność. Vereesa szeroko otworzyła oczy na widok wierzchowców. Martwe istoty beznamiętnie odwzajemniły to spojrzenie. Jeden z koni opuścił łeb na pozbawionej ciała szyi i skubnął kępę trawy. Wypadała mu z powrotem na ziemię, gdy tylko zęby ją

zmieliły, ale zdawał się tego nie zauważać i wygiął gołe kręgi, by sięgnąć po kolejny kęs.

– To są… kościotrupy – wymamrotała Vereesa. – Szkielety koni.

– Niewiele żywych istot chce mnie dobrowolnie nosić, siostrzyczko, czy nawet przebywać w pobliżu. Jeśli masz zamieszkać w Podmieście, musisz się nauczyć na nich jeździć. Obiecuję ci, będą posłuszne.

– Tak, tak podejrzewam, że będą.

Vereesa nie wstała. Sylwana puściła wodze koni, wiedząc, że nigdzie nie pójdą, i usiadła obok siostry.

– Jak się czujesz? – spytała niezręcznie. Już od bardzo dawna nie liczyło się dla niej cudze samopoczucie.

Vereesa zamknęła oczy, ale spod rzęs wymknęły się łzy.

– Tak za nim tęsknię, Sylwano. Ogromnie…

Sylwana nie umiała jej pocieszyć. Nie mogła nawet ożywić dla niej trupa Rhonina. Siedziała więc i milczała.

– Bardzo, bardzo się cieszę, że zabijemy Garrosha – powiedziała Vereesa. – Mam nadzieję, że ta twoja trucizna działa powoli i boleśnie. Chcę, żeby cierpiał tak samo, jak ja cierpiałam przez niego. Cieszę się, że dziś zobaczyłam to, co zobaczyłam, to mnie tylko umocniło w moim postanowieniu. Nigdy więcej nie będę tego oglądać ani nawet o tym myśleć. Nie chcę mieć już nic wspólnego z tym światem.

– Cóż – rzekła Sylwana, wyjmując z sakiewki małą fiolkę. – Myślę, że mogę spełnić twoje marzenia. Ta fiolka zawiera dość trucizny, by zabić dwudziestu orków. I owszem… jest dokładnie taka, jak chcemy obie – działa powoli, boleśnie i nie ma na nią żadnej odtrutki.

Vereesa zareagowała, jakby dostała od siostry prezent urodzinowy. Rozpromieniła się, smutek zniknął z jej twarzy; wzięła fiolkę ostrożnie, prawie z nabożeństwem.

– Taka mała, a taka zabójcza… – mruknęła.

– Jedna kropla na każdą cząstkę sanfruta i koniec z Garroshem Hellscreamem.

Vereesa ścisnęła mocno fiolkę, drugą ręką ujęła medalion wiszący na jej smukłej szyi. Sylwana oddała siostrze jej klejnot; teraz, gdy się spotykały, każda zakładała swój.

– Dziękuję, siostro. Wiedziałam, że mogę się do ciebie zwrócić.

Sylwana się uśmiechnęła.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że to zrobiłaś. A co do odejścia z tego świata – otwieram przed tobą mój własny. Czy dlatego chciałaś się spotkać tutaj?

Vereesa pokiwała głową.

– Spotkania w wieży zaczęły się robić… zbyt smutne – rzekła. – Chciałam zacząć poznawać miejsce, w którym będę niedługo żyć.

Sylwana ukryła uśmiech, słysząc taki dobór słów, ale nic nie powiedziała.

Dziwne, bóle stawały się coraz silniejsze, ale ignorowała je dzięki tej samej stalowej sile woli, która pozwoliła jej uciec spod władzy Arthasa. Po raz pierwszy, odkąd pomaszerował przeciwko jej ludowi, zostawiając za sobą Trupią Bliznę niczym ślad ślimaka, Sylwana była… szczęśliwa. Tak dużo straciła; miała wrażenie, że to los dał jej ten nieoczekiwany prezent – cenny dla niej osobiście, a także niezwykle pomocny na drodze do większej władzy w Hordzie. Obie siostry byłyby istotnie niepowstrzymane. Przemoc i groza sprawiły, że Sylwana jest dziś tym, kim jest; one też skłoniły Vereesę, by to do niej zwrócić się o pomoc.

Jak dobrze byłoby mieć kogoś zaufanego, myślała Czarna Pani. Naprawdę zaufanego, kto nie wykonuje poleceń ze strachu albo z nadziei na zysk. Kogoś, kto myśli i czuje tak samo jak ona. I wszystko wskazywało na to, że Vereesa również tego pragnie.

Sylwana nie powiedziała jej oczywiście wszystkiego. Nikt nie mógł być równy królowej banshee, jeśli sam nie był upiorem. Jej podwładni buntowaliby się przeciwko rozkazom żywej istoty. Ale Sylwana zadba o to, by siostra umarła śmiercią łatwiejszą, łagodniejszą niż ta, która zabrała ją samą. To będzie dobra śmierć. Vereesa po prostu zaśnie i obudzi się cudownie przemieniona, odrodzona z mądrością i ambicją nieosiągalną dla kogoś żywego.

– Może cię to rozbawi, ale wiem już, jak przyrządzić rybę w zielonym curry – powiedziała Vereesa, ostrożnie chowając cenną truciznę do torby.

– Widzę, że w kuchni cieszysz się coraz większym zaufaniem…

– Tak. Jeszcze dzień czy dwa, a potem… – Zmarszczyła brwi. – Sylwano, to rzeczywiście może być takie proste? Cały czas mam wrażenie, że coś pójdzie źle.

– Nic nie pójdzie źle, Mała Luno – zapewniła ją Sylwana. – Nie dostałyśmy tej szansy za darmo, okupiłyśmy ją potem, łzami i męką. Zasłużyłyśmy na prawo do tego zwycięstwa.

– To prawda. Żałuję tylko, że nie możemy widzieć, jak Garrosh Hellscream wydaje ostatnie tchnienie.

– Ach… – rzekła Sylwana. – Ale przecież możemy to sobie wyobrazić. To musi nam wystarczyć. Zobaczymy za to jego trupa i chaos, jaki spowoduje jego śmierć. A kiedy pewnego dnia będziemy już mogły głośno się do tego przyznać, ci, którzy byli zbyt opieszali albo za bardzo się bali, będą nam zazdrościć.

Vereesa zapatrzyła się na jezioro. Objęła ramionami kolana.

– Zawsze uważałam te krainy za mroczne i… smutne – powiedziała. – Ale w ciemności jest pewien dziwny rodzaj piękna, prawda?

– Tak – odparła Sylwana. – Nie jestem nocnym elfem, ale to rozumiem. Noc ma

w sobie słodycz i czystość. Piękno posiada też śmierć.

– Czy… myślisz, że zaakceptują twoją decyzję? Żeby mnie przyjąć, żebym rządziła razem z tobą?

– Opuszczeni czy Horda?

– Jedni i drudzy.

– Być może nie od razu – powiedziała Sylwana. – Będą potrzebowali trochę czasu, żeby się z tym oswoić. Ale szybko nauczą się cię cenić i będą zadowoleni z twojej obecności w Podmieście.

– Nie martwię się o siebie – ciągnęła Vereesa. – Myślę o chłopcach. To będzie dla nich… bardzo dziwne.

Sylwanę to stwierdzenie całkowicie zaskoczyło. Czy Vereesa rzeczywiście myślała o… nie. To niemożliwe.

Starannie dobrała słowa.

– Byłoby – zgodziła się, jakby dopiero w tej chwili o tym pomyślała. – Nie mieliby przyjaciół w swoim wieku i trudno byłoby im wytłumaczyć dlaczego. Mogliby być bardzo nieszczęśliwi. Podmiasto… to nie miejsce dla dzieci, siostrzyczko.

Vereesa odwróciła wzrok. Sylwana obserwowała ją czujnie jak jastrząb, przeklinając się w duchu; zapomniała, że jej siostra jest nie tylko wdową, ale i matką. Vereesa wspomniała o synach po raz pierwszy, odkąd obie zaczęły się potajemnie spotykać. Zupełnie tak, jakby od chwili śmierci ich ojca nie potrafiła myśleć o niczym innym niż zemsta.

– Tak – westchnęła teraz. – Chyba masz rację. – Jej dłoń opadła na trawę; w zamyśleniu podniosła szyszkę.

Coś w jej głosie zaalarmowało Sylwanę.

– Oczywiście, jeśli bardzo chcesz ich zabrać ze sobą, zrobię, co w mojej mocy, żeby poczuli się tam dobrze. W końcu są moją najbliższą rodziną, nie licząc ciebie.

Vereesa pokręciła głową.

– Nie, masz słuszność. To nie miejsce dla nich. Lepiej im będzie tam, gdzie są teraz. – Zaśmiała się ponuro. – Zresztą i tak nie byłam dla nich najlepszą matką.

Nagle zmiażdżyła szyszkę w dłoni. Łuski popękały i odpadły, kiedy ją wyrzuciła.

Sylwana odzyskała spokój. Jej siostra najwyraźniej zrozumiała. Czarna Pani była zadowolona – nie uśmiechało się jej mordować własnych siostrzeńców. Mimo to poczuje się pewniej, kiedy Vereesa będzie już bezpiecznie martwa. Wtedy będą mogły być razem.

Na zawsze.

30

Dzień ósmy

Wzywam na świadka króla Variana Wrynna – oznajmił Baine.

Anduin nie mógł się powstrzymać. Nachylił się do ojca i szepnął:

– Odpowiadaj na pytania, nie dodawaj nic od siebie.

– Ha, ha – mruknął Varian, wstając.

Anduin zobaczył zdumienie na twarzy Jainy i zrozumiał, że tylko jemu król powiedział, iż Baine chce go wezwać na świadka obrony. Spojrzenie jej niebieskich oczu wędrowało od ojca do syna, potem zacisnęła usta i zapatrzyła się przed siebie.

Oczywiście nie tylko ona była zaskoczona. W każdych okolicznościach byłoby dziwne, gdyby król Wichrogrodu wyrażał się pochlebnie o przywódcy Hordy, nawet gdyby tym przywódcą był Go'el. Ale Garrosh?

Anduin rozsiadł się wygodniej, zastanawiając się, co też wymyślił Baine.

Varian złożył przysięgę, a potem spojrzał wyczekująco na taurena.

– Jeśli sąd pozwoli – zaczął Baine – zanim zacznę zadawać świadkowi pytania, chciałbym przedstawić dowód. Większość z was zna króla Variana Wrynna jako tego, który sprzeciwiał się natychmiastowej egzekucji oskarżonego. Ale nie zawsze był tak powściągliwy.

– Z całym szacunkiem, protestuję – oznajmiła Tyrande, wstając. – To nie król Varian jest tu oskarżonym.

– Owszem, nie jest – zgodził się Baine – ale gdyby nie jego decyzja, Garrosh by nie żył, a my nie zebralibyśmy się tu dzisiaj.

Jaina wymamrotała pod nosem coś o „pomyłce”. Kalec się skrzywił, a na twarzy siedzącej za Jainą Vereesy malowało się zadowolenie. Wysoka elfka była piękna, ale grymas, który teraz przybrała, oszpecał ją. Anduin przygryzł wargę i odwrócił się z powrotem do ojca.

– Choć to niezaprzeczalnie prawda – rzekł Taran Zhu – nie wystarczy, bym zignorował protest.

– Fa’shua, choć to brzmi dziwnie, chcę udowodnić wiarygodność króla Variana jako osoby wystawiającej świadectwo moralności oskarżonemu.

– Nawet gdyby twoja prośba nie była rozsądna – powiedział mnich – chciałbym coś takiego zobaczyć. Zgadzam się z obrońcą.

Tyrande przyjęła tę decyzję, ale siadając, mocno zaciskała usta. Zaczęła coś notować.

– W takim razie, jeśli sąd pozwoli, chciałbym zaprezentować Wizję, która to pokaże.

Smok podszedł do Wizji Czasu. Anduin zauważył, że Klepsydra została odwrócona, a górna bańka, prawie pusta po prezentacji Zniszczenia Theramore, znów była pełna. Kairoz łagodnie oplótł artefakt czarem, a metalowy smok ożył i świecący piasek posypał się w dół.

Na początku było ciemno. Potem rozległy się stłumione odgłosy walki – gniewne okrzyki, wrzaski, szczęk stali.

– Co to było? – spytał wystraszony kobiecy głos.

Moira Taurissan. Anduin wiedział, co będzie dalej. Nie wiedział natomiast, czy wzmocni to pozycję obrońcy, ani czy sam obrońca chce tę pozycję umocnić.

Zapalono lampę i Moira rozejrzała się z przestrachem. Nie była sama w swoich komnatach w Żelaznej Kuźni. Obok łóżka w kołysce spało niemowlę, a przy drzwiach stało dwóch krasnoludów z Klanu Czarnego Żelaza, których inne klany nazywały Czarnorytami. Jeden z nich zaczął je otwierać.

– Nie! – syknęła Moira. Stanęła na łóżku, patrząc na drzwi. Miała na sobie nocną koszulę; jej dłonie powędrowały do szyi. – Rozkazuję wam tu zostać! Nie mogą nas znaleźć!

Krasnoludy na wszelki wypadek dobyły broni. Nie musiały czekać długo. Coś z głośnym hukiem rąbnęło w drzwi i Moira wstrzymała oddech. Potem drugi raz, trzeci. Ktoś z zewnątrz usiłował się dostać do środka. Drzwi się wygięły i przy czwartej próbie ustąpiły.

Moira przeraźliwie wrzasnęła. Obudzone dziecko dołożyło swój wystraszony pisk do zgiełku. Trójka intruzów wpadła do komnaty. Krasnoludy walczyły zażarcie, ale przeciwnicy mieli przewagę liczebną. Ich zamaskowany przywódca z wprawą wywijał dwoma mieczami; szybko pokonał jednego z krasnoludów pchnięciem tak silnym, że nie

zdołał wyciągnąć klingi z ciała i musiał ją porzucić.

Odwrócił się do Moiry, zdyszany, i ściągnął maskę. Widzowie i sama Moira w Wizji sapnęli ze zdziwienia, widząc, że to Varian. Anduin wiedział o tym, ale mimo to oglądanie tej brutalnej sceny sprawiało mu przykrość. Gdyby tylko przybył wcześniej… Jego spojrzenie powędrowało ku teraźniejszej Moirze. Wygląda na opanowaną, choć widać też było, że czuła się nieswojo. Książę żałował, że musiała oglądać te wydarzenia, i był zły na Baine'a, że ten je pokazał.

Varian chwycił przerażoną krasnoludkę, ściągnął ją z łóżka i mimo oporu wywlókł na korytarz. Wizja powędrowała za nim. Król zabrał swojego jeńca na otwarty plac niedaleko Wielkiej Kuźni. Zaczęły się tam gromadzić krasnoludy i gnomy, przyglądające się z przestrachem i niezrozumieniem. Varian przyciągnął Moirę do siebie za kołnierz koszuli nocnej i przytknął jej miecz do gardła.

– Oto uzurpatorka! – krzyknął. – Oto dziecko, nad którym Magni Miedziobrody przelał niezliczone łzy. Jego ukochana córeczka. Jak byłby zdruzgotany, widząc, co zrobiła z jego miastem, z jego poddanymi!

Odwrócił się i popatrzył Moirze w szeroko otwarte oczy.

– Ten tron nie należy do ciebie. Zdobyłaś go oszustwami, kłamstwami i podstępem. Groziłaś własnym poddanym, kiedy nie zrobili nic złego, i dopchałaś się do tytułu, na który nie zasłużyłaś. Nie pozwolę, żebyś siedziała na tym kradzionym tronie ani chwili dłużej!

– Zatrzymaj – powiedział Baine. Anduin poczuł, że widownia wraca do chwili obecnej. Wszyscy wpatrywali się w Variana. – Rozpoznajemy ciebie i królową regentkę Moirę Taurissan, która, jak widać, przeżyła. Czy możesz nam opowiedzieć, co się tam działo?

– To wydarzenie miało miejsce tuż przed Kataklizmem – odparł Varian. – Po tym, jak król Magni próbował odprawić starożytny rytuał, mając nadzieję połączyć się z ziemią i dowiedzieć, co się dzieje. Coś poszło źle i Magni dosłownie scalił się z ziemią. Królowa regentka Moira pojawiła się znikąd i zajęła tron. Zamknęła Żelazną Kuźnię i uwięziła mojego syna jako zakładnika. Na szczęście udało mu się zbiec.

– Co zrobiłeś wtedy?

– Przeniknąłem do Żelaznej Kuźni.

– W jakim celu?

– Żeby zneutralizować Moirę i uwolnić Żelazną Kuźnię.

– Jak zamierzałeś ją zneutralizować.

– Chyba tak naprawdę się nad tym nie zastanawiałem. Chyba zabić, gdyby stawiała opór.

– Nie obyło się bez ofiar.

– Owszem.

Anduin zerknął na Tyrande. Elfka siedziała rozparta na krześle z założonymi ramionami i starannie obojętnym wyrazem twarzy. Książę wiedział, że chciała zaprotestować, ale jej sprzeciw w tej sprawie został już odrzucony. Baine popatrzył na Kairoza i dał mu znak skinieniem głowy.

– Ojcze!

Anduin patrzył, jak przeciska się przez tłum, rozpaczliwie usiłując dobiec do Variana. Wyglądam strasznie młodo, stwierdził nieco rozkojarzony.

– Nie powinno cię tu być, Anduinie. Idź stąd, to nie miejsce dla ciebie.

– To jest moje miejsce! – odparł książę. – Sam mnie tu przysłałeś! Chciałeś, żebym poznał krasnoludy i poznałem je. Dobrze znałem Magniego i byłem tu, kiedy przybyła Moira. Widziałem, jakie zamieszanie wywołał jej przyjazd. I widziałem też, że o mało nie doszło do wojny domowej, kiedy klany sięgnęły po broń, żeby rozwiązać problemy związane z przybyciem Moiry. Cokolwiek o niej myślisz, ona jest prawowitą następczynią tronu!

– Może z pochodzenia – warknął Varian – ale nie z umysłu. Ktoś rzucił na nią czar, synu, Magni zawsze tak uważał. Próbowała cię więzić. Zamknęła bez powodu wielu swych poddanych. Nie nadaje się na przywódczynię! Zniszczy wszystko, co Magni próbował zbudować! Wszystko to… za co zginął!

Anduin z przeszłości zbliżył się do ojca i wyciągnął rękę.

Byłem śmiertelnie przerażony, przypomniał sobie teraz. Bałem się, że powiem nie to, co trzeba, on poderżnie jej gardło i to będzie moja wina. Jak daleko wszyscy zaszliśmy… A przynajmniej większość z nas.

– Nie ma żadnego czaru, ojcze. Magni chciał, żebyśmy w to wierzyli, żeby ukryć prawdę – że wypędził ją, bo nie była męskim potomkiem.

– Opluwasz pamięć honorowego człowieka, Anduinie.

– Można być honorowym człowiekiem i wciąż popełniać błędy.

– Stop – polecił Baine. – Królu Varianie, jak myślisz, co książę Anduin chciał przez to powiedzieć?

– Miał na myśli moje własne czyny z przeszłości – odparł król. – Zrobiłem i powiedziałem wiele rzeczy, z których nie jestem dumny. Groziłem, traciłem panowanie nad sobą, okazywałem… cóż, kulturalni ludzie nazywają to nietolerancją… wobec innych ras. Jak chyba widać dość jasno, Anduin tak nie myśli ani się nie zachowuje.

Wizja ruszyła. Anduin patrzył na samego siebie, jak przekonuje, że to krasnoludy powinny zdecydować, czy przyjmą Moirę, czy nie. I do końca życia zapamiętał, co wtedy powiedział Varian.

– Ona cię wzięła na zakładnika, Anduinie! Ciebie, mojego syna! Nie może to jej ujść na sucho! Nie pozwolę, żeby więziła ciebie i całe miasto. Nie pozwolę, rozumiesz?

– Stop – powiedział Baine. – Brzmi to, jakbyś chciał zabić Moirę nie za to, że przejęła władzę w Żelaznej Kuźni, ale za to, że naraziła na szwank Anduina.

Varian kiwnął głową.

– Byłem… zły. W tamtym czasie z synem łączyły mnie dość napięte stosunki i… – Nie mógł znaleźć właściwych słów, dotkliwie świadom, ilu ma słuchaczy. – Byłem zaskoczony tym, jak bardzo nie chcę go stracić. A kiedy był już bezpieczny, chciałem ukarać Moirę za to, że tak się przez nią czułem.

Jego spojrzenie wyszukało Anduina. Ojciec i syn popatrzyli na siebie z miłością. Scena zgasła.

– Jak skończyła się ta sytuacja? – spytał Baine.

– Anduin przekonał mnie, całkiem słusznie zresztą, że krasnoludy mają prawo same decydować o swoim losie.

Baine znów skinął głową Kairozowi. Varian z przeszłości podjął decyzję.

– Choć wolałbym, żeby tak nie było – powiedział do Moiry, którą wciąż trzymał w uścisku – prawo do tronu jest twoje. Ale tak jak ja, Moiro Miedziobroda, musisz stać się kimś lepszym. Potrzebujesz czegoś więcej niż królewskiej krwi, by dobrze władać swoim ludem. Będziesz musiała na to zasłużyć.

– Stop. I tak powstała Rada Trzech Młotów, która do tej pory cieszy się poparciem krasnoludów, zgadza się? – ciągnął Baine.

– Tak.

– A kiedy Moira się zgodziła?

– Wypuściłem ją, a potem razem z moimi ludźmi poddaliśmy się.

Wizja pokazała, jak Varian podchodzi do Anduina i bierze go w mocny uścisk. Wszędzie dookoła krasnoludy – uradowane i jak zawsze gotowe świętować dobrym trunkiem – krzyczały, gwizdały i skandowały: „Dziki Młot!”, „Miedziobroda!” i „Czarne Żelazo!”.

– Widzisz, ojcze? – rzekł Anduin w Wizji. – Wiedziałeś, jak należy postąpić. Byłem pewien, że będziesz wiedział.

Varian się uśmiechnął.

– Potrzebowałem, żeby ktoś we mnie uwierzył, zanim mogłem to zrobić sam – odparł.

Baine dał znak Kairozowi i scena zamarła.

– Czy uważasz, że się zmieniłeś, Wasza Wysokość?

Spojrzenie króla pomknęło ku Anduinowi. Młody książę uśmiechnął się. Varian odwrócił się z powrotem do Baine’a i kiwnął głową.

– Tak. Zmieniłem się.

– Czy inni zgodziliby się z tobą?

– Inni zdają się to widzieć wyraźniej niż ja sam.

– Dlaczego starałeś się zmienić?

– Bo niektóre części mnie nie pozwalały mi stać się człowiekiem, którym naprawdę pragnąłem być.

– W pewnym momencie byłeś całkiem dosłownie rozdarty – ciągnął Baine. – Ponowne połączenie nie było łatwe, a wszystkie twoje wspomnienia przez jakiś czas dotyczyły wyłącznie przemocy. To duża przeszkoda do pokonania dla człowieka, który chce się zmienić. Jak właściwie udało ci się tego dokonać?

– To… nie było proste – przyznał Varian. – A ja byłem… jestem… daleki od doskonałości. Czasami mi nie wychodziło. Najpierw musiałem zrozumieć, że naprawdę chcę się zmienić, a potem potrzeba było woli, dyscypliny i powodów, dla których ta walka była tego warta.

– Wola. Dyscyplina. Powody, by w ogóle rozpoczynać tak trudne zmagania – powtórzył Baine. – Skąd wziąłeś tę wolę, tę dyscyplinę i powody?

– Miałem wokół siebie ludzi, którzy chcieli mi pomóc i słuchałem ich – odparł król. – Udało im się… cóż, przemówić mi do rozumu i pokazać, jak się naprawdę zachowuję, a to nie pasowało do moich wyobrażeń. Chciałem być najlepszym ojcem, jakiego może mieć syn niemający matki. Najlepszym władcą ludzi, na których przyszły bardzo ciężkie czasy. Uważałem, że jestem im winien, by czas spędzony przeze mnie na tronie był poświęcony ich potrzebom, poprawianiu ich życia, a nie folgowaniu moim małostkowym popędom.

– A więc czy można powiedzieć, że zmieniłeś się nie przez czyjeś groźby czy przymus, ale dlatego, że chciałeś być lepszym człowiekiem dla tych, którzy na tobie polegali?

– To całkowicie trafne ujęcie, tak.

– Uważasz, że Garroshowi Hellscreamowi zależy na jego ludzie?

– Protestuję! – zawołała Tyrande.

– Zgadzam się z obrońcą – oznajmił Taran Zhu i skinął głową Varianowi.

Król, dobrze pamiętając, że zeznaje pod przysięgą, zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią, przeszywając Garrosha spojrzeniem bystrych, niebieskich oczu.

– Kiedyś tak sądziłem, owszem. I teraz uważam, że wciąż zależy mu na orkach, ale już nie na Hordzie jako całości.

– A więc odpowiedź brzmi: tak.

– Jeśli przez „jego lud” rozumieć „orków”, to tak.

– Czy nazwałbyś Garrosha inteligentnym?

– Tak, bardzo.

– A więc oto mamy kogoś, kto nawet według ciebie, zaprzysięgłego wroga, kocha swój lud; kto według twoich własnych słów jest bardzo inteligentny. To samo można by powiedzieć o tobie, Wasza Wysokość. Uważasz, że możliwe jest, by taki ktoś się zmienił?

Z ust króla wyrwał się odgłos, jakby krótki śmiech.

– Dalece wątpię, by Garrosh…

– Proszę po prostu odpowiedzieć na pytanie. Tak czy nie? Czy osoba, która kocha swój lud i jest bardzo inteligentna, może się zmienić?

Varian skrzywił się, otworzył usta i znów je zamknął. Wziął głęboki oddech.

– Tak – powiedział cicho. – To możliwe.

– Dziękuję, Wasza Wysokość, nie mam więcej pytań.

Tyrande, która dotąd z wyraźnym trudem pozostawała na swoim miejscu, teraz aż zerwała się, by przesłuchać Variana, któremu widocznie ulżyło chyba tak samo jak jej.

– Wasza Wysokość – zaczęła elfka. – Mam tylko kilka pytań. Czy masz skłonności do ludobójstwa?

– Co?! – Varian wytrzeszczył oczy.

– Z całym szacunkiem, protestuję! – krzyknął Baine.

– Fa'shua – powiedziała gładko Tyrande – o nic świadka nie oskarżam, proszę go tylko, żeby się określił.

– W jakim celu, chu'shao? – spytał Taran Zu.

– Obrońca powołał króla Variana jako świadka mającego potwierdzić pozytywne cechy Garrosha. Miał możliwość ustalenia doświadczenia i wiedzy Variana Wrynna w tym zakresie, a ja teraz robię to samo.

– Zgadzam się z oskarżycielką. Dopóki nie uznam, że nękasz świadka, możesz pytać. Świadek może odpowiedzieć.

Tyrande skłoniła głowę i odwróciła się do króla.

– Masz skłonność do ludobójstwa, Wasza Wysokość?

– Nie – oznajmił Varian, ściągając brwi.

Anduin zachodził w głowę, do czego zmierza elfka.

– Czy pożądasz albo kiedykolwiek pożądałeś władzy?

– Nie – powiedział król. – Posunąłbym się nawet do stwierdzenia, że władza i odpowiedzialność to ciężkie brzemię.

Anduin wiedział, że był czas, kiedy jego ojciec tęsknił za prostszym życiem Lo'Gosza, gladiatora.

– Obrońca pokazał nam ciebie i członków WW:7 infiltrujących Żelazną Kuźnię, atakujących krasnoludów i grożących nieuzbrojonej niewieście. Czy powiedziałbyś, że często tak postępujesz?

– Oczywiście, że nie! To niedorzeczne…

– Wasza Wysokość, proszę po prostu odpowiedzieć na pytanie. – Tyrande pozostawała całkowicie nieporuszona.

– Nie!

– Czy w najczarniejszej chwili wściekłości ułożyłeś i przeprowadziłeś plan zgładzenia całej populacji dużego miasta?

W tym momencie Anduin zrozumiał.

– Nie – odparł jego ojciec.

Tyrande odwróciła się spokojnie do Tarana Zhu.

– Fa'shua, obrońca wezwał króla Variana jako biegłego w sprawach, z którymi musi borykać się Garrosh Hellscream. Wnoszę, że choć Varian istotnie stawał przed podobnymi wyzwaniami, nie jest, nie był ani nigdy nie będzie taki sam jak Garrosh Hellscream. Z tej przyczyny nie może być uważany za zdolnego ocenić, co Garrosh może zrobić lub nie. Dlatego proszę o wykreślenie ze stenogramu wszystkiego, co świadek powiedział.

– Z całym szacunkiem…

Taran Zhu podniósł łapę.

– Rozumiem, do czego zmierzasz, oskarżycielko, ale nie usunę zeznań świadka. Uważam, że twoje pytania, tak samo jak pytania obrońcy, były słuszne i stosowne.

– Ale fa'shua… – zaczęła Tyrande.

– Przedstawiłaś swoje stanowisko, oskarżycielko. Masz jeszcze jakieś pytania do świadka?

– Nie, szacowny Zhu.

– Doskonale. Sąd zamyka posiedzenie na dziś. Jutro zaprezentowane zostaną mowy końcowe. Chu'shao, to będzie wasza ostatnia szansa, by wpłynąć na przysięgłych. Sugeruję, byście jej nie zmarnowali.

31

Dzień dziewiąty

Nadszedł ostatni dzień procesu. W powietrzu wisiało elektryzujące napięcie. Wchodząc do świątyni, Sylwana minęła jednego z goblińskich bukmacherów, któremu udało się uniknąć pandareńskich straży.

– E, droga pani – powiedział. Okulary podsunął na szerokie, łyse czoło, doskonale wypolerowane guziki jego kamizelki lśniły. – Może zakładzik?

Sylwana była w dobrym nastroju i rozbawił ją ten pomysł, przystanęła więc i uśmiechnęła się do małego zielonego cwaniaczka.

– Jakie szanse? – spytała.

– Jeden do jednego ze spadkiem na szybką egzekucję, dwa do jednego na dożywocie i zupełnie fascynujące kursy na bardziej wariackie scenariusze.

– Na przykład?

Goblin zajrzał do notatek.

– Zobaczmy… Dwadzieścia pięć do jednego na impas przysięgłych, osiemnaście do jednego na próbę ucieczki, pięćdziesiąt do jednego na nagły zgon oskarżonego i dwieście do jednego na całkowitą skruchę, w tym, choć nie tylko, wolontariat w jednym z orgrimmarskich sierocińców.

Podniósł wzrok. Okulary sprawiły, że jego małe oczka wydawały się nieprzyjemnie wielkie.

– Ktoś na to stawia? – spytała Sylwana z rozbawieniem.

– Zdziwiłabyś się pani. Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy. Raz widziałem, jak

nowiutka, lśniąca gnomia wyścigówka prowadząca o piętnaście długości nie dojeżdża do mety.

Ach, co za pokusa. Ale nie mogła zaryzykować, że goblin nie zapamięta, co obstawi Sylwana, poklepała go więc tylko po wyglansowanej zielonej łysinie i weszła do środka.

Dziś wieczorem, po mowach końcowych, Czcigodni Niebianie udadzą się obradować, a Garrosh zje ostatni posiłek. Sylwana wiedziała, że będzie to ryba w zielonym curry; to było ulubione danie orka, a Vereesa potwierdziła, że to właśnie zostanie mu podane. Cokolwiek wydarzy się na sali sądowej, będzie niczym więcej jak pozbawioną znaczenia rozrywką. Niech inni się martwią i łamią głowy, kłócą i debatują. Sylwana i Vereesa jako jedyne wiedziały, jak cudownie bezcelowe jest to wszystko.

Taran Zhu musiał uderzać w gong dłużej niż zazwyczaj, by uciszyć gwar rozmów.

– Jak na pewno wszyscy już wiecie, dziś jest ostatni dzień procesu Garrosha Hellscreama. – Spojrzał na Tyrande. – Chu'shao Whisperwind, czy chcesz wezwać raz jeszcze któregoś świadka?

Sylwana zauważyła, że nocna elfka założyła bardziej oficjalną szatę niż poprzednio, bez wątpienia spodziewając się wygranej. W każdych innych okolicznościach zasługiwałaby na jej świętowanie.

– Nie ma nikogo takiego, fa'shua.

– Chu'shao Bloodhoofie, czy chcesz wezwać jeszcze raz któregoś świadka?

Baine pokręcił rogatą głową.

– Nie, fa'shua.

– Zatem postanowione. Zanim rozpoczną się mowy końcowe, chciałbym podjąć przypuszczalnie daremny wysiłek i nie dopuścić, by te ostatnie godziny procesu zmieniły się w karnawał. Dlatego informuję wszystkich obecnych, czego mogą się spodziewać. Oskarżycielka przedstawi swoje argumenty za straceniem oskarżonego. Obrońca będzie przekonywał, by dożywotnio go uwięzić. Zrobimy dwugodzinną przerwę, żeby oskarżony mógł zjeść swój być może ostatni posiłek, po czym wygłosi oświadczenie, jeśli zechce.

Sylwana zesztywniała. Co? Myślała, że curry zostanie podane wieczorem, kiedy przysięgli udadzą się debatować, a nie w środku popołudnia! Wszystkie ich plany… Spojrzała na siostrę. Z tej odległości nie widziała miny Vereesy, ale zobaczyła, że tamta nagle zainteresowała się bardzo swoją torbą. Zaczęła ją przetrząsać, potem kiwnęła głową i spojrzała w kierunku miejsc wyznaczonych Opuszczonym.

Panikę zastąpiło uniesienie. Moja droga siostrzyczko – pomyślała Sylwana, powściągając uśmiech – ależ będzie z nas para! Vereesa najwyraźniej nosiła truciznę cały czas przy sobie. Uda im się, nieważne, kiedy ten przeklęty ork będzie napychał swoją zarozumiałą gębę.

Uspokojona Sylwana spojrzała z powrotem na sędziego. Taran Zhu z surową miną wodził spojrzeniem po widowni.

– Ufam, że nie dojdzie już do żadnych awantur. Los oskarżonego rozstrzygnie się na naszych oczach. Oskarżony ma prawo powiedzieć wszystko, cokolwiek leży mu na sercu, i zostać wysłuchanym oraz mówić tak długo, jak zapragnie. Każdemu, dla kogo to niejasne, dla zrozumienia gotów jestem z największą przyjemnością udostępnić na miesiąc podziemia klasztoru Shado-pan.

Sylwana ani przez moment nie wątpiła, że mnich to zrobi; wszyscy inni także. Taran Zhu wydawał się zadowolony z ciszy, jaka zapadła po jego oświadczeniu.

– Kiedy oskarżony skończy mówić, przysięgli ustalą werdykt. Zbierzemy się tu z powrotem, kiedy z nim wrócą. Chu'shao Whisperwind, jesteśmy gotowi wysłuchać twojej mowy końcowej.

Jaina przyglądała się uważnie. Tyrande wstała, zajrzała raz jeszcze do notatek, po czym zwinęła je schludnie i odłożyła na bok. Nocna elfka wiedziała, że na to właśnie czekało wielu z obecnych. Skupiła na sobie uwagę wszystkich i nie musiała się spieszyć. Położyła na stole woreczek z runicznego płótna – prosty, bez ozdób – sięgnęła do środka i wyjęła kamień mniej więcej wielkości jajka.

– W swojej mowie otwierającej – zaczęła wyraźnym, melodyjnym głosem – powiedziałam, że przypadło mi w udziale łatwiejsze zadanie. Jako oskarżycielka musiałam przedstawić dowody, że Garrosh Hellscream nie zasłużył na jeszcze jedną szansę, nie zasłużył, by naprawić swoje błędy, czy jak to jeszcze określał obrońca, chcąc wzbudzić wasze współczucie. Zanim jeszcze się odezwałam, Garrosh przyznał się do popełnienia zbrodni, o które jest oskarżony, i… – Uśmiechnęła się nieznacznie i wzruszyła ramionami. – Cóż, bez wątpienia pamiętacie jego zachowanie.

Przechadzając się, wróciła do stołu. Ostrożnie odłożyła kamień, sięgnęła do woreczka, wyjęła drugi.

– Obrońca pyta, czy ludzie mogą się zmieniać. Oczywiście, że mogą. Taka jest natura rzeczy – wszystko się zmienia. Ale czasami nie jest to zmiana na lepsze. Drzewo rośnie, oczywiście. Ale tak samo rośnie zło.

Znów odłożyła kamień i wyjęła następne dwa.

– W swojej mowie otwierającej złożyłam kilka obietnic – rzekła. – Powiedziałam, że zobaczycie, jak Garrosh Hellscream knuje, usłyszycie, jak kłamie, i ujrzycie, jak zdradza.

Przerwała i spojrzała prosto na Jainę.

– Żałuję straszliwej konieczności, która kazała mi pokazać wiele z tych scenariuszy.

Ale poważnie zaniedbałabym swoje obowiązki, nie robiąc wszystkiego, co w mojej mocy, by moje argumenty były jak najmocniejsze i najbardziej przekonujące.

Ukłoniła się, przykładając do serca trzymane w dłoni kamienie.

Jaina zrozumiała. Z trudem przełknęła ślinę i skinęła głową. Tyrande pozornie pozostawała niewzruszona, ale Jaina pomyślała, że elfce chyba ulżyło. Arcykapłanka znów odłożyła kamienie i wyjęła dwa następne. Na skraju stołu leżały już cztery; wiele osób przyglądało się im z zaciekawieniem.

– Zarzutów było ogółem dziesięć – podjęła Tyrande. – Wiele z nich – w zasadzie większość – oskarżony popełniał wielokrotnie.

Mówiąc, wyjmowała kolejne kamienie i układała je obok poprzednich, wszystkie w równym rządku.

– Ludobójstwo. Morderstwo. Przymusowe przesiedlenia. Uprowadzenia. Niewolnictwo. Porywanie dzieci. Tortury. Mordowanie więźniów. Przymusowe zapłodnienia. Niszczenie miast, miasteczek i wsi bez wojennej czy cywilnej potrzeby.

Tyrande przerwała. Spojrzała na kamienie, teatralnie je przeliczyła.

– Oto dziewięć kamieni. – Powiodła promienistym wzrokiem wokół areny, wpatrując się widzom w oczy. – Być może zastanawiacie się, czemu tylko dziewięć, skoro powiedziałam, że zarzutów przeciwko Garroshowi jest dziesięć. To dlatego, że te kamienie nie symbolizują zarzutów.

Odwróciła się z powrotem do stołu i podniosła pierwszy kamień, przyglądając mu się.

– Te kamienie – powiedziała wolno – to coś więcej niż symbole. To okruchy ziemi, która będzie po wieki pamiętać okrucieństwa Garrosha Hellscreama. Na przykład… ten pochodzi ze Szponogłazów. Nadzorca Krom'gar wymordował tam całą niewinną wieś, kierując się swoim pojmowaniem filozofii Garrosha dotyczącej nowej Hordy. Jak to zrobił? Zrzucając bombę. Garrosh zabił go za ten… dyshonor.

Uderzyła kamieniem o stół i Jaina przestraszona drgnęła. Po widowni przeszedł cichy szmer zaskoczenia. Tyrande podniosła na widzów spojrzenie swoich pięknych, ognistych oczu i wzięła następny kamień.

– Na tym są ciemnoczerwone plamy… był świadkiem wielkiego rozlewu krwi. Pochodzi z areny w Orgrimmarze. – W zamyśleniu pogładziła go palcem. – Miejsca, w którym toczyły się walki mak'gora. Miejsca, w którym ofiarą zdrady padł ojciec Baine'a Bloodhoofa.

Ten kamień odłożyła delikatnie i przeszła do następnego.

– Ten omszały kamień pochodzi z Gilneasu, gdzie Garrosh Hellscream zaatakował… i gdzie tak wielu poległo. A ten – z Azshary, z pięknej, jesiennej Azshary. Teraz nie jest już tak piękna, prawda? Garrosh Hellscream przekazał tę krainę goblinom, które swoimi

machinami wyrzeźbiły z niej gigantyczny symbol Hordy. Które tak zanieczyściły wodę, że nie nadaje się ona do picia nawet w stolicy!

Tym kamieniem uderzyła o stół tak samo mocno jak pierwszym. Jaina zobaczyła na jej twarzy szczere cierpienie.

Wyraz ten pogłębił się jeszcze, kiedy delikatnie podniosła kolejny, w niebieskie i zielone pasy.

– Jesionowa Knieja – powiedziała. – Pełna lasów, potoków i życia. Jesionowa Knieja. Spustoszona przez orków na rozkaz Garrosha, miejsce bitwy, w której polegli rodzice porwanych dzieci.

Jaina przygotowała się na trzask uderzenia kamienia o stół. Ale nocna elfka odłożyła go ostrożnie i pogładziła ze smutkiem, zanim przeszła do następnego. Ten wyglądał inaczej niż pozostałe – jak kawałek wulkanicznej lawy. Jaina nagle domyśliła się, skąd pochodził.

– Nienasycony po splądrowaniu Azshary i Jesionowej Kniei, nieprzejęty śmiercią niewinnych istot, Garrosh pożądał więcej. O wiele więcej. Wierzył, że Horda nie tylko ma prawo do życia i rozwoju, lecz że on sam ma prawo zrobić w tym celu wszystko, czego zapragnie, nieważne, jakie wyrządziłby przy tym szkody. – Podniosła kamień tak, by wszyscy go zobaczyli. – To kawałek stopionego olbrzyma! Potężnego żywiołaka, okrutnie zniewolonego, wykorzystanego przez mrocznych szamanów, których nie obchodziło, że ziemia krzyczy z bólu i gniewu. A to było… po Kataklizmie!

Zostały jeszcze trzy. Jaina popatrzyła na następny w kolejce. Był szary i… gładki, jak kamienie wygładzone przez stulecia omywania przez wodę. Tyrande podniosła go ostrożnie jak jajko i spojrzała wprost na nią.

Czarodziejka wstrzymała oddech. Poczuła, że Kalec ściska jej dłoń; lekko, gotów cofnąć rękę, gdyby Jaina nie chciała pociechy. Nie mogła oderwać wzroku od tego kamienia. Rozprostowała tylko dłoń i splotła palce mocno z palcami smoka.

– Theramore – powiedziała Tyrande głosem ochrypłym ze wzruszenia.

Nie musiała mówić nic więcej.

Przycisnęła kamień do serca, a potem odłożyła go na stół.

– Darnassus – powiedziała cicho, dotykając następnego. – Dom nocnych elfów, zbezczeszczony, kiedy Słoneczni Łupieżcy zdradzili Dalaran i użyli swojej magii nie po to, aby pomóc światu, lecz by ukraść Boski Dzwon.

I ostatni…

– Dolina Wiecznych Kwiatów – rzekła Tyrande i głos jej się załamał. Jaina wiedziała, że arcykapłanka nie udaje. – Starożytne miejsce, ukryte tak długo. Dopiero niedawno dane nam było je ujrzeć. A teraz jest tak spustoszone, że powrót do pełnego rozkwitu może mu

zająć wieczność. Wszystko to przez niewysłowioną, niepowstrzymaną żądzę Garrosha Hellscreama, by przysporzyć potęgi jednej frakcji Hordy!

Odwróciła się gwałtownie, całym smukłym ciałem zdradzając swój gniew.

– Co zrobi ktoś taki, jeśli dostanie jeszcze jedną szansę? Wykorzysta ją, by narobić jeszcze więcej zniszczeń; zgromadzić większą władzę; zdradzić więcej sojuszników. Czcigodni Niebianie! Wasza mądrość przekracza nasze pojmowanie. Namawiam… błagam was. Skażcie Garrosha Hellscreama na śmierć za to, co zrobił – swoim wrogom, swoim sprzymierzeńcom, samej ziemi. On się nie zmieni. On się nie może zmienić. Ma w sobie tylko dumę i głód. Tak długo, jak jego serce bije, będzie knuł. Dopóki oddycha, będzie zabijał.

Wzięła głęboki oddech i wyprostowała się dumnie.

– Niech to będzie koniec. Jego koniec.

32

Kiedy wracała na swoje miejsce, w sali panowała głucha cisza. Jaina prawie wyczuwała intensywność, z jaką wszyscy wpatrywali się w Garrosha Hellscreama. Tyle ofiar. Tyle cierpienia. Tyle zniszczeń. A wszystko to dziełem jednego orka. Jednego! Czy to możliwe, żeby jedna istota uczyniła więcej złego niż cała rasa?

Siedzi tu, przed nimi. Wystarczyłoby czyste cięcie miecza lub dobrze wymierzona ognista kula i byłoby po wszystkim. Garrosh Hellscream już nigdy więcej nikogo by nie skrzywdził.

Jainę świerzbiły palce, by rzucić czar.

Po chwili wstał Baine Bloodhoof. Odgłos jego kopyt zabrzmiał głośno w ciszy świątyni. Jaina poczuła przypływ współczucia dla taurena i jego niemożliwego zadania.

Stanął, zdawał się zbierać myśli, a potem zwrócił się do poważnych, słuchających z uwagą niebian.

– Wiem, że spodziewacie się natchnionych próśb o łaskę, odwołań do waszej mądrości i współczucia. Może będę o to prosił, jeszcze nie zdecydowałem. Ale to, czym chcę się z wami teraz podzielić, nie dotyczy Garrosha Hellscreama. Dotyczy mnie.

Splótł dłonie za plecami i zaczął wolno okrążać arenę.

– Kiedy poproszono mnie, bym bronił Garrosha, zupełnie nie miałem na to ochoty. Zazdrościłem chu'shao Whisperwind, bo nie tylko miała większe szanse na zwycięstwo, ale też wolałbym, tak jak ona, oskarżać, a nie bronić. – Zatrzymał się przed stołem arcykapłanki, która popatrzyła na niego, zaintrygowana, ale czujna. Baine podniósł drugi kamień, ten z areny mak'gora. Jaina była już pewna, że na kamieniu są ślady krwi, najpewniej właśnie dlatego Tyrande go wybrała. Całkiem możliwe, że to była krew

Cairne'a.

Tyrande zmrużyła oczy, ale go nie powstrzymała. Baine ruszył dalej.

– Jak satysfakcjonujące musiało być zbieranie tych kamieni. Rozmyślanie o tym, co się wydarzyło w tych miejscach, oraz o tym, jak tragiczne i niepotrzebne były te wydarzenia. – Czule ścisnął kamyk w dłoni. – Zaglądanie w odmęty czasu, żeby znaleźć dowód na każdy zarzut i powiedzieć przysięgłym oraz widzom: „Patrzcie! Ujrzyjcie, poczujcie! Oto, co zrobił Garrosh Hellscream!".

Co on wyprawia? – zdziwiła się w duchu Jaina. – Poddaje się? Przyznaje, że obrona Garrosha od samego początku była skazana na porażkę?

– Dlatego udałem się do Gromowego Urwiska. Do domu, który mój ojciec i wódz Thrall założyli dla mego ludu. Chciałem odetchnąć tamtym powietrzem, usiąść na czerwonych skałach i spytać ojca, co mam robić – Baine wskazał Kadora Cloudsonga siedzącego na widowni. – Prosiłem o wizję. I wizja do mnie przyszła.

Głos mu zadrżał, a dłoń zacisnęła się na kamieniu, na którym mogły być ślady krwi jego ojca.

– Mój ojciec wiedział, że jeśli ulegnę swojej nienawiści i swojemu cierpieniu, nie będę mógł spojrzeć sobie w oczy. Wiedział, że muszę się zgodzić bronić Garrosha z całych sił, niezależnie od wyniku, bo inaczej nie będzie pokoju. Wiedział to, bo mnie znał. Bo on, który zginął z ręki Garrosha, zrobiłby to samo, gdyby żył. Dlatego zgodziłem się reprezentować Hellscreama. Podobnie jak Tyrande spędziłem wiele godzin z Kairozem, oglądając wydarzenia z przeszłości. I odkryłem, że nie ma sposobu, by tak naprawdę bronić Garrosha Hellscreama. Po prostu nie ma. Jedyną obroną byłoby wznieść się ponad te wydarzenia i pojąć to, co naprawdę się liczy.

Baine znów popatrzył na kamień spoczywający w jego wielkiej dłoni.

– Tyrande zadała sobie wiele trudu, by znaleźć te kamienie do swojej mowy końcowej. Nie umniejszam tego wysiłku, tak jak nie umniejszam cierpienia, które z pewnością towarzyszyło ich zbieraniu, nie umniejszam też tego, co one symbolizują. Muszę jednak powiedzieć, że choć jej prezentacja była przekonująca, była zaledwie właśnie tym – prezentacją. Widowiskiem takim samym jak Wizje Czasu, na swój sposób podobnym do Festynu Lunomroku, do którego ten proces został niepochlebnie przyrównany.

Patrząc na przysięgłych, zmiażdżył kamyk w swoich potężnych palcach.

– To nic nie znaczy.

Jaina poczuła falę oburzenia. Jak mógł to zrobić? Zniszczyć tak beznamiętnie coś, co powinno być dla niego drogą pamiątką po ojcu? Po sali przeszedł szmer niezadowolenia. Taran Zhu podniósł bijak i pomruki ucichły.

Baine, nieprzejęty tą reakcją, otworzył dłoń i pozwolił, by pył spadł na podłogę.

– Ostatecznie na tym się kończy. Wszyscy jesteśmy pyłem. Kamienie, drzewa, mieszkańcy pól i lasów, taureni, nocne elfy, orkowie. Zmieniamy się w pył. I to nie ma znaczenia. Nie ma znaczenia, że umieramy. Liczy się tylko to, że żyliśmy.

Rozejrzał się po arenie, teraz już trochę wyzywającym wzrokiem.

– Zmiana jest możliwa tylko tam, gdzie jest życie. Tylko kiedy żyjemy, możemy pocieszyć przyjaciela, wychować dzieci czy zbudować miasto. Mój ojciec żył życiem dobrym i pełnym. Nauczył mnie wielu rzeczy.

Baine spojrzał prosto na Jainę i Anduina.

– Powiedział kiedyś, że zniszczyć jest łatwo. Ale zbudować coś, co przetrwa, to, mówił mój ojciec, duże wyzwanie. – Sięgnął po następny kamień, ten z Theramore, gdzie razem z Jainą i Anduinem tak często dyskutował. – Mógłbym tym kamieniem roztrzaskać czaszkę Garrosha Hellscreama. Albo… użyć go do zbudowania miasta. Mogę na nim zemleć kukurydzę albo nagrzać go do pieczenia. Mogę go pokryć kolorową farbą i wykorzystać w ceremonii na cześć Matki Ziemi. Cokolwiek zrobimy lub czego nie zrobimy z tym kamieniem, pewnego dnia obróci się w pył. Liczy się tylko to, co z nim zrobiliśmy za naszego życia. I wierzę, że jeśli naprawdę wejrzymy w serca, za strzegące ich strach i cierpienie, zrozumiemy, że to prawda. Wszyscy robiliśmy rzeczy, których się wstydzimy. Wszyscy robiliśmy rzeczy, które wolelibyśmy cofnąć. Nosimy w sobie potencjał, by zostać własną wersją Garrosha Hellscreama. Zacząłem to rozumieć, kiedy oglądałem wydarzenia ukazywane przez Wizję Czasu. Zobaczyłem to w Durotanie, który zaatakował Telmor, ale później został wypędzony przez własnych rodaków za swoje przekonania. W Gakkorgu, który porzucił godną pozazdroszczenia pozycję w Kor'kronie, bo tak obrzydziło go to, co rozkazano mu zrobić niewinnym dzieciom. Królu Varianie – tu Baine wskazał palcem – przystawiłeś kiedyś miecz do gardła bezbronnej kobiety odzianej tylko w koszulę nocną. A teraz oboje jesteście przyjaciółmi i sprzymierzeńcami. Alexstrasza, tak okrutnie umęczona, wybacza dziś równie szczerze, jak niegdyś głęboko cierpiała, bo wie, tak jak wszyscy powinniśmy wiedzieć, że inaczej się nie da. – Znów spojrzał na Jainę, a oczy miał pełne współczucia. – Theramore, które już nie istnieje, doznało straty i zdrady. Nie jest Aspektem, widzieliśmy i słyszeliśmy jego rozpacz i gniew. Ale nawet ono rozumie. Nie chce być jak Garrosh. – Odwrócił się do niebian, którzy przyglądali mu się z uwagą. – Tyrande mówi o prawdziwej sprawiedliwości. Wierzę, że wiecie, co to oznacza. I wierzę, że dziś jej doświadczymy. Dziękuję.

Baine być może nie przekonał wszystkich, ale powiedział wiele zaskakująco trafnych słów, przynajmniej w odczuciu Jainy. Wychodząc na dwugodzinną przerwę, w głowie

i w sercu miała zamęt. Kalec spytał, czy zjedzą coś razem, ale ona uprzejmie odmówiła. „Muszę pomyśleć" – powiedziała, a on kiwnął głową i choć się uśmiechał, oczy miał smutne.

Jaina kupiła miskę makaronu i pod kwitnącym drzewem wiśni znalazła sobie zaciszny zakątek, by zjeść. Makaron był dobry, miejsce olśniewająco piękne, ale nie zwracała na nie uwagi, mechanicznie wkładała jedzenie do ust.

Nie zazdrościła niebianom ich zadania. Myślała o tym, co słyszała, widziała i co była zmuszona powiedzieć. Myślała o Kinndy, o energii przepełniającej gnomkę, która jakby dla kontrastu traktowała wszystko z ogromną powagą. Myślała o Kalecgosie i wyborach, z którymi się borykał. Nie wątpiła, że ją kochał. Ale jego serce – lepsze, silniejsze, łagodniejsze niż jej własne, co uświadomiła sobie z ukłuciem goryczy – nie mogło znieść jej zajadłości. Zrozumiała, że go w ten sposób raniła. Mógł zostać przy niej i nieustannie cierpieć, albo odejść i być sobą.

Też mi wybór, pomyślała. Ale Baine miał rację co do jednego – nie chciała być jak Garrosh. A gdyby zamienili się miejscami – co Garrosh chciałby z nią zrobić?

– Lady Jaino? – to był Jia Ji, jeden z posłańców. Ukłonił się nisko. – Wybacz, że zakłócam twoją samotność. Mam dla ciebie wiadomość.

Podał jej zwój. Jaina wzięła go, marszcząc brwi, i zbladła na widok pieczęci. W czerwonym wosku odciśnięty był charakterystyczny symbol Hordy.

Przez głowę przemknął jej tysiąc myśli naraz, a wszystkie przerażające. Drżącymi palcami złamała pieczęć, rozwinęła zwój i przeczytała:

Minęło trochę czasu, zanim się dowiedziałem, co stało się w Dalaranie. Kiedyś byłaś orędownikiem pokoju, teraz głosisz wojnę. Garrosh zostawia spaloną ziemię, a zabici nie są jego jedynymi ofiarami. Nie winię nikogo i nie żywię nienawiści, nieważne, co czujesz do Garrosha – albo Hordy. Wszyscy mamy swoje duchy.

V

Jaina Proudmoore przeczytała list kilkakrotnie, a potem powoli się uśmiechnęła.

– Czy życzysz sobie, abym zaniósł odpowiedź, lady Jaino? – spytał Jia.

– Tak. Powiedz, proszę, wodzowi, że dziękuję mu za zrozumienie.

– Oczywiście, moja pani. – Jia ukłonił się nisko i odszedł.

Jaina popatrzyła za nim, wciąż z uśmiechem na twarzy, który ogrzewał jej serce. Ze swojego punktu obserwacyjnego spojrzała na kłębiącą się w dole ciżbę. Jeden z mężczyzn miał niebieskoczarne włosy. Rozmawiał z Varianem i Anduinem; na jej oczach uścisnął obu dłonie i zaczął się od nich oddalać, patrząc pod stopy, przygnębiony.

On odchodzi.

Ściskając w ręku wiadomość od Vol’jina, Jaina zaczęła biec.

– Kalecgosie! – krzyknęła, nie zwracając uwagi na obracające się ku niej głowy. – Kalecgosie!

Frunęła nad ścieżką; przeskakiwała zręcznie to korzeń, to wykrot. Ludzie rozstępowali się przed nią; nie zauważała tego ani jej to nie obchodziło. Spojrzenie utkwiła w Kalecu; zmówiła krótką modlitwę do Światłości, by nie połknął go tłum.

– Kalecgosie!

Smok zwolnił, potem się zatrzymał. Przekrzywił głowę, jakby nasłuchując, po chwili się odwrócił, wodząc wzrokiem po morzu ludzkich głów. Ich oczy spotkały się; jego twarz rozpromieniła się niczym słońce. Jej serce wezbrało radością. Jaina pokonała dzielącą ich przestrzeń i rzuciła się w wyciągnięte ramiona.

Na oczach wszystkich pocałowali się mocno i z miłością. Jaina czuła wielką wdzięczność.

Garrosh Hellscream zabrał jej już dość.

Tego nie odbierze.

Nie odbierze jej samej.

33

– Vereeso! – Mu-Lam Shao serdecznie przywitała przyjaciółkę. – Nie wiedziałam, czy cię dziś zobaczę, skoro to ostatni dzień procesu.

Vereesa uśmiechnęła się do pandarenki pracowicie siekającej imbir, cebulę i inne warzywa. Robiła to z taką wprawą, że nie sposób było nadążyć wzrokiem za ostrzem noża.

– Och, musiałam się upewnić, że dostanę przepis na to danie. Jest chyba bardzo popularne, skoro nawet ork chce je jeść.

Mu-Lam zaśmiała się serdecznie, basowo, z radością w oczach.

– Niektórzy powiedzieliby, że nawet elf. – Puściła oko. – Ale owszem, to by było zaniedbanie z mojej strony, gdybym nie dopilnowała, że nauczysz się, jak je przyrządzać. Wiesz, że zawsze jesteś mile widziana w mojej kuchni. Wrócisz tu kiedyś mnie odwiedzić?

Spojrzała z nadzieją. Vereesa nieoczekiwanie poczuła ukłucie smutku. Nie, nie wróci. Nie wróci do żadnego z miejsc, w których dotąd bywała. Od tej pory jej domem będzie ciemność, pyliste równiny Orgrimmaru i zadymione osady goblinów. Tyle że to nie była w pełni prawda. Vereesa mogła pojechać do Silvermoon i zobaczyć, jak bardzo się tam zmieniło od jej czasów, odwiedzić rodzinną wieżę.

– Och, oczywiście… – skłamała gładko. – Polubiłam cię, Mu-Lam.

Przynajmniej druga część wypowiedzi była prawdziwa.

Mu-Lam się rozpromieniła. Potem, jakby trochę zawstydzona, powiedziała już bardziej szorstko:

– Masz… przydaj się na coś. Posiekaj bazylię i pokrój sanfruty.

Sanfruty. Pachniały tak intensywnie. Vereesa operowała nożem bardzo ostrożnie, żeby się przypadkiem nie skaleczyć.

Jedzących było ośmioro i Mu-Lam wyjęła osiem małych, ceramicznych talerzy. Vereesa kroiła sanfruty na ćwiartki, a pandarenka wymieniała wszystkie składniki curry z rybą, w tym samą pastę. Vereesa niewiele z tego słyszała. Mogła myśleć tylko o Garroshu Hellscreamie, martwym pomimo próśb Baine'a Bloodhoofa. Rhonin nie żył… teraz Garrosh za to zapłaci.

– Który talerz należy do Garrosha? – spytała, mając nadzieję, że brzmi to jak zwykłe pytanie.

– Jego taca to ta brązowa, bambusowa – odparła Mu-Lam, wskazując łyżką. – Daj mu jedną ćwiartkę więcej. To może być jego ostatni posiłek, a wiem, że je lubi.

– Bardzo jesteś dobra dla mordercy – warknęła Vereesa, zanim zdążyła się powstrzymać.

Ale Mu-Lam wiedziała o jej stracie. Popatrzyła na nią z sympatią.

– Jutro obudzę się w tej pięknej krainie, gdzie czeka mnie zdrowe jedzenie, rodzina, przyjaciele, wartościowa i pożyteczna praca. Garrosh Hellscream, cokolwiek zadecydują Czcigodni Niebianie, nigdy nie będzie tego miał. Łatwo mi być dla niego dobrą, kiedy to wiem.

Vereesę zalał wstyd, gorący i elektryzujący. Tuż za nim przyszedł gniew. Skinęła tylko głową i wzięła następną cząstkę sanfruta. Mu-Lam wytarła łapy i odwróciła się, by zamieszać curry.

Teraz.

Vereesa wyjęła z sakiewki fiolkę i odkorkowała ją. Dłonie już się jej nie trzęsły. Wylała na każdą ćwiartkę trzy krople – wystarczyłaby jedna. Płyn szybko rozpuścił się w sokach owocu. Nikt nic nie zobaczy. Vereesa mocno wetknęła korek na miejsce, a potem umyła ręce mydłem.

Zrobione.

– Dziękuję, Vereeso – powiedziała Mu-Lam. – Będę za tobą tęsknić aż do twojej następnej wizyty.

Vereesa uśmiechnęła się słabo.

– Dziękuję, Mu-Lam. Za wszystko. Do zobaczenia.

Odwróciła się do wyjścia.

– A jak przyjedziesz – zawołała za nią Mu-Lam – przywieź dzieci! To na pewno piękne chłopaki!

Jej chłopcy.

Vereesa zaczęła nieoczekiwanie dygotać. Uniosła dłoń w geście pożegnania, wyszła

z pomieszczenia pod świątynią, które przerobiono na tymczasową kuchnię, i pospiesznie skręciła w korytarz.

Oparła się o chłodną, kamienną ścianę, ciężko oddychając. Przemoc nie była jej obca. Już przedtem zabijała. Ale zawsze działo się to w bitwie, kiedy walczyła o coś albo dla kogoś. Tym razem było inaczej. To było rozmyślne, wyrachowane, starannie zaplanowane morderstwo przy użyciu broni, jakiej nie używa łowczyni, a skrytobójca. Gorsze niż strzała trafiona w oko, gorsze niż nóż w ciemności.

„To na pewno piękni chłopcy".

Tak naprawdę nie myślała o nich już od dawna.

Najpierw musiała zająć się Słonecznymi Łupieżcami i Lor'themarem, potem było oblężenie Orgrimmaru, później proces. W ostatnich latach prawie wcale nie spędzała z nimi czasu, nawet tuż po…

Rzeczywiście, byli piękni, mieli rude włosy Rhonina i jej oczy; Giramar, starszy zaledwie o kilka chwil, i Galadin. Vereesa nagle uświadomiła sobie, jak bardzo tęskni za ich śmiechem. Byli tacy niesforni, ale dobrzy, ich ojciec byłby dumny z tego, jak dzielnie…

Próbowała wyobrazić ich sobie w Podmieście i… nie mogła. Gdzie będą się ganiać, bawić i śmiać? Zwracać twarze ku niebu po pocałunki słońca? Jak dowiedzą się czegokolwiek o życiu w mieście umarłych?

– Vereeso?

Pogrążona w rozmyślaniach o swoich rozbrykanych dzieciach w szarym, mrocznym Podmieście Vereesa aż podskoczyła.

– Anduinie – powiedziała i zaśmiała się. – Przepraszam, zamyśliłam się.

– Nie, to ja przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć. Czy wszystko w porządku?

Wróciła do teraźniejszości, stojąc twarzą w twarz z jeszcze jednym pięknym chłopcem, choć wiele starszym niż jej bliźniacy. Jasnowłosy książę miał jednak podobnie dobre serce.

– Tak, wszystko dobrze – odparła. – Co tu robisz?

Zrobił nieco zawstydzoną minę.

– Idę do Garrosha. Jakiś czas temu poprosił, żebym go odwiedził, i od tamtej pory rozmawiamy codziennie po rozprawie. Po zeznaniach Alexstraszy nie chciałem go więcej widzieć, ale… cóż, to może być moja ostatnia okazja. Uważam, że powinienem do niego iść, nawet jeśli znów ma tylko na mnie wrzeszczeć.

Vereesa patrzyła na niego i myślała o swoich roześmianych synach. Nie czekając, aż się rozmyśli, skoczyła nagle ku niemu i złapała go za ramię. Anduin spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Vereeso?

– Wierzę, że to zrządzenie Światłości – powiedziała. Słowa sypały się szybko, jedno za drugim, jakby chciały umknąć, zanim strach i nienawiść zamkną jej usta. – Zdaję na ciebie swój wybór. Posiłek Garrosha jest zatruty. Zrób z tą wiedzą, co chcesz.

Nie czekając na odpowiedź, odbiegła korytarzem. Znajdzie Yu Fei, przeniesie się do Dalaranu i uściska swoich chłopców – swoje ciepłe, żwawe, żywe dzieci – a potem nigdy więcej nie pomyśli, żeby ich porzucić.

Anduin patrzył za odbiegającą elfką z rozdziawionymi ustami.

Trucizna? Vereesa chciała otruć Garrosha? Nie mógł w to uwierzyć. Potem jednak przypomniał sobie, jaka była zgorzkniała i oschła po Theramore, jak razem z Jainą nawzajem podsycały swoją wściekłość, i z bólem uświadomił sobie, że owszem – to może być prawda.

Nagła myśl pchnęła go do działania – a jeśli posiłek został już podany? Popędził korytarzem i wyhamował przed drzwiami prowadzącymi na rampę.

– Kolacja – wysapał – czy już przyszła?

– Nie, książę Anduinie – odparł Lo. – Może powinieneś zjeść swoją i wrócić, kiedy będziesz spokojniejszy.

Książę aż osłabł z ulgi i zaśmiał się chrapliwie.

– Przepraszam. Czy mogę się z nim zobaczyć?

Bracia popatrzyli po sobie.

– On jest… w bardzo nieprzystępnym nastroju – rzekł Lo.

– Bardzo – dodał Li.

Radość Anduina, że zdążył na czas, zniknęła zastąpiona powagą.

– Grozi mu śmierć – powiedział – i to nie taka, na jaką się przygotowywał. Udawał odważnego, ale teraz może tylko czekać. Mogę zrozumieć, że jest… nieprzystępny.

– Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość – zgodził się Li z wyraźną niechęcią i otworzył drzwi.

Garrosh nie siedział jak zawsze na futrach. Chodził tam i z powrotem w ciasnocie celi, mogąc przesuwać stopy tylko o kilkanaście centymetrów z każdym krokiem. Kiedy drzwi się otworzyły, obejrzał się z gniewem, a gdy zobaczył, kto przyszedł, jego twarz pociemniała jeszcze bardziej. Anduin przygotował się na werbalną kanonadę, ale ork się nie odezwał, dalej tylko szurał łapami.

Książę usiadł i czekał. Brzęk, brzęk, szur, szur, brzęk, brzęk, szur, szur… Po dłuższej chwili Garrosh zatrzymał się.

– Po co przyszedłeś, ludzkie dziecko?

Nie tego Anduin oczekiwał. W głosie orka nie było słychać goryczy ani wściekłości, tylko rezygnację.

– Przyszedłem na wypadek, gdybyś potrze… chciał ze mną porozmawiać.

– No, ale nie chcę. Zmykaj już. – W miejscu rezygnacji pojawiła się pogarda. – Wracaj do swoich zabaw ze Światłością i wymachiwania małym Uśmierzycielem. Baine przynajmniej miał dość godności, żeby ci go oddać.

– Próbujesz mnie rozzłościć – stwierdził Anduin.

– Udaje mi się?

– Tak.

– To dobrze. A teraz idź.

– Nie – oznajmił książę, zaskakując tym samego siebie. – Poprosiłeś, żebym do ciebie przyszedł. W głębi duszy chciałeś się zobaczyć z kapłanem, ale nie zniósłbyś rozmowy z kimś z Hordy. Bo wtedy to pragnienie, ta potrzeba… to by było zbyt prawdziwe. Lepiej wezwać mnie, swojego tak zwanego wroga. Lepiej bawić się w szarady i obrzucać mnie obelgami, zamiast stawić czoła możliwości, że, zgadnij co, mogą cię stracić. Ale nie rozumiesz jednego, Garroshu – ja wierzę w to, czym jest bycie kapłanem. Zostanę z tobą, czy tego chcesz, czy nie. Bo może nadejść taka chwila, jedna, krótka chwila, że będziesz się cieszył z mojej obecności.

– Prędzej zgniję w najciemniejszych zakamarkach Wypaczonej Otchłani, niż ucieszę się z twojego dziamgania!

Garrosh w jednej chwili się zmienił, a Anduin zrozumiał, jak wiele musiało go kosztować zachowywanie spokoju. Teraz zniknęło, zrzucone jak niepasujący płaszcz. Oczy Garrosha nie jarzyły się czerwienią, ale kipiąca w nim wściekłość była widoczna mimo to. Szalał z gniewu, zaciskał skute kajdanami pięści.

– Siedzisz tam codziennie, taki pewny siebie, i prawisz mi morały – ciągnął głosem ociekającym obrzydzeniem. – Ty i ta twoja Światłość. Taki jesteś pewny, że znosząc moje słowa i patrząc, jak rozstrzyga się mój los, zdołasz mnie zmienić. Każdy czegoś ode mnie chce, chłopcze, i ty też.

– Ja tylko chcę ci pomóc…

– Pomóc? W czym?! – Ork podniósł głos. – Pomóc mi umrzeć? Czy może pomóc mi żyć jak oswojony wilk, skowyczący o głaskanie i skrawki mięsa od czasu do czasu? Nie wystarczy ci, że nie mogę nawet kroczyć jak wojownik, lecz muszę być skuty niczym dzika bestia? To właśnie ma mi zrobić ta twoja Światłość?

Anduin odczuwał każde słowo jak fizyczny cios.

– Nie, to nie tak, Światłość tak nie działa…

– Bo oczywiście nastoletni chłopiec wie wszystko o działaniu Światłości – parsknął ork i zaczął się śmiać.

– Wiem wystarczająco dużo – odparł Anduin, czując narastający gniew. Siłą woli zmusił się do cierpliwości. – Wiem, że…

– Nic nie wiesz, chłopcze. Masz ciągle pod nosem mleko matki!

Książę wzdrygnął się jak ukłuty.

– Nie mieszaj w to mojej matki, Garroshu. Tu chodzi o ciebie i o to, że zostało ci tylko kilka godzin, zanim się dowiesz…

– Tu chodzi o to, o co powiem, że chodzi! A ja mówię, że chodzi o twoją arogancję, przeklętą arogancję Przymierza, o to, że wydaje ci się, iż wiesz, co jest najlepsze i najwłaściwsze dla wszystkich, ze mną włącznie!

Anduin oddychał szybko, zacisnął pięści. Drzwi się otworzyły i do środka weszła Yu Fei z braćmi Chu. Wyglądali tak spokojnie, jakby nie słyszeli ani słowa z wrzasków orka. Garrosh warknął na ich widok.

– Cofnij się, Garroshu, wiesz, że nie chcemy ci zrobić krzywdy – powiedział Lo.

Mała Yu Fei stała z boku; Anduin nagle pojął, że to ona jest najgroźniejsza, a nie bracia Chu. Garrosh popatrzył na nich, ryknął bezsilnie i cofnął się. Pandarenka dezaktywowała czar i do celi wstawiono tacę z zielonym curry z rybą. Yu Fei rzuciła zaklęcie na nowo i bez słowa cała trójka wyszła, zamykając za sobą drzwi na klucz.

– Garroshu, posłuchaj mnie… – zaczął Anduin, zamierzając ostrzec go o truciźnie.

– To ty mnie posłuchaj, dzieciaku. Mam nadzieję, że przeżyjesz i zostaniesz królem. Bo nieważne, czy ja tu jeszcze wtedy będę, w dniu, kiedy siądziesz na tronie, orkowie będą świętować. I przybędziemy do Wichrogrodu. Słyszysz mnie? Będziemy pędzić przez wasze ulice i zabijać waszych ludzi. Zatkniemy twoje miękkie, kochające pokój ciało na pice i spalimy miasto z tobą w nim. A twoi rodzice, będąc w jakichkolwiek zaświatach, jakie daje wam Światłość, pożałują, że królowa Tyfina nie poroniła.

Anduin przestał oddychać. Miał wrażenie, że zaraz pęknie od rozpalonej do białości wściekłości. Chciał, żeby Garrosh zamilkł na zawsze. Chciał wypalić swój umysł ze wszystkich pozostałości o Garroshu Hellscreamie. Wiedział, jak używać Światłości. Mógł użyć jej teraz, nie jako ochronnej tarczy czy uśmierzającego balsamu, lecz jako broni.

Może Vereesa miała rację, może istotnie działała tu Światłość. Sama zajmie się Garroshem. Anduin musi tylko milczeć. Był skończonym głupcem, sądząc, że może orkowi pomóc. Że zdoła jakoś do niego przemówić. Garrosh miał rację, nikt nigdy nie mógł go zmienić.

On chciał cię zabić, przekonywał się książę. Zabiłby cię teraz, gdyby mógł. Niech umiera. Świat naprawdę będzie lepszym miejscem bez niego.

Garrosh patrzył, jak książę Wichrogrodu zmaga się ze swoją wściekłością, i wybuchnął śmiechem. Wycisnął sanfruta na curry i podniósł miskę do ust.

Na wpół z jękiem udręki, na wpół z krzykiem Anduin skoczył, sięgnął przez zaklęte okno i wytrącił Garroshowi naczynie z ręki. Miska ze stukotem potoczyła się po podłodze, jej zawartość obryzgała futra.

Ork chwycił księcia za rękę i szarpnął tak, że Anduin uderzył twarzą w żelazne pręty, a potem wykręcił mu ramię do granic możliwości. Książę jęknął.

– Rozwścieczyłem cię, chłopcze? W takim razie wygrałem!

– Twoje jedzenie… jest zatrute – syknął Anduin, z bólu zaciskając zęby.

– Kłamiesz! Nie ścisnę cię przez kraty za to chude gardło, ale trzymam cię za rękę i wyrwę ci ją ze stawu!

Anduin pozwolił, by wypełniła go Światłość, i ból zniknął. Spokój w jego duszy zastąpił gniew. Nie protestował, tylko patrzył na Garrosha. Ork miał rację. Mógł wyrwać mu rękę równie łatwo, jak wyrywa się warzywo z ziemi. Anduin był skazany na łaskę i niełaskę Garrosha, ale nie przejmował się. Zrobił to, co należało, i nic więcej się nie liczyło. Co ma być, to będzie.

Garrosh wpatrywał się w niego, sapiąc z wściekłości, ale Anduin nie drgnął.

Uwagę ich obu przykuł jakiś ruch na podłodze. Był to szczur, którego książę widział już wcześniej, wywabiony z kryjówki kuszącym zapachem rybnego curry. Podbiegł, strosząc wąsiki i węsząc, a potem przednimi łapkami chwycił jakiś kąsek i zaczął jeść.

Drgnął, znieruchomiał, wrócił do jedzenia. Jego ciałkiem szarpnął następny skurcz; tym razem zaczęły się konwulsje. Na pyszczku zwierzęcia pojawiły się piana i krew. Szczur miotał się w agonii, usiłował poczołgać z powrotem do kryjówki, ale stracił władzę w łapkach. Przez chwilę z mokrym, charkotliwym dźwiękiem próbował jeszcze oddychać, a potem litościwie zastygł w miejscu.

Anduin z trudem przełknął ślinę, a potem oderwał wzrok od nieszczęsnego zwierzątka i zobaczył, że Garrosh wpatruje się weń intensywnie. Ork zerknął w bok i odepchnął księcia tak mocno, że ten omal nie upadł.

Anduin wahał się przez chwilę. Potem rozmasował uleczone już ramię, odwrócił się i wszedł na rampę. Spokojnie zastukał do drzwi. Otwarto mu je i wyszedł bez jednego słowa więcej.

Pogodził się z samym sobą. Pora, by Garrosh zrobił to samo.

Zanim odszedł korytarzem, odwrócił się do Li Chu.

– Kiedy Garrosh będzie prowadzony na salę, żeby wysłuchać wyroku – powiedział – proszę… rozkujcie go.

– Nie możemy tego zrobić, książę Anduinie – odparł Li.

– W takim razie… przynajmniej rozkujcie mu nogi. Niech idzie jak wojownik. Przecież sześciu strażników wystarczy, gdyby próbował uciec. Nie sądzę, żeby próbował. Wie, że prawdopodobnie umrze.

Bracia popatrzyli po sobie.

– Dobrze. Spytamy Tarana Zhu – odparli. – Niczego nie obiecujemy.

Dla Jia Ji to był pracowity dzień. Jako jeden z posłańców był zobowiązany przysięgą nie rozmawiać o przenoszonych wiadomościach ani o tym, kto je do kogo wysyła. Jego usługi cieszyły się dużym popytem. Ale tyle pracy co dziś, nie miał już dawno.

Najpierw był list od wodza Vol'jina do lady Jainy, potem ustna wiadomość od lady do wodza. Później przesyłka od wielkiej łowczej Vereesy Windrunner do siostry. Jia Ji czekał na odpowiedź, ale bardzo głośnym i gniewnym tonem kazano mu się wynosić. Miał jednak ustną wiadomość dla łowczej, z tym że od księcia Anduina, nie Sylwany.

Yu Fei przeniosła go do Dalaranu, gdzie zastał Vereesę siedzącą przy fontannie w towarzystwie swoich synków. Cała trójka głośno wymawiała życzenia, dłonie mieli pełne drobnych monet.

– Wielka łowczyni – ukłonił się uprzejmie – mam dla ciebie wiadomość.

Spojrzał znacząco na dwóch rudowłosych małych półelfów. Wielka łowczyni nieco zbladła i wstała.

Chłopcy przerwali zabawę i spojrzeli na nią z obawą.

– Zaraz wracam – obiecała im i oddaliła się poza zasięg słuchu.

– Tak? – spytała uprzejmie, lecz czujnie.

– To wiadomość od Jego Książęcej Wysokości Anduina Wrynna z Wichrogrodu. Brzmi następująco: „On żyje. Nie uczynię dwójki dzieci sierotami bez matki, gdy nie mają już ojca. Co zrobisz dalej, to twoja decyzja". Mam zanieść odpowiedź?

Oblicze Vereesy złagodniało, spokój przywrócił jej piękno.

– Tak – odparła. – Powiedz mu… że Rhonin mu dziękuje.

Martwy koń galopował tak samo szybko jak za życia i nigdy się nie trudził. Jadąca na nim kobieta zabijała równie szybko jak za życia i także nie czuła zmęczenia. Las poczęły zaścielać trupy: wilków, niedźwiedzi, jeleni, pająków. Wszystko, co miało pecha znaleźć się na jej drodze, ginęło, nie zawsze szybko i rzadko elegancko.

Królowa banshee wydawała z siebie przerażające wrzaski, zawierając w nich całe mdlące poczucie zdrady i rozszalały, obłąkany smutek. Jakiś niedźwiedź padł na ziemię,

przerażony i osłabiony samym dźwiękiem. Sylwana naszpikowała jego brązowe futro strzałami; bestia zaryczała z bólu i zryła łapami omszałą ziemię. Czarna Pani upajała się jego cierpieniem. Zeskoczyła ze szkieletowego wierzchowca i zaatakowała wilka, który stawił jej czoła z groźnym warkotem, dopóki nie oderwała mu łba gołymi rękami.

Ból był nie do zniesienia. To było to samo cierpienie, którego doznawała przez ostatnie kilka dni, kiedy czuła się tak szczęśliwa z Vereesą. Tyle że teraz zniknęła towarzysząca mu radość i została tylko męka.

Męka i nienawiść.

Jej skórzany strój był obryzgany krwią, ale nie przejmowała się tym. Jedynym sposobem, by przerwać cierpienie, było zadać ból komuś innemu, w ten sposób dać upust żalowi i rozpaczy. Skoro nie mogła wyładować się na Vereesie, siostrzyczce, Małej Lunie…

Zachwiała się, trzymając w ręku wilczy łeb, i zamrugała, bo oczy miała zalane krwią. Puściła łeb, który potoczył się po ziemi. Padła na kolana, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać, łkać jak małe dziecko, które straciło wszystko.

Mała Luno…!

Stopniowo szloch ucichł i znajomy chłód ukoił płomienie agonii. Sylwana wstała, oblizując krew z warg.

Powinna była się domyślić. Ten ból, który czuła na początku, kiedy głupio pozwoliła sobie mieć nadzieję na coś więcej, niż miała teraz… Nadzieję, że coś poczuje… że znów będzie kochać… To było ostrzeżenie. Ostrzeżenie, że nie ma już w niej miejsca na uczucia takie jak nadzieja, miłość, zaufanie czy radość, to była domena żywych; to była domena słabych. W końcu przesypałyby się jej przez palce jak fioletowe szczątki uczennicy Jainy i zostałaby sama. Znów i zawsze. Uspokojona przez łzy i rzeź wsiadła z powrotem na konia. Sylwana Windrunner, Królowa Opuszczonych, nigdy już nie popełni tego błędu i nie uwierzy, że jest zdolna do miłości.

34

Go’el był zaskoczony, widząc, że miejsce Sylwany jest puste. Ze wszystkich przywódców Hordy ona chyba żywiła do Garrosha największą, najbardziej zajadłą nienawiść. Jak to mówił Baine? Vol’jin powiedział taurenowi, że: „Nikt nie zna nienawiści lepiej niż Mroczna Pani. Ona lubi, żeby jej nienawiść podawać na zimno”.

A mimo to w dniu, kiedy Garrosh miał w końcu przerwać milczenie, nie było jej tu, by napawać się jego cierpieniem. Dziwne.

Widzowie zaczęli wracać na miejsca, choć nikt nie śmiał zająć miejsca Sylwany. Kairoz stał samotnie przy stole, majstrując przy Wizji Czasu. Go’el założył, że smok ją dezaktywuje, skoro spełniła już swoją rolę. Zirytowało go, że Kairoz robi to teraz, zamiast poprzedniego wieczora czy nawet jeszcze wcześniej. Urządzenie nie było potrzebne podczas mów końcowych, wszystkie dowody zostały już pokazane. Choć Go’el nie przepadał za Garroshem, uważał za nietakt, że smok zajmuje się porządkowaniem. Zdziwił się, że Taran Zhu na to pozwolił, ponieważ takie postępowanie trąciło brakiem szacunku dla sądowych procedur; uznał, że musi istnieć jakiś powód, znany tylko spiżowemu smokowi. Chromia bez wątpienia za chwilę dołączy do Kairoza. Go’el był przekonany, że żadne z nich, odegrawszy tak znaczące role w procesie, nie przegapiłoby ostatniej mowy Garrosha.

Do tej pory proces więcej rzeczy zagmatwał niż rozwiązał. Wielu członków Hordy miało za złe Baine’owi, że wyraźnie szczerze bronił Garrosha.

Taktyka, której obrońca użył wobec Vol’jina i Go’ela, była z pewnością nieprzyjemna. Jednak mowa końcowa taurena jasno wykazała, dlaczego uważał, że musi tak postąpić, i Go’el to zrozumiał. Mimo to cieszył się, że to już koniec. Jakąkolwiek decyzję podejmą

Czcigodni Niebianie, będzie to wielka ulga.

Nad areną niósł się gwar ożywionych głosów, dziś jeszcze bardziej niż zwykle.

Rozmowy ucichły, kiedy wszedł Taran Zhu i tym samym niespiesznym krokiem co zawsze skierował się do swojego krzesła.

Uderzył w gong i oznajmił:

– Sąd wznawia posiedzenie. Proszę wprowadzić przysięgłych.

Czworo niebian zajęło swoje stałe miejsca. Pozostawali nieprzeniknieni, czekali na to, co powie oskarżony.

Siedząca obok Go'ela Aggra zesztywniała.

– Idzie – mruknęła.

Garrosh Hellscream pozostawał w obstawie sześciu strażników, ale dziś łańcuchy, które przedtem pętały mu nogi, zniknęły. Wciąż kulał. Kajdanami miał skute tylko ręce. Szedł wyprostowany, ze znużeniem, ale i godnością.

– Cieszę się, że Taran Zhu na to pozwolił – powiedział Go'el do Aggry. – To wojownik. Powinien stawić czoła śmierci jak ork, nie jak zwierzę.

– Hmm – mruknęła Aggra. – Jesteś dla niego łaskawszy niż ja. Nie uważam, by zasłużył na jakiekolwiek względy, bo jeśli ktokolwiek mu je kiedyś okazał, on to zmarnotrawił.

– I to – odparł Go'el – następna tragedia.

Anduin od najmłodszych lat był uczony, jak siedzieć spokojnie podczas oficjalnych uroczystości. „Książę się nie wierci" – mówiono mu. Dziś jednak, po spotkaniu z Vereesą i Garroshem, był podenerwowany i ledwie udawało mu się wysiedzieć. Na szczęście wszyscy wokół zachowywali się nerwowo, choć książę miał nadzieję, że nikt inni nie przeżył w czasie przerwy tego co on. Sądząc po zachowaniu Jainy i Kaleca, spotkało ich coś dobrego. Trzymali się za ręce i wyglądali na szczęśliwych. Anduin ucieszył się. Chciał, żeby dla odmiany komuś ułożyło się w życiu.

– Jak się trzymasz? – spytał Varian.

– Dobrze – odparł książę nieco zbyt szybko.

– Nie byłem zadowolony, kiedy zacząłeś odwiedzać Garrosha – ciągnął król – ale… myślę, że postąpiłeś słusznie. Teraz wszystko zależy od niebian.

– Czy sądzisz, że jeśli poprosi o łaskę, okażą mu ją? – Anduin nie zdołał się powstrzymać.

– Nie mam pojęcia, co może zrobić niebianin – odparł Varian. – Zależy mi na tym, żeby z tobą było wszystko w porządku.

– Wszystko jest w porządku – zapewnił książę i uświadomił sobie, że to prawda. Zrobił dla Garrosha, co tylko mógł, i był usatysfakcjonowany. Choć wciąż nieco nerwowy. Dostrzegł ruch w jednym z wejść. – Idzie.

Kiedy Garrosh wyszedł na arenę, Anduin zobaczył, że Taran Zhu zgodził się na prośbę, by zdjąć z niego część łańcuchów. Ork dostał nawet czystą tunikę. Wyglądał lepiej, niż kiedy książę od niego wychodził; był spokojniejszy, bardziej… dostojny.

– Hm – mruknął Varian. – Gdzie Chromia? Myślałem, że będzie chciała to zobaczyć.

Anduin obejrzał się i faktycznie, przy stole spiżowych smoków był tylko Kairoz, wciąż majstrujący coś przy Wizji Czasu.

– Nie mam pojęcia – mruknął książę i z powrotem skupił uwagę na Garroshu.

Strażnicy zaprowadzili go na środek sali, a potem czterech z nich się wycofało. Zostało tylko dwóch, ale nawet oni zatrzymali się kilka kroków za orkiem, który stanął przed obliczem fa'shua.

– Garroshu Hellscreamie – powiedział Taran Zhu. – Zostałeś formalnie osądzony według pandareńskiego prawa. Zanim przysięgli rozpoczną dyskusję, czy chcesz powiedzieć coś mnie, im albo komukolwiek z widzów?

Garrosh popatrzył po widowni, jakby widział ją po raz pierwszy. Obrócił się w miejscu, wodząc spojrzeniem po twarzach, kilka razy zatrzymując wzrok. Gdy trafił na Anduina, przez twarz przemknął mu jakiś nieokreślony grymas.

– Tak – rzekł, głosem mocnym i wyraźnym. – Mam coś do powiedzenia. Czcigodny Taranie Zhu. Czcigodni Niebianie. Widzowie z całego Azerothu. Słyszałem wszystko to, co słyszeliście i wy. Widziałem to, co i wy.

Odwrócił się do Tyrande, która siedziała w milczeniu i idealnym bezruchu.

– Tyrande Whisperwind przedstawiła niezbite dowody przeciwko mnie. Niektórych z was rozwścieczyły, niektórych natchnęły myślami o zemście. Myślami o mojej śmierci. Nie dziwię się, że tego pragniecie.

Uśmiechnął się pod nosem do Tyrande, a potem spojrzał na swojego obrońcę. Baine również siedział wyprostowany i spokojny, choć wyglądał nieco bardziej ponuro niż elfka.

– Baine Bloodhoof, nie mając ku temu powodów, z największym przekonaniem poprowadził linię obrony, która nie zapewniała o mojej niewinności, lecz nakłaniała was do okazania zrozumienia. Współczucia. Do tego, abyście wy, przysięgli i widzowie, zajrzeli we własne serca i dostrzegli, że nikt nie jest tak naprawdę wolny od winy.

Potem, ku zaskoczeniu Anduina, Garrosh odwrócił się właśnie do niego.

– Zaś książę Anduin Wrynn, który ma wszelkie prawo najgłośniej domagać się mojej śmierci, postanowił spędzić wiele godzin w moim towarzystwie. Próbowałem go zabić w sposób okrutny i bolesny. A on co zrobił? – Garrosh pokręcił głową, jakby

z niedowierzaniem. – Opowiadał mi o Światłości. Mówił, że wierzy, że mogę się zmienić. Okazał mi dobroć, kiedy ja miałem dla niego tylko nienawiść i okrucieństwo. To za jego przyczyną stoję tu przed wami, oczekując na wyrok, który najpewniej będzie wyrokiem śmierci, jako wojownik, a nie spętany niewolnik.

Podniósł skute ręce i skłonił się krótko Anduinowi, po czym znów odwrócił do tłumu.

– Och, tak. Wiem doskonale, ile krwi mam na rękach. Znam dobrze swoje czyny i to, co z nich wynikło, wiem, co zrobiłem. – Wziął głęboki oddech i przez chwilę zdawał się zbierać myśli. Anduin nachylił się, nie chciał poddawać się nadziei, ale mimo to czuł ją, piękną i szaloną.

– I teraz, w tej chwili, kiedy mogę powiedzieć, co naprawdę mam w głowie i w sercu, powiem wam prawdę…

Jego śmiech poniósł się echem po arenie.

– Nie żałuję niczego!

Anduinowi zaparło dech w piersi. Poczuł zimno i odrętwienie. Siedział tylko i gapił się na Garrosha, przez chwilę niezdolny zrozumieć sensu jego słów. Uderzyła go fala dźwięku, tumult i krzyki rozjuszonych widzów. Taran Zhu daremnie tłukł w gong, domagając się porządku.

Garrosh jednak dopiero zaczynał.

– Tak! – ryknął, unosząc skute ręce. – Tak! Zniszczyłbym tysiąc miast takich jak Theramore, gdyby miało to rzucić Przymierze na kolana! Wytropiłbym każdego nocnego elfa, uciszyłbym na zawsze ich skomlenie! Wygnałbym każdego trolla, każdego taurena, każdego jęczącego krwawego elfa, chciwego goblina i powłóczącego nogami żywego trupa, gdyby to było w mojej mocy – i prawie było!

Do Anduina dotarło, że jego ojciec raz po raz powtarza jego imię. Obejrzał się niepewnie na Variana, przytłoczony osłupieniem i rozczarowaniem.

– Anduinie – powiedział król – chodź. Go’el chce z nami porozmawiać i chyba wiem o czym.

Go’el stał blisko wejścia. Kiedy napotkał spojrzenie Anduina, ruchem głowy wskazał korytarz prowadzący na zewnątrz. Książę przytaknął, a potem oblizując usta i potrząsając głową, zszedł z Varianem po schodach. Garrosh bynajmniej nie skończył. Anduin zacisnął zęby. Jak mógł uwierzyć, że ork się zmieni?

– Jedyne zbrodnie, jakich żałuję, to te, których nie popełniłem! – krzyczał Hellscream zadowolony z zamieszania, jakie wywołały jego słowa. – Jedyne, co mnie dręczy, to że mnie powstrzymano, zanim sprawiłem, że prawdziwa Horda odżyła!

Anduin i jego ojciec podeszli do drzwi, w których czekał na nich Go’el.

– Chromia? – spytał Varian.

– Chromia – potwierdził ork.

– Co z nią? – spytał Anduin.

Go’el odwrócił się do niego.

– Pomagała Tyrande budować linię oskarżenia, a teraz jej tu nie ma. Czy to nie dziwne?

– Coś musiało się stać – rzekł Varian.

– Mogę spróbować ją znaleźć – zaoferował natychmiast Anduin. – Po tak długim czasie znam tę świątynię całkiem dobrze.

Powiedział to z goryczą.

Chciał pomóc, ale przede wszystkim nie mógł już ani chwili dłużej słuchać Garrosha.

Książę zbiegł szybko po schodach do lochu, zamierzając zapytać braci Chu, czy widzieli Chromię, i gdyby odpowiedź była odmowna, przykazać, by zachowali czujność. Minął zakręt i gwałtownie wyhamował.

Dwaj pandareni leżeli bezwładnie na podłodze, niczym czarno-białe worki z ziarnem, które ktoś beztrosko wyrzucił. Łańcuchy, którymi do tej pory skuty był Garrosh, teraz oplatały ich krępe ciała, zaś w pyski wepchnięto im kneble.

– O nie – jęknął Anduin i pospieszył do nich.

Obaj bracia zostali uderzeni w głowę, futro mieli pozlepiane krwią, ale wciąż oddychali.

Książę położył dłoń na sercu Li i zmówił modlitwę do Światłości. Jego rękę spowiło łagodne, żółte światło, ciepłe i mrowiące. Przepłynęło przez niego błogosławieństwo Światłości, oczyszczając go niczym lekki deszczyk i przechodząc z niego na Li. Pandaren otworzył oczy, a Anduin wyciągnął mu knebel.

– Dwie… wojowniczki – wymamrotał Li. Książę odwrócił się do Lo Chu i zmówił modlitwę, by wyleczyć i jego. – Miały kusze… nie powinny mieć, ale miały.

Wielki guz na głowie Lo zniknął pod wpływem dotyku Anduina. Pandaren zamrugał oczami i także odzyskał przytomność. Książę odkneblował też jego.

– Skoro miały kusze, to macie szczęście, że żyjecie – powiedział Anduin, zastanawiając się, kim były te wojowniczki i skąd się wzięły. – Rozkuję was.

Wiedział, że Lo Chu trzyma klucze do kajdan i drzwi w nieodłącznej sakwie, którą nosi u boku. Książę sięgnął do niej i zmarszczył brwi.

– Lo, gdzie klucze?

– Musiały je zabrać! – Lo aż się skręcił z bezsilności.

– Rozpoznaliście je? – spytał Anduin. Obaj bracia pokręcili głowami. – Ale… to bez

sensu. Garrosh już wyszedł z celi. Po co miałyby… – Poderwał się i załomotał w zamknięte drzwi. – Chromio?

Wydawało mu się, że coś słyszy, przytknął więc ucho do drzwi i skupił się.

– Anduinie…

Zabrzmiało to słabo, ale wysoki, gnomi głos należał do Chromii.

Księcia zalała fala ulgi.

– Ktoś skuł Lo i Li i zabrał klucze, ale wydostaniemy cię! – zapewnił smoczycę, krzycząc, żeby go usłyszała. – Nie martw się! Co się stało?

– To był Kairoz!

– Co? – Anduinowi opadła szczęka.

– Proszę, posłuchaj mnie, nie mamy dużo czasu! On chyba chce coś zrobić z Wizją Czasu. Przyłapałam go, jak przy niej majstrował, i spytałam, co robi, a on zaczął się wykręcać, że ją wyłącza. Zaczęłam go przyciskać, a potem… potem ocknęłam się tutaj, zamknięta. Musisz go powstrzymać, cokolwiek chce zrobić! Proszę, pospiesz się!

– Idź! – krzyknął Li.

– My będziemy medytować i rozwijać cnotę cierpliwości – dodał Lo.

– Dobrze wam to zrobi – odezwał się jedwabisty, gładki głos. – Zwłaszcza Li.

Anduin odwrócił się błyskawicznie i serce skurczyło mu się boleśnie na następną zdradę tego okropnego dnia.

– Dwie wojowniczki z kuszami – powiedział z goryczą. – Ork i człowiek, prawda, Li? Powinienem był się domyślić.

– Być może powinieneś, ale nie nauczyłeś się jeszcze podejrzewać zdrady, Anduinie Wrynn – powiedział Wrathion ze smutnym uśmiechem. – Jeśli to dla ciebie jakaś pociecha, bardzo mi przykro z powodu tego, co teraz zrobię.

Anduin zaśmiał się pogardliwie.

– Akurat.

Czarny Książę wzruszył ramionami.

– Wierz, w co chcesz, ale taka jest prawda. Jesteśmy przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi? Przyjaciele się nie zabijają!

Rozjarzone oczy smoka otworzyły się szeroko; wyglądał niemal na zranionego.

– Czemu miałbym to robić? Spójrz na braci Chu. Są żywi, choć przyznaję, okropnie bolą ich głowy, a na nich zależy mi o wiele mniej niż na tobie.

– Wrathionie, co tu się dzieje? Co ty wyprawiasz?

Młody czarny smok westchnął.

– Kiedyś prosiłeś, żebym obserwował i słuchał, i zdecydował, co jest najlepsze dla Azeroth. I dokładnie to zrobiłem. Jesteś następcą tronu Wichrogrodu. Masz obowiązek

dbać o bezpieczeństwo swojego królestwa. Zrobisz, co uważasz za najlepsze dla niego i swoich poddanych. Ja jestem ostatnim czarnym smokiem i dawne zadanie mojego rodu – strzec bezpieczeństwa Azeroth – spada wyłącznie na mnie. Muszę wypełnić to zadanie.

– Nie słuchaj go, Anduinie! – krzyknęła Chromia.

Książę wskazał na wciąż skutych pandarenów.

– To nazywasz dbaniem o bezpieczeństwo Azeroth?

– W tym wypadku, zapewniam cię, cel uświęca środki. Mam wielką nadzieję, że pewnego dnia to zrozumiesz. A kiedy ten dzień nadejdzie, obaj stawimy czoła straszliwemu wrogowi. Być może nawet jako bracia.

Zrozpaczony Anduin wyciągnął rękę.

– Nie musisz tego robić w ten sposób. Powiedz mi, o co chodzi. Mogę ci pomóc, razem znajdziemy jakieś wyjście…

– Bywaj, młody książę – przerwał mu Wrathion.

Podniósł rękę i Anduin stracił przytomność.

35

– Nic! Nic na tym świecie nie może mnie powstrzymać! – ryczał Garrosh, unosząc swoje skute pięści i potrząsając nimi tryumfalnie.

W tym momencie Jaina zrozumiała, co nie dawało jej spokoju. Wszyscy byli wzburzeni – Garrosh, Taran Zhu, strażnicy, widzowie – ale Kairoz stał spokojnie przy stole, ze skromnym uśmiechem na przystojnej twarzy. Nagle wszystko stało się jasne. Jaina otworzyła usta, by wykrzyczeć ostrzeżenie dla Tarana Zhu, ale w tej samej chwili spiżowy smok powoli wyciągnął dłoń i nie odrywając spojrzenia od perorującego Garrosha, zepchnął Wizję Czasu ze stołu.

– Nie! – krzyknęła Jaina. Jej głos zgubił się w zgiełku. Patrzyła, jak Wizja Czasu niczym w zwolnionym tempie spada na twardą, kamienną podłogę. Artefakt koziołkował, piasek w jego wnętrzu zaczął świecić, a oba ozdobne, spiżowe smoki ocknęły się, rozprostowały skrzydła i wzbiły do lotu.

Wizja rozbiła się ze zgrzytliwym, a zarazem melodyjnym dźwiękiem. Kule pękły, a piasek wysypał się na zewnątrz – i w górę. Ze szczątków wystrzeliła oślepiająca burza energii, tornado złotego, wirującego światła. Dobiegające z widowni krzyki gniewu zmieniły się we wrzaski zgrozy, a Jaina poczuła w powietrzu zmianę – elektryzujące mrowienie magii. Pole tłumiące, które rozciągnięto nad świątynią, zniknęło. Jedyną magią wyjętą spod jego działania były czary spiżowych smoków – czary, które teraz zniosły pole. Na oczach wstrząśniętej Jainy rozwarła się wielka dziura w czasie i przestrzeni. Garrosh i Kairoz jakby zapadli się w podłodze – a z czeluści wychynęły inne istoty.

Nie były to demony, żywiołaki ani nic tak pospolitego. Kiedy Jaina zrozumiała, kto otrząsa się z zaskoczenia, rozgląda i zaczyna wymachiwać bronią, osłupienie odebrało jej

mowę.

Jej wzrok przykuła kobieta z jednym złotym pasmem w białych włosach, odziana w powłóczystą biel, fiolet i błękit, dzierżąca zdobioną laskę. Nad nią, dość wielki, by chwycić ją pazurami przednich łap, unosił się błękitny smok, wspaniały w odcieniach lodu i nieba, obłąkańczo roześmiany. Obok białowłosej stała nocna elfka o zimnych, okrutnych rysach twarzy, a za nią…

– Kalec! – krzyknęła Jaina. – Oni to my!

Ale on już się zerwał, już biegł na dół, by znaleźć wystarczająco duże miejsce na przemianę. Jaina przeskoczyła w tryb bojowy, umysł miała jaśniejszy i bystrzejszy niż przez cały czas trwania procesu. Skoro pole tłumiące opadło, odzyskali swoją broń.

A ona zamierzała z niej skorzystać. Kobieta na arenie, śląca ogniste kule w stronę przedstawicieli Hordy, nie była jej obca. Jaina pamiętała aż za dobrze, jak tamta się czuła. To nie była tylko jedna z jej potencjalnych wersji – to była ona sama. Miała mocne postanowienie powstrzymać tamtą. Przyzwała wirującą kulę trzaskających płomieni i cisnęła ją w swojego sobowtóra.

Druga Jaina odwróciła się i odbiła pocisk rozbłyskiem czystej, tajemnej mocy. Zimny uśmiech wykrzywił jej twarz, a pierwsza Jaina pomyślała nagle: Wiem dokładnie, co zrobię, więc ona też – jak mam walczyć ze sobą samą?

Go’el i Varian stali oparci o jeden z kamiennych filarów przy wejściu do świątyni, słuchając krzyków Garrosha Hellscreama.

– Z każdym słowem sam kopie sobie grób – powiedział Go’el, kręcąc głową. – Co za strata.

Varian zaczął przytakiwać, a potem przekrzywił głowę i lekko ściągnął brwi. Go’el natychmiast zrobił się czujny, odwrócił się plecami do zamieszania wewnątrz świątyni. Też to usłyszał – słaby, ale coraz głośniejszy, ciągły łopot, jakby…

– Skrzydła – warknął Varian. W tej samej chwili dał się słyszeć inny odgłos, bardziej miarowy i huczący, rytmiczne łup, łup, łup.

– Sterowiec! – krzyknął Go’el.

Obaj byli wytrawnymi wojownikami o wieloletnim doświadczeniu, zareagowali bez zbędnych słów, w doskonałej harmonii. Varian popędził korytarzem na zewnątrz, wykrzykując ostrzeżenie i jednocześnie wyrywając miecz z dłoni zaskoczonego wartownika. Go’el zawrócił w miejscu i pobiegł do świątyni. Już miał wezwać wojowników do bitwy, kiedy zobaczył, jak Kairoz – absolutnie swobodnym, absolutnie wykalkulowanym gestem – strąca na podłogę Wizję Czasu, a Świątynię Białego Tygrysa

ogarnia chaos.

Go’el zasłonił oczy przed burzą energii, wirującą i wydającą odgłos, który prawie zagłuszał wycie tłumu. Otworzyła się olbrzymia wyrwa czasowa. Mrużąc oczy, szaman z bezsilną wściekłością patrzył, jak Kairoz i Garrosh, obaj tryumfalnie uśmiechnięci, znikają w podłodze. Go’el spodziewał się, że wyrwa się zamknie, ale Kairoz nie pozostawił niczego przypadkowi. Tam, gdzie przedtem stały dwie postaci, teraz było widać dziesięć, a szaman znał je wszystkie. Jego spojrzenie padło natychmiast na potężnego orka odzianego w tradycyjną ludzką zbroję płytową. Lśniącą pierś opinał mu czerwono-złoty tabard z herbem czarnego sokoła. Ork machnął olbrzymim toporem i wyprzedzając towarzyszy, rzucił się wprost na wrzeszczącą widownię.

Go’el znał ten herb. Nosił go wróg spoza czasu, który przybył, żeby go zabić. Tamtego wroga szaman pokonał i z tym też sobie poradzi.

– Thrallu! – ryknął, a potężny ork w tabardzie Aedelasa Blackmoore’a obrócił się, szczerząc zęby w uśmiechu, by stawić czoła samemu sobie.

Zela śmiała się, gdy smoki nieskończoności dosiadane przez Smocze Paszcze zbliżyły się do Świątyni Białego Tygrysa. Wewnątrz, dzięki Kairozdormu, jej wódz właśnie uciekał z więzienia. Przypomniała sobie pierwsze spotkanie ze spiżowym smokiem w Grim Batol, w tej samej komnacie, w której dawno temu Smocze Paszcze więziły Alexstraszę.

– Dam ci, przywódczyni Smoczych Paszcz, smoczą armię pod komendę – powiedział jej wtedy.

– Spiżowe smoki?

Pokręcił głową.

– Spiżowe smoki wierzą, że czas powinien się toczyć swoim torem, niezależnie od konsekwencji. Ród smoków nieskończoności i ja uważamy, że należy go zmieniać podług naszej woli.

Nie było żadnego sygnału, żadnego ostrzeżenia, niczego, co ujęłoby chwały pewnemu zwycięstwu. Wszyscy najważniejsi wrogowie Garrosha byli zebrani w jednym miejscu; Zela miała pewność, że kiedy Kairoz przedstawił mu plan, ork docenił nawiązanie do swojego genialnego podstępu w Theramore. Uderzenie jednocześnie ze środka i z zewnątrz świątyni schwyta tych, którzy pragnęli zaspokoić swoje wstrętne obsesje na punkcie Hellscreama, między młot Smoczych Paszcz i kowadło ich własnych, alternatywnych wersji.

Był to przebiegły plan. Zeli nie martwiło to, że będzie zabijała członków Hordy. Jej zdaniem jedyni prawdziwi członkowie Hordy byli tutaj, z nią.

Z trudem przychodziło jej powściąganie wrodzonej brutalności wobec smoka, na którym leciała. Smok nieskończoności nie był ujeżdżoną bestią, lecz świadomym sprzymierzeńcem, zwerbowanym przez Kairoza. Zela pochyliła się w lewo i jej wierzchowiec, o błonach skrzydeł w przyjemnym kolorze szarego metalu, odbił w bok i zbliżył się do podreperowanego nieco sterowca Harrowmeisera.

– Twoja wesoła załoga gotowa?! – krzyknęła przez grzechoczący jazgot.

Goblin obejrzał się przez ramię na wiezionych piratów najeżonych bronią i pokazał uniesiony kciuk. Część z nich chciała w pierwszej chwili zamordować Broniarka, ale obietnica złota ich udobruchała.

– Tak, chociaż niektórzy nie ufają spadochronom. Jestem dotknięty do żywego. Shokia jest na dziobie, a Thalen na rufie, oboje gotowi odstrzeliwać maruderów i kluczowe cele. Powiedz no… – wskazał kule na łańcuchach, wciąż przykute do jego obu nóg – …kiedy się tego pozbędę?

Zela odrzuciła głowę w tył i zaśmiała się swobodne i radośnie. I pomyśleć, że jeszcze kilka dni temu była pogrążona w rozpaczy!

– Zatańczysz na uczcie na cześć zwycięstwa, goblinie, obiecuję ci to!

– Oby. Włożyłem w ten interes niemałe pieniądze – odparł Harrowmeiser.

– Polecę przodem i zobaczę, czy Kairozowi się udało! – krzyknęła Zela. Napięła tylko lekko uda, a jej smok natychmiast odbił w bok i wrócił na poprzedni kurs. Usłyszała jeszcze cichnący głos gnoma:

– Ej, ej, nie dotykaj tego!… nie, nie pij tego, na miłość…

Choć nie mieli środków, by zbudować następną bombę many o mocy choćby zbliżonej do tej, która zmieniła dumne niegdyś miasto Przymierza w krater, Thalenowi udało się przygotować kilkadziesiąt mniejszych. Z kolei Harrowmeiser zamontował w niektórych granatach losowo ustawione zapalniki czasowe. Granaty wyglądałyby na niewybuchy, a potem eksplodowały w nieoczekiwanym i możliwie najgorszym momencie. Każdy jeździec na smoku miał przynajmniej dwa albo trzy; z każdą ofiarą granaty będą podnosiły morale orków. Zela widziała już świątynię. Kompleks rozciągnął się przed nią, pogrążony w błogim spokoju, który za chwilę zostanie zburzony. Mostki, ścieżki i pagody były pełne pandarenów; arena na środku – wrogów Garrosha Hellscreama.

Ustawiła się na czele smoków i zniżyła lot. Jej wierzchowiec wiedział, co robić. Złożywszy skrzydła, zanurkował, a Zela trzymała się go niczym rzep wilczego futra. Smok szarpnął głową i zionął czarnym wichrem palącego oddechu w grupę pandareńskich kupców, którzy wskazywali palcami w górę i coś krzyczeli.

Zela zawyła z radości. Kairoz, tak jak obiecał, usunął pole tłumiące. Sięgnęła do sakwy i wydobyła z niej małą kulę. Cisnęła pierwszy granat many i wyszczerzyła się w szerokim

uśmiechu, widząc lawendową eksplozję.

Anduin zamrugał oczami, zasnutymi mgłą bólu. Słyszał, że Chromia woła go po imieniu, z góry dobiegały też inne odgłosy – coś więcej niż tylko krzyki, które słyszał dotychczas. Nie potrafił ich zrozumieć; ostrożnie dotknął tyłu głowy. Wymacał guza wielkości jajka, a kiedy cofnął dłoń, ta była czerwona. Harmider trwał i nagle książę zrozumiał.

Poznał szczęk stali i ostrą pieśń magii. Nagle naszła go fala mdłości, które nie miały nic wspólnego z ciosem w głowę. To przez niego Garrosh poszedł na arenę tylko w kajdanach na rękach. Jeśli kogoś skrzywdzi, to będzie moja wina, pomyślał.

– Anduinie?

– Nic mi nie jest, Lo – skłamał książę, usiadł prosto i omal nie zemdlał. Był wyczerpany po uzdrowieniu braci Chu i zostało mu niewiele sił, ale poprosił Światłość o pomoc i ból nieco osłabł. – Muszę iść na górę… powstrzymać Kairoza. Przyślę kogoś po was i po Chromię.

– Jesteś zbyt ciężko ranny, żeby brać udział w walce – zaprotestował Li.

Nie, kiedy doszło do niej z mojej winy, pomyślał z rozpaczą Anduin, ale zachował to dla siebie. Ignorując protesty, siłą woli wspiął się na schody, a kiedy wytoczył się przez drzwi, przyszło mu do głowy, że ma zwidy.

Walczący wyglądali bardzo znajomo i obco zarazem – błękitnoskóry troll z naszyjnikiem z ludzkich i elfich uszu, który chichotał, usiłując powiększyć swoją kolekcję. Potężny tauren, dzierżący wielką buławę, odziany w zbroję wodza Hordy…

I złotowłosy chłopiec w szatach koronacyjnych króla Wichrogrodu, który kulił się na ziemi, przyciągając kolana do piersi, zesztywniały z przerażenia. Ściskający w dłoniach, o ironio, Uśmierzyciela.

Anduin przypomniał sobie słowa Wrathiona: „Obawiam się, że możesz być za miękki, by nosić koronę swojego królestwa”. Zdradziecki smok miał słuszność, przynajmniej w alternatywnym strumieniu czasu. Anduin otrząsnął się z paraliżu i pobiegł do chłopca, wyciągając rękę. Młody król Wichrogrodu zapiszczał: „Za tobą!” i zakrył głowę.

Godziny żmudnych treningów walki wręcz dały efekt: Anduin skoczył w lewo i potoczył się po ziemi, słysząc świst chybiającej go o włos glewii. Poderwał się na nogi i ujrzał olbrzymiego trolla, który łakomie szczerzył do niego zęby.

– Tyś szybki, mały książę, ale i tak uszy zabiorę – oznajmił Vol’jin.

Anduin gapił się na gigantycznego trolla, który wyprostował potężne ciało i podniósł glewię. Książę skoczył ku drugiemu Anduinowi, wyrwał mu Uśmierzyciela i machnął nim w górę. Buława rozbłysła jasnym, żółtym światłem i Vol’jin stęknął z bólu.

Anduin zyskał chwilę, by wziąć zamach. Broń zatoczyła gładki, prawie leniwy łuk i przez mgnienie oka wydawało się, że sunie o własnych siłach. Jej srebrna głowica uderzyła trolla w lewy bok. Dzięki skórzanej zbroi cios nie okazał się śmiertelny, ale Anduin poczuł, że Vol'jinowi pękło kilka żeber.

Troll się zachwiał, jęknął i odwrócił ku księciu twarz wykrzywioną okrucieństwem.

– Będziesz za to cierpiał, mały książę – obiecał. – Bansamdi będzie musiał poczekać trochę na twoją duszę!

Rzucił się na Anduina jak szaleniec, wrzeszcząc coś w swoim gardłowym języku, a książę uświadomił sobie ze zgrozą, że troll nie próbuje go zabić, ale mierzy w jego prawe ucho.

Z nieartykułowanym krzykiem zasłonił się Uśmierzycielem i świecąca buława znów uratowała mu życie, odbijając glewię. Vol'jin natychmiast skontrował, wymierzając cios w nieopancerzone ramię księcia. Anduin zatoczył się, broń wypadła mu ze zdrętwiałych nagle palców. Przycisnął dłoń do krwawiącej rany i podniósł wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak Vol'jin bierze zamach do śmiertelnego ciosu…

A potem potyka się z wyrazem szoku na zębatej, wymalowanej na biało twarzy, kiedy skoczył na niego młody król.

To był całkowicie bezsensowny pokaz odwagi.

Vol'jin szybko odzyskał równowagę, wykręcił się i bez trudu strącił drobnego Anduina tak, jak pies strząsa z siebie szczura. Niemalże mimochodem pchnął go w pierś, wyciągnął zakrwawione ostrze glewii i pochylił się, by obciąć królowi uszy.

Nie wiadomo skąd wychynęła olbrzymia, złota łapa, chwyciła trolla i cisnęła nim przez arenę. Chromia pochyliła swój wielki łeb nad Anduinem.

– Nic ci nie jest?

Książę był cały i zarazem umierał, i nie wiedział, co odpowiedzieć. Podbiegł do swojego drugiego ja, mając nadzieję, że zdąży. Szybko zmówił modlitwę i rana tamtego przestała krwawić, ale po kredowobiałej twarzy widać było, że śmierć została tylko odsunięta w czasie.

– Rzucił się na Vol'jina, nie mając nawet broni – powiedział książę Anduin zduszonym głosem. – Uratował mi życie.

Spojrzał na Chromię, jakby widział ją po raz pierwszy.

– Uwolniłaś się – powiedział głupio. – Zapomniałem. Przepraszam.

Tulił młodego króla w ramionach, czując, jak ciepła krew przesiąka mu przez koszulę. Glewia Vol'jina przeszła na wylot.

– Znaleźli nas strażnicy – odparła Chromia. – Muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby zdestabilizować tę wyrwę. To jedyny sposób, żeby odesłać ich wszystkich z powrotem.

Anduin pomyślał, że trzymanie w ramionach samego siebie, umierającego, jest bardzo nierzeczywistym doświadczeniem.

– Co mam zrobić? – spytał. Nie mógł oderwać wzroku od tej bladej, nieruchomej twarzy… własnej twarzy…

– Już to robisz – odparła Chromia z nieskończoną łagodnością. – Akceptacja osłabi ich rzeczywistość w tym strumieniu czasu. Tobie łatwo zaakceptować swojego sobowtóra. Innym – rzekła, rozglądając się dookoła – będzie trudniej.

Przybrała postać gnomki i pobiegła do roztrzaskanej Wizji Czasu, wciąż leżącej na podłodze. Zaczęła rzucać czar. Anduin spojrzał z powrotem na króla, który patrzył na niego z dziwnym spokojem.

– Jesteś… cały – powiedział.

– Tak – przytaknął książę. – Uratowałeś mnie.

– Na… naprawdę? – Król Anduin mówił coraz ciszej, ale wyglądał na zadowolonego. Zaśmiał się i skrzywił z bólu. – Tak się bałem… Nie mogłem nic zrobić, tylko patrzeć…

– Ale zrobiłeś – przerwał mu łagodnie Anduin. – Przełamałeś się wtedy, kiedy było trzeba.

Król umilkł.

– Zimno mi… – szepnął po chwili.

Anduin przytulił go mocniej, uważając na ranę.

– Trzymam cię.

Walka trwała dalej, ale jej odgłosy dobiegały jakby z oddalenia. Król znów umilkł i przez chwilę wydawało się, że to już koniec. A potem się odezwał, tak cicho, że ledwie było go słychać.

– Boję się…

Anduin przełknął z trudem ślinę.

– Nie ma czego… – wykrztusił. – Będziesz z matką i … z ojcem.

– Czy… ojciec żyje? Tutaj?

– Tak, żyje.

Umierający Anduin zamknął oczy.

– To dobrze. Chciałbym go móc zobaczyć.

– Zobaczysz. Tylko… trzymaj się, dobrze?

Cień uśmiechu.

– Jesteś tak samo kiepskim kłamcą jak ja. – Uśmiech znikł. – Powiedz mu, że go kocham.

– Powiem.

Król westchnął cicho i jego pierś więcej się nie uniosła. Zaczął blednąć, bardziej niż

zbladłby od dotyku śmierci. Ku zaskoczeniu Anduina jego ciało rozjarzyło się delikatnym, czystym blaskiem, a potem znikło.

Król Anduin Wrynn wrócił do domu.

Książę Anduin Wrynn powoli podniósł się na nogi, chwycił Uśmierzyciela, przetarł rękawem mokrą twarz i zaczął uzdrawiać tych, którzy wciąż walczyli.

36

Do środka wbiegli strażnicy z bronią. Jeden z pandarenów rzucił Baine’owi mały toporek. Tauren chwycił go zwinnie, biegnąc w stronę splecionych w zwarciu dwóch Thrallów. Był wdzięczny, że Go’el ma na sobie strój szamana, niczym innym nie różnił się bowiem od tego drugiego. Już miał ich dopaść, kiedy nagle zesztywniał w pół kroku, z trudem łapiąc równowagę. Usłyszał ryczący, smoczy śmiech, spojrzał w górę i ujrzał wyszczerzonego, obłąkanego Kaleca. Tylko dlatego, że był obłąkany, błękitny smok nie pozostawił na arenie większej ilości trupów. Zdawał się atakować zarówno sprzymierzeńców, jak i wrogów bez żadnego głębszego zamysłu czy strategii.

Za to miał ją jego odpowiednik; zaszarżował, odciągając szalonego Kaleca od Baine’a. Dwaj orkowie dalej walczyli, ale Thrall wydawał się przegrywać. Oczywiście, pomyślał Baine. Drugi Thrall nie posiadł szamańskich mocy – w przeciwieństwie do Go’ela, który miał do tego doświadczenie wojownika.

Baine prawie już do nich dobiegł, kiedy wyczuł raczej, niż zobaczył atak. Odwrócił się w ostatniej chwili i odbił cios wielkiej buławy dzierżonej przez coś, co wyglądało jak pancerna góra. Góra zwodniczo szybko ożyła i tauren spojrzał w oczy samemu sobie. Jego drugie wcielenie wyglądało na zaskoczone i cofnęło się; Baine zdążył sobie przypomnieć, że ma na sobie tylko lekkie szaty, podczas gdy jego odpowiednik – pełną zbroję.

Kątem oka dostrzegł, że niebianie ani drgnęli, i momentalnie wpadł we wściekłość. Czy nie widzieli, że tu giną ludzie? Czy byli aż tak ponad to wszystko, że nie mogli pomóc?

W tej samej chwili, jakby usłyszeli jego myśli, rozległ się krzyk przeszywający zgiełk bitwy. Był to silny głos, niski, dźwięczny i pochodzący z tygrysiej paszczy. Brzmiał jak

ostrzeżenie i prośba jednocześnie. Był to głos tego, do kogo należała ta świątynia – Xuena.

– Pamiętajcie o sha! Pamiętajcie o sha!

I Baine nagle zrozumiał.

Te alternatywne wcielenia, z którymi on, Go'el i pozostali walczyli, nie były przypadkowe. Kairoz rozmyślnie wybrał najmroczniejsze, najbardziej załamane i gniewne wersje, jakie mógł znaleźć. Kalec był obłąkany. Thrall był czempionem znienawidzonego Aedelasa Blackmoore'a. Sam Baine został wodzem Hordy; wiedział, że tamten zdobył tę pozycję, mordując Garrosha Hellscreama w ramach odwetu za Cairne'a Bloodhoofa.

Nic dziwnego, że niebianie nie włączyli się do walki. Cokolwiek by zrobili, tylko pogorszyłoby to sytuację.

– Zabiłeś Garrosha, prawda? – spytał Baine swojego sobowtóra. – Bo zabił naszego ojca.

Drugi Baine zmrużył oczy i prychnął.

– Rozerwałem Hellscreama na strzępy gołymi rękami – powiedział – a spiżowy smok mówi, że ty… ty go broniłeś!

Zaszarżował z rykiem, ale Baine sparował cios; toporek ze szczękiem uderzył w głowicę buławy. Przypomniał sobie własne słowa, wyraźne i jasne niczym kryształ draenei: „Wszyscy nosimy w sobie potencjał, by zostać własną wersją Garrosha Hellscreama".

Mądrość – dar Yu'lon.

– Tym właśnie mogliśmy zostać! – krzyknął do pozostałych. – To nie są nasi wrogowie, to my! Nie możemy z nimi walczyć, tylko ich zaakceptować!

Poczuł wypełniającą go pewność; męstwo zesłane przez Niuzao. Następny cios odbił z większą siłą. Im bardziej otwierał się na to, co niebianie chcieli mu powiedzieć, tym pełniej przyjmował ich dary.

Drugi Baine znów zaatakował i tym razem jego buława trafiła pierwszego w bark. Tauren stęknął, ale nie odwzajemnił ciosu.

– Czyżby moje drugie ja było tchórzem?! – ryknął wódz Baine.

– Nie – odparł pierwszy. – Jesteśmy tacy sami. Ty wybrałeś inną drogę, Bainie. Ale rozumiem, jak się czułeś, dlaczego chciałeś zabić Garrosha.

– Kłamiesz, inaczej zrobiłbyś to samo.

Drugi byk zaatakował. Tym razem jednak gniew sprawił, że był nieostrożny. Baine zdołał go trafić, ale użył obucha topora.

– Nie zrobię ci krzywdy – wysapał – ale będę się bronić!

Wódz Baine się zawahał. Słuchał go – ale kto wie jak długo?

Tauren znów poczuł w sercu mądrość Yu'lon i nagle zrozumiał, co musi powiedzieć; jak może przemówić do swojego cierpiącego, zranionego odbicia.

– Nasz przyjaciel Go'el – zaczął szybko – tobie znany może jako Thrall, powiedział mi, że nawet w innym strumieniu czasu w sercu zawsze jesteśmy sobą. A nasz ojciec, Cairne, wierzył, że trudniej, ale lepiej, jest…

– …zbudować coś, co przetrwa – mruknął wódz.

I Baine poczuł nadzieję.

Kalec wiedział, że ze wszystkich najeźdźców spoza czasu to właśnie jego sobowtór jest największym zagrożeniem. Nie dość, że jest smokiem, to jeszcze najwyraźniej całkowicie postradał rozum.

A to go przerażało.

Tylko on sam rozumiał, jak niewiele brakowało, by popadł w obłęd z żalu po śmierci Anveeny; tylko Jaina wiedziała, że omal się nie zagubił, kiedy oglądał świt Aspektów oczami Malygosa, który sam oszalał. Jego wcielenie z alternatywnego strumienia czasu było bardzo prawdopodobne. Za bardzo.

Usłyszał słowa Baine'a, ale jak mógł zaakceptować coś takiego? W chwili, gdy to pomyślał, błękitny smok zanurkował i uderzył ogonem, roztrącając grupkę skulonych gapiów. Niektórzy już się nie podnieśli.

– Nie! – krzyknął Kalec. Uderzył Kalecgosa lodem, spowalniając go, choć nie zatrzymując. Tamten obrócił ku niemu głowę, zaśmiał się i zaszlochał.

– Dlaczego nie? – jęknął. – Niech mnie nienawidzą. Niech mnie wykończą! Proszę!

Kalec miewał swoje mroczne chwile. Ale nigdy nie czuł tego, co ten smok.

– Co się stało? Co mogło cię tak zniszczyć? – spytał łamiącym się głosem, lękając się jednocześnie odpowiedzi.

– Ich już nie ma. Żadnego z nich!

Przynajmniej rozmawiali. Kalec nie zabijał.

– Kogo nie ma?

– Nikogo! – ryknął szalony smok. – Anveeny! Jainy… wszystkich błękitnych, nawet Kirygosy…

– Co?!

– Po upadku Orgrimmaru zginęli na wojnie… wszyscy oprócz mnie… przeze mnie. Nie mogłem jej powstrzymać, a teraz ich już nie ma…

Kalec nie mógł w to uwierzyć – ale musiał, zdjęty grozą. Ten upadły Kalecgos nie zdołał odwieść swojej Jainy od zniszczenia Orgrimmaru, a wojna, która potem wybuchła,

pochłonęła cały błękitny ród. Przez chwilę Kalec był jak sparaliżowany, kręciło mu się w głowie i sam czuł dotyk szaleństwa. Potem jego myśli nabrały klarowności i zrozumiał, jak dotrzeć do Kalecgosa.

– To nie twoja wina – rzekł. – Jaina podjęła decyzję, żeby nie słuchać ani ciebie, ani Go'ela.

Mówił i wypełniało go zrozumienie; miał świadomość, jak prawdziwe są te słowa. Jak mógł tego kiedyś nie pojmować?

– Powinienem był ją powstrzymać!

– Nie możesz jej rozkazywać! – zawołał Kalec. – Ona decyduje sama za siebie! Tak mi przykro, Kalecgosie, tak bardzo mi przykro z powodu tego, co straciłeś, ale to nie twoje brzemię!

– Łatwo ci mówić! Twoja Jaina żyje! Kocha cię! – krzyknął tamten i urwał. – Ona… ona cię kocha, prawda?

Kalec poczuł ból w sercu.

– Tak. Ale wciąż kroczy w ciemności. I tylko ona sama może wybrać inną drogę. Nie rozumiesz? – błagał. – Jesteśmy tacy sami. Zrobiliśmy to samo. Różnica polega na tym, co uczyniła Jaina.

Kalecgos był oszołomiony.

– A… Anveena?

Druga kobieta, którą kiedyś kochał całym sercem.

– Ona też wybrała.

Zrozumienie tego nie przywróciło Kalecgosowi zmysłów. Ale znieruchomiał, a na jego pysku pojawił się wyraz zadumy.

Po chwili zniknął.

Varian uświadomił sobie, że nie może doczekać się nadchodzącej bitwy. Proces okazał się większą udręką, niż król się spodziewał, więc ucieszył się z okazji, by zrobić coś konkretnego, przydatnego i bez żadnych wątpliwości słusznego.

Nie zwracał uwagi na widzów, którzy zaczęli wysypywać się z areny, i na mnichów, którzy dzielili ich na dwie grupy – tych, którzy mogli walczyć, i tych, których trzeba było przed walką chronić. Tych drugich mnisi sprawnie zaczęli sprowadzać po schodach prowadzących z kamiennego dziedzińca na trawiaste pole do ćwiczeń, a potem przez most. Większość cywilów wyglądała na przerażonych. Varian wcale im się nie dziwił, jeśli istotnie zbliżało się do nich to, co przypuszczał. To musiały być Smocze Paszcze. Kto inny mógł przypuścić szturm na świątynię w ostatni dzień procesu Garrosha Hellscreama?

Ucieczka będzie długa i niełatwa – o ile w ogóle uda się znaleźć jakieś bezpieczne miejsce. Świątynia była w większości nieosłonięta przed atakiem z powietrza. Uczono się tu walki, ceniono siłę – ale siłę ciała i woli, nie czarów czy wojennych machin. To właśnie, pomyślał Varian, była największa słabość Pandarii i to w pewien sposób czyniło ten kraj tak wyjątkowym.

Był gotów oddać za niego życie.

Ci, którzy mieli swoje latające bestie, wzbili się w niebo, zabierając ze sobą myśliwych, magów, szamanów i innych. Varian nie wiedział, czy wszyscy ci czarodzieje w ogóle będą mogli zaatakować. Nie był wyczulony na magię, nie potrafił więc powiedzieć, czy pole tłumiące zostało zdjęte. Łopot skrzydeł się przybliżył. Król poczuł napięcie. Jeśli myśliwi są dobrzy w swoim fachu, zabiją część bestii albo przynajmniej strącą z nich Smocze Paszcze. Pozbawione jeźdźców proto-smoki najpewniej uciekną przy pierwszej sposobności.

Varian stanął obok koksownika na dziedzińcu, poprawił uchwyt na rękojeści dwuręcznego miecza i przeniósł ciężar ciała na palce. Wzbierała w nim bitewna gorączka, co powitał z radością. Obok niego stanęło kilku pandareńskich mnichów, których imion nie znał. Wyglądali na zupełnie spokojnych, ale król wiedział, że są gotowi do walki.

Wrogowie, z początku małe kropki na horyzoncie, byli coraz bliżej. Varian zmrużył oczy.

– Te sylwetki – powiedział do pandarenów. – Z tej odległości trudno mieć pewność, ale… wyglądają nie tak, jak powinny.

– Co to znaczy? – spytał jeden z mnichów.

– Smocze Paszcze latają na proto-smokach, nie na smokach. Już nie. A to… – słowa uwięzły mu w gardle.

– To są smoki – dokończył pandaren. – Czyli Smocze Paszcze wciąż ujeżdżają smoki.

W Varianie zaczęło kiełkować straszne podejrzenie. Na pewno nie były to czarne smoki; ród zmierzchu również wyginął…

– Co się stało w środku?

– Nie wyjaśniono mi tego dokładnie, ale podobno coś się stało z Wizją Czasu.

Varian zaklął.

– Smoki nieskończoności – powiedział. – Moi pandareńscy przyjaciele… jesteśmy w opałach.

W tym momencie prowadzący smok zanurkował i zionął czarną chmurą wirującego piasku. Pole tłumiące zgasło! Usta króla wykrzywił okrutny uśmiech.

– Szanse właśnie się trochę wyrównały – rzekł.

– Wyrównały? Oni mają smoki! – zaprotestował pandaren.

– A my mamy czarowników!

Rozległy się wiwaty, kiedy parę osób z różnych ras zaczęło recytować zaklęcia przyzywające. Z nicości wychynęły, migocząc, ogary fel – paskudne, czerwone, kolczaste istoty z Wypaczonej Otchłani. Nieopodal jakaś czarnoksiężniczka, której młoda twarz kontrastowała z siwymi włosami, pogładziła jedną z bestii po grzbiecie, nazywając ją „dobrym pieskiem". Varian przypomniał sobie, że ten rodzaj demonów żywi się magią. Uśmiechnął się szeroko, a piękna dziewczyna, która tak czule obchodziła się ze swoimi monstrami, puściła do niego oko.

Magowie zaczęli miotać ogniste kule, odłamki lodu i pociski tajemnej energii. Przywódca Smoczych Paszcz cisnął w dół coś, co spadło kilka metrów od czarujących. Okolicę spowiła niewielka kula fioletowo-białego światła o absurdalnym uroku opalizującej mydlanej bańki. Varian wiedział, co to; chwilę później zobaczył straszliwy dowód, że się nie mylił. Na kamieniach dziedzińca leżały trzy trupy, całe fioletowe od tajemnej energii granatu many. Tłum zafalował w panice.

W królu wezbrał słuszny gniew.

– Zestrzelić ich! – krzyknął do czarujących. – Ściągnijcie ich na ziemię, żebyśmy też mogli się do nich dobrać!

Jego słowa dodały magom otuchy; wznowili ataki ze zdwojoną siłą. Paru orków spadło ze swoich wierzchowców i runęło w dół, w wodę, jeśli mieli szczęście, lub na kamienie, jeśli nie. Jeden z magów Opuszczonych cisnął potężną kulę ognia, która przebiła błonę skrzydła smoka nieskończoności. Istota wrzasnęła z bólu, zatrzepotała gorączkowo skrzydłami i rozbiła się po chwili na ziemi, przed schodami głównego wejścia do świątyni. Próbowała wzbić się w powietrze, ale opadli ją obrońcy.

Zjawiły się jednak inne smoki. Ponad tuzin bestii nadleciał w szyku klucza. Uderzenia potężnych skrzydeł powaliły dziesiątki ludzi. Varian, biegnąc w stronę strąconego, rannego orka, miał wrażenie, że biegnie przez błoto. Usłyszał przenikliwy świst strzał i syknął, kiedy jedna z nich sięgnęła celu, przebijając mu ramię. Nie miał na sobie zbroi – nikt jej nie nosił. Przybyli tu na proces, a nie na bitwę. Miał szczęście; ork szaman obok padł na ziemię z czarnopiórą strzałą sterczącą z gardła.

Strzały nie były jedynymi pociskami, jakich używały Smocze Paszcze. Z góry spadły dwa następne granaty, roztaczając sfery natychmiastowej, magicznej śmierci, a magowie orków zaczęli słać w dół ogień i lód.

Smoki zawróciły i odbiły w górę, odchodząc znad celu, a tymczasem pozycję zajął posapujący gobliński sterowiec. Przez jedną przerażającą chwilę Varian myślał, że Smoczym Paszczom udało się w jakiś sposób sklecić następną bombę many, taką jak ta, która unicestwiła Theramore, ale sterowiec nie wyglądał, jakby szykował się do

bombardowania. W takim razie po co…

Z powietrznego statku wyskoczyły dziesiątki postaci, za którymi rozkwitły spadochrony. Myśliwi i czarownicy nie potrzebowali zachęty, by zaatakować nadlatującego wroga. Wielu miało zginąć, nim wylądują na ziemi, ale nie wszyscy.

Strzała wbiła się w lewy bark; poczuł, jakby dźgnięto go rozżarzonym do białości metalem. Varian zostawił ją, nie chciał ryzykować. Ignorując ból, uniósł dwuręczny miecz i runął na spadochroniarzy. Przepełniło go niedowierzanie i ponura radość, kiedy ujrzał, że Smocze Paszcze nie tylko posłużyły się najemnikami, ale i piratami.

– Wielkie dzięki, Smocze Paszcze! – krzyknął wyzywająco i zaatakował pierwszego pirata.

Mężczyzna, wciąż zaplątany w linki spadochronu, był łatwą ofiarą, ale pozostali wyswobodzili się i otoczyli króla. Variana ogarnęła bitewna gorączka; wymachiwał wielkim mieczem, jakby to była dziecięca zabawka. Obciął głowę trollowi, który rzucił się na niego z kordelasem, i tym samym cięciem prawie rozpołowił czarnowłosą, ludzką kobietę. Gigantyczny tauren, groźny mimo tylko jednego oka, był większym wyzwaniem. Varian zapanował nad rozpędem miecza i skręcił się w pasie, kierując ostrze w górę i odrąbując napastnikowi prawą rękę.

Ale lewa też dzierżyła broń, która wbiła się głęboko w bok króla. Varianowi zakręciło się w głowie, zatoczył się w tył, nie mogąc nawet podnieść miecza, żeby się zasłonić. Jednak cios nie spadł. Coś jeszcze większego niż tauren, szaroskórego, w czerwono-żółtej zbroi naraz uderzyło z boku i jednym, czystym cięciem zdjęło bykowi głowę z ramion. Strażnik fel spojrzał na Variana maleńkimi, świecącymi oczami.

– Twój los będzie taki sam – zahuczał.

Varian nie miał siły na ciętą ripostę. Poczuł nagły, palący ból, kiedy ktoś wyrwał mu strzałę z ramienia, lecz cierpienie zaraz znikło, zastąpione falą ciepła i dobra. Król spojrzał z wdzięcznością na nocną elfkę, kapłankę, drobną i szczupłą, o długich, ciemnofioletowych włosach i lawendowej skórze. Kobieta ukłoniła się nieśmiało i odwróciła, unosząc ręce w modlitwie za białowłosą czarownicę, której strażnik fel uratował Varianowi życie.

Król znów rzucił się w wir walki. Zaatakował grupę pięciu piratów, otaczających młodego, orkowego szamana. We dwóch pokonali napastników, wymienili się pozdrowieniami, skinąwszy głowami, i rozejrzeli w poszukiwaniu kolejnych wrogów.

Znów przeleciały nad nimi cienie. Varian spodziewał się kolejnego ataku, lecz tym razem kilka smoków oddaliło się znad świątyni. Przez chwilę zastanawiał się po co, potem zrozumiał – zmierzały ku mostom. Jeden z nich mimochodem uderzył potężnym ogonem, rwąc liny. Idący z odsieczą pandareni, którzy mieli akurat pecha być na moście, runęli

prosto w objęcia śmierci. Inny smok chwycił sznury drugiego mostu w szpony przedniej łapy i po prostu szarpnął.

Wszyscy, którzy nie zdążyli uciec w bezpieczne miejsce, byli teraz uwięzieni na dziedzińcu i placu ćwiczeń.

Z nieba spadało coraz więcej piratów. Varian myślał z początku, że ich zadaniem jest zająć strażników na zewnątrz świątyni, teraz jednak zobaczył, że choć niektórzy z nich walczą, większość zmierza do środka.

Tam był jego syn. Warknąwszy pod nosem, król pobiegł w tamtym kierunku. Usłyszał trzask wystrzału i poczuł, jakby ktoś uderzył go młotem w lewy bok. Skrzywiony z bólu, przycisnął ranę dłonią i biegł dalej. Nie zdążył jednak pokonać nawet kilku metrów, gdy padł nań olbrzymi cień. Varian stanął jak wryty i poderwał miecz w górę.

– Zela! – sapnął z niedowierzaniem.

Siedziała na grzbiecie wielkiego smoka nieskończoności, szczerząc się w szaleńczym uśmiechu i ściskając w dłoniach topór.

– Król Varian Wrynn! Uwolnię swojego wodza i zetnę ci głowę! Co za szczęśliwy dzień!

– Chodź i spróbuj! – krzyknął król. Ignorując coraz dotkliwszy ból postrzału, wyskoczył jak najwyżej, chwycił Zelę za kostkę i ściągnął ją ze smoka.

Nie spodziewała się tego i źle wylądowała. Jej wierzchowiec musiał gwałtownie odbić w bok, a potem w górę, by nie zderzyć się z murem świątyni. Gdyby Varian trzymał mniejszy miecz, to byłby dla niej koniec, musiał się jednak cofnąć, by wziąć zamach. Kiedy to zrobił, Zela prychnęła, ugryzła go w dłoń bez rękawicy i oplotła go nogą. Nie upadł, ale się zachwiał. Wojowniczka poderwała się z ziemi i uniosła swój poręczniejszy topór, mierząc w pierś Variana.

Wrzasnęła, kiedy uderzyła ją fala ognia.

Varian obejrzał się i ujrzał Jainę Proudmoore z wyciągniętymi rękami i ognistą kulą rosnącą pomiędzy dłońmi. Rozległ się trzask i czarodziejka drgnęła, szeroko otwierając oczy; rodzący się magiczny pocisk znikł, a na jej piersi wykwitła czerwona plama.

– Jaina! – krzyknął Varian.

Zataczając się, z poczerniałą od ognia piersią, Zela pokuśtykała korytarzem wiodącym w głąb świątyni. Varian wciąż mógł ją dopaść, zabić i położyć kres niebezpieczeństwu, jakie miała zawsze stanowić. Ale nie pobiegł za nią.

Zelę zatrzymają – lub nie – inni. Ktoś jednak potrzebował jego pomocy bardziej, niż on potrzebował zabijania.

Ruszył w stronę Jainy.

37

Mimo strasznego bólu wywołanego poparzeniami Zela żałowała, że nie ma czasu, by tak jak obiecała, ściąć głowę Variana Wrynna. Garrosh bez wątpienia trzymałby łeb na widoku jako trofeum i właśnie ona, Zela, byłaby tą, która je zdobyła. Ale ważniejsze niż jej ego było dopilnowanie, aby Hellscream zdołał uciec.

Dostała się do świątyni. Mała, ciasna arena zmieniła się w pole bitwy. Zela zobaczyła co najmniej jednego błękitnego i jednego spiżowego smoka unoszących się nad walczącymi; robiły, co mogły, by atakować wrogów, nie raniąc przy tym sprzymierzeńców. Do środka dostało się kilka mniejszych smoków nieskończoności, które nie miały takich skrupułów. Piraci pokrzykiwali radośnie, dając upust żądzy krwi i przerywając rzeź tylko po to, by przetrząsnąć kieszenie i sakiewki zabitych – zarówno wrogów, jak i sojuszników.

Zela z pogardą rozdęła nozdrza. Nie rzuciła się do walki, choć w bijącym szybko sercu czuła jej zew. Zacisnęła zęby z bólu i pobiegła między walczącymi, szukając swojego wodza. Nigdzie nie było widać potężnego Garrosha ani smukłego wysokiego elfa. Poczuła falę radości. Jej misja właśnie się zakończyła, i to z powodzeniem. Nie było już potrzeby dłużej tu zostawać.

– Moje Smocze Paszcze! – krzyknęła, unosząc zakrwawiony topór i nie zdradzając bólu, jaki jej to sprawiło. – Zwycięstwo! Na zewnątrz czekają smoki, żeby nas stąd zabrać! Zostawcie piratów ich losowi!

Orkowie wznieśli tryumfalny okrzyk; Zeli sprawił przyjemność widok przerażenia na głupich gębach dotychczasowych sprzymierzeńców. Głupcy. Ani jeden nie spytał, jak mają się ewakuować z bitwy. Teraz zginą albo zgniją w lochach. Tak czy inaczej, nikt nie

będzie za nimi tęsknił.

Wszystko skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Piraci, nie wiedzieć czemu zaskoczeni odwrotem orków, zostali szybko rozbrojeni i przekazani w ręce pandarenów. Bardziej frustrująca była ucieczka większości Smoczych Paszcz na grzbietach Smoków Nieskończoności. Ci, którzy zostali, byli już martwi albo zginęli w kilka chwil.

Kiedy bitwa dobiegła końca, Go'el poszedł szukać Aggry. Znalazł ją, trzymającą na rękach ich dziecko, nad trupami trzech piratów, którzy byli dość głupi, by ją zaatakować. Wyglądała na zmęczoną, prawdopodobnie, pomyślał Go'el, nie tylko po walce, ale i od uzdrawiania. Odwróciła się do niego, kiedy podszedł. Szaman wziął ją i dziecko w swoje potężne ramiona.

– Wcześniej zdarzało ci się zmagać z samym sobą, serce moje – powiedziała Aggra, cofając się o krok i przyglądając mu z miłością – ale zawsze były to zmagania bardziej… metaforyczne.

Go'el patrzył na nią z powagą.

– Modlę się do przodków, bym nigdy więcej nie musiał tego robić.

Widok samego siebie jako sługusa Blackmoore'a wytrącił go z równowagi. Go'el wytężył wszystkie siły, by zaakceptować tę część siebie, tak jak mądrze radził Baine, zamiast zabić tego Thralla – niewolnika w każdym znaczeniu tego słowa. I ostatecznie to właśnie imię pozwoliło mu to osiągnąć. Był niegdyś Thrallem, więc rozumiał, co zostawił za sobą – drugi ork nie wiedział, że może zostać Go'elem. Wyglądało na to, że pozostali także wyszli zwycięsko ze swoich osobistych pojedynków.

– Go'elu! – głos należał do Variana, ale był ochrypły i słaby. Go'el odwrócił się i szeroko otworzył oczy ze zgrozy.

Jaina…

Varian, sam krwawiąc z kilku ran, wtoczył się do środka, dźwigając na rękach przerażająco bezwładne ciało czarodziejki. Zdołał zrobić jeszcze kilka kroków, zanim ugięły się pod nim nogi, ale nie upuścił drogocennego ciężaru. Go'el podbiegł do niego, objął Jainę i z wielką ostrożnością położył ją na ziemi. Aggra podała dziecko Eitriggowi i pobiegła za nim.

– Straciła bardzo dużo krwi – powiedziała, ale jej brązowe dłonie sięgały już do nieodłącznej sakwy z totemami. Go'el zrobił to samo, chwycił totem wody i poprosił o jego uzdrawiający dotyk. Czuł jednak, że z każdym oddechem ubywa mu nadziei. Rana była tylko jedna, po kuli, ale blisko serca Jainy, a on był zmęczony. Skóra rannej nabrała woskowego odcienia. Go'el nie widział nawet, czy jej pierś unosi się i opada.

Varian żachnął się, kiedy inni próbowali mu pomóc.

– Nic mi nie będzie – warknął, krzywiąc się z bólu. – Najpierw ona.

– Jaino! – Anduin przepchnął się przez zbiegowisko z przerażeniem na twarzy. Padł na kolana obok kobiety, którą nazywał ciotką. Bez wahania i z najwyższą troską zakrył ranę dłońmi. Wokół jego palców rozeszła się delikatna poświata, a przesiąknięty czerwienią materiał sukni wydał cichy, lepki odgłos.

Go'el nie wyczuwał odpowiedzi żywiołów. Jego wołanie było za słabe. Walczył z sobą samym i innymi wrogami; i on, i Aggra byli wyczerpani, podobnie jak młody książę, czego dowodem były ciemne kręgi pod jego oczami i przygarbione ramiona. Nawet Tyrande, która modliła się drżącym głosem do Matki Luny, i Velen, stary i mądry, przybyli chyba za późno.

Nadbiegł Kalec z twarzą prawie tak samo bladą jak twarz Jainy.

Na ustach czarodziejki wyrosła czerwona, pienista bańka. Smok padł na kolana, ujmują jej twarz w dłonie.

– Jaino – szepnął. – Nie. Nie odchodź. Bywałaś w o wiele gorszych opałach. Jesteś taka silna, Jaino. Trzymaj się. Słyszysz mnie? Trzymaj się!

– Jaino – błagał Anduin. – Proszę… nie opuszczaj nas. Widziałem już dziś własną śmierć, nie mogę patrzeć, jak ty też…

Po jego twarzy popłynęły łzy. Zanim jeszcze skończył mówić, Światłość zgasła.

Pierś Jainy unosiła się i opadała już prawie niedostrzegalnie. Jeszcze kilka oddechów i umrze.

Przyjaciółka Go'ela odejdzie na zawsze. Nie będzie szansy naprawić tego, co zostało zniszczone. Jaina umrze jako jego wróg, a Go'el nie umiał sobie wyobrazić niczego gorszego, po tylu latach przyjaźni. Niezdolny wykrztusić słowa położył delikatnie rękę na ramieniu Aggry, przerywając jej czar. Popatrzyła na niego, a on pokręcił głową. Jej twarz skurczyła się w grymasie bólu – nie własnego, lecz współczucia dla swojego partnera. Mocno go uścisnęła.

Anduin podniósł ręce. Były czerwone od krwi Jainy.

Kalec obok niego znieruchomiał. Wyglądał na oszołomionego, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– Anduinie – odezwał się Varian najłagodniejszym tonem, jaki Go'el u niego słyszał – wstań. Nic już nie poradzisz.

Nawet przeciwnicy Jainy wyglądali na wstrząśniętych. Na żadnej twarzy nie malował się tryumf ani radość, tylko szok, że ktoś dla wielu tak legendarny, o cechach tak nadludzkich, mimo to podlega władzy reguł życia.

– Nie – szepnął Anduin. – Nie mogę…

– A więc uczeń pamięta nauki mojej świątyni – rozległ się głos zarazem młody i stary, energiczny i poważny, a do tego niezwykle łagodny. – Nadzieja to coś, co zostaje, kiedy zawiodło wszystko inne. Tam, gdzie jest nadzieja, tam da się uzdrowić wszystko, co uzdrowić można – a także niektóre rzeczy, których nie można.

Go'el podniósł wzrok i ujrzał Chi-Ji, Czerwonego Żurawia, unoszącego się w powietrzu nad nimi. Powiew jego skrzydeł był chłodny, odświeżający po zaduchu bitwy i gorączce łez. Pachniał wiosną i nowym początkiem, życiem i nadzieją. Ból w sercu orka znikł, zastąpiony przez spokój. Rany ciała i duszy, duże i małe, znikały jak śnieg pod dotykiem słońca. Ogarnęła go błogość i zadowolenie, a kiedy spojrzał na Jainę, zobaczył, że krwawienie ustało, a ciało czarodziejki znów jest całe i zdrowe. Jaina otworzyła oczy, popatrzyła na nachylone nad nią twarze – człowieka, smoka, orka i tyle innych – przepełnione zdumieniem i radością. Wyciągnęła dłoń do Kaleca, a on przytulił ją do policzka.

– Jesteś w tym coraz lepszy – rzekła do Anduina, wciąż jeszcze słabym głosem.

Książę zaśmiał się chrapliwie. Kalecgos wziął Jainę w ramiona, objął mocno i wtulił na chwilę twarz w jej szyję. Go'el uświadomił sobie, że czarodziejka wygląda na… szczęśliwą. Może została uzdrowiona nie tylko na ciele? Zastanawiał się, jak zdołała zaakceptować swoją oszalałą, alternatywną wersję. Pewnie nigdy się tego nie dowie. Ich spojrzenia się spotkały i ork się uśmiechnął. A kiedy Jaina wyciągnęła do niego rękę, chwycił ją. Ścisnął krótko i puścił. Inni też wstawali z ziemi, zdrowi, cali i nielicho zdumieni.

– Oto błogosławieństwo Chi-Ji – oznajmił żuraw. – Nikt więcej dziś nie umrze. Dostaliście jeszcze jedną szansę, wykorzystajcie ją mądrze.

– Dziękuję ci, Czerwony Żurawiu – powiedział Varian i nisko się ukłonił. Spojrzał na Chromię. – Garrosh znikł. To był Kairoz, prawda? Jak to się stało?

Go'el nigdy nie widział Chromii tak wściekłej i zrezygnowanej. Blada, w brązach i złocie brudnych od krwi i pyłu Piasków Czasu zwróciła się do nich wszystkich.

– Kiedyś znaliśmy strumienie czasu na wylot – zaczęła. – Widzieliśmy doskonale wyraźnie przeszłość i przyszłość. Odkąd Nozdormu został naszym Aspektem, obowiązkiem naszego rodu była ochrona świętości linii czasu. I dostaliśmy wielką moc, by móc to robić. Teraz… teraz nic już nie jest tak jasne. Wciąż możemy podróżować w czasie, ale nie posiadamy już tej doskonałej wiedzy. Dlatego zwróciliśmy się o pomoc do śmiertelników, by pomogli nam strzec bezpieczeństwa naszej linii czasu. Ale nie obyło się bez sprzeciwów. Niektórzy z nas uważają, że powinniśmy raczej użyć pozostałych nam umiejętności, by manipulować strumieniami czasu. Zmienić przeszłość, zmienić przyszłość w coś lepszego – uśmiechnęła się smutno. – Oczywiście powstaje pytanie, kto

decyduje, co będzie lepsze. Zwłaszcza że nie mamy już idealnego zrozumienia czasu. To właśnie większość z nas powstrzymywało. Teraz jednak jest oczywiste, że Kairoz należał do tych, którzy uważali, że spiżowe smoki mogą i powinny zmieniać bieg wydarzeń. Zawsze lubił majstrować…

Ucichła.

– Jak mogło do tego dojść? – spytała Tyrande. – Mówiłaś, że Wizja Czasu ma ograniczone możliwości – Było jasne, że nie próbuje atakować Chromii tak samo zdruzgotanej – albo i bardziej – jak reszta, ale była skrajnie sfrustrowana i wściekła. – Że może pokazywać tylko obrazy z przeszłości albo przyszłości, a nie przenosić je czy w jakikolwiek sposób zmieniać.

– To była prawda, aż do dzisiejszego ranka – odparła Chromia. – Nozdormu był w tej kwestii nieugięty. Ale Wizja Czasu to dzieło Kairoza. Musiał wbudować w nią sposób obejścia zabezpieczeń.

Varian zmarszczył brwi i popatrzył na Go'ela. Obaj przypomnieli sobie, że zachowanie Kairoza wydawało im się dziwne.

– Zrobił to dziś rano – powiedział król. – Na widoku wszystkich. Ma tupet, trzeba mu to przyznać.

– Wrathion też jest w to zamieszany – rzekł Anduin. – To on ogłuszył mnie i braci Chu.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Przerwał ją Vol'jin.

– A więc teraz potężny spiżowy smok-wynalazca, ostatni czarny smok i syn Hellscreama działają razem, a my nawet nie wiemy, gdzie ani kiedy ich szukać. – Potrząsnął głową.

Go'el spojrzał na niebian. Poza Chi-Ji nie poruszyli się i milczeli, jakby nieco nieobecni.

– Nie włączyliście się do naszej walki z samymi sobą, ale obdarzyliście nas mądrością. Rozumiem, dlaczego nie zrobiliście nic więcej – powiedział. – I wszyscy jesteśmy ci niewymownie wdzięczni, Chi-Ji, za życie Jainy i innych. Ale spodziewałbym się, że będziecie bardziej… – tu przez chwilę szukał właściwego słowa – …zaniepokojeni zniknięciem Garrosha, skoro waszym obowiązkiem było wydać na niego wyrok.

– Czcigodni Niebianie, zaspokójcie proszę ciekawość pandarena – powiedział Taran Zhu. – Wiecie, jaki wydalibyście werdykt?

– Istotnie, wiemy – zahuczał Niuzao. – Wiedzieliśmy od samego początku.

Wszyscy gapili się na niebian. Go'el usiłował powściągnąć gniew, a Tyrande wyglądała, jakby dostała w głowę.

– I… co byście postanowili? – spytał Taran Zhu.

– Garrosh Hellscream zachowałby życie, żeby mógł się dalej uczyć – powiedziała

Yu’lon, falując swoim gibkim, zielonym ciałem. – Moi drodzy, mądrości, męstwa, siły i nadziei nie da się zdobyć po śmierci.

– W życiu nie chodzi o nagrody i kary – rzekł Xuen. – Chodzi o zrozumienie, akceptację tego, kim się jest w danej chwili, żeby wiedzieć, co zmienić i jak to zrobić.

– Uważamy, że sprawiedliwości stało się zadość – dodał Czarny Wół, uderzając kopytem i potrząsając kudłatą, lśniącą głową.

– To po co w ogóle urządzać proces? – spytała ostro Tyrande. – Skoro od początku wiedzieliście, jaki wydacie wyrok? Bawiliście się nami?

– Nie, zawzięta oskarżycielko – odparła łagodnie Yu’lon. – Twoje wysiłki były bardzo istotne dla wyniku procesu. Widzisz… nie tylko Garrosh Hellscream był tu sądzony.

Przez chwilę Go’el nie pojmował, potem niespodziewanie zrozumiał.

– My byliśmy – rzekł. Był zaskoczony, że nie jest wściekły za taką manipulację, ale w głębi duszy jakaś jego część – ta, która zjednoczyła się z Duchem Życia – całkowicie to zaakceptowała. Na twarzach innych – taurena, człowieka, trolla, elfa, nawet smoka – dostrzegł to samo.

Chi-Ji kiwnął głową.

– Młody książę i tauren-obrońca zrozumieli to najprędzej. Ale teraz rozumiecie już wszyscy. Zostaliście osądzeni i skazani. Z naszym błogosławieństwem i wiedzą, którą znaleźliście we własnych sercach i umysłach, a także u innych, macie wrócić do świata i zrobić to, co musicie.

Wszyscy popatrzyli po sobie. Varian, krzepki i silny, z ręką na ramieniu syna. Kalecgos i Jaina, ze splecionymi dłońmi. Tyrande i Baine, oskarżycielka i obrońca, stojący ramię w ramię. Vol’jin, z namysłem kiwający głową. Chromia, Lor’themar i wielu, wielu innych.

Go’el nie był już dla nikogo wodzem. Mimo to zobaczył, że wszyscy powoli zwracają wzrok ku niemu. Z pokorą powiedział to, na co czekali.

– Znajdziemy Garrosha.

EPILOG

Garrosh wyszedł z portalu z Kairozem u boku.

– I co powiesz? – spytał spiżowy smok. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie i miał ku temu powody.

Garrosh nie od razu odpowiedział. Stał, czując, jak lekki wiatr pieści jego skórę, i patrzył na łagodne wzgórza Nagrandu. Postawił stopy w falującej trawie, czując pod nimi zdrową, krzepką ziemię.

– To nie jest mój dom – mruknął, mrużąc oczy i patrząc w słońce. – To nie jest moje niebo.

– Tak i nie – rzekł Kairoz. – Jesteś w domu, Garroshu Hellscreamie. Ale nie… To nie jest niebo, pod którym się wychowałeś.

Nieopodal przebiegło z głuchym łoskotem stado raciczników – masywnych zwierząt o lśniącej sierści. To tu narodził się lud orków.

Garrosh oglądał tę samą ziemię, to samo niebo co jego ojciec. Oto był dar spiżowego smoka – świat, który już nie istniał, ale który mógł się stać… wszystkim.

– Hellscreamie! – rozległ się chrapliwy, orkowy głos.

Garrosh drgnął na dźwięk swojego nazwiska, myśląc, że jego sprzymierzeńcy w jakiś sposób trafili tu razem z nim i Kairozem.

– Kto… – zaczął, ale Kairoz, z uśmiechem jeszcze bardziej figlarnym niż zwykle, tylko wyciągnął rękę. Zupełnie zdezorientowany Garrosh obejrzał się.

Okrzyk był skierowany do innego Hellscreama.

Stojący na wzgórzu, z czarnymi włosami powiewającymi na wietrze, w słońcu oświetlającym jego umięśnione, brązowe ciało, stał potężny, wytatuowany ork, którego

krew płynęła w żyłach Garrosha, odpowiedział na wołanie rozdzierającym uszy krzykiem i wzniósł w górę…

…Krwiożercę.

PODZIĘKOWANIA

Chciałabym, jak zawsze, podziękować niesamowitym ludziom z firmy Blizzard, którzy sprawili, że praca moja była wyłącznie przyjemnością i ani na chwile nie przestawali troszczyć się o cały projekt – Chrisowi Metzenowi, Micky'emu Neilsonowi, Dave'owi Kosakowi, Jerry'emu Chu, Seanowi Copelandowi, Mattowi Burnsowi, Cate Gary oraz Joshua Horstowi.

POSŁOWIE

Opowieść, którą właśnie przeczytaliście, opiera się na postaciach, miejscach i zdarzeniach przedstawionych w grze komputerowej *World of Warcraft* stworzonej przez Blizzard Entertainment. Ta gra fabularna jest niezwykłą przygodą, której gracz może doświadczyć w uniwersum *World of Warcraft*, zdobywcy wielu nagród. W *World of Warcraft* gracz tworzy własnego bohatera, odkrywa rozległy świat i wykonuje powierzone mu zadania razem z tysiącami innych graczy. Nieustannie rozwijana gra pozwala również stawać przeciwko – bądź ramię w ramię – z wieloma intrygującymi i potężnymi postaciami sportretowanymi na kartach tej powieści.

Od chwili premiery w 2004 roku *World of Warcraft* stał się najpopularniejszą abonamentową grą sieciową typu MMORPG (*massively multiplayer online role-playing game*). Więcej informacji o najnowszym rozszerzeniu *Mist of Pandaria* (*Mgły Pandarii*) i zapowiadanym kolejnym dodatku *Warlords of Draenor* można znaleźć na www.WorldofWarcraft.com.

DLA CZYTELNIKÓW

Tym, którzy chcieliby lepiej poznać bohaterów tej powieści oraz ich losy, polecamy powieści i komiksy z uniwersum *World of Warcraft*.

Więcej informacji o wodzu Garroshu Hellscreamie można znaleźć w numerach od 15. do 20. komiksu *World of Warcraft* autorstwa Waltera i Louise Simonsonów, Jona Burana, Mike'a Bowdena, Phila Moya, Waldena Wonga oraz Popa Mhana, w książkach Christie Golden: *The Shattering: Prelude to Cataclysm* i *Jaina Proudmoore: Wichry Wojny* (*Tides of War*) oraz *Beyond the Dark Portal* napisanej wspólnie z Aaronem Rosenbergiem, *Wolf Heart* autorstwa Richarda A. Knaaka; a także *Vol'jin: Cienie Hordy* (*Shadows of the Horde*) Michaela A. Stackpole'a i w opowiadaniach: *Heart of War* Sarah Pine, *As Our Fathers Before Us* Stevena Nixa oraz *Edge of Night Dave'a* Kosaka opublikowanych w *World of Warcraft: Paragons*.

Wodza taurenów Baine'a Bloodhoofa, a także jego skomplikowaną relację z Garroshem Hellscreamem przedstawiono w książkach Christie Golden: *The Shattering: Prelude to Cataclysm* i *Jaina Proudmoore: Wichry Wojny* (*Tides of War*) oraz w *Stormrage* autorstwa Richarda A. Knaaka i w opowiadaniu Stevena Nixa *As Our Fathers Before Us* w *World of Warcraft: Paragons*.

Historia arcykapłanki Tyrande Whisperwind i jej przemiana w przywódczynię nocnych elfów została opisana w trylogii pióra Richarda A. Knaaka *War of the Ancients*. Informacje o innych wydarzeniach z życia Tyrande można znaleźć w *Stormrage* również autorstwa Richarda A. Knaaka, w numerze 6. ukazującego się co miesiąc komiksu *World*

of Warcraft, którego autorami byli Walter Simonson, Ludo Lullabi i Sandra Hope, oraz w komiksie *World of Warcraft* Micky'ego Neilsona, Jamesa Waugha, Ludo Lullabiego i Tony'ego Washingtona, jak również w opowiadaniu Valerie *Watruous Seeds of Faith* opublikowanym w *World of Warcraft: Paragons*.

Książę Anduin Wrynn posiada wyjątkową umiejętność nawiązywania więzi zarówno z członkami Przymierza, jak i Hordy, a więcej na ten temat można znaleźć w książkach Christie Golden: *The Shattering: Prelude to Cataclysm* i *Jaina Proudmoore: Wichry Wojny* (*Tides of War*), *Wolf Heart* autorstwa Richarda A. Knaaka, w wydawanym co miesiąc komiksie *World of Warcraft* Waltera i Louise Simonsonów, Ludo Lullabiego, Jona Burana, Mike'a Bowdena, Sandry Hope oraz Tony'ego Washingtona, a także w opowiadaniach *Blood of Our Fathers* E. Daniela Areya i *Prophet's Lesson* Marka Hutchesona opublikowanych w *World of Warcraft: Paragons*.

Młodość króla Variana Wrynna przedstawiono w *Arthas: Rise of the Lich King* pióra Christie Golden, *Tides of Darkness* autorstwa Aaron Rosenberg oraz napisanej wspólnie przez tę parę *Beyond the Dark Portal*. Późniejsze lata króla i wojownika można poznać, czytając comiesięczne wydania komiksu *World of Warcraft* Waltera i Louise Simonsonów, Ludo Lullabiego, Jona Burana, Mike'a Bowdena, Sandry Hope i Tony'ego Washingtona, w kolejnych książkach Christie Golden: *The Shattering: Prelude to Cataclysm* i *Jaina Proudmoore: Wichry Wojny* (*Tides of War*), jak również w *Stormrage* i *Wolf Heart* Richarda A. Knaaka i opowiadaniu *Blood of Our Fathers* E. Daniela Areya opublikowanym *World of Warcraft: Paragons*.

Przeszłość lady Jainy Proudmoore została opisana w komiksie *World of Warcraft* Waltera i Louise Simonsonów, Ludo Lullabiego, Jona Burana, Mike'a Bowdena, Sandry Hope i Tony'ego Washingtona, w kolejnych książkach Christie Golden: *The Shattering: Prelude to Cataclysm* i *Jaina Proudmoore: Wichry Wojny* (*Tides of War*), w książce *Arthas: Rise of the Lich King*, *Krąg Nienawiści* (*Cycle of Hatred*) pióra Keitha R.A. DeCandido, *Dawn of the Aspects* autorstwa Richarda A. Knaaka, a także w piątym tomie *Warcraft: Legends, Nightmares* Richarda A. Knaaka i Roba Ten Pasa.

Opowieści o Kalecgosie i jego bohaterskich czynach zostały spisane w książkach *Night*

of the Dragon i *Dawn of the Aspects* Richarda A. Knaaka, *Thrall: Twilight of the Aspects* i *Jaina Proudmoore: Wichry Wojny* (*Tides of War*) autorstwa Christie Golden, w *The Sunwell Trilogy* oraz *Shadow Wing*, tom 2, a także w opowiadaniach: *Nexus Point* Richarda A. Knaaka i Jae-Hwan Kima i *Charge of the Aspects* Matta Burnsa (dostępne na www.WorldofWarcraft.com).

Królowa banshee, Sylwana Windrunner, występuje w trzecim tomie trylogii *Warcraft: The Sunwell* zatytułowanym *Ghostlands* autorstwa Richarda A. Knaaka i Jae-Hwan Kima oraz w *Stormrage* Richarda A. Knaaka, *Arthas: Rise of The Lich King* Christie Golden, a także opowiadaniach *In the Shadow of the Sun* autorstwa Sary Pine i *Edge of Night* Dave'a Kosaka opublikowanych w *World of Warcraft: Paragons*.

Wcześniejsze przygody Go'ela, znanego również jako Thrall, opisane zostały przez Christie Golden w książkach: *Władca klanów* (*Lord of the Clans*), *Thrall: Twilight of the Aspects*, *The Shattering: Prelude to Cataclysm*, *Jaina Proudmoore: Wichry Wojny* (*Tides of War*), przez Keitha R. A. DeCandido w *Cycle of Hatred* oraz w numerach 15.–20. miesięcznika *World of Warcraft* Waltera i Louise Simonson i Jona Burana, Phila Moya, Mike'a Bowdena, Waldena Wonga i Popa Mhana; a także przez Matta Burnsa w *Charge of the Aspects* (www.WorldofWarcraft.com).

Vereesa Windrunner odgrywała istotną rolę w wielu wydarzeniach zapisanych w historii Azeroth. Jej dokonania zostały przedstawione w *Dniu Smoka* (*Day of the Dragon*) i *Night of the Dragon* Richarda A. Knaaka oraz w *Jainie Proudmoore: Wichry Wojny* (*Tides of War*) autorstwa Christie Golden. Nadto Vereesa pojawia się przelotnie w trylogii *Warcraft: War of the Ancients* oraz w *Stormrage* Richarda A. Knaaka i *Tides of Darkness* Aarona Rosenberga.

Najważniejsze wydarzenia z życia Vol'jina, również te z czasów, gdy nie przewodził jeszcze Mrocznym Włóczniom, zostały przedstawione w powieściach *Vol'jin: Cienie Hordy* (*Shadows of the Horde*) napisanej przez Michaela A. Stackpole'a; *Jaina Proudmoore: Wichry Wojny* (*Tides of War*) Christie Golden i w opowiadaniu *The Jugement* Briana Kindregana opublikowanym w *World of Warcraft: Paragons*.

Taran Zhu, niezwodny obrońca Pandarii i przywódca tajnego zakonu Shado-pan został przedstawiony w książce *Vol'jin: Cienie Hordy* (*Shadows of the Horde*) Michaela A. Stackpole'a.

Velen uważany jest za jednego z najmądrzejszych i najdłużej żyjących członków Przymierza. Lata, które spędził na Draenor, opisane zostały przez Christie Golden w *Rise of the Horde*. O przywódcy draenei można przeczytać również w *Wolf Heart* Richarda A. Knaaka i opowiadaniu *Prophet's Lesson* Marca Hutchesona opublikowanym w *World of Warcraft: Paragons*.

O Strażniczce Życia Alexstraszie napisano w *Thrall: Twilight of the Aspects* pióra Christie Golden, *War of the Ancients Trilogy*, *Dzień Smoka* (*Day of the Dragon*), *Night of the Dragon*, *Stormrage* oraz *Dawn of the Aspects*, wszystkie autorstwa Richarda A. Knaaka, oraz w opowiadaniu *Charge of the Aspects* Matta Burnsa (dostępnym na www.WorldofWarcraft.com).

WOJNA TRWA

Zbrodnie wojenne odsłaniają kulisy wstrząsającego wydarzenia, jakim jest proces Garrosha Hellscreama, chyba najbardziej znienawidzonej postaci okrytej wyjątkowo złą sławą.

Czwarty dodatek do gry zatytułowany *Mistst of Pandaria* pozwala graczom zobaczyć na własne oczy, jak bardzo zepsuty jest wódz Hordy, a nawet wziąć udział w jego ujęciu.

Jednakże tyrania i okrucieństwa Garrosha stanowią zaledwie preludium do wydarzeń dalece mroczniejszych – straszliwej burzy, która nadciąga nad Azeroth. W zapowiadanym piątym już dodatku, *Warlords of Draenor*, przywódcy Hordy i Przymierza wyślą swych bohaterów w otchłanie czasu, by tam zmierzyli się z alternatywną wersją świata orków, świata dzikiego i bezlitosnego, w którym mieszkają dziwni, nowi sprzymierzeńcy i brutalni wrogowie. Tam właśnie bezwzględna armia orków nazywana Żelazną Hordą szykuje się do inwazji na Azeroth i tylko ty możesz ją powstrzymać!

By odkryć nieustannie rozwijający się świat, który przyciągnął już miliony graczy na całym świecie, odwiedź stronę www.WorldofWarcraft.com i ściągnij darmową wersję demonstracyjną. Już dziś możesz przeżyć to sam.

O AUTORCE

CHRISTIE GOLDEN, bestsellerowa i wielokrotnie nagradzana pisarka, ma w swoim dorobku ponad czterdzieści powieści i kilka opowiadań science fiction i fantasy. Jest autorką dwunastu powieści wydanych pod szyldem Star Trek i kilku oryginalnych utworów fantasy. Christie Golden namiętnie gra w *World of Warcraft*, napisała dwa

scenariusze do komiksów i kilka powieści rozgrywających się w tym uniwersum: *Lord of the Clans* (*Władca klanów*), *Rise of the Horde*, *Arthas: Rise of the Lich King*, *The Shattering: Prelude to Cataclysm*, *Thrall: Twilight of the Aspects* i *Jaina Proudmoore: Tides of War* (*Jaina Proudmoore: Wichry wojny*). Golden jest również autorką sagi *StarCraft: The Dark Templar Saga*, w ramach której ukazały się tytuły: *Fistborn*, *Shadow Hunters* oraz *Twilight*, a także *Devils' Due* i *Flashpoint*.

Christie Golden jest także autorką trzech z dziewięciu głównych powieści z serii *Star Wars: Fate of the Jedi* (*Gwiezdne wojny: Przeznaczenie Jedi*) we współpracy z Aaronem Allstonem i Troyem Denningiem – *Omens* (*Znaki*), *Allies* (*Sprzymierzeńcy*) oraz *Ascension* (*Wniebowstąpienie*).

Pisarka mieszka w Tennessee. Jej strona internetowa znajduje się pod adresem www.christiegolden.com.

SŁOWNICZEK

Alexstrasza, Life-Binder – Alexstrasza, Strażniczka Życia
Ashenvale – Jesionowa Knieja
Aysa Cloudsinger – Aysa Pieśniarka Obłoków

Banshee Queen – królowa banshee
Blackrock – Czarna Skała
Blidgewater – Zęzowa Woda
Blood Knights – Rycerze Krwi
Brightwater Lake – Jezioro Jasne
bronze dragons – spiżowe smoki
Bronzebeard (klan) – Miedziobrodzi

Chromie – Chromia
Cleft of Shadow – Szczelina Cienia
Cloudsong – Chmurna Pieśń
Council of Six – Rada Sześciu
Council of Three Hammers – Rada Trzech Młotow

Dark Earth – Czarnoziem

Dark Iron (klan) – Klan Czarnego Żelaza, Czarnoryci
Dark Lady – Czarna Pani
Darkspear – Mroczna Włócznia
Dead Scar – Trupia Blizna
Deathwing – Śmiercioskrzydły
Doomhammer – Zgładziciel
Dragonmaw – Smocze Paszcze
Dreadmurk Shore – Wybrzeże Męciwód

Earthen Ring – Krąg Ziemi

Fearbreaker – Uśmierzyciel
felguard – strażnik fel
Focusing Iris – Źrenica Światła
Forsaken – Opuszczeni
Fry Island – Wyspa Jatki

Ghostlands – Widmowe Ziemie
Gorehowl – Krwiożerca
Great Gate, The – Wielka Brama
Greenie Girl – Groszek
Grimtotem – Ponury Totem

Harrowmeiser – Broniarek
high chieftain – najwyższy wódz
high overlord – najwyższy nadzorca
Howling Fjord – Wyjący Fiord

Kael’thas Sunstrider – Ten, który kroczy w Słońcu
Knights of the Ebon Blade – Rycerze Hebanowego Miecza

Lady Lug – Dama pod Żaglami

Lich King – Król Lisz
Longwalkers – Szybkonodzy

Maelstrom – Malstorm
Mage – Mag/Czarodziejka
Mason’s Folly – Wybryk Murarza
Merchant Coast – Wybrzeże Kupców
Mogu’shan Vaults – Skarbce Mogu’szan
molten giants – stopieni giganci
Moonglade – Księżycowa Polana

Northrend – Północna Grań
Northwatch Hold – Północna Strażnica

One Keg – Baryłka

Razor – Hill Brzytewka
Rehgar Earthfury – Rehgar Furia Ziemi
Runetotem (klan) – Runiczny Totem

Saurok – saurok
Sentinel – Strażnik
Shadewood Thicket – Gęstwina Cieni
Shandris Feathermoon – Shandris Księżycopióra
Silver Covenant – Srebrny Sojusz
Snowsong – Śnieżośpiewna
Stormwind – Wichrogród
Sunreaver – Słoneczny Łupieżca

Thalassian Pass – Przełęcz Talaska
Thunder Bluff – Gromowe Urwiska
Thunder King – Król Gromu

Tranquillien – Zacisze
Twilight Highlands – Wyżyny Zmierzchu

Undercity – Podmiasto

Violet Rise – Purpurowe Wzgórze

Westguard Keep – Twierdza Zachodniej Straży
Windrunner Spire – Iglica Windrunnerów